

**GIL McNEIL**

**SAMOTNEJ MATKI  
ROZTERKI MIŁOSNE**

---

**Przekład Alicja Marcinkowska**

**AMBER**

**Czasami trudno  
być kobietą.**

Tammy Wynette

**STYCZEŃ**

**Wściekle Gacie**

## **DZIENNIK OGRODOWY**

Według poradnika ogrodnictwa - gwiazdkowego prezentu od mamy - najważniejsze zadania na styczeń obejmują wyczyszczenie narzędzi ogrodniczych, zamówienie nasion, przekopanie wszystkich grządek i rabatek, posadzenie rabarbaru i przycięcie wszystkiego w zasięgu wzroku, a zwłaszcza wisterii i drzewek owocowych.

*Usiłuję zmyć błoto ze starej, ohydnej łopaty w szopie, ale od węża odpada końcówka i moje gumowce napełniają się lodowatą wodą. Alfie uważa, że to fantastyczne. Postanawiam dla odmiany trochę pokopać, ale ziemia jest jeszcze zamarznięta, więc kończy się na tym, że balansuję z obiema stopami na szpadlu, usiłując wbić go w ziemię. Tracę równowagę i ląduję na kolczastym krzaku; może to jakaś odmiana jeżyny, a może olbrzymi oset. Poddaję się i postanawiam zabrać się do przycinania, ale ponieważ nie jestem do końca pewna, jak wygląda wisteria, najpierw podcinam pnącza porastające ogrodzenie. Mama mówi potem, że to kwitnący na wiosnę powojnik, a ja odrąbałam wszystkie zalążki kwiatów. Cudownie.*

- Jakie niezwykle seksualne zwyczaje charakteryzują patagońskie zające?

- Chryste, Molly, o ile pamiętam, mówiłaś, że pytania będą łatwe.

- Skąd miałam wiedzieć, że podejną do tego tak poważnie? Na tym polega problem z Wiejską Nocą Kwizów. Cała wieś ma okazję zobaczyć, jakim głupkiem naprawdę jesteś.

- Jeśli nie udzielimy choć jednej poprawnej odpowiedzi, to będzie prawdziwa żenada.

- Dokąd wyjechali w podróż poślubną Frank i Pat z East-Enders!

- Cholera, nie odpowiedziałyśmy jeszcze na poprzednie pytanie.

- Kto wynalazł kleszcze położnicze?

- To łatwe. Ostatni drań.

- Zapisać to?

- Koniecznie.

Mam przeczucie, że „ostatni drań” to niekoniecznie poprawna odpowiedź, ale zapisuję.

- Po ile stopni mają wewnętrzne kąty ośmiokąta?

- No, Alice, powinnaś to wiedzieć. Chyba miałaś coś o kątach na architekturze?

- Tak jakby.

- Cudowny środek na odchudzanie slimfast sprawia, że ludzie zaczynają robić co?

- Błagać o litość?

- Molly, musimy mieć przynajmniej jedną dobrą odpowiedź. Zapisuj odpowiedzi, a ja rozpracuję te kąty.

- Jakim terminem określa się w golfie dolną część dołka?

- Cholera jasna.

- W jakim kraju wynaleziono budrysówkę?

- O Boże, to wiem. W Belgii.

Molly wygląda na bardzo z siebie zadowoloną.

- Kilka lat temu organizowałam szkolną wycieczkę do Belgii i musiałam przygotować arkusze z ćwiczeniami.

- Założę się, że było cudownie.

- O tak. W drodze powrotnej zgubiło nam się na promie dwoje dziewięciolatków i wicedyrektor o mało nie dostał ataku serca. Musieliśmy wezwać karetkę i tak dalej. Ale nic mu nie było. Myślę, że tylko udawał, żeby nikt się go nie czepiał, gdyby dzieciaki wypadły za burtę.

- A wypadły?

- Nie, a szkoda. Jednym z nich był Wayne Tompkins, niezły świrus. W zeszłym tygodniu za pomocą superglue przykleił do krzesła nauczyciela, który przyszedł na zastępstwo.

- No cóż, ale przynajmniej będziemy miały jedną dobrą odpowiedź.

Właściwie to uzbierało się ich sześć. Na trzydzieści. Nie jest to superwynik. Jeszcze nie podliczyli punktów, ale my jesteśmy już tak pijane, że mało nas to obchodzi. Molly zbiera siły na odparcie ironicznych uwag na temat nauczycieli, którzy nie wiedzą tak dużo, jak można by się spodziewać, ale na szczęście nikt nie ma czasu, żeby potraktować nas z wyższością, ponieważ nasi współzawodnicy kwestionują uzyskane wyniki. Ale przynajmniej wiemy, że

patagońskie zajęce są absolutnie monogamiczne. Super. A Pat i Frank pojechali na Hawaje, choć kobieta siedząca przy sąsiednim stoliku nadal usiłuje przekonać jednego z sędziów, że to była Hiszpania. Część drużyn traktuje to wszystko bardzo poważnie, sędziowie aż poczerwienieli. Jednak najlepsze jest to, że nie udało nam się przejść do kolejnej rundy, więc w zasadzie możemy już iść do domu, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wobec naszej wspólnej, wiejskiej kasy, i wybawić Dana od pilnowania dwójki trzylatków, które, kiedy wychodziłyśmy, nie wyglądały na zbyt zmęczone.

- To co, idziemy?

- Nie ma mowy. Wezmę drinki i zobaczymy, kto wygra.

- Super. Miałam nadzieję, że to powiesz.

Mijają całe wieki, zanim Molly wraca z drinkami, bo pub jest strasznie zatłoczony.

- Wzięłam potrójne. Pomyślałam, że to zaoszczędzi nam latania do bufetu.

- Mądra dziewczynka. O cholerka, ale mocne.

Czuję, że wódka zaczyna mnie trochę rozmiękczać. Może powinnam dolać jeszcze toniku? Jednak po chwili zastanowienia dochodzę do wniosku, że właściwie to całkiem przyjemne uczucie.

- Co tam w pracy? - pytam.

- Beznadzieja. W przyszłym tygodniu mamy wycieczkę do Muzeum Historii Naturalnej. Trzydzieści dwoje nabuzowanych czternastolatków w jednym autokarze! Równie dobrze już teraz mogę postawić w stan pogotowia służby ratownicze. A co u ciebie?

- Podwójna beznadzieja. Muszę przebudować stodołę dla klienta, który nie cierpi stodół, i mam więcej kuchni do urządzenia niż cholerna Ikea.

- Super.

- Po co, u diabła, kupować stodołę do przeróbki, jeśli nie cierpi się stodół? - dziwi się Molly.

- Nie możesz po prostu jej wyburzyć i zacząć wszystkiego od nowa?

- Nie w tym rzecz, Molly, a poza tym, to budynek z rejestru obiektów chronionych. Chłopcy od planowania dostaną szału. A przewodniczący miejscowej rady gminy mieszka dokładnie naprzeciwko i za każdym razem, kiedy tam jestem, czai się w krzakach.

- Może jest ekshibicjonistą?

- Może i tak, znając moje szczęście. Jeśli ruszymy choć jedną cegłę, dostanie ataku serca. To mogłaby być prawdziwa perełka, gdyby klient nie był takim totalnym głupkiem. W każdym razie, co się dzieje w szkole, że jest beznadziejnie? To znaczy, pomijając wycieczkę.

- To samo co zawsze. Za dużo dzieci, za mało prochów. I takie tam. Nic specjalnego. Tak naprawdę to wszystko w porządku. Czasami nawet mam poczucie, że to co robię, odnosi jakiś skutek. To w domu sobie nie radzę. Stado nieprzystosowanych nastolatków, proszę bardzo, w każdej chwili, ale przekonać Lily, że nie może założyć swojej wyjściowej sukienki do przedszkola, zapomnij. Dzisiaj ubranie jej zajęło mi prawie czterdzieści pięć minut.

Kiedy się tu wprowadziliśmy i poznałam Molly, odniosłam wrażenie, że Lily to jedno z tych dzieci, przez które inne matki czują się

życiowymi bankrutami. Znacie ten typ. Lily jest zupełnym przeciwieństwem Alfiego. Zawsze czyściutka i bardzo uprzejma dziewczynka, która lubi ład i porządek. Wkrótce jednak zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę to ona najbardziej lubi denerwować swoją matkę, co mnie trochę pocieszyło. Molly to typowa mama w ogrodniczkach, wegetarianka i trochę stara hipiska, ale w pozytywnym znaczeniu tego słowa, bez żadnych śpiewów czy kadzidełek. Lily, dla odmiany, założy tylko róż, a po namowach - coś w innym pastelowym odcieniu, najchętniej z cekinami, a już na pewno nikt za jej życia nie zobaczy jej w spodniach. Po prostu stara malutka.

- Co tam u Janice?

Ma nowe koronkowe rajstopy. Janice to opiekunka Lily. Zawozi ją do tego samego przedszkola, do którego chodzi Alfie, i odbiera w porze lunchu. Zawsze chciała mieć córeczkę, ale trafiło się jej trzech synów, więc wynagradza to sobie, strojąc Lily jak Małą Księżniczkę i dziergając jej na drutach ubranka, jak nie w kolorze brzoskwini, to w okropnym odcieniu akwamaryny.

- O, nie znasz ostatnich wieści. Zaczęła sprzątać.

- Kto?

- Lily. Biega po domu ze ścierką do kurzu, a najbardziej lubi stać na krześle przy zlewie i zmywać. Janice kupiła jej małego mopa.

- O Boże.

- Wiem. Ale ona to uwielbia. To takie upokarzające. Czuję się, jakby mnie oceniała. Nie rozumiem, jakim cudem dorobiłam się trzyletniej



postfeministki, która lubi sobie pospacerować ze ścierką do kurzu?  
Dan uważa, że to zabawne.

- A więc upodobanie do sprzątanania to postfeminizm?

- Tak, do cholery. I mam tego dosyć. Już prawie udało mi się uświadomić Danowi, że nie mam obowiązku chodzić za nim ze szczotką i śmietniczką, a teraz Lily mnie zdradziła!

Molly jest nastawiona bardzo antypostfeministycznie. Uważa postfeministki za prawdziwą hańbę.

- Może powinnaś zatrudnić sprzątaczkę? Czy to niedozwolone?

- Nie, nie, wykorzystywanie biedniejszych od siebie kobiet jest zdecydowanie ponadczasowe, ale jeśli odpowiednio się im zapłaci, to chyba wszystko w porządku. Redystrybucja zasobów i takie tam bzdury. Ale nie mamy pieniędzy, a nawet gdybyśmy mieli, żadna sprzątaczką przy zdrowych zmysłach nie chciałaby teraz dla nas pracować. Dan zaczął robić kominek na dole i w kącie leży góra starych cegieł i tynku, a w miejscu starego kominka zieje olbrzymia dziura. Wolałabym, żeby najpierw dokończył jeden pokój, zanim zacznie siać zniszczenie w kolejnym. Dostaję od tego szału.

Dan jest budowlańcem, który specjalizuje się w renowacjach, co oznacza, że potrafi spędzić całe godziny na wybieraniu idealnej sztukaterii na gzyms, ale nie najlepiej mu idzie zajmowanie się nudnymi pracami domowymi.

- No to chyba dobrze, że Lily lubi odkurzać, prawda? W każdej chwili możesz mi ją podrzucić na sesję z miotełką.

- Może i podrzucę. O, coś mi się przypomniało. Janice mówiła, że widziała dzisiaj, jak do tego dużego domu wprowadzają się jacyś ludzie. Babeczka podjechała pod sklep rangę roverem; przyciemnione szyby, czarna skóra. W środku dwójka dzieci. Będziesz musiała pójść tam i się przywitać. Zdasz mi sprawozdanie?

- Nie mogę tam tak po prostu pójść i zacząć węszyć.

- Owszem, możesz. Jesteś ich najbliższą sąsiadką. Weź ze sobą szklankę cukru czy coś takiego.

- Alfie zje wszystko, zanim wyjdziemy z domu.

- Hm, w takim razie weź jakąś flaszkę. Jako prezent powitalny. Słuchaj, powiedziałaś Janice, że już się z nimi zapoznałaś. Muszę mieć szybko jakieś informacje, bo inaczej pomyśli, że jestem beznadziejna. To znaczy jeszcze bardziej beznadziejna niż zwykle.

- Zdaje się, że mam schowaną butelkę wina, ale to nic wyszukanego. A co, jeśli są potwornymi snobami i wyśmieją mojego bełta?

- Oj, idź tam, proszę cię, będę miała u ciebie dług wdzięczności.

- Dobra, ale pod warunkiem że wpadniesz do mnie w przyszły weekend, kiedy będzie Patrie, i pomożesz mi go wkurzyć.

- Z przyjemnością.

- Przyjedzie z Cindy.

- Dupek.

Patrie to tata Alfiego. To znaczy, z technicznego punktu widzenia jest jego ojcem, ale skoro opuścił nas, kiedy Alfie miał pięć miesięcy, nie zasługuje na nagrodę dla Ojca Roku. Patrie przez „c” na końcu, nie „k”

jak prick<sup>1</sup>, co mój brat Jim podkreśla za każdym razem, kiedy tylko ma okazję. Czasami nawet przy Patricu.

Poznaliśmy się w college'u. Mówił, że lubi niezależne kobiety, a małżeństwo to burżujski wymysł. Twierdził, że dzieci powinny wychowywać się w rodzinach, w których podstawą jest zaufanie i zasada równości, co brzmiało całkiem nieźle, dopóki nie zostawił mnie dla swojej sekretarki Cindy, która nosi maciupkie, puchate pulowerki i ma na swoim biurku kolekcję pluszowych maskotek. Wszystkie mają imiona.

A stało się to, kiedy dopiero co przeprowadziliśmy się na wieś. Patric uważa, że wszystkie dzieci powinny dorastać na wsi. I tak oto, nikogo nie znając, utknęłam w domu, który wymagał remontu. Czułam się jak w czarnej dziurze. Alfie kiepsko wtedy sypiał, ja również. Ocaliło mnie spotkanie w miejscowym sklepie Molly.

- Tak właściwie, to myślałam o nim wczoraj wieczorem.

- O Boże, tylko mi nie mów, że ty i Mork do siebie wracacie. Będę cię musiała stłuc albo co.

Molly, z jakiegoś znanego tylko sobie powodu, nazywa Patrica i Cindy Mork i Mindy. Mój brat Jim też zaczął ich tak nazywać.

- Chryste, nie. Jeszcze nie zwariowałam. Myślałam tylko o tym, jaka kiedyś byłam głupia, że spędziłam tyle czasu z takim totalnym dupkiem. I że będąc z nim, w ogóle tego nie zauważyłam. A więc musiałam być stuknięta, i może nadal jestem, tylko o tym nie wiem. To

---

<sup>1</sup> prick (ang.) - kutas (przyp. tłum.)

niepokojące. Powinni organizować jakieś kursy, zajęcia z siły woli - „Palanci i jak ich unikać”. Mam na imię Alice i jestem palantoholiczką?

- Nie bądź dla siebie zbyt surowa. Wszystkie coś takiego zaliczyłyśmy.

- Tak, ale nikt nie pobije Patrica.

- Nie jestem tego taka pewna. Facet, z którym chodziłam przed Danem, był naprawdę wyjątkowy. Mówił, że monogamia jest patriarchalnym wymysłem, i przeleciał połowę moich przyjaciółek. A ja się na to godziłam, bo myślałam, że jest wolnym duchem.

- Super.

- Tak, a jak raz całowałam się z jednym z jego kumpli, bo się upiłam, dostał szału. Byłam w szoku. To było tak, jakbym wcześniej nosiła nieodpowiednie okulary i nagle dostała właściwe, dzięki którym mogłam wyraźnie zobaczyć, jakim jest kutasem.

- Zupełnie jak Wallace i Gromit.

- Słucham?

- No wiesz, ci ze Wściekłych Gaci.

- Aha. Hm, tak, jeśli spojrzeć na to w ten sposób, wszystkie spotkałyśmy na swojej drodze chłopaków we wściekłych gaciach. A każda kobieta, której nic takiego się nie przytrafiło, to zwykły cyborg. Molly dzieli kobiety na prawdziwe kobiety i kobiety cyborgi i myślę, że ma rację. Prawdziwe kobiety mają wygniecione ubrania, spóźniają się do przedszkola i nie potrafią zrobić bezy. Kobiety cyborgi są zawsze odpicowane, nigdy się nie spóźniają i same robią majonez.

- Patrie miał kiedyś skórzane spodnie, ale on ma strasznie chude nogi. Nogawki łopotały mu przy kostkach i wyglądał po prostu śmiesznie.

Wyobrażam sobie. Ale wiesz, to wyrabia charakter. To znaczy przygody z kiepskimi facetami. Dzięki temu stajesz się prawdziwą kobietą.

- Świetnie. Cóż, w takim razie jestem prawdziwą kobietą do kwadratu.

Wypiję za to. Za facetów we wściekłych gaciach.

- Albo w ogóle bez gaci.

Zanim ogłoszono zwycięzcę kwizu i sprezentowano mu trochę sfatygowaną bombonierkę ufundowaną przez miejscowy sklep, jesteśmy już wszyscy kompletnie zalani. Jeden z jurorów wygląda jakby zemdłał, a Elsie Thomas śpiewa składankę bardzo nieprzyzwoitych piosenek z czasów drugiej wojny światowej. Molly odbywa długą pogawędkę z panią Pomeroy, szefową miejscowego Towarzystwa Ogrodniczego i bardzo despotyczną osobą, a ja prawie przysypiam, kiedy Ray Jenkins opowiada mi ze szczegółami o swojej karierze w Wodociągach.

Kiedy wracam z toalety, Molly stoi przy barze. Powrót okazuje się trudniejszy, niż przypuszczałam, bo nie czuję się zbyt pewnie w pantoflach na obcasach. Zwykle nie mam z nimi żadnych problemów, ale z jakiegoś powodu dzisiaj chodzenie w nich jest dość skomplikowane.

- Hm, Moll, czy jedna z nas nie powinna być trzeźwa, żebyśmy mogły jakoś dojechać do domu?

- Chrzanisz.

- Wiem.

- Może poprosimy kogoś, żeby nas podwiózł?

- Dobra, tylko nie Raya Jenkinsa. Ile można słuchać o rurach?
  - Jest bardzo uczynny.
  - Jest też nienormalny.
  - Możemy pójść pieszo.
  - To ponad trzy kilometry.
  - No tak. Ale nie jest wcale tak zimno. To nam dobrze zrobi.
  - Molly, jest cholernie zimno.
  - No cóż, w takim razie wybierzmy kogoś innego... O. Ten jest w porządku. Skąd on się wziął? Nigdy wcześniej go nie widziałam.
- Przy barze, całkiem niedaleko Molly, stoi wysoki blondyn w fajnych dżinsach i starej, skórzanej kurtce.
- Ma świetny tyłek. On z całą pewnością nie nosi wściekłych gaci.
  - Molly, przestań, usłyszysz cię.
- Mężczyzna odwraca się; jego twarz płonie czerwienią.
- No i świetnie. Usłyszał cię.
  - Nie zależy mi. Jemu tak. Mężczyźni też potrzebują komplementów, wiesz Alice?
  - Gdyby jakiś facet powiedział, że masz świetny tyłek, dostałby od ciebie w twarz.
  - Hm, tak. Rewnie masz pację. Zdaje się, że tak.
  - Mam pację? Chyba mamy już nieźle w czubie, co Moll?
  - Wiem. Super, nie? Ale tyłek ma naprawdę niezły. Nie wygląda też na tak przemądrzałego jak biedny, stary Ray. No, rusz się. Idź i zapytaj go, czy nie podrzuci nas do domu. No, dalej.

- Nie mogę tak po prostu podejść do obcego faceta i prosić go, żeby podwiózł nas do domu.

- Dlaczego nie?

O Boże. Idzie. Idzie w naszą stronę, waha się, znowu oblewa się rumieńcem i uśmiecha się, słodko i przeprasza. Nie wygląda na faceta, który przywykł do komplementowania jego cudownego tyłka przez kobiety w pubach. Może do nas podejść i coś powie, a może idzie poskarżyć się komisji. O rany, ale żenada. Zostaniemy zaciągnięte przed oblicze rady gminy za robienie obscenicznych uwag w miejscu publicznym. Ale on mija nas i wychodzi na zewnątrz.

- Och. Dobra robota, Batgirl. Naprawdę zawróciłaś mu w głowie. Dobrze wiedzieć, że podrzuci nas do domu przystojny nieznajomy.

- Jakoś nie zauważyłam, żebyś sama coś powiedziała.

- Zostawiłam ci pole do popisu. Nie wydaje mi się, żeby Dan był zachwycony, gdybym zaczęła sprowadzać do domu obcych facetów z fajnymi tyłeczkami.

- Pewnie nie. Więc idziemy o własnych siłach?

- Chrzanić to, poproszę panią Pomeroy. Zgodzi się. Opowiadała mi o Towarzystwie Ogrodniczym i o tym, że bardzo zależy jej na nowych członkach. No więc powiedziałam jej, że wstąpimy. W przyszłym tygodniu jest zebranie. Coś takiego powinno być warte podwiezienia do domu.

- O nie, nie zrobiłaś tego. Nigdy nie mówiłam, że chcę tam wstąpić. To ty chcesz uprawiać roślinki.

- Mówiłaś przecież, że chcesz uporządkować ogród.

- Wiem. Ale myślałam o tym, żeby trochę zaoszczędzić, a potem wynająć kogoś, żeby to zrobił.

- Ale mogłybyśmy to zrobić razem, pójść na kilka spotkań, zebrać trochę wskazówek. Mogłoby być fajnie.

- Guzik prawda.

- Alice, proszę. Nie mogą tam pójść sama, oni wszyscy mogą być szurnięci. A ta cała Pomeroy jest taka despotyczna. Zgodzisz się, jeśli kupię ci jeszcze jednego drinka?

- No dobra, ale tylko jedno spotkanie.

Powrót do domu z panią Pomeroy trwa całe wieki, częściowo dlatego że dopiero po jakichś czterdziestu ośmiu manewrach udaje jej się wydostać renault clio z parkingu przed pubem, bo raczej nie jest urodzonym kierowcą. Jednak głównym powodem jest to, że po drodze wprowadza nas w historię Towarzystwa Ogrodniczego i wyjaśnia, jak ważne jest pozyskiwanie nowych członków. Najwyraźniej trwa zacięta rywalizacja między naszą wsią - Lower Bridge - i wsią Upper Bridge. Obie te wsie pałają do siebie nienawiścią od wielu lat, odkąd to Upper Bridge wygrało w konkursie na Najpiękniejszą Ukwieconą Wieś.

Pani Pomeroy opowiada też, że mimo pogłosek o przekupnych sędziach wygrała w zeszłym roku regionalny finał konkursu na Najpiękniejszy Wiszący Koszyk; zapakowała czterdzieści osiem łososiowych begonii do jednego koszyka, przebiegle kontrastując je z bluszczem i lobelią. Zdaje się, że ta Lobelia to takie niebieskie badyle, więc ten jej koszyk to musiało być naprawdę coś. Ale ponieważ nie



jestem do końca pewna, jak wyglądają begonie, więc może to wszystko nie wyglądało wcale aż tak źle, jak to brzmi.

Kiedy wracamy, Dan śpi na sofie, a na nim śpią Lily i Alfie. Magnetowid ciągle odtwarza Piotrusia Pana. Dan wygląda na wyczerpanego. Budzi się z lekkim wzdrygnięciem, kiedy Molly potyka się o porzuconą Barbie.

- Dzięki Bogu, bo już myślałem, że to któreś z nich się obudziło. Dobrze się bawiłyście?

- Świetnie, dzięki. A co u ciebie?

- Nawet nie pytaj.

- Aż tak źle?

Molly się uśmiecha.

Tak jestem, wykończony. Następnym razem, kiedy będziecie chciały gdzieś wyjść, chcę mieć wsparcie, prawdziwe, profesjonalne wsparcie. Alfie był w porządku - dość szybko zasnął, w naszym łóżku. Ale potem Lily go obudziła i załapał wiatr w żagle.

- O Boże.

- A później Lily chciała malować.

- Nie pozwoliłeś jej, prawda?

- No przecież nie jestem kompletnym głupkiem, nie?

Siedzimy w kuchni i pijemy herbatę, a Molly opowiada nam o swoich planach co do ogrodu; jest tym wyraźnie podekscytowana i mówi, że chce uprawiać warzywa, może nawet owoce, a zwłaszcza rabarbar, i hodować kurczaki. Potem zaczyna rozprawiać o tym, że organiczne warzywa smakują o wiele lepiej, zaś Dan mówi, że jak nie przestanie o

tym nawijać, to on idzie do łóżka, a tak w ogóle to nie cierpi rabarbaru. Dan nie jest zafascynowany ogrodnictwem - ma po uszy roboty przy wykańczaniu ich domu, który góruje nad wiejskimi błoniami; ogródek od frontu mają malutki, za to z tyłu jest kawał ziemi, ale jeśli chodzi o Dana, dla niego to po prostu bardzo użyteczne miejsce do składowania kontenerów i stosów cegieł.

Mój ogród nie wygląda o wiele lepiej - w zeszłym roku praktycznie musiałam użyć maczety, żeby dotrzeć do sznura na bieliznę. Myślę, że mogę potrzebować miotacza płomieni czy czegoś w tym rodzaju, jeśli chcę osiągnąć jakikolwiek efekt, ale nie sądzę, by Towarzystwo Ogrodnicze pochwaliło takie rozwiązanie; odchwaszczanie za pomocą tego ustrojstwa, które sprawia, że crème brûlée robi się brûlée, zajęłoby wiele godzin, a cokolwiek większego prawdopodobnie byłoby niezwykle niebezpieczne i skończyłabym z wypalonymi brwiami.

Dan odwozi nas do domu, ale najpierw Alfie rozbudza się na tyle, by podnieść wrzask i odmówić włożenia butów, więc muszę zanieść go do samochodu, co nie jest łatwe, bo waży z tonę, zwłaszcza kiedy jest półprzytomny. Zataszczenie go do domu, a potem po schodach do sypialni, nawet bez żadnych poważnych incydentów z kopaniem i krzyczeniem również nie

jest proste. I kiedy udaje mi się wreszcie dotrzeć na górę, jestem tak zadyszana, że wyglądam, jakbym właśnie wróciła z joggingu.

Kiedy tylko przykładam głowę do poduszki, wszystko wiruje, więc kończy się na tym, że siedzę na łóżku z filiżanką herbaty i w wełnianej czapce, ponieważ w domu jest okropnie zimno. Centralne ogrzewanie

wyłączyło się wieki temu, a ja nie mogę zdobyć się na to, żeby wrócić na dół i spróbować namówić bojler, żeby zabrał się do roboty. Kiedy kupiliśmy ten dom, mieliśmy mnóstwo planów: chcieliśmy rozebrać ściany, zrobić nową kuchnię i łazienkę, a kiedyś w przyszłości miał się pojawić także nowy bojler, ale tak się złożyło, że nigdy się do tego nie zabrałam, głównie z powodu braku pieniędzy. Patrie narysował nawet jakieś plany kuchni, które zupełnie mi się nie podobały, ale to by było na tyle. Dąsał się z tego powodu jeszcze po rozstaniu.

Patrie jest miłośnikiem ascetycznych przestrzeni z dużą ilością światła, i wszystko w porządku, tyle że jego projekty zwykle obejmują zakrzywione, szklane ściany i zwariowane zlewy, które są tak małe, że da się do nich wcisnąć jeden talerzyk, i to pionowo. Gdy wchodzi się do budynku jego projektu, nie zapiera tchu ani nie ma się lekkich zawrotów głowy, czego doświadcza się w jakimś naprawdę specjalnym miejscu, co więcej, koniec końców człowiek czuje się rozdrażniony, bo wszystko razem jest jakieś takie nadęte i sztywne. Choć zdaje się, że jest cała masa ludzi, którzy chcą mieć sztywniackie domy ze zlewami, w których nie można zmywać, no i dobrze, chociaż Patrie twierdzi, że ledwie wiąże koniec z końcem i dlatego nie może płacić regularnie alimentów na Alfiego.

Zagadką jest dla mnie, jakim cudem było go stać na nowe bmw, którym przyjechał ostatnim razem. Być może to prezent od wdzięcznego klienta. A może, jak mówi Molly, jest po prostu skąpym gnojem. Ale jeśli mam być szczerą, tak naprawdę to nigdy nie naciskałam na niego w tej sprawie, bo wolałabym raczej chodzić bez

butów, niż poprosić go o pieniądze (choć oczywiście nie zimą, a już na pewno nie po żwirku).

W każdym razie mieszkanie, w którym mieszkaliśmy w Londynie, było moje, więc to za moje pieniądze kupiliśmy dom, i ciągle mam jeszcze mały zapasik na wypadek jakiejś awarii.

Pieniądze te Patrie planował przeznaczyć na remont domu, ale ja je trzymam na czarną godzinę. I może na nowy bojler.

Kiedy dotarło do mnie, że tak naprawdę to nie mam złamanego serca, odkryłam, że najgorsze było w tym wszystkim upokorzenie. Po dogłębnym przemyśleniu sprawy uznałam, że Cindy była dla niego jak najbardziej odpowiednia. Czułam się tylko jak ostatnia idiotka, bo okazało się, że wszyscy uważali, że jest denny niemal od samego początku. Jest nam trochę głupio, kiedy zdamy sobie sprawę, że wszyscy przyjaciele wzdychali za naszymi plecami: „O Boże, czyż on nie jest okropny”, nie mówiąc nam ani słowa, i dopiero po jego odejściu przyznali, że to dobrze, bo zawsze uważali go za dupka, bez którego będzie nam lepiej. Przypuszczam jednak, że to spore ryzyko powiedzieć kobiecie, że jej nowy facet to katastrofa, bo większość w takiej sytuacji odwróci się na pięcie i wyjdzie za tego faceta za mąż, zrywając z nami kontakt na całe lata. Do rozwodu.

Tak więc jedyne, na czym mi zależy, to Alfie i naprawdę czuję się, jakbym go zawiodła. Jim mówi, że to dla niego lepiej, że będzie dorastał bez codziennej obecności Patrica, i zapewne ma rację, ale i tak jest ciężko. Zwłaszcza kiedy Patrie pojawia się w charakterze Pana Szczodrego, zasypując Alfiego różnymi prezentami, a ja jestem Złą

Wiedźmą, która każe mu jeść brokuły i nosić skarpetki. Jakkolwiek by na to spojrzeć, kończy się na tym, że czuję się, jakbym odniosła porażkę. Jeśli Alfie wyrośnie na uzależnionego od kokainy ćpuna czy kogoś takiego, będę wiedziała, że to wszystko przeze mnie, a jeszcze gorsze jest to, że Patrie też będzie tego zdania.

To trochę tak, jakby ktoś przybił mi na środku czoła pieczętkę odrzut i posadził z powrotem na taśmociąg, jak jakiś niedorobiony bubel. I tak muszę zachowywać się jak cywilizowany człowiek, kiedy on przychodzi z wizytą, a wszystko dla dobra Alfiego, na wypadek, gdyby pewnego dnia postanowił zabawić się w prawdziwego tatusia i nauczyć syna jakichś niezbędnych do życia męskich sztuczek, na przykład jak siusiać na stojąco albo czegoś w tym stylu. Więc właściwie jestem skazana na skakanie wokół kogoś, komu tak naprawdę mam ochotę wydłubać oczy i nie oglądać go już nigdy w życiu. I to jest naprawdę do kitu.

Pieczenie babeczek z trzylatkami, kiedy ma się kaca, jest jedną z tych rzeczy, które zdecydowanie lepiej wychodzą w teorii, niż kiedy naprawdę ściska się drewnianą łyżkę, próbując wyperswadować im pomysł napełniania kieszeni twojego fartucha ciastem. Alfie pali się do pieczenia, ale tylko wtedy, kiedy może to robić po swojemu, co zwykle oznacza dzikie ekscesy z drewnianą chochlą i wyjedzenie połowy ciasta, zanim jeszcze trafi do piekarnika.

Zmiksowaliśmy razem wszystkie składniki, co zabrało nam trochę więcej czasu niż zwykle, bo zapomniałam wyjąć masło z lodówki. Próbowałam rozwiązać ten problem, wkładając je do mikrofalówki,

ale wyparowało, pozostawiając na talerzyku jedynie małą, brązową plamę, więc musieliśmy zacząć wszystko od nowa, aż wreszcie dotarliśmy do tej części, kiedy nakładam łyżką ciasto do papierowych foremek, tak szybko jak to tylko możliwe, zanim Alfie wszystko wchłonie.

Ciągle muszę dokładać do kominka w salonie, żeby przed pójściem do łóżka nie nabawić się hipotermii, i próbuję dokończyć plany rozbudowy kuchni Dawsonów, w których muszę uwzględnić miejsce na ich nową, gigantyczną, amerykańską lodówkę. Jutro mam z nimi spotkanie i naprawdę dobrze by było, gdybym miała im co pokazać. A jeśli jeszcze raz powiedzą mi, że nie mogą się zdecydować, czy wolą styl kwakerski, czy prowansalski, to chyba ich zatrzasnę w tej cholernej lodówce.

A potem dzwoni telefon. Patrie. Hura, hura!

- Nie dam rady w tę niedzielę.

- Jasne.

- Mam mnóstwo pracy, ale jestem pewien, że w następnym weekend już wszystko będzie w porządku.

- Alfie będzie zachwycony.

- Musisz robić takie trudności? Naprawdę, Alice, wygląda na to, że przybieranie takiej roszczeniowej postawy sprawia ci przyjemność.

„Roszczeniowy” to jedno z nowych słówek używanych przez Patrica. Przejął je od swojego prawnika, który zajmował się sprawą naszego „rozvodu” - nie byliśmy małżeństwem, choć ja i tak się czułam, jakbyśmy przechodzili przez prawdziwy rozwód. Najwyraźniej to

bardzo istotne, żeby nie reprezentować „roszczeniowej postawy”, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi dzieci. Ale i tak największe znaczenie ma to wtedy, kiedy to my odchodzimy i nie chcemy mieć z tego powodu wyrzutów sumienia.

- Właściwie to jestem teraz trochę zajęta. Pieczemy babeczki.

- Cóż, w takim razie nie będę ci zabierał czasu. Nie chcę odrywać cię od niczego ważnego.

Odkładam słuchawkę, mrużąc pod nosem. Co za dupek. Już drugi raz w tym miesiącu odwołał spotkanie. Nie, żeby Alfemu szczególnie na tym zależało, ale przecież mogłoby. Patrie nie wie, że tak naprawdę Alfie nie siedzi z buzią przyciśniętą do szyby, wypatrując, kiedy pojawi się tatuś. Cóż, właściwie wie, ale niby dlaczego miałabym być dla niego miła? Prawda jest taka, że Alfie nie jest zbyt przejęty, kiedy Patrie się nie zjawia, choć oczywiście lubi dostawać prezenty, a Patrie zwykle przywozi przynajmniej jedno zagłuszające poczucie winy plastikowe świństwo, które produkuje okropny hałas albo ostrzeliwuje od tyłu nogi.

- Patrz, mamusiu, jestem Piotrusiem Panem.

- Świetnie, skarbie. A teraz umyjemy ci rączki i buzię.

- Piotruś Pan nie myje buzi.

- Oczywiście, że myje. Jeśli wcześniej piekł babeczki, to myje.

Drewniana łyżka Piotrusia Pana omija mój nos o kilka milimetrów.

- Jestem Piotrusiem Panem i umiem fruwać.

Ucieka do holu. O Boże. Rzucam się za nim i łapię go w ostatniej chwili, powstrzymując przed skokiem z półpiętra, po czym zaczynam po raz

enty wyjaśniać, dlaczego nie może fruwać, nawet jeśli nosi zielony, filcowy kapelusz.

- Alfie, rozmawialiśmy o tym. Nie możesz sfruwać ze schodów. Pamiętasz, ostatnim razem zraniłeś się w nogę.

- Tak, ale teraz idzie mi o wiele lepiej. Teraz umiem sfruwać ze zjeżdżalni na placu zabaw, naprawdę, wczoraj mi się udało. Pani Taylor powiedziała, że jestem bardzo sprytny.

- Tak, ale pod zjeżdżalnią leży specjalna mata, prawda?

- Będziesz Kapitanem Hookerem, a ja będę uciekał.

- To jest Kapitan Hook, Alfie, nie Hooker<sup>2</sup>.

Bardzo zależy mi na tym, żeby to załapał, bo kiedy jesteśmy na placu zabaw, ciągle prosi mnie, żebym wcielała się w tę postać, co sprawia, że ludzie dziwnie mi się przyglądają. Choć może mogłabym po prostu rzucić na twarz trochę więcej tapety i siedzieć sobie na ławce, kręcąc torebką; to byłoby zdecydowanie łatwiejsze od wariackich gonitw.

- Chcesz pooglądać filmy na wideo?

- Piotruś Pan, Piotruś Pan, proszę, możemy obejrzeć Piotrusia Pana!

- Dobrze, ale pod warunkiem że nie będziesz skakał z kanapy. Nie cierpię Piotrusia Pana. Uważam, że Wendy powinna zatrzaskać okno i powiedzieć mu, żeby spadał. Przez coś takiego dopada mnie nostalgia za niewiarygodnie nudnym filmem Thomas the Tank Engine.

Kiedy babeczki są w piekarniku, usiłuję na szybko ogarnąć trochę w salonie, ale Alfie raczej mi nie pomaga. Po chwili zaczyna podskakiwać

---

<sup>2</sup> hooker (ang.) - prostytutka (przyp. tłum.).



i jęczeć, że jest głodny. Prawdziwy z niego mały żarłok, jak by powiedziała moja mama, co jest sympatyczniejszym określeniem totalnego prosięcia, jak nazywa go Jim. Próbuję sztuczki z przeczekaniem - usiłuję go ignorować, aż się znudzi i uspokoi. Jego ruchliwość może doprowadzić człowieka do szału, on jednak nie wie, co to zmęczenie, co jest dość irytujące.

Wciąża podwieczorek w pół minuty, ale nadal domaga się ciastek, kiedy szykuję go na wyprawę w celu przyjrzenia się nowym sąsiadom, którzy wprowadzili się do tego wielkiego domu nieopodal. Przygotowania zabierają mi więcej czasu, niż planowałam, ponieważ gdzieś wcięło jeden z jego gumowców. W końcu udaje mi się go odnaleźć w koszyku na warzywa.

Wcale nie palę się do tego, żeby przedstawić się zupełnie obcym ludziom tylko po to, żeby Molly mogła nadrobić zaległości w plotkach z Janice. Ale czego się nie robi, żeby uszczęśliwić osobę, która zajmuje się naszymi dziećmi: to pięta achillesowa wszystkich pracujących matek. Mam szczęście, że mama zajmuje się Alfiem: przynajmniej mogę od czasu do czasu po-marudzić, że wolałabym, by moje dziecko nie jadło tyle czekolady. I istnieje mała szansa, że mnie posłucha, zanim wsunie mu kolejnego kitkata.

Na dworze jest potwornie zimno, ale przynajmniej nie pada, a mały spacerek może go zmęczy przed snem. Może jakimś cudem zaśnie wcześniej, a ja będę mogła zabrać się do jakiejś pracy, zamiast krążyć w tę i z powrotem po schodach, pakując go na nowo do łóżka czy donosząc wodę.

Zawsze, kiedy tylko mam jakąś robotę do skończenia, Alfie ma zwyczaj całymi godzinami skakać po łóżku. Poważnie zastanawiam się nad tym, żeby sprawić mu materac sprężynowy. Przynajmniej nie mógłby skakać tak wysoko, a poza tym byłoby to niezwykle korzystne dla jego sylwetki. Ale zapewne istnieje jakiś przepis, żeby nie fundować trzylatkom takich materacy. Tak czy inaczej, mama by mi tego nigdy nie wybaczyła - dopiero co przeboleła, że Jim kupił sobie łóżko wodne. Jest dopiero osiemnasta, ale na dworze jest już czarno jak w kominie, więc musimy zabrać latarkę, którą kupiłam na wypadek przerwy w dostawie prądu, co dziwnym trafem zdarza się tu co dwa miesiące, zwykle kiedy jestem w trakcie przygotowywania podwieczorku. Alfie jest podekscytowany ciemnościami i wziął swój miecz na wypadek, gdyby miał się pojawić Kapitan Hooker.

Dom naszych nowych sąsiadów znajduje się kawałek dalej przy tej samej drodze; w środku palą się chyba wszystkie światła, a frontowe drzwi stoją otworem. Alfie wyrywa się do przodu i próbuje wdrapać się na tył jednego z olbrzymich meblowozów zaparkowanych na podjeździe. Wielkie ciężarówki to kolejna z jego pasji. Łapię go za rękę i ciągnę w stronę drzwi, w których pojawia się kobieta.

- Witam, Alfie, przestań, jestem Alice, mieszkam po sąsiedzku, więc pomyślałam, że wpadnę, żeby się przywitać, i, Alfie, przestań...

- O, jak miło. Wejdźcie. Chwilowo jesteśmy jeszcze w proszku, bo goście od przeprowadzek spieprzyli sprawę. Połowa naszych rzeczy ciągle jest jeszcze w Londynie.

O Boże, ile oni mają rzeczy? Cały nasz dom dałoby się zapakować na tył jednej z tych ciężarówek.

- Nazywam się Lola, Lola Barker. Miło mi cię poznać. O, tu jesteś.

Z ciemności wyłania się mężczyzna. Wygląda, jakby próbował się ukryć.

- Przestań się dąsać za tą ciężarówką i powiedz mi, co się dzieje. Znaleźli go już czy nie?

- Hm, jak już mówiłem, bardzo nam przykro, proszę pani. Powinien niedługo się zjawić, jest już za Maidstone. Bateria mu siadła w komórce, ale zadzwonił z budki. Centrala chce, żebyśmy wracali do bazy, więc jeśli nie ma pani nic przeciwko, będziemy się zbierać.

- Nic z tego. Jezu! Zaczekacie tutaj, a kiedy już się zjawi ta cholerna ciężarówka, pomożecie ją rozładować.

- Ale, proszę pani, znowu będę musiał zadzwonić do centrali, a im się coś takiego nie spodoba.

- A ja mam to gdzieś. Też nie jestem z tego powodu szczęśliwa. Zgubiliście połowę moich mebli.

- Nic się nie zgubiło, proszę pani. Już to wyjaśniałem. Został w tyle, bo złapał gumę, a później skręcił nie tam, gdzie trzeba. Wkrótce tu będzie, jest już za Maidstone.

- Być może, zastanawiam się tylko, czy jedzie w dobrym kierunku? To idiota. Wiesz to tak samo jak ja. Różnica polega na tym, że ja muszę mu za to płacić. W głowie się nie mieści, żeby można było spieprzyć coś tak banalnego. Popakować rzeczy w pudła, przewieźć, rozpakować. Nawet gibbon by podołał.

Facet od przeprowadzek wycofuje się.

- Powiem ci coś. Zadzwoń do tej swojej centrali. Może powinni wysłać za nim psy gończe, żeby go wytropiły? Wierz mi, nie ruszycie się stąd, dopóki wszystko nie zostanie zrobione. Czy to jasne?

- Tak, proszę pani.

- Dobrze.

- Czy jest szansa na filiżankę herbaty, zanim się zjawi?

- Nie wydaje mi się. A tobie?

- Nie, proszę pani.

Facet od przeprowadzek wygląda na zmarzniętego do szpiku kości.

- Przepraszam za to wszystko, wejdźcie. Charles, gdzie jesteś? Krzyczy w górę schodów i choć spodziewam się, że zaraz zbiegnie nimi w podskokach labrador, coś mi podpowiada, że woła swojego męża.

Alfie, który zamilkł pod wrażeniem jej tyrady, teraz na nowo próbuje wymknąć się do ciężarówki, kiedy nagle dostrzega na podłodze świetlny miecz z Gwiezdných Wojen i podnosi go, jednak za moment wyrzywa mu go ciemnowłosy chłopiec, który zbiegł po schodach.

- To moje.

Co za urocze dziecko.

- Ezra, nie bądź niegrzeczny, skarbie. Daj mu się pobawić.

- Nie.

- Czyż mali chłopcy nie są okropni? Ma za sobą długi dzień, normalnie nie jest taki. Właściwie to nie do końca prawda. A, tu jesteś, Charles.

Co, u licha, robiłeś?

U szczytu schodów pojawia się mężczyzna z małą dziewczynką na rękach, która wierci się, chcąc się uwolnić. Znosi ją na dół i stawia na podłodze, po czym mała drepcze do brata i zaczyna go poszturchiwać.

- Musiałem powstrzymać Ezrę przed zamknięciem Mabel w szafie.

O Boże. To ten facet z pubu. Ten, którego tyłkiem zachwycała się Molly. Tak mi się przynajmniej wydaje. Chryste. Ciekawe, czy mnie rozpozna, bo w końcu trwało to zaledwie parę minut, poza tym to Molly była główną sprawczynią całego zamieszania.

- Charles, to Alice.

- Witaj, Alice.

Jestem pewna, że mnie rozpoznał. Widzę na jego twarzy jakiś podejrzany uśmieszek. Cholera. Co za sytuacja.

Ezra uznaje, że to idealny moment, by pchnąć swoją młodszą siostrę świetlnym mieczem, ale ona jest najwyraźniej większą twardzielką, niż wygląda, bo w odwecie zadaje mu tak mocny cios, że Ezra prawie się przewraca. A potem oboje zaczynają wrzeszczeć. Naprawdę głośno. Alfie jest pod wrażeniem.

- Na litość boską. Słuchajcie, mam w torbie w kuchni rodzyнки w czekoladzie, ale tylko dla tych, którzy nie wrzeszczą.

Ta kobieta potrafi nie tylko przerazić faceta od przeprowadzek; oboje natychmiast milkną i nawet Alfie się prostuje, usiłując zarobić na trochę rodzynek. Cała trójka rusza za nią, zapewne w kierunku kuchni. Dom jest olbrzymi.

- Czysta magia, co? Boże, gdyby nie czekolada, mielibyśmy przerąbane, nie?

Świetnie. Nowy sąsiad ma nie tylko cyborga za żonę, ale jeszcze mówi „przerąbane”. Molly będzie podekscytowana.

- Kuchnia jest tam.

Charles przytrzymuje mi otwarte drzwi do holu. Dzięki.

- Czy to nie ciebie widziałem tamtego wieczoru w pubie? Musiałem coś obgadać z budowlańcami i wstąpiliśmy na szybkiego drinka. Zdaje się, że był jakiś konkurs.

- Hm, możliwe. Obawiam się, że razem z przyjaciółką wypiliśmy odrobinę za dużo i nie pamiętam za dobrze, co się działo.

Boże. Mówię jak trzynastolatka. „Razem z przyjaciółką”.

- Tak, odniosłem wrażenie, że wszyscy świetnie się bawią. Jest w porządku. Nie będzie nawiązywał do sprawy z tyłkiem. Świetnie.

- Muszę przyznać, że było mi bardzo miło słyszeć takie komplementy z ust twojej przyjaciółki. Dzięki temu miałem dobry humor przez cały wieczór.

Myślę, że najlepiej będzie to zignorować, i mam nadzieję, że uwierzył, że tak naprawdę to nie wiem, o czym on właściwie mówi. Ale na jego ustach ciągle igra ten uśmieszek. A niech to szlag.

Kiedy dzieciaki dostały już słodycze, pojawia się młoda kobieta o imieniu Sam i Lola każe jej zabrać dzieci na telewizję, czym ona nie wydaje się zachwycona.

- Boże, nie cierpię takich nabzdyczonych nianieek, a ty? Tak naprawdę to nie wiem, co na to odpowiedzieć, bo ni-gdy nie zatrudniałam niani: ani nabzdyczonej, ani żadnej innej.

Przytakują jej jednak, próbując nie podejmować tematu, ponieważ pomijając już wszystko inne, nie jestem pewna, czy dziewczyna nas nie słyszy.

Lola natomiast w ogóle się tym nie przejmuje.

- Z chęcią bym się jej pozbyła, ale szukanie następnej to prawdziwy koszmar. Charles, mamy dżin?

- Raczej nie. Wydaje mi się, że jest w tamtej ciężarówce.

- Jakim cudem wszystko jest w tamtej ciężarówce? Jezu, czyja muszę o wszystkim myśleć?

Zapada niezręczne milczenie, choć Charles nie wydaje się zbyt przejęty faktem, że został objechany przy zupełnie obcej osobie. Mam wrażenie, że coś takiego zdarza się mu dość często, bo on to po prostu ignoruje.

Jest dość przystojny, w subtelny, uczniacki sposób, ma cudowne, niebieskie oczy i sympatyczną twarz. Lola zaś ma mroczną, egzotyczną urodę i jest modnie wychudzona. Ma na sobie aksamitne spodnie, które musiały kosztować fortunę, i rozpinany sweterek, którego się nie kupi w Marksie i Spencerze.

- Przyniosłam wino, nic specjalnego, ale może się nada. To taki powitalny prezent.

- Cudownie. Jesteś aniołem.

Okazuje się, że korkociąg jest również w drugiej ciężarówce, ale kieliszki zostały już rozpakowane, a Charlesowi udaje się wygrzebać korek za pomocą widelca.

- Zupełnie jak za studenckich czasów. Połowę mojego studenckiego życia spędziłem na otwieraniu butelek z winem za pomocą widelca.

- Naprawdę, skarbie? To doprawdy urocze. Ale dlaczego nie kupiłeś sobie po prostu korkociągu?

Charles się czerwieni, a Lola oczywiście tego nie zauważa.

- Powiedz, Alice, od dawna tu mieszkasz?

- Och, zaledwie od paru lat, ale wychowywałam się w tej okolicy, dokładnie kilka wiosek dalej.

- Charles również dorastał na wsi. Ciągłe wychwala zalety dzieciństwa na wsi, prawda, skarbie? To dlatego się tu przeprowadziliśmy. No, właściwie chodzi jeszcze o to, że w Londynie nie da się już kupić przyzwoitego domu za mniej niż milion. W głowie się nie mieści.

28

Rozmawiamy o londyńskich cenach i o tym, o ile więcej można za te same pieniądze kupić na wsi, a ja mam dla Molly coraz więcej informacji. Lola pracuje w agencji reklamowej w Londynie, najwyraźniej zarabia fortunę i zamierza urządzić sobie w domu biuro, więc do Londynu będzie musiała jeździć tylko parę razy w tygodniu. Jej ojciec jest jakimś sławnym kompozytorem, o którym nigdy nie słyszałam, ale ona widać jest z niego bardzo dumna, bo w czasie naszej rozmowy wspomina

O nim dwa razy tonem pełnym szacunku; mniej przejęta jest matką, o której mówi, że poświęciła całe życie Wielkiemu Człowiekowi i nie można na niej zbyt wiele polegać, jeśli chodzi o pomoc przy dzieciach.



Rodzice Charlesa są najwyraźniej bardzo bogaci; zdaje się, że posiadają spory kawał Hampshire, i dlatego Lola zdecydowała się na przeprowadzkę właśnie tutaj - żeby jego matka, która hoduje labradory i jest bardzo despotyczna, nie mogła do nich zbyt często wpadać. Lola nazywa swoją teściową „głupią krową”.

Charles handluje dziełami sztuki; kupuje obrazy na lokalnych aukcjach, a potem je odrestaurowuje i sprzedaje dalej, z wyłączeniem tych, w których się zakocha, co zdarza mu się dość często, sądząc po liczbie obrazów leżących wokół w niewielkich stosikach. Zmienia się zupełnie, kiedy mówi o malarstwie,

I nawet trochę go ponosi, kiedy pokazuje mi pokryty warstwą kurzu pejzaż, który znalazł niedawno na jakiejś aukcji. Następnie wygrzebuje obraz z misą kremowych róż, który jest naprawdę cudny, i zaczyna opowiadać mi z detalami o jego twórcy, ale Lola w końcu stwierdza, że przynudza, i każe mu się przymknąć. Właściwie wcale nie przynudza, ale nie wiem jak to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało to niegrzecznie.

Lola jest pod wrażeniem, kiedy okazuje się, że jestem architektem, choć wyjaśniam, że przez większość czasu robię raczej plany dobudówek, a nie powalające projekty na miarę nowego Tate Maidstone. Potem zaczyna nieuniknioną rozmowę pt. „Co mam zrobić z moją kuchnią?” i właśnie na tym polega problem, kiedy jesteś architektem: ludzie mają zwyczaj prosić cię o porady, choć jesteś w ich domu zaledwie od pięciu minut. Zapewne tak samo jest w przypadku lekarzy: ludzie podwijają nogawki od spodni, żeby pokazać ci w sklepie swoją wysypkę.

Mam ulubiony typ rozmówców - to ci, którzy rozpoczynają dyskusją na temat beznadziejności współczesnej architektury i spodziewają się, że do upadłego będziesz bronić Kopuły Milenijnej. Żałuję, że nie wiedziałam tego wszystkiego, zanim poszłam na studia. Czasami po prostu zupełnie unikam tematu i mówię, że moim głównym zajęciem jest bycie mamą Alfiego. To zwykle sprawia, że ludzie patrzą na mnie jak na idiotkę, uśmiechają się pobłaźliwie i dają mi spokój.

- A teraz opowiedz mi wszystko o tej wsi, Alice. Chcę poznać ludzi. Dużo się tu dzieje?

Jakoś nie wydaje mi się, by Lola dobrze się bawiła w Stowarzyszeniu Kobiet<sup>3</sup> czy chciała wstąpić do chóru kościelnego.

Mamy Towarzystwo Ogrodnicze, moja przyjaciółka Molly chce do niego wstąpić i zdaje się, że w przyszłym tygodniu jest spotkanie. Ja też idę. Jeśli jesteś zainteresowana, zadzwonią do ciebie, kiedy to będzie i tak dalej.

- Świetnie. A jeśli znasz jakieś dobre nianie bez pracy, podeślij je do mnie. Wkrótce powinnam się za kimś rozejrzeć, więc jeśli ci jakaś przyjdzie do głowy, powiedz jej, żeby do mnie zadzwoniła. Ale nie chcę nikogo zbyt wymagającego ani neurotycznego. Mam tego powyżej uszu.

- Na razie nikt mi nie przychodzi do głowy.

- A twoja jest dobra?

- Słucham?

---

<sup>3</sup> Women's Institute - angielska organizacja zrzeszająca kobiety interesujące się prowadzeniem domu i pracą społeczną.

- Twoja niania?

W jej uśmiechu, lekko złowróżbnym, odsłaniającym zbyt wiele zębów, jest coś, co każe mi przypuszczać, że Lola może być jedną z tych kobiet, które korzystając z naszej nieuwagi, bez zastanowienia podebrałyby nam nianię.

- Nie mam niani. Kiedy jestem w pracy, Alfiem zajmuje się moja mama.

- Dobry Boże, naprawdę? To cudownie. Myślisz, że chciałyby to robić na większą skalę? Ezra przez większość czasu i tak jest w szkole, więc w zasadzie chodzi tylko o Mabel.

Chryste. Mogę sobie wyobrazić minę mamy, gdybym próbowała jej podrzucić kolejnego malucha. Czasami opiekuje się Lily, ale w ramach przysługi dla Molly. Nie zamierza zakładać żłobka ani niczego w tym stylu.

- Raczej nie, ma pełne ręce roboty z Alfiem.

- Naprawdę? Wydaje się taki słodki. Jestem pewna, że nawet nie zauważyłaby jeszcze jednego dziecka. Może wstąpiłaby na herbatę i sama powiedziała, co o tym myśli? Zaprosić ją?

Jestem pewna, że...

- Tak, ale mogłaby po prostu wpaść i zobaczyć, prawda?

- Lolę, przestań zmuszać Alice, żeby rozwiązała nasze problemy z opieką nad dziećmi. Mówiłem ci, że dopóki czegoś nie wymyślimy, z radością sam się nimi zajmę.

- Tak. Dziękuję ci, Charles. Tylko nasze poglądy na ten temat troszeczkę się różnią, prawda? To znaczy, jeśli nie chcę, żeby dom wyglądał jak po bombardowaniu, potrzebujemy profesjonalisty, mam

rację? Tak czy inaczej, Alice, zapytaj mamę. Będę ci naprawdę bardzo wdzięczna, bo jeśli to tylko możliwe, wolałabym kogoś miejscowego. Niania stąd nie będzie żądała tak nedorzecznych pieniędzy, jakich sobie życzą w Londynie.

Jasne. Można się było tego spodziewać.

- Lepiej już pójdę, na pewno macie jeszcze masę roboty. Ale jeśli będziecie czegokolwiek potrzebowali, jestem w pobliżu.

Czegokolwiek oprócz pomocy w rozwiązaniu problemu opieki nad dziećmi, choć jeśli mam być sprawiedliwa, to może wcale nie chciała być aż tak nachalna. Wiem, w jaką desperację popadają ludzie, kiedy muszą znaleźć nianię. Molly mówi, że zanim znalazła Janice, na serio myślała, że będzie musiała rozstać się z pracą albo trzymać Lily pod biurkiem.

Idziemy do dzieci, które oglądają telewizję. Alfie zachowuje się, jakby był w transie, kiedy na kanapie Sam głaszcze go po plecach. Alfie to uwielbia. Sam mówi, że Alfie jest uroczym małym chłopcem, spoglądając dość znacząco na Ezrę, który zawzięcie pruje rękaw swojego pulowerka. Potem jednak Alfie zaczyna marudzić i robimy szybki odwrót, zanim Sam zmieni zdanie. Lola mówi, że Alfie może wrócić jutro, żeby dokończyć oglądanie filmu; zdaje się, że oglądali pełen przemocy film kung-fu.

Udaje mi się go jakoś wyciągnąć za drzwi i dopiero w połowie drogi uświadamia sobie, że idziemy do domu, czyli docelowo do łóżka, po czym zaczyna się imponujący napad złości. Alfie wierzga zupełnie jak na filmie kung-fu i ciska swój miecz w krzaki, a potem żąda, żebym go

stamtąd wydobyła. Kiedy docieramy do domu, jest już zupełnie wyczerpany.

Pakuje go w piżamę i czytam mu najnudniejszą książkę, jaką udaje mi się znaleźć, dopóki nie zasypia. A potem sama zasypiam przed kominkiem, po czym budzę się o północy ze skurczem szyi. Jutro będę musiała zerwać się o świcie, żeby dokończyć ten cholerny projekt. Cudownie.

Molly i ja mamy o ósmej spotkanie ogrodnicze, a ponieważ leje, podjeżdżam po Molly autem. Zjawiamy się dokładnie w chwili, kiedy Lola wysiada ze swojego eleganckiego, nowiutkiego volvo i natychmiast nas zawstydza, bo zdaje się, że jest po imieniu z większą liczbą osób niż my, choć mieszka tu zaledwie od kilku dni. Jest bardzo pewna siebie - po prostu podchodzi do ludzi i się przedstawia, co naprawdę robi wrażenie, choć widzę, że pani Pomeroy jest trochę zaskoczona, że tak wcześnie tego wieczoru musiała zejść ze sceny.

Lola ma na sobie cudowny, tweedowy, fioletowy kostium i modne kozaczki, przez co czuję się raczej bezbarwnie w moich nijakich, starych dżinsach i pulowerze; mam tylko nadzieję, że założyła ciepłą bieliznę, bo na sali będzie lodowato zimno. Próbuję ukradkiem nałożyć na usta trochę błyszczyku, ale to dość skomplikowane w ciemnościach, więc kończy się na tym, że przesadzam z ilością, po czym muszę się wycierać i mam tłuste palce. Mam nadzieję, że nie będziemy musiały wymieniać uścisków dłoni z kolegami ogrodnikami, bo jeszcze pomyślą, że jem jak prosię.

Na sali jest już trochę ludzi, siedzą na krzesłach przed podium. Większość kobiet ma na sobie szale, a pod płaszcami co najmniej po dwa pulowery, kilkoro jest w wełnianych czapkach. Komitet składający się z wiekowych mieszkańców wsi zaczyna zbierać się przy stole na podwyższeniu; jeden mężczyzna potrzebuje pomocy dwóch innych, żeby dostać się na górę. Molly mówi, że być może trafiłyśmy na zły wieczór i to jest zebranie Klubu Seniora.

Jeśli zaczną grać w bingo, uciekamy. Lola się śmieje.

- Boże, ale tu zimno. Powiedzcie mi, jeśli wydarzy się coś ciekawego. Muszę wyskoczyć po coś do ubrania.

Wraca w zdumiewającej, pomarańczowej budrysówce, której kołnierz jest chyba obsyty prawdziwym futrem.

- Uprzedzę wasze pytania - to prezent od matki Charlesa. Zdaje się, że miała nadzieję, iż obleją mnie farbą na Sloane Square. Coś takiego przydarzyło się jednej z jej starych przyjaciółek, kiedy wyszła w norkach. Chryste, żałuję, że mnie tam nie było. W każdym razie, pomyślałam, że będzie się idealnie nadawać na wieś, bo praktycznie świeci w ciemnościach. A poza tym, to sztuczne futro, na szczęście.

- Cieszę się, że to powiedziałaś. Ty też jesteś przeciwko prawdziwym futrom?

Molly w czasach studenckich sabotowała polowania i raz była ścigana przez jakieś półtora kilometra przez arystokratę bez podbródka, który jechał na olbrzymim koniu i dął w trąbkę.

- Nie, skarbie, mam to w nosie. Założyłabym nawet futro z chomików, gdyby było modne. Ale obecnie futra są absolutnie zakazane, prawda?

- Musiałabyś mieć całą masę chomików, żeby wyszło porządne futro. Lola śmieje się, Molly również, ale zauważam, że Lola rzuca jej dość ostre spojrzenie.

A potem jakaś kobieta w przedziwnym, zielonym kapeluszu i o wyglądzie despotki klaszcze i pani Pomeroy zaczyna odczytywać porządek dzienny oraz przypomina wszystkim o zapłaceniu składki, bo są już gotowe nowe karty członkowskie.

Na koniec ogłasza, że jakiś facet o nazwisku Channing przyniósł zdjęcia i wszyscy, którzy zamierzają w tym roku uprawiać rośliny krzyżowe, powinni się z nim skontaktować po spotkaniu.

Starszy mężczyzna wymachuje plikiem zdjęć, spoglądając zachęcająco na zgromadzonych. Dwoje członków komitetu wierci się na swoich miejscach.

- Co to są te rośliny krzyżowe? - pyta dość głośnym szeptem Lola, a Molly odpowiada, że może chodzić o kapustę.

Chyba nie mówisz poważnie. Jezu, zupełnie jak jakiś termin ortopedyczny.

Zastanawiam się, jaka jest odpowiednia reakcja, kiedy ktoś pokazuje zdjęcia kapusty. Zapewne powinno się po prostu wzdychać z zachwytem, jak wtedy, gdy ludzie wyciągają zdjęcia swoich pociech, nawet jeśli dziecko wygląda jak prosię. Zwłaszcza kiedy wygląda jak prosię.

Zaczyna się dyskusja na temat stoiska z roślinami na Letnich Targach i spotkanie trochę się ożywia. Jakaś kobieta w granatowym żakiecie mówi, że jej zdaniem powinniśmy spróbować w tym roku czegoś

innego i przygotować doniczki z ziołami, na co inna kobieta, siedząca kilka rzędów dalej, stwierdza, że nic nie zastąpi ładnej pelargonii i nic ją nie obchodzi, czy ktoś o tym wie, ale jej pelargonie zdobyły wiele nagród i ludzie na nie czekają. Rozsadzenie ich wymaga dużo pracy, ale jeśli komitet nie chce, żeby sobie tym zawracała głowę, to w porządku.

Potem na ring wkracza pan Kapusta i mówi, że jego zdaniem zioła to cudowny pomysł i będą mile widzianym dodatkiem do stoiska, nie ma jednak możliwości, żeby obyli się bez pelargonii. Sytuacja trochę się uspokaja i zaczyna się rozmowa na temat nowego programu wymiany roślin, ale nie wydaje mi się, żebym mogła się czymś podzielić poza chwastami. Komitet chyba miał na myśli coś innego.

Kiedy już mam nadzieję, że wjedzie wózek z herbatą, podnosi się kobieta o przyjemnej aparycji i zaczyna mówić o różanych ogrodach, co jest bardzo interesujące, choć odrobinę niezrozumiałe z powodu tego, że używa takich określeń jak hybryda herbaciana czy rosa floribunda. Ma przy sobie zdjęcia swoich ulubionych róż, które rozprawdza wśród zgromadzonych, a wszystkie mają cudowne nazwy jak Mrożony Imbir czy Porcelanowy Rumieniec, a potem informuje, że trzeba być ostrożnym z uprawą Złotego Deszczu, na co wszystkie trzy podskakujemy zdziwione, ale okazuje się, że to nazwa prześlicznych żółtych róż. Lola tymczasem prychnęła ze śmiechu, Molly również chichocze<sup>4</sup>.

---

<sup>4</sup> golden shower (ang.) złoty deszcz - termin używany na określenie seksu połączonego z oddawaniem moczu na partnera.



W końcu pojawiają się dwie kobiety z wózkiem z herbatą, kobieta od róz odbiera podziękowania, a pani Pomeroy ogłasza, że wystartował Ogólnokrajowy Konkurs na Projekt Ogrodu pod patronatem BBC i paru magazynów. Mówi, że byłoby cudownie, gdyby cała wieś zgłosiła swój udział, bo przypadkiem wie, że w Upper Bridge już pracują nad swoim projektem, na co wszyscy cmokają z dezaprobatą i mówią: „Jakie to typowe”.

Kiedy stajemy z Molly w kolejce po herbatę, Lola oddala się w poszukiwaniu pani Pomeroy. Po powrocie mówi, że chyba mogłaby zgłosić do konkursu Charlesa.

- Chodzi o to, że mamy mnóstwo ziemi, z którą nie wiemy co robić, a wszędzie tylko nudna trawa.

- Czyżby Charles był zapalonym ogrodnikiem?

- Właściwie nie, ale mógłby się nauczyć. Dzięki temu będzie miał się czym zająć. Moim zdaniem za dużo czasu spędza na uganianiu się za tymi cholernymi obrazami.

- Może lepiej byłoby zacząć od czegoś prostszego?

- Może i tak. Przypuszczam, że jego cholerna matka nie omieszka wtrącić swoich trzech groszy. Ale musimy coś zrobić z tym Ogrodem - to takie nijakie, tylko trawniki i kilka starych klombów. Totalnie zaściankowe. Alice, a może ty mogłabyś zaprojektować nam coś fajnego?

Niech to szlag.

- No, Alice, założę się, że dasz sobie radę - mówi Molly. Czasami mogłabym ją zabić.

- Nie, raczej nie. To znaczy, bardzo bym chciała pomóc, ale nie mam pojęcia o ogrodach.

- Szkoda. Ale przecież mogliby ci pomóc członkowie Towarzystwa Ogrodniczego, prawda? Ty mogłabyś zrobić projekt, oni zajęliby się roślinami. My damy ziemię i w ten sposób wieś będzie mogła przystąpić do konkursu. Super.

- Możemy zrobić wspólny projekt, w który zaangażują się wszyscy mieszkańcy wsi.

- No nie wiem...

Właściwie to wiem. Pomysł jest niedorzeczny. Nie mam pojęcia o projektowaniu ogrodów i nie wiem, co chce osiągnąć Molly, zgadzając się z Lolą, ale mam ochotę dać jej porządne kopniaka.

Lola wygląda na bardzo zadowoloną.

- Cudownie. Wszyscy ciągle trąbią o tych bzdurach na temat wspólnoty, kiedy tak naprawdę wiele z tego wszystkiego już dawno odeszło do lamusa. Założę się, że dzięki temu sędziowie dadzą nam kilka punktów ekstra.

- Wiecie co, moglibyśmy założyć warzywnik i przy okazji nauczyć się wszystkiego o uprawie warzyw i tak dalej.

- Nie chcę się niczego uczyć o warzywach, Molly. To ty chcesz je uprawiać, nie ja.

Lola jednak uważa, że to świetny pomysł, i entuzjazmuje się jeszcze bardziej.

- Byłoby cudownie mieć porządny ogród warzywny z ziołami. Uwielbiam zioła. Super. My dajemy ziemię, ty robisz projekt. Rewelacja.

Lola obdarza mnie olśniewającym uśmiechem, który, szczerze mówiąc, jest dość przerażający.

- No to trzeba jeszcze tylko dogadać się z tamtą kobietą. Usiłuję ją powstrzymać, lecz ona oddała się, by dopaść panią Pomeroy.

Cholera. Wygląda na to, że nasza wieś będzie teraz pracować nad wspólnym projektem. Ja zaprojektuję Loli i Charlesowi ogród warzywny, a Towarzystwo Ogrodnicze zajmie się roślinami. Zawiązuje się właśnie specjalny podkomitet, Charles zostaje zgłoszony na ochotnika, Molly ofiaruje się, że przyniesie książki. Pani Pomeroy jest podekscytowana, a ja jestem chwalona, że czuję ducha wspólnoty. Cholera. Myślę, że może po prostu pójdę w stronę dużej ilości stalowych rur i cementu w niespotykanym kolorze. To powinno załatwić sprawę. A może lepsze będą całe akry żwiru i stalowy hamak? W domu przeżywam załamanie. Siedzimy z Molly, Lola pojechała już triumfalnie do siebie, a wcześniej wypiliśmy prawie całe wino. Właściwie Molly nie miała specjalnej ochoty na picie, a Lola prowadziła, więc w zasadzie to ja wypiałam prawie całe wino i czuję się dość niepewnie.

- Nie mogę tego zrobić, naprawdę nie mogę.

- Owszem, możesz, tak czy inaczej, jest już za późno, i musisz to zrobić. To będzie po prostu kilka murków i parę klombów. Nic skomplikowanego. Przejrzymy książki, na pewno coś się znajdzie.

- Molly, przejrzanie paru książek nic nie da.
  - Wiem, że możesz to zrobić, a ja ci pomogę, naprawdę. O, właśnie przyszło mi do głowy, że musimy mieć jakąś wodną ozdobę.
  - Co?
  - Staw albo fontannę, coś takiego.
  - Super. A może wykopimy studnię, tylko naprawdę głęboką. Mogłabym się do niej rzucić, kiedy wszystko pójdzie nie tak i cała wieś mnie znienawidzi.
  - Możemy posadzić drzewa owocowe. Będzie super.
  - Nie było mowy o żadnych drzewach. Niech to szlag.
  - We wszystkich tradycyjnych ogrodach warzywnych są drzewa owocowe, tak mi się wydaje. Pigwy i takie tam.
  - Nie jestem pewna, czy w ogóle wiem, jak wygląda pigwa.
  - Ja też nie, ale będzie dobrze. Jestem tego pewna. Mówię ci, bardzo zyskamy w oczach całej wsi. O rety, to już ta godzina? Lecę. Muszę porobić sobie jeszcze notatki na jutro.
- Świetnie. A więc, jakby mi było mało, teraz muszę jeszcze zaprojektować ogród. W drodze do łóżka zauważam przy koszu na śmieci kolekcję pustych butelek po winie: muszę je usunąć, zanim jutro przyjedzie mama. W zeszłym tygodniu zrobiła mi wykład o tym, że nikt nie lubi pijących kobiet, a kiedy powiedziałam, że większość znajomych mężczyzn raczej ma do nich słabość, była bardzo oburzona. Ciągłe zapominam, żeby odwiedzić pojemnik na szklaną stłuczkę, a kiedy ostatnim razem się tam wybrałam, czułam się jak liderka Anonimowych Alkoholików.

W każdym razie to absolutnie fantastyczne, że przez trzy dni w tygodniu mama zajmuje się Alfiem, nawet jeśli doprowadza mnie do szału i jest uzależniona od wybielacza. Sprząta nawet za lodówką. Nie znam nikogo innego, kto sprząta za lodówką, a jeśli skończy się wybielacz, już ona się tym zajmie. Bardzo kocha Alfiego, jest dla niego o wiele bardziej pobłażliwa, niż była dla nas, i nigdy nie zmusza go do jedzenia wątróbki z cebulką. Jim chował swoją porcję do skarpetek, co nie było zbyt trudne, bo miał skarpetki w szarym kolorze, zbliżonym do koloru wątróbki. Moje były białe, więc kiedy spróbowałam tej sztuczki, oczywiście skończyło się na wykładzie o niewdzięcznych dzieciach.

Trzeba jednak przyznać, że była naprawdę świetna, kiedy już minął pierwszy szok spowodowany odejściem Patrica. Na początku trochę się zmartwiła, ale głównie była to wina babci. Wpadły na podwieczorek i mama lekko nas zaszokowała, stwierdzając, że według niej to nawet dobrze, że Patrie odszedł, bo nigdy go nie lubiła za chytre oczka, i tak czy inaczej, czasy się zmieniły, a ja mam dobrą pracę i mogę zadbać o siebie sama, zapewne o wiele lepiej niż z jakimś facetem czepiającym się mojej spódnicy, przysparzającym jeszcze więcej pracy i domagającym się obiadków.

A potem pogorszyła sprawę, mówiąc, że gdyby mogła zacząć wszystko od nowa, to wcale nie jest pewna, czy zawracałaby sobie głowę facetami, bo z nimi są tylko kłopoty, a cały ten seks przejada się po jakimś czasie, i kiedy człowiek osiągnie jej wiek, zdaje sobie sprawę, że

w życiu chodzi o korzystanie z nadarzających się okazji i odrobinę zabawy.

Powiedziała też, że widziała cudowną, niebieską wełnę i chciała wiedzieć, czy Alfie woli rozpinany sweterek czy marynareczkę, a może śliczną, małą czapeczkę i skarpetki, choć przyznała szczerze, że wolałaby, żebym nie upierała się przy skarpetkach, bo trudno je zrobić.

Po wszystkim mama musiała łyknąć parę tabletek, a kiedy wychodziłam, ona i babcia sprzeczały się, czy kominiarki są bardziej praktyczne od czapek z pomponami i czy chłopcy mogą nosić rzeczy w kolorze cytrynowym.

Kiedy myję zęby, Alfie budzi się i szurając, przemieszcza się do mojego łóżka, a ja jestem tak wyczerpana, że na to nie reaguję. Zabiera całą kołdrę, zwijając się w środku jak maleńki pasztecik z kiełbaską, i muszę włożyć wiele siły, żeby wyciągnąć go z powrotem na zewnątrz. Ściskam mocno kołdrę, żeby nie obudzić się w środku nocy z odmrożeniami.

Alfie śpi w pozycji rozgwiazdy, zajmując większą część łóżka, i wymachuje rękami, w związku z czym bez przerwy zaliczam uderzenia w tył głowy, kiedy zaczynam akurat odpływać, co jest fantastyczne i naprawdę ułatwia mi zaśnięcie. Super.

**DZIENNIK OGRODOWY**

Miesiąc bardzo niepewnej pogody. Przygotuj do obsadzenia ogródki zielne i warzywniki, kiedy tylko pozwoli na to pogoda. Zamów asparagusy, pietruszkę i wczesny groszek. Zakończ zimowe przycinanie drzewek owocowych. Przewietrz i spulchnij trawniki.

*Zaliczam kolejne podejście do kopania, ale ponieważ w ciągu kilku ostatnich tygodni bezustannie padało, klomby zamieniły się w min trzęsawiska i moje gumowce grzęzną w błocie. Zgodnie z poradnikiem spulchnianie polega na dźganiu trawnika widiami, żeby poprawić system odwadniający; postanawiam spróbować, ale widły też grzęzną w błocie i ostatecznie tylko ślizgam się wokół nich jak w skeczu Benny 'ego Hilla. Alfie siedzi w ogromnej kałuży w ogrodzie od frontu; właściwie to nie kałuża, a niewielkie jezioro. Brnę do niego, żeby go wyłowić, i kończy się na tym, że jestem cała mokra. Alfie ściąga gumowce i robi sobie rundkę z tupaniem. Poddaję się i wracam do domu, gdzie siedząc przy kominku, rozmyślam o szparagach, ale finał jest taki, że przypomina mi się projekt ogrodu i ogarnia mnie panika. Jeśli nie potrafię nawet przekopać własnego klombu, to jak mogę mieć czelność porywać się na projekt zupełnie nowego ogrodu, w dodatku w imieniu całej cholernej wsi? Kończy się na tym, że zjadam pół paczki*

*herbatników i robi mi się niedobrze, a potem zaglądam do książek o ogrodnictwie, które przyniosła Molly, jednak po rozdziałach dotyczących rozpinania drzew owocowych na treliach i zapylaniu czuję się jeszcze gorzej. Dojadam resztę herbatników i teraz to już naprawdę chce mi się wymiotować.*

Lola zaprasza mnie na kawę, żeby pogadać o ogrodzie, więc najpierw podrzucam Alfiego do przedszkola, a potem idę do niej i udaje mi się trafić akurat w sam środek domowego zamieszania z nową nianią Susannah, która dopiero zaczęła, ale już są problemy. Charles mówi, że chyba chodzi o prasowanie. I rzeczywiście, kiedy wchodzimy do kuchni, Susannah jest w trakcie wyjaśniania Loli, że jej zdaniem prasowanie ubrań Loli raczej nie należy do jej obowiązków.

- W zasadzie nie powinnam też prasować ubrań dzieci. W czasie rozmowy kwalifikacyjnej mówiła pani, że zatrudniacie pomoc domową. A ja jestem w pełni wykwalifikowaną, profesjonalną opiekunką do dzieci.

Charles i ja siedzimy przy kuchennym stole z szeroko otwartymi ustami, podziwiając odwagę Susannah. Nigdy nie sprzeciwiłabym się Loli, gdybym nie stała na naprawdę pewnym gruncie, a nawet wtedy zastanowiłabym się dwa razy.

- Tak, ale pani Bishop będzie nieobecna przez kilka dni, a ty, zdaje się, czasami naginasz zasady, prawda? Wiszenie całymi godzinami na telefonie również nie należy do twoich obowiązków, ale wygląda na to, że tobie to cholernie odpowiada. Jesteś teraz częścią rodziny, Suzy, i



wszyscy musimy wykazywać dobrą wolę, wszyscy gramy w tej samej drużynie, jeśli wiesz, co mam na myśli. No właśnie, czy ty rozumiesz, o czym ja mówię? Czasami wydaje mi się, że nie!

Lola mruży oczy i robi groźną minę. To wszystko przypomina trochę obserwowanie wypadku samochodowego: wiesz, co się stanie, ale nie ma czasu, żeby coś z tym zrobić. Mam tylko nadzieję, że gdzieś w kuchni jest poduszka powietrzna, bo zdaje się, że Susannah może jej potrzebować.

- Oczywiście, że tak. Pracuję jako niania od prawie sześciu lat, ale moi ostatni pracodawcy zatrudniali sprzątaczkę i specjalną osobę do prasowania. A tak poza tym, to wołałabym, żeby pani mówiła do mnie Susannah.

- Och, rozumiem. Jest jeszcze coś, o czym chciałabyś mi . powiedzieć?

- Hm, owszem, skoro pani sama o tym wspomniała. Charles mówi do mnie bezgłośnie „o Boże” i udaje, że chowa się ze strachu pod stół, co sprawia, że zaczynam chichotać, ale ostatecznie produkuję dźwięki, jakbym udawała prosiaka, co jest bardzo krępujące, a Charles zaczyna się śmiać, zaś Lola piorunuje nas wzrokiem, co jest jeszcze bardziej krępujące.

- Mówiła pani, że będę mogła korzystać z samochodu, ale za każdym razem, kiedy o niego poproszę, mówi pani, że to niemożliwe. To nie w porządku. W końcu mam jeszcze prywatne życie.

- Tak, oczywiście. I jestem pewna, że nasz rachunek za telefon wykaże, jak bardzo zajęta dziewczyną jesteś.

- Już pani mówiłam, że przeważnie korzystam ze swojej komórki.

- Tak, ale problem polega na tym, Susannah, że w czasie, kiedy gadasz przez swoją komórkę, powinnaś zajmować się moimi dziećmi, bo właśnie za to ci płacę. Powinnaś im pomagać, organizować rozwijające zajęcia, tego typu sprawy. Nie zapewniasz im zbyt wiele, jeśli chodzi o jakiś rozwój, no, chyba że chcą w przyszłości pracować w centrali telefonicznej. Owszem, mogą przejść u ciebie kurs dąsów dla zaawansowanych, ale w tym i tak są już całkiem niezli, więc wielkie dzięki. A kiedy proszę cię o wykonanie najprostszej czynności, ty odmawiasz. To śmieszne. Naprawdę nie wiem, jak coś takiego znosili twoi poprzedni pracodawcy. Może nie lubili rozstań. Na szczęście ja nie mam z tym problemu. Powiem ci, co zrobimy - pójdiesz się spakować, a Charles podrzuci cię na dworzec. Chyba możemy już oficjalnie powiedzieć, że twój okres próbny dobiegł końca.

- Słucham?

- Komunikacja to nie jest twoja najmocniejsza strona, prawda? Już wcześniej to zauważyłam. Dobrze, powiem tak, żeby wszystko było absolutnie jasne: jesteś zwolniona. Gdybyś mogła się ruszyć, byłabym bardzo wdzięczna, bo jestem dzisiaj trochę zajęta. A może mam zadzwonić do ciebie na komórkę i jeszcze raz wszystko wyjaśnić, czy już załapałaś, o co chodzi?

Susannah wybucha płaczem i wybiega z pokoju.

- Niech to szlag. Mam ochotę zadzwonić do tej cholерnej agencji i powiedzieć im, co o tym myślę. Ta dziewczyna to koszmar. O, jak już odwieziesz ją na stację, wstąpisz przy okazji do sklepu, Charles. Sok jabłkowy się skończył. No, nie siedź jak zaklęty i przestań się na mnie

gapić. Jeśli zaraz ktoś nie zdejmie Mabel z tego wysokiego krzesła, zacznie zrzucać rzeczy. Zabierz ją ze sobą i idź zobacz, co robi ta cholerna dziewczyna. Już jej zapłaciłam za ten tydzień, więc nie daj się naciągnąć na jakieś dodatkowe pieniądze.

Charles wygląda na lekko oszołomionego, ale bierze Mabel i idzie na górę.

Jestem pod wrażeniem tego, jaka Lola jest twarda, lecz jestem także zbulwersowana. Pomijając wszystko inne, nie jest najlepiej, kiedy dzieci mają co chwila nową nianię. Nie mogę się nadziwić spokojowi Loli - ja byłabym kłębkim nerwów. Zbierałam się prawie pół roku, zanim powiedziałam sprzedawczyni z wiejskiego sklepu, że nie mam na imię Alison. Lola wydaje się jednak całkiem wesoła, jakby była z siebie bardzo zadowolona.

- Słuchaj Lolu, mogę przyjść później. To chyba nie jest najlepszy moment.

- Ależ skąd. Naprawdę wolę rozmawiać o ogrodzie niż rozmyślać o cholernych niańkach. Jak daleko posunęłaś się z projektem?

Rozmawiamy o półkolistych murach, a Lola robi kawę. Mówię jej, że zastanawiam się nad czymś w rodzaju tajemniczego ogrodu w jednym rogu głównego ogrodu, z drzewami i sklepionym łukowo wejściem, choć oczywiście nie będzie specjalnie tajemniczy, skoro będzie przy tym pracowało jakieś pół wsi.

Lola bardzo się tym ekscytuje i zaczyna opowiadać o jakimś ogrodzie, który widziała przy jednym eleganckim hotelu w stylu wiejskiej

rezydencji; było tam mnóstwo krat z nierdzewnej stali i niezwykle rodzaje sałaty.

W połowie naszej pogawędki Charles i Susannah opuszczają w milczeniu dom; Charles tylko rzuca Loli nieprzyjemne spojrzenie, co ona ignoruje.

- Wiedziałam, że ta dziewczyna będzie sprawiała kłopoty, kiedy tylko powiedziała, że jest wegetarianką. To znaczy, nie mam nic przeciwko wegetarianom jako przyjacielom, ale w domu potrzebuję kogoś, kto nie będzie odstawiał dąsów przy smażeniu bekonu na śniadanie. Co za koszmar, teraz znowu będę musiała obdzwonić agencje, a oni są po prostu beznadziejni. Naprawdę dobrzy są tylko w wyciąganiu od ciebie pieniędzy. Dranie. Ale nie jest jeszcze tak źle - Charles może zająć się dziećmi przez jakiś czas. Zdaje się, że mu to odpowiada, choć pojęcia nie mam czemu. O cholera, właśnie sobie przypomniałam. Susannah miała zająć się organizacją urodzinowego przyjęcia Ezry. Przyjdiesz, prawda? Będzie magik i przyjedzie mnóstwo osób ode mnie z pracy. Pomyślałam, że przy okazji można zrobić coś w rodzaju parapetówki. Niezłym pomysłem może być sushi. I za jednym zamachem można też zrobić pierwsze spotkanie z ludźmi z Towarzystwa Ogrodniczego.

- Tak, super.

Nie mogę sobie wyobrazić, co staruszkowie z Towarzystwa Ogrodniczego powiedzą na sushi, i nie mogę się już doczekać, żeby się tego dowiedzieć, choć zdaje się, że dla Ezry będzie to trochę trudne - urodziny zamienione w spęd towarzyski pod znakiem sushi. Jestem

pewna, że wolałby przyjęcie z Batmanem czy cholernym Bobem Budowniczym.

- Każę mojej osobistej asystentce rozesłać stosowne zaproszenia. Molly też musi przyjść i wszyscy z Towarzystwa Ogrodniczego. Nie masz przypadkiem spisanych ich nazwisk i adresów? A już naprawdę byłoby świetnie, gdybyś miała to wszystko na dyskietce.

Nie wiem, dlaczego myśli, że mogę być osobą, która ma adresy zapisane w komputerze. Żałuję, że tak nie jest.

- Znam nazwiska tylko połowy tych ludzi, ale założę się, że pani Pomeroy dysponuje odpowiednią listą.

- Dobrze, każę Sophie do niej zadzwonić, a ona naprawdę mogłaby zostać asystentką magika. Niech to szlag, już od samego myślenia o tym jestem zmęczona. A do tego nie mam się w co ubrać.

Zaczynamy rozmawiać o ciuchach i koniec końców idziemy na górę, do sypialni Loli, a konkretnie do jej garderoby, która jest większa od pokoju Alfiego, i o wiele bardziej interesująca, gdzie Lola przetrząsa niezliczoną liczbę bajecznych strojów. Nigdy nie widziałam tylu firmowych metek ani takiej liczby fantastycznych butów.

Sypialnia zapiera dech w piersi: hektary jasnego drewna, maleńkie perskie dywaniki, ogromne łóżko z białą kołdrą, przysłoniętą częściowo olbrzymim, jasnokremowym kocem. Podejrzanie przypomina kaszmir. Nie mam pojęcia, ile mógłby kosztować kaszmirowy koc tej wielkości, ale przypuszczam, że taka suma zwałiłaby moją mamę z nóg. Oprócz łóżka jest jeszcze duża sofa obita aksamitem w kolorze czekoladowego brązu z szarymi, wełnianymi

poduszkami. Zupełnie jakbym była w Heals, tylko bez innych, irytujących klientów, którzy pieją: „Och, Jocasto, to będzie idealne do naszej willi”.

Łazienka jest również oszałamiająca: jasnokremowa, marmurowa kabina prysznicowa, w której zmieściłaby się cała rodzina, włoskie jupitery na suficie, które cholernie ciężko zainstalować -wiem, bo wykorzystałam je raz w projekcie i doprowadziły elektryka do obłądu. Jeśli wszystko nie zostanie dopasowane co do milimetra, co dwie sekundy robi się zwarcie.

Kończy się na tym, że odbywam krótką wycieczkę po domu. Pokoje dzieci są równie wspaniałe jak cała reszta. Sypialnia Mabel jest hołdem dla White Company, z pastelowymi narzutami wytłaczanymi w „plaster miodu” i różową, kraciastą pościelą i, jeśli mam być szczerą, sama bym chciała taką mieć. Pokój Ezry jest w podobnym stylu, ale utrzymany w żółtym odcieniu, a do tego łóżko w kształcie samochodu wyścigowego. Pokój do zabawy jest pełen najrozmaitszych zabawek, jakie można sobie tylko wyobrazić, wliczając w to gigantyczną pandę i ogromną żyrafę. Kiedy Alfie to zobaczy, zemdleje z wrażenia.

- Ten dom jest fantastyczny, Lolu. Wcześniej byłam tu tylko raz i pamiętam jedynie, że dół był wyklejony kwiecistymi tapetami.

Nic dziwnego, że roboty trwały pół roku, zanim Charles i Lola się wprowadzili. To wszystko musiało kosztować fortunę.

- A tak, to było okropne. Praktycznie musieliśmy robić wszystko od nowa. Ale tak naprawdę chcieliśmy coś trochę większego.

Mają trzy dodatkowe sypialnie, a do tego jest jeszcze poddasze. Ciekawe, o ile większym domu myślała?

Kiedy wracamy na dół, dzwoni komórka Loli, przemieszczając się w wibrujących spazmach po kuchennym stole. Lola chwyta telefon w ostatniej chwili przed upadkiem na podłogę, stwierdza: „O cholera, to z pracy”, po czym odbiera. Okazuje się, że nastąpił pewien kryzys i Lola musi zadzwonić do niejakiego Adriana, bo inaczej śmiertelnie obrażony podziękuje za współpracę.

- Co za idioci. Mówiłam im, żeby nie mówili mi nic o pomysle na pudełko, wiedziałam, że mi się nie spodoba. A teraz muszę wszystko wyprostować. Typowe. No nic, miejmy to za sobą. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę plany ogrodu. Bardzo bym chciała wiedzieć, jak wyłączyć te cholerne wibracje. To nowy telefon, stary wpadł mi do wanny i ta głupia dziewczyna nie ustawiła mi go dobrze. Wiesz, co z tym zrobić?

- Przykro mi ja mam starego grata, ale daj mi znać, gdybyś potrzebowała pomocy przy przyjęciu, dobrze? O ile będę jakoś mogła pomóc.

Mam tylko nadzieję, że nie zapyta, gdzie w pobliżu można dostać sushi.

- Och, to bardzo miłe z twojej strony, dziękuję. Twoja pomoc może mi się przydać, bo nie wiem, które dzieci zaprosić. Mogłabyś nad tym pomyśleć? Jakies miłe, miejscowe dzieciaki, najlepiej w wieku Ezry. Ale niezbyt dużo, bo nie chcę przeżyć najazdu rozwrzeszczanej hordy.

Mam już kilka nazwisk jego szkolnych kolegów, ale chcę, żeby przyszły też dzieci ze wsi.

Ezra chodzi do ekskluzywnej, prywatnej podstawówki i musi nosić jeden z tych śmiesznych mundurków w wiktoriańskim stylu, ze sztruksowymi spodniami w kolorze brązowawej żółci.

Obiecuję pomyśleć nad nazwiskami miłych, miejscowych dzieci i wracam do domu, zastanawiając się, jak wypali zestawienie reklamiarzy z tubylcami oraz ludźmi z Towarzystwa Ogrodniczego.

A poza tym, ja też nie mam pojęcia, co założyć, co oznacza, że będę musiała udać się na zakupy. Poproszę mamę, żeby zajęła się Alfim, bo kupowanie z nim ciuchów to jak Mission: Im-possible, tyle że bez Toma Cruise'a. A może nie ma większego znaczenia, w co się ubiorę, o ile damy Ezrze jakiś fajny prezent,

Alfie nie będzie próbował przemyścić tamtej żyrafy, a Lola nie wyleje w połowie imprezy większość ludzi od cateringu.

Molly wpada na herbatę i wydaje się jeszcze bardziej roztargniona niż zwykle. Zostawiamy dzieci z kreskówkami i paczką hoola hoops na głowę, po czym chronimy się w kuchni.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- Jesteś jakaś przygaszona.

- Hm, chodzi o to...

Molly wybucha płaczem; w zasadzie cicho popłakuje i całe szczęście, że obywa się bez hysterii, bo nie mam pojęcia, co należy zrobić, jeśli ktoś histeryzuje, a nie wydaje mi się, by zdzielenie takiej osoby w



twarz było dobrym pomysłem. Molly nie jest typem płaczki, zatem musiało zdarzyć się coś strasznego.

- Myślę, że jestem w ciąży, i po prostu nie wiem, czy dam sobie radę z dwójką. Wiem, że Dan będzie zadowolony, zawsze mówił, że chce jeszcze jedno dziecko, ale to nie on będzie miał to wszystko na głowie.

- To znaczy, że nic mu nie powiedziałaś?

- Jeszcze nie. Okres spóźnia mi się dopiero o parę tygodni.

- Co znaczy parę?

- Właściwie to w sobotę miną dokładnie dwa miesiące. Po prostu chcę mieć trochę czasu, żeby to sobie przemyśleć, zanim mu powiem. Chodzi o to, że kiedy się dowie, wszystko zrobi się takie oficjalne, takie przesądzone. Nie jestem na to gotowa.

- Robiłaś test?

- Nie, nie byłam w stanie. Ale mam test, jest w torebce. Staralam się to odwlec.

- No cóż, nie ma na co czekać, do dzieła. Może dorobię jeszcze herbaty... wstawię wodę.

- Wszystko w porządku, ale chodź ze mną.

Idziemy na górę i Molly znika w łazience, żeby nasiusiać na co trzeba, a ja czekam pod drzwiami, trochę zdenerwowana. Wreszcie Molly się wyłania, wymachując testerem. Wyteżamy wzrok. Prawie natychmiast w okienku pojawia się jaskrawonie-bieska kreska.

Ściskam Molly, a kiedy wracamy na dół, na jej twarzy maluje się lekki uśmiech, choć poza tym jest dość blada i wygląda na zmęczoną.

- Myślę, że to cudownie, Molly. Naprawdę.

- Na pewno też tak uznam, jak już się oswoję z tą myślą. A Dan jest świetnym ojcem, naprawdę.

Bardzo bym chciała, żeby nie była taka zgaszona, zupełnie jakby próbowała przekonać samą siebie, że wszystko będzie dobrze.

- Hormony ci szaleją i minie trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczaisz.

- Pewnie tak. Co mam z tym zrobić? Wymachuje testem ciążowym.

- Wrzucić do kosza, ale najpierw będziemy musiały to jakoś zapakować, bo jak mama to zobaczy, dostanie szału. No, chyba że chcesz go sobie zatrzymać. Ja przez parę tygodni nosiłam swój przy sobie.

- Nie, nie chcę ryzykować, że Dan go znajdzie, jeszcze nie. Może mogłabym powiedzieć mu dziś wieczorem, ale nie jestem pewna. Chyba potrzebuję jeszcze kilku dni.

O Boże. Nie brzmi to najlepiej.

- Napij się herbaty?

- Nie, dzięki, powinnam się zbierać, jestem wyczerpana. Już zapomniałam, jak człowiek się wtedy męczy.

Ściskam ją na pożegnanie, odwzajemnia uścisk dość mocno, jakby tak naprawdę wcale nie chciała wychodzić, ale potem trochę się rozwesela i zaczyna znowu mówić o ogrodzie. Obiecuje, że któregoś dnia, gdy będzie wracała z pracy, podrzuci mi jeszcze jedną książkę.

Mówi, że zadzwoni do mnie później, jednak nie dzwoni; mam nadzieję, że to dlatego że rozmawia z Danem albo oswaja się z nową sytuacją. Postanawiam zadzwonić do niej jutro, żeby po prostu sprawdzić, jak się czuje. Boże, nie zazdrozczę jej. Oczywiście cudownie jest tulić

nowego maluszka - niemowlaki mają w sobie coś takiego, że nie można im się oprzeć. Jednocześnie dobrze wiedzieć, że ktoś inny będzie wyrabiał nocne zmiany.

W pracy przeżywam ciężkie chwile, a Janet jest jeszcze bardziej wkurzająca niż zwykle, bo Malcolm wyjechał na jakąś konferencję. Prowadzą tę firmę razem, są małżeństwem, a ona ma na jego punkcie obsesję: ze sposobu, w jaki się zachowuje, można by wnioskować, że ma za męża geniusza.

Nie wydaje mi się, żeby była szczególnie zachwycona, kiedy ogłosił, że chce zatrudnić młodą bystrzachę, a zwłaszcza kiedy okazało się, że ta młoda bystrzacha to ja. Od samego początku była więc dla mnie dość nieprzyjemna.

Na początku myślałam, że chodzi o mnie. Pod koniec pierwszego tygodnia strasznie się nad sobą użalałam, na szczęście zlitowała się nade mną Brenda z recepcji, która jest w firmie od lat, i powiedziała, że wszyscy nienawidzą Janet i że zawsze jest okropna dla nowych, zwłaszcza kobiet, bo sądzi, że wszystkie lecą na Malcolma. Poczułam się dzięki temu odrobinę lepiej, choć to potwornie irytujące, że kobiety takie jak Janet zakładają, że żadna nie jest w stanie oprzeć się ich mężowi. Chodzi o to, że trzeba by znaleźć się w skrajnej desperacji, żeby polecieć na Malcolma, i to zapewne pod wpływem jakichś specjalnych medykamentów.

A żeby było jeszcze cudowniej niż zwykle, okazało się, że mój nienawidzący stodoł klient i jego żona mają tak wyśmienity gust, że można się pochlastać. Za każdym razem, kiedy próbuję przekonać ich

do czegoś sensownego, dzięki czemu ludzie nie będą mdleli zaraz po przekroczeniu progu, oni wyskakują z kolejną rewelacją. Ich najnowsze osiągnięcie to kafelki do kuchni, które dzięki deseniowi i kolorystyce wyglądają, jakby były za-rzygane. Do tego gigantyczne jacuzzi z niebieskiego akrylu, ze złotymi kranami w kształcie delfinów, co według nich jest urocze. Czasami naprawdę nie wiem, dlaczego tak się przejmuję.

Wpada Molly z kolejnymi książkami o ogrodnictwie i próbujemy się nawzajem trochę rozweselić, kiedy dzieci przez pół godziny bawią się i oglądają filmy na wideo. Molly powiedziała już Danowi, który jest zachwycony, i widzę, że ona również wydaje się coraz bardziej do tego przekonana, co bardzo mnie cieszy.

- Czy twoja mama już doszła do siebie?

- Dopiero co.

Parę dni temu, kiedy wróciłam z pracy, mama powitała mnie w drzwiach ze skrzyżowanymi na piersi rękami i miną jak burza gradowa. Zapytała, czy jest coś, o czym chciałabym jej powiedzieć, zupełnie tak samo, kiedy byliśmy z Jimem dziećmi i podkradaliśmy herbatniki, chowając pod dywanem te, które nam nie smakowały. Przyszło mi do głowy, że zobaczyła mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu, który dostałam kilka tygodni temu, więc powiedziałam, że nie wiem, o co robi tyle hałasu, a wtedy ona prawie wyszła z siebie.

Okazało się, że znalazła test ciążowy Molly. Powiedziała, że wypadł, kiedy wrzucała coś do śmietnika, ale założę się, że robiła szybki

przeгляд śmieci, żeby sprawdzić, czy nie ma tam czegoś interesującego, bo zawsze beszta mnie za robienie Alfiemu frytek z mrożonki, zamiast obrać ziemniaki i zrobić mu porządne, prawdziwe frytki. Tak czy inaczej, zadzwoniła do swojej przyjaciółki Phyllis, która kiedyś pracowała w Boots, i dowiedziała się, że niebieska kreska świadczy o tym, że z całą pewnością jest się w ciąży. Zażądała ode mnie wyjaśnień i skończyło się na tym, że musiałam jej zaproponować, żeby zadzwoniła do Molly, zanim mi uwierzyła.

- Jak Dan, dalej cieszy się jak wariat?

- Zdaje się, że początkowe podniecenie trochę osłabło.

O Boże. Wydawała mi się lekko wykończona, kiedy przyjechała.

- Jest zadowolony, naprawdę, ale wczoraj zaczął mówić

O pieniądzach, o tym, ile będzie kosztowało kolejne dziecko,

I że będziemy musieli dokończyć sypialnię, co mnie cholernie zirytowało i skończyło się na kłótni. Później się pogodziliśmy i wyjaśnił, że nie chodzi o to, że zmienił zdanie, bo naprawdę chce jeszcze jedno dziecko, ale że po prostu chce wykończyć dom. A mnie ciągle mdli.

Molly rozpracowuje z głośnym chrupaniem paczkę imbirowych herbatników.

- A moje ciuchy już robią się za ciasne. Beznadzieja. Patrz. - Unosi sweter, żeby pokazać rozpięte džinsy.

- Byłaś gruba z Alfiem?

- Jak słonica. Taksówkarze, zanim wpuścili mnie do taksówki, kazali mi najpierw obiecywać, że nie zacznę rodzić.

- Mnie też. Wszyscy myśleli, że Lily będzie ogromna.

- I właśnie dla takich przypadków zarezerwowane są cesarskie cięcia, wierz mi. Nie musisz potem siedzieć na dmuchanych kólkach, bo masz pozszywane podwozie, jakby to powiedziała moja babcia. I mnóstwo morfiny przez pierwszych parę dni. Cudownie.

- Lily rodziłam w wodzie. Było wspaniale. No, może nie wszystko, ale większość. Poza tym ćwiczyłam jogę i myślę, że to naprawdę mi pomogło. Muszę rozejrzeć się za jakimiś zajęciami.

- Też byłam zainteresowana czymś takim, ale szpital nie dysponował basenem. Zdaje się, że mieli jakąś awarię, a zresztą, Patrie i tak by nie chodził na zajęcia.

Właściwie, to nawet gdyby była taka możliwość, nie jestem pewna, czy to by załatwiło sprawę. Wiem, wszyscy mówią, że powinno się dążyć do prostoty i przeżyć tak naturalny poród, jak to tylko możliwe, ale ja byłam całkiem zadowolona z cesarki. Wmawianie wszystkim, że powinno się rodzić, kucając na worku fasoli i popijając herbatkę z pokrzyw, to tylko jeszcze jeden sposób, żebyśmy miały poczucie porażki, jeśli ostatecznie zdecydujemy się na środek znieczulający.

- Tym razem chciałam rodzić w domu. Myślę, że czułabym się pewniej. Ale Dan nie jest tym zachwycony. Uważa, że jeśli coś pójdzie nie tak, lepiej być w szpitalu, i trzeba przyznać, że jest w tym trochę racji.

- To złudne wrażenie, że wiesz, co robić, ale za drugim razem masz jednak większe pojęcie. Pomyśl tylko, te wszystkie cudowne

pieszczotki. Pierwsze uśmiechy. To, jak przywierają do ciebie, kiedy je podnosisz, jak przykurczają malutkie nóżki.

- Nie miałaś trudności z karmieniem piersią? Chodzi mi o to, jak to było u ciebie na początku. Ja byłam pewna, że to nic trudnego, ale długo nie mogłam załapać, o co chodzi, a Lily była naprawdę grymaśna i nie chciała się przyssać. Czujesz się wtedy jak zupełna idiotka, prawda?

Obie wybuchamy śmiechem.

- Tak, pewnie tak. Choć Alfie był strasznym żarłokiem, co pewnie trochę ułatwiło sprawę.

- Chcesz mieć kiedyś jeszcze jedno dziecko?

- Teoretycznie tak, chyba tak, ale mama by mi nie darowała, gdybym najpierw się nie postarała o jakiegoś męża. Dwójka wyglądałaby już na celowe działanie. A ja uwielbiam być tylko z Alfiem i nie wiem, czy chciałabym ryzykować, że to się spieprzy. W każdym razie chwilowo nie jestem zarzucana ofertami, pomijając propozycje niektórych budowlańców, ale raczej nie wydaje mi się, by po głowie chodziło im ojcostwo. Poza tym wcale nie jestem pewna, czy chcę mieć faceta, to znaczy nie teraz. A przynajmniej nie na stałe.

- Parę dni temu myślałam o tym, wiesz, i czasami wydaje mi się, że gdybym nie poznała Dana, to ja bym nawet tak wolała... to znaczy być sama. Jest u nas w szkole jedna babka, Fiona, która chodzi ze strasznym nudziarzem. To znaczy, nie jest jakiś okropny, po prostu nudny, trochę niechlujny, poza tym zawsze ją krytykuje i sprowadza

do parteru, ale ona chce mieć dzieci, więc wychodzi za niego za męż. To takie smutne.

- Wiem. Ale zwróć uwagę, że może zrobiłabym tak samo, gdyby tylko ktoś mnie poprosił.

Nie zrobiłabyś, wiesz o tym. Jesteś za rozsądna. A poza tym, jesteś za dobrą matką. Nie zrobiłabyś czegoś takiego Alfie-mu.

- Racja. Może i zniosłam całe tabuny opóźnionych w rozwoju chłopaków, ale odkryłam, że jeśli chodzi o materiał na tatusia, jestem dość wybredna. Wystarczy Patrie, nie chcę obarczać Alfiego kolejnym świrem. Naprawdę bym tego nie chciała.

- Dan jest dobrym ojcem.

- Wiem. Jest świetny.

- Chodzi tylko o to, że czasami chciałabym, żeby w tym wszystkim było trochę więcej dreszczyku.

- Ale tak to już jest, nie? Nie może być podniecająco przez cały czas, prawda?

- No nie, ale od czasu do czasu byłoby miło. Wiem, że mnie kocha - nie zrozum mnie źle ja też go kocham. Ale czasami nie mogę pozbyć się myśli, że łatwiej byłoby mi samej. Nie musiałabym się przejmować tym, co on myśli albo czy wszystko z nim w porządku. Czasami jestem w stanie zapanować tylko nad sobą i Lily. Bóg raczy wiedzieć, jak to będzie z jeszcze jednym dzieckiem. Nie mam siły przejmować się jeszcze Danem. A on się dąsa. Wiem, że jest mu trudno, i gdy pojawi się dziecko, będzie jeszcze gorzej, a ja czuję się coraz bardziej i bardziej



rozdarta. Dyrektor zaproponował, żebym ubiegała się o stanowisko jednego z jego zastępców, mówiłam ci?

- Molly, to wspaniale.

- Wiem i bardzo tego chcę. Ale naprawdę nie wiem, czy sobie poradzę: szkoła, Lily i Dan, a teraz jeszcze drugie dziecko. Czuję, jakbym zniknęła. Straszny banał, ale to prawda: czasami czuję się jak niewidzialna kobieta. Jakbym była w jakimś kieracie - wstajesz, idziesz do pracy, wracasz do domu, bawisz się z Lily, idziesz spać, wstajesz, idziesz do pracy. A szkoła to poważna sprawa, naprawdę. Te dzieciaki zasługują na kogoś, kto będzie im poświęcał cały swój czas, a nie kogoś, kto ciągle jest wykończony. Nie chcę stać się jednym z tych nauczycieli, którzy wybierają tę pracę tylko dlatego, że chcą mieć długie wakacje. Takich jest już wystarczająco dużo.

- Jesteś świetną nauczycielką, Molly, wiesz o tym. Są prawdziwymi szczęściarzami, że ciebie mają.

- Nie zawsze. Czasami po prostu jadę rozpędem, czuję, że tak jest. A to nie wystarczy. Myślę, że Dan chciałby, żebym zrezygnowała z pracy, a przynajmniej, żebym o tym pomyślała, jeśli wiesz, co mam na myśli. Zdaje się, że byłby szczęśliwszy, gdybym była bardziej zainteresowana siedzeniem w domu, piekła chleb, czekała na niego z kolacją i takie tam bzdury. Czasami myślę, że jest zazdrosny o dzieciaki w szkole, bo poświęcam im tyle uwagi. I z tego powodu też czuję się winna. A poza tym, gdybym była naprawdę dobrą matką, chciałabym przez cały czas siedzieć w domu z dziećmi, prawda? Ale ja nie chcę. Naprawdę nie chcę. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby pracować w niepełnym

wymiarze godzin, jak ty, ale nie chcę całkiem rzucić pracy, nawet gdyby nas było na to stać.

- O, ja też nie chciałabym zrezygnować z pracy. Dostałabym świra. Nie można się bez końca bawić w malowanki, prawda?

- Szkoła to jedyne miejsce, gdzie mam wrażenie, że robię wszystko jak należy, przynajmniej czasami. Gdzie czuję, że to, co robię, odnosi jakiś skutek. Natomiast przez połowę czasu, jaki spędzam z Lily, mam poczucie, że nie jestem dość dobra.

- Tak to już jest. Tak samo mam z Alfiem. Cokolwiek zrobi dobrze, to jego zasługa, jego triumf, ale jeśli coś jest nie tak, to moja wina. Tego po prostu nie da się wypośrodkować.

- Wiem, ale czasami to cholernie trudne.

Z salonu dobiega trzask. Alfie właśnie wykonał skok z kanapy podczas szczególnie porywającego fragmentu Kubusia Puchatka. Był Tygrysiem, ale nie do końca załapał, o co chodzi z brykaniem. Robimy z tego wielką sprawę, ale okazuje się, że nie, nie skręcił sobie karku, aczkolwiek jutro będzie mógł pokazać babci guza. To go rozwesela, bo uwielbia chwalić się guzami i zadrapaniami, przez co zawsze czuję się jak wyrodna matka, nawet jeśli mama przysięga, że przez większość dzieciństwa Jim chodził oblepiony plastrami i dopóki nie ukończył dwunastego roku życia, musiała kupować hurtowo jodynę.

- Powinnyśmy się zbierać. Chodź, Lily. Jedziemy do domu, zaraz czas na kąpiel. Zrobimy sobie superkąpiel z bąbelkami, co?

- Nie. Chcę tu zostać. Nie.

Lily zaczyna krzyczeć i zrzucić poduszki z kanapy. Alfie jest pod wrażeniem i się przyłącza. W końcu udaje nam się ich ujarzmić za pomocą dwóch tubek smarties, ale co się przy tym zmachałyśmy, to nasze. Kiedy pomagam Molly zapakować Lily do samochodu, Alfie człapie sobie w kapciach po kałużach. Cudownie.

Teraz Lily praktycznie inhaluje się zdobycznymi cukierkami.

- Lepiej już jedź, jeszcze chwila i będzie po smarties. Wracamy do domu. Płuczę kapcie Alfiego, a on przed snem

jeszcze raz udaje Piotrusia Pana. Wiem, o co chodzi Molly, kiedy mówi, że nigdy nie czuje, żeby sprawdzała się jako matka i że to wszystko jest strasznie trudne. Rozumiem też, co ma na myśli, jeśli chodzi o pracę. Czasami nie mogę się doczekać, kiedy znajdę się w biurze, żeby poczuć się choć trochę kompetentna. I pod pewnymi względami jest mi o wiele łatwiej, bo muszę martwić się tylko o siebie i Alfiego. Oczywiście byłoby miło mieć pod bokiem jakiegoś faceta, ale jednocześnie wszystko zrobiłoby się o wiele bardziej skomplikowane. Już tak jest, że cokolwiek zrobimy, i tak kończy się na poczuciu winy i zdaje się, że biednej Molly jest chwilowo wyjątkowo trudno. To zupełnie do niej niepodobne, bo zwykle jest raczej optymistką, ale to zapewne sprawka hormonów, które nie dają spokoju przez parę pierwszych miesięcy ciąży.

Wydaje mi się, że Alfie musi być nieźle zmęczony po tych wszystkich szalonych skokach, ale znowu zawodzi mnie wyczucie czasu. Kiedy czytam mu bajkę na dobranoc, wcale nie chce spokojnie leżeć, tylko bez końca fika koziołki, których właśnie nauczył się w przedszkolu, aż

tracę cierpliwość i na niego krzyczę, a on wybucha płaczem. Kończy się na tym, że leżę z nim w łóżku i go tulę, po czym budzę się jakąś godzinę później i okazuje się, że mam zdrętwiałą lewą rękę, a w kominku zupełnie wygasło. To by było na tyle, jeśli chodzi o relaksujący wieczór przed telewizorem. Jutro idę do pracy, a w kuchni jest potworny bałagan. Muszę pamiętać, żeby szybko spryskać wszystko dettoksem, zanim przyjedzie mama.

Oczywiście zapominam o dettoksie i mama pyta mnie, co takiego robiłam z kapciami Alfiego. Zupełnie jakbym specjalnie wyszła na dwór i celowo zanurzyła je w najbliższej błotnistej kałuży. Zostawiam ją, kiedy próbuje namówić Alfiego, żeby zjadł płatki, przeżywając jego siniaka na głowie, który jest ledwie widoczny. Ja i tak mam wyrzuty sumienia i spóźniam się do pracy, ponieważ utknęłam za jakimś idiotą na traktorze.

Kiedy pojawiaam się w biurze, Janet czeka na mnie, spoglądając znacząco na zegarek.

- W konferencyjnej czekają państwo Prentice. Gdzie, u licha, się podziewałaś?

- Utknęłam w korku, przepraszam. Już idę się tym zająć. Idę prosto do konferencyjnej, nie dając jej szansy na odpowiedź, i właśnie zaczynam omawiać plany, kiedy się zjawia.

- Pomyślałam, że sprawdzę, czy wszystko w porządku. Alice jest stosunkowo nowym członkiem naszego zespołu, ale mogą być państwo pewni, że mamy do niej pełne zaufanie. Jeśli będą państwo czegoś potrzebowali, jestem tuż za drzwiami.

Państwo Prentice wyglądają na zmieszanych, a ja jestem wściekła: Janet notorycznie wcina się na spotkania innych i podkopuje ich autorytet. Ćwiczyłam sobie nawet, co powiem, kiedy i mnie zrobi coś takiego. Zdaje się, że moja chwila nadeszła.

- Dziękuję, Janet, wszystko jest w porządku, ale chętnie napiłabym się jeszcze kawy.

Państwo Prentice potakują, oni też by się napili po filiżance kawy, a potem znów skupiają się na pomieszczeniu gospodarczym. Janet ma minę jak burza gradowa, ale musi wyjść i zorganizować więcej kawy, a ja uśmiecham się zachęcająco, choć podejrzewam, że wychodzi mi raczej złośliwy uśmieszek, i jestem z siebie bardzo zadowolona. Brenda przynosi kawę i puszcza do mnie oczko, kiedy napełnia nam filiżanki.

Ledwie kończy się spotkanie, Janet przypiera mnie do muru.

- Podobały im się plany?

- Byli zachwyceni.

Nie wygląda na uszczęśliwioną.

- Dobrze. Właściwie to chciałam zamienić z tobą słówko na temat twojego biurka. Nie robi zbyt dobrego wrażenia. Próbujemy zachować porządek na pokładzie. To pozwala zaoszczędzić mnóstwo czasu. I byłoby dobrze, gdybyś w przerwie na lunch kupiła trochę mleka. Brenda będzie zajęta, a nie zdawaliśmy sobie sprawy, że będziesz zużywała tyle mleka na swoich gości.

Kiedy odchodzi, pokazuję jej za plecami język, co rozśmiesza Brendę. Potem sprzątam na biurku.

Byłoby miło, gdyby Janet wykazywała choć odrobinę więcej zrozumienia, zwłaszcza że sama również jest pracującą matką, ale w rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie. Kiedy w zeszłym tygodniu Bill wyszedł w porze lunchu, żeby odwiedzić w żłobku swojego dwulatka, nie mogła być już miłsza; było zupełnie tak, jakby znalazł się w finale jakiegoś konkursu na najlepszego ojca. Ale kiedy któregoś dnia w zeszłym tygodniu musiałam wyjść dziesięć minut wcześniej, żeby mama nie spóźniła się na wizytę do dentysty, zrobiła wielkie halo i oznajmiła, że chce ze mną porozmawiać, po czym uznała, że sprawa ta może poczekać do następnego dnia. Całą noc ćwiczyłam sobie, co jej powiem, ale okazało się, że chciała mi tylko zwrócić uwagę, że użyłam jej ulubionego kubka do kawy, tego z kwiatami, i prosiła mnie, żebym więcej tego nie robiła.

Ona chyba uważa, że jeśli kobieta, która jest matką, chce, żeby traktowano ją poważnie, to jedynym sposobem na to jest udawanie, że dzieci nie istnieją. Nic więc dziwnego, że jej dzieci są straszne. Brenda mówi, że ostatnim razem, kiedy przyszły do biura, zachowywały się tak okropnie, że wszyscy życzyli im upadku ze schodów przeciwpożarowych.

Jednak pomijając Janet, praca jest w porządku i przynajmniej jest z czego spłacać kredyt hipoteczny. Ale i tak czasami żałuję, że nie mogę powiedzieć Janet, gdzie może ją sobie wsadzić.

W piątek wieczorem przyjeżdża Jim, który nagle zapragnął, ot tak, wpaść na weekend. Czasami żałuję, że ja nie mogę już sobie na coś takiego pozwolić: muszę najpierw pakować całe stosy ubrań i

przekąsek i zanim jesteśmy gotowi do wyjazdu, odechciewa mi się jechać dokądkolwiek. Przy dzieciach raczej nie da się być spontanicznym. No, chyba że ma się dziecko, które będzie siedziało cicho z tyłu samochodu i całymi godzinami grzecznie bawiło się pacynką, uszczęśliwione, że dostało owocowe dropsy.

Alfie jest niemal zupełnym przeciwieństwem takiego dziecka, jeśli „takie” dzieci w ogóle istnieją. Zjadłby cukierki dokładnie w pięć sekund i raczej nie jest zbyt zainteresowany pacynka-mi, no, chyba że byłyby uzbrojone, choć trzeba przyznać, że całkiem podobali mu się Punch i Judy. Widzieliśmy to przedstawienie w zeszłym roku nad morzem, ale myślę, że głównym powodem jego zainteresowania było to, że Punch przez większość czasu okładał różne rzeczy kijem. Finał był taki, że przez całą drogę do domu Alfie walił w oparcie mojego fotela nowym, plastikowym homarem, śpiewając na całe gardło: „Tak to się właśnie robi”. W końcu musiałam zatrzymać samochód i włożyć homara do bagażnika.

Jim znowu się ukrywa przed jedną ze swoich niezliczonych byłych dziewczyn. Twierdzi, że zaczęła go prześladować.

- Może powinienem się tu przeprowadzić, znaleźć sobie jakiś miły, mały domek. Wiejskie życie całkiem mi się podoba.

- Ani mi się waź. W każdym razie nie w pobliżu. Nie chcę być oblegana przez hordy kobiet, które usiłują cię namierzyć.

- Jakie tam hordy. Stella wyjechała na dwa tygodnie na jakąś wielką konferencję, a Amy nie widziałem od wieków. Praca doprowadza mnie

do szafu, Steve wszędzie werbuje nowych klientów. Cały zeszły tydzień spędziłem w cholernym Birmingham.

- Serce mi krwawi.

- A co u ciebie? Kręcą się tu jacyś krzepcy farmerzy, którzy marzą o tym, żeby się trochę rozerwać po zmroku, niekoniecznie z owcami?

- Nie, i nikogo nie szukam. Chwilowo nie mam siły na żadne inne nocne rozrywki poza pacynkami i Bobem Budowniczym.

Alfie, który usiłuje nakłonić wujka Jima do zabawy samochodzikami, teraz zaczyna śpiewać motyw przewodni z cholernego Boba Budowniczego. Cudownie.

- Co za perwersja. A co takiego robisz z tymi pacynkami? To dla mnie nowość.

- Jesteś chorym facetem, wiesz Jim? Chorym.

- Tak, ale Alfie mnie uwielbia. Chodź tu Alf i pokaż mamie język. Zobacz, o tak, okropna mamusia.

Alfie wystawia język na całą długość i omal nie przestawia sobie szczęki.

- Dzięki, Jim, po prostu świetnie. Jeśli chcesz, następnym razem możesz go nauczyć przeklinać. A potem mama będzie mogła wpaść do twojego biura i przetrzepać ci skórę.

- Ani mi się waż. Steve byłby zachwycony. W porządku, koniec z pokazywaniem języka, Alf albo wujek Jim będzie miał poważne problemy. Jest coś do jedzenia? Umieram z głodu.

Robimy kolację, a Jim proponuje, że wykąpie Alfiego.



- Na twoim miejscu uważałabym na szczypanie. Kiedy robi się zmęczony, lubi sobie poszczypać.

- Cudownie, miłe podszczypywanko, tego właśnie mi trzeba. Będzie mu się chciało pić?

- Tak, przyniosę coś do picia, i sprawdzę, czy założyłeś mu dobrą piżamę.

Ostatnim razem Jimowi udało się zapakować Alfiego w starą piżamę, która była co najmniej trzy numery za mała.

- Nigdy mi tego nie zapomnisz, prawda?

- Nie.

Siedzę przy kominku i jest wspaniale, choć czar prawdziwych płomieni zaczął mi się przejadać. Teraz już wiem, ile przy tym zachodu; trzeba targać stosy drewna i wiadra węgla jak jakaś obłąkana kuchta.

Jim schodzi na dół; wygląda na wykończonego.

- Hm, poszło nieźle. Minęły całe wieki, zanim ten mały drań zasnął. Za każdym razem, kiedy myślałem, że śpi, siadał i zaczynał paplać.

- Wiem. Strasznie denerwujące, co?

- Owszem. Bez końca opowiadał mi o tym cholernym Piotrusiu Panie. On ciągle myśli, że potrafi latać, wiesz?

- Wiem. Schowałam mu kapelusz i zielone spodnie. Doprowadzało mnie to do szału. Ciągłe zeskakiwał ze schodów. Jak chcesz, to jest jeszcze trochę wina. A może kawy?

Rozmawiamy o pracy i opowiadam mu o planach nowego ogrodu.

- Jakim cudem się w to wplątałaś?

- Sama nie wiem. Lola tak jakby zgłosiła mnie na ochotnika -jest bardzo despotyczna - a Molly wcale mi nie pomogła, bo jest zafascynowana tym pomysłem. Musiałam poznać całą zgraję dziwaków z Towarzystwa Ogrodniczego, którzy będą zajmowali się roślinami. Powołali specjalny podkomitet do spraw ziół i jeden do spraw warzyw, a pan Channing już czuwa nad tym, żeby to wszystko się nie rozlało, więc wkrótce będę musiała skończyć ten cholerny projekt. Za każdym razem, kiedy o tym pomyślę, zbiera mi się na wymioty. O, a skoro już mowa o wymiotach, Molly jest w ciąży.

- A niech mnie, nie marnujecie tu czasu, co? Super.

Dla facetów wszystko jest takie proste. Molly jest z Danem, ma już jedno dziecko, więc musi być uszczęśliwiona z powodu kolejnego. Proste.

- A czy oni wiedzą, że nie masz pojęcia o ogrodnictwie?

- Tak. Mówiłam ci, roślinami zajmie się Towarzystwo Ogrodnicze. Ja robię tylko murki i takie tam. Pokażę ci, co już zrobiłam, jeśli chcesz.

- Nie mogę się doczekać. Boże, ty naprawdę wsiąkasz w ten wiejski klimat, co? Wkrótce zaczniesz się uczyć strzelać.

- Nie kuś mnie.

- Kto to jest ta Lola?

- Moja nowa sąsiadka, mówiłam ci. Poznasz ich w niedzielę. Ezra ma urodziny i muszę wykombinować coś do ubrania. Pojedziesz ze mną jutro na zakupy?

- Nie. Nigdy więcej. Mówiłem ci ostatnim razem, że nie cierpię zakupów z kobietami. One robią zakupy zupełnie inaczej niż faceci.

- Chodzi ci o to, że potrzebujemy więcej niż pięć minut, żeby coś wybrać?

- Ja i Alf zostajemy, popatrzymy sobie trochę na piłkę nożną, a ty możesz jechać i przymierzyć w zakupowym szale czterdzieści sześć różnych strojów, po czym kupisz kolejną parę czarnych spodni. Umowa stoi?

Mój starszy brat potrafi czasami być naprawdę słodki.

- Patrie powinien zabrać Alfiego na popołudnie, razem z Cindy. O ile się pojawi.

- Fajnie. Nie widziałem go całe wieki. Doskonale. Hm, to jest coś, na co warto czekać. Możesz jechać na zakupy, a ja przyjmę Morka i Mindy.

- Albo możemy pojechać razem po południu i pomożesz mi coś wybrać. Poza rym Alfiemu potrzebne są nowe podkoszulki.

- Jesteś beznadziejna, wiesz o tym, prawda? Beznadziejna. Masz szansę na miłą sobotę, którą możesz poświęcić na wypróbowanie nowego makijażu i obsesyjne poszukiwanie butów, a kończy się na tym, że kupujesz podkoszulki dla Alfiego. Przyszło mi do głowy, żeby następnym razem przywieźć ze sobą Stellę - to prawdziwa ekspertka od zakupów. Wiesz, policzyłem raz, ile kupiła różnych odcieni różowego lakieru do paznokci. Nigdy nie zgadniesz.

- Sześć?

- Widzisz, jesteś zupełnie beznadziejna. Czternaście. Nie żartuję, czternaście buteleczek o różnym kształcie i różnej marki, ale we wszystkich cholerny, różowy lakier. To dla mnie niepojęte, jak ktoś może potrzebować aż tyle różowego lakieru do paznokci?

Tak przy okazji, ile masz: par adidasów?

- To co innego. Potrzebujesz innej pary zależnie od okazji, mówiłem ci. Tak czy inaczej, nie potrzebują czterech godzin, żeby zdecydować, które założyć.

Przymknij się.

Jak miło. Kiedy nie możesz wygrać, po prostu każesz mi się przymknąć. Tak to już jest z dziewczynami.

- Przymknij się albo poszukam różowego lakieru i pomaluję ci paznokcie, kiedy będziesz spał.

Wycięłam mu raz taki numer i nie udostępniłam zmywacza, dopóki nie obiecał, że zabierze mnie na szkolną dyskotekę i przekona swojego kumpla Gary'ego Daviesa, żeby zatańczył z moją przyjaciółką Karen.

- Nie ma sprawy. Pójdę z różowym lakierem na to eleganckie przyjęcie twoich znajomych i będziesz mogła mnie przedstawić całej wsi jako swojego brata Jimmy'ego, który jest gejem. Założę się, że zostanie to świetnie przyjęte przez tę całą ogrodową mafię.

Patrie zjawia się dokładnie w chwili, kiedy kończymy lunch, i ma na sobie nowy czarny garnitur, który wygląda, jakby był kilka numerów za duży. Mówi, że rano miał spotkanie z klientem, a Cindy została w domu, bo wieczorem urządzą przyjęcie. Zapewne robi z serwetek lilie wodne albo coś równie ekstrawaganckiego.

- Jestem chwilowo taki załatany, że głowa mała. O, i będę musiał podzucić go troszkę wcześniej, jakoś koło czwartej, jeśli to nie

problem, bo Cindy będzie potrzebowała pomocy, żeby ze wszystkim zdążyć. Przychodzą do nas naprawdę ważni ludzie.

Zawsze to robi. Jakkolwiek bym się z nim umawiała, albo spóźnia się godzinę, albo musi wcześniej odjechać. Ale jakimś cudem, jeśli tylko próbuję zrobić z tego aferę, wygląda to tak, jakbym była zdesperowana i zrozpaczona, co jest dokładnym przeciwieństwem tego, co czuję. Ale na szczęście Jim nie ma takich problemów.

- Szczerze mówiąc, może z tym być drobny problem, Pat. Planujemy wielką wyprawę na zakupy. Alice ma ważną randkę i polujemy na zabójcze ciuchy. Nie będzie nas w domu do szóstej, więc raczej nie da rady, żebyś się wcześniej ulotnił. W porządku, stary? Jestem pewien, że Cindy zrozumie.

Patrie nie cierpi, kiedy mówi się do niego „Pat”, za „starym” również nie przepada, i właśnie dlatego Jim to robi. Przechodził kiedyś etap puszczania na wideo Listonosza Pata za każdym razem, kiedy Patrie się pojawił, albo przynajmniej gwizdał motyw przewodni. Teraz znowu to robi: zabiera się do parzenia kawy, pogwizdując melodyjkę z Listonosza Pata. Patrie jest wściekły.

- Kawy, Pat? A może chcesz już się zbierać?

Teraz Jim naprawdę przeciąga strunę, ale muszę przyznać, że bardzo mi się to podoba.

- Nie, chyba lepiej będzie, jak już pojedziemy. Chodź, Alfie, weź kurtkę. To sygnał dla mnie, żeby zacząć przygotowywać go do wyjścia, ale jakoś dzisiaj nie mam na to ochoty. Dochodzę do wniosku, że ten jeden raz Patrie może sam założyć Alfiemu buty i kurtkę.

- Jego kurtka jest na wieszaku przy drzwiach, buty też powinny tam być. O, a jeśli planujesz dzisiaj pływanie, to ekwipunek pływacki jest w jego torbie.

- Tak, pomyślałem, że możemy pójść na basen.

Właściwie to zawsze to robią. Patrie jest naprawdę beznadziejny, jeśli chodzi o planowanie zajęć, które odpowiadałyby Alfiemu, więc dowiedziałam się o weekendowy program w miejscowym centrum rekreacji, które najwyraźniej zostało stworzone z myślą o weekendowych tatusiach. Pływanie z nadmuchiwanyimi zabawkami, zamek do skakania, bezpieczne gry w jednej z sal gimnastycznych i całe mnóstwo innych zajęć, na które można upchnąć dzieciaki, a samemu mieć wolne pół godziny na czytanie gazet. Tor przeszkód dla maluchów, trampolina, gimnastyka, tego typu sprawy. Sama go tam czasami zabieram, choć trampolina kosztuje mnie trochę nerwów. I jest jeszcze barek, w którym można później coś przekąsić.

Jim wraca z kawą i zaczyna dręczyć Patrica z powodu jego nowego samochodu.

- Fajne autko, stary. Musiało cię słono kosztować. Zdaje się, że Alice mówiła, że chwilowo u ciebie trochę krucho z pieniędzmi?

Patrie zaciska usta i usiłuje założyć Alfiemu buty.

- Ale nie jestem przekonany co do koloru. Czy czarny nie jest już lekko passe?

- Klasyczne kolory zawsze są w modzie.

- Ach tak? No to super. Fajnie spotkać faceta, który żyje pełnią życia. Dzieciaci goście z mojego biura porobili się przeważnie tacy rozsądni i

zaczynają kupować samochody typu kombi albo oszczędzać na czesne. Tragedia.

Jim puszcza do mnie oko i wraca do kuchni. Patrie zrobił się biały ze złości.

- Zobaczymy się później, Alice.

Patrzę, jak odchodzi ciężkim krokiem. Alfie jest tak podekscytowany wyjściem na pływalnię, że ledwie rzucił na mnie okiem. Cieszę się, ale jednocześnie jest mi trochę przykro. Połowa mnie chce, żeby odmówił wyjścia z ojcem i powiedział, że nie pójdzie na pływalnię z kimś, kto tak okropnie potraktował jego matkę, choć przyznaję, że byłoby to dość niezwykle jak na trzylatka. W każdym razie wolę, żeby miał jakiś kontakt z ojcem, co nie zmienia faktu, że to wszystko jest dość wkurzające.

- Nie wiem, dlaczego go nie przyciśniesz o więcej pieniędzy, naprawdę nie wiem. Dupek. Ten samochód musiał kosztować fortunę.

- Wiem. Ale już ci mówiłam, że nie chcę jego pieniędzy. Znam go. Gdyby płacił prawdziwe pieniądze, czułby się zwolniony z jakichkolwiek obowiązków i Alfie nigdy by go nie widywał. Jest jeszcze inna możliwość. Mógłby żądać, żeby Alfie był z nim przez cały weekend albo coś w tym stylu, żeby dostać wszystko, za co zapłacił.

- Hm, to nie byłoby takie złe, co? Mogłabyś mieć czasem cały weekend tylko dla siebie.

- Właśnie że byłoby. Nie mogłabym wytrzymać przez cały weekend bez Alfiego, jeszcze nie. Może kiedy będzie starszy. Jeśli będzie chciał. Na razie jest za mały.

Boże, ze mną naprawdę musi być coś nie tak. Na samą myśl o tym, że Alfie mógłby spędzić cały weekend z dala ode mnie, zbiera mi się na płacz. Może powinnam częściej gdzieś wychodzić?

- Już dobrze, nie rozklejaj się. Cholerka. Wiesz, nie wydaje mi się, żeby Mork i Mindy chcieli mieć naszego siejącego spustoszenie Alfiego przez cały weekend, prawda?

- Zgadza się.

- Ale nadal uważam, że powinnaś wycisnąć z niego wszystko co do pensa.

- Wiem. Ale nie chcę. Pomijając już wszystko inne, w ten sposób nie czuję się od niego zależna. Nie chcę tego zmieniać.

W porządku. Cóż, w takim razie chodź, mała panno niezależna. Skoro czekają nas zakupy, miejmy to za sobą. Ale ostrzegam, pięć sklepów i na tym koniec.

- A co miała niby znaczyć ta ważna randka? To tylko spotkanie towarzyskie, przecież wiesz.

- Wiem. Ale on nie musi tego wiedzieć. Dupek.

Kiedy przyjeżdżamy, urodzinowe przyjęcie Ezry kręci się już na całego. Alfie ściska kurczowo swój prezent, a drzwi otwiera nam Lola, która jest ubrana w piękną sukienkę z ciemnozielonego jedwabiu, do której, nie wiedzieć czemu, założyła kabaretki i czerwone szpilki. Wiem, że kabaretki są trendy, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ostatnim razem widziano je tutaj, kiedy faceci nosili jeszcze pończochy i peruki.



Ja mam na sobie mój najlepszy czarny kostium ze spodniami, który zakładam na spotkania z klientami. Trochę to mało efektowne, ale dość twarzowe, zwłaszcza z nową białą bluzką, którą kupiłam wczoraj, po tym jak przymierzyłam tyle różnych strojów, że dostałam zawrotów głowy. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że nikt nie weźmie mnie omyłkowo za kelnera.

- Witam, cieszę się, że jesteście. O, i przyniosłeś prezent, jak miło.

Alfie przyciska prezent do piersi i mówi, że jest dla Ezry. Wydaje się zaniepokojony, że Lola może rościć sobie do niego pretensje, a potem pojawia się Ezra, łapie prezent i oddala się pędem, rozdzierając papier.

- Ezro, kochanie, wróć tu i podziękuj Alfiemu.

- Nie.

- Nie spał od piątej rano. Czekał na magika. Istne piekło. W środku panuje niewyobrażalny hałas. Tabuny ludzi stoją w grupkach, popijając szampana, jakby nie byli świadomi, że ich dzieci sięją spustoszenie.

Jim zabiera Alfiego na mały spacer, ale tak naprawdę to chce popatrzeć na kobiety. Uważa, że jego atrakcyjność niesamowicie wzrasta, kiedy ma przy sobie Alfiego. Żałuję, że w moim przypadku wabik w postaci Alfiego nie działa już tak dobrze.

Zdaje się, że wszyscy z biura Loli mają ubrania od znanych projektantów, w jakichś dwóch przypadkach także i firmowe okulary, zaś miejscowi w większości schronili się w jadalni, spoglądając podejrzliwie na tace z sushi, z którymi krążą dwie młode kobiety w długich, białych fartuchach narzuconych na krótkie, czarne sukienki.

Ich szef, który ma włosy spięte w koński ogon, jest zajęty w kuchni; kiedy tam idę w poszukiwaniu jakiegoś soku dla Alfiego, pyta mnie, czy nie wiem przypadkiem, jak postawić wok na płycie ceramicznej. Najwyraźniej przeraża go perspektywa kinderbalu, a szczególnie mocne wrażenie robi na nim tort w kształcie wielkiego, niebieskiego dinozaura.

Magik Barry, znany również jako Czarodziej Waldo, jest już gotowy i zaczyna od formowania z balonów różnych zwierząt, co idzie mu bardzo dobrze, i produkuje przy okazji masę nieprzyzwoitych dźwięków, co idzie mu jeszcze lepiej. Potem, za sprawą rozentuzjasmowanego Ezry, pojawia się znikający królik, który rzuca się do ucieczki i pędzi przez pokój, ścigany przez wrzeszczące dzieci.

Barry mówi mnie i Molly, że chyba kupi sobie wiatrówkę, bo coś takiego przydarza się mu prawie co tydzień, i jego zdaniem zastrzelenie królika w charakterze wielkiego finału zostałoby bardzo dobrze przyjęte. Pewnie ma rację.

W końcu Charlesowi udaje się zapanować nad sytuacją -mówi, że lody się topią, więc wszyscy tłoczą się w jadalni. Na czas podwieczorku dzieci Lola wyprowadziła z jadalni wszystkich miejscowych, a teraz zasiadła w jednym z salonów i widać, że nie jest uszczęśliwiona. Spodziewała się chyba, że wszyscy londyńscy przyjaciele będą zafascynowani jej nowymi wiejskimi znajomościami, ale w rzeczywistości jedni i drudzy zbili się w zamknięte grupki, które się do siebie nie odzywają. Mówi, że próbowała ich ze sobą zapoznać, ale bez większego powodzenia.

- Chodzi o to, że oni sami z siebie nie podejmują najmniejszego wysiłku. To żałosne. Zaczynam myśleć, że cała ta sprawa z ogrodem może nie być wcale takim dobrym pomysłem, wiesz? Gdybym chciała, żeby wokół kręciły się ponuraki, mogę zatrudnić jeszcze kilka nianiek. A tamten stary ciągle opowiada o swoim wujku, który był więziony przez Japończyków. Jakby mnie to obchodziło.

- Myślę, że stara się nawiązać jakoś do sushi, skarbie. Charles się uśmiecha.

- Czyżby? Cóż, jeśli mu nie smakuje, może po prostu iść do domu, nie? Jestem pewna, że jakoś sobie poradzimy bez jego błyskotliwego towarzystwa. Doprawdy, Charles, to nie jest zabawne. Alice, to nie może być już cała śmietanka wsi, prawda? Powiedz mi, że mieszkają tu jacyś fascynujący ludzie, którzy jakimś cudem zostali przeoczeni. Lokalni artyści, coś w tym stylu?

- Hm. Raczej nie. Nie znam co prawda wszystkich, ale to by było na tyle, z tego, co wiem.

- Cholera jasna. W takim razie już postanowione. Myślałam, że z tym ogrodem będzie niezła zabawa, ale oni wszyscy są tacy nudni. Jestem pewna, że będą mogli skorzystać z ogrodu kogoś innego. Alice, nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Chryste. Nie mogę uwierzyć, że ona zamierza się teraz wycofać. Z jednej strony oczywiście się cieszę, bo będę miała kłopot z głowy, ale w sumie to trochę głupio rezygnować, tylko dlatego że ludzie nie zabłyszneli na jej przyjęciu.

Charles wygląda na wściekłego. Kiedy zaczyna mówić, jest jak ze stali.

- Nie bądź śmieszna, Lolu, już się zgodziliśmy. Nie możemy nagle zmienić zdania, tylko dlatego że niektórzy okazali się trochę nieśmiali. Nie wszyscy są tacy towarzyscy jak ty,

- Pokazałam im kawałek wielkiego świata. Mogliby to docenić. To beznadziejne.

- Nie możemy się teraz wycofać. Obiecaliśmy już, że udostępnimy ziemię.

- No cóż, tylko nie oczekuj, że będę coś prostowała, jeśli to wszystko zakończy się totalną katastrofą.

- Dziękuję za wsparcie, skarbie.

Lola oddała się pospiesznie.

Charles uśmiecha się do mnie przepraszająco.

- Przepraszam cię. Lola ma słomiany zapał, ale jestem pewien, że nie chciała być nieprzyjemna. Chodzi mi o twój projekt.

- Och, nic się nie stało. Ale wiesz, może ma trochę racji - ja nie mam zielonego pojęcia o ogrodach.

- Jestem pewny, że twój projekt będzie wspaniały.

Przyjeżdżają rodzice Loli i Wielki Kompozytor wkrótce zostaje osaczony w kącie przez grupkę koneserów, którzy nadskakują mu i trajkoczą o muzyce tonalnej. Matka Loli daje Ezzre stos płyt CD z muzyką klasyczną, bo nigdy nie jest za wcześnie, żeby zacząć kształtować muzyczne gusta, a potem stoi wyczekująco w pobliżu swojego męża i wygląda na zaniepokojoną.

Zostaję przedstawiona Geraldowi i Lawinii, rodzicom Charlesa, którzy jako dziadkowie również nie przywiązują zbytnej wagi do swoich

obowiązków. Lawinia popija sherry, zatopiona w długiej rozmowie z kobietą, która hoduje cocker spaniele, zaś Gerald chyba uciął sobie krótką drzemkę w fotelu. Ale przynajmniej przywieźli fajny prezent, pięknego konia na biegunach, który bardzo spodobał się Ezrze głównie dlatego, że Mabel już miała okazję z niego spaść.

Lawinia wyszczekuje Charlesowi polecenia: nic dziwnego, że Charles dobrze wie, jak postępować z Lolą. Lata rozstawiania po kątach przez matkę musiały być naprawdę dobrym treningiem.

Popołudnie upływa pod znakiem tortu i wrzasków. Na szczęście jest sucho, więc dzieci mogą się bawić w ogrodzie i Bruno, dobrze zbudowany pięciolatek, klinuje się w krzakach za garażem, skąd trzeba go wyciągać przy akompaniamencie krzyków. To zdaje się nie wywiera żadnego wrażenia na jego ojcu w moherowym swetrze, który pracuje w biurze Loli, ale za to jego matka, Mimi, boi się, że mały mógł nabawić się klaustrofobii, i dzwoni na komórkę do swojego homeopaty, żeby umówić się na awaryjną wizytę.

Bruno dochodzi do siebie, kiedy Lola daje mu mini marsa wpycha go do ust, podczas gdy jego matka wyjaśnia, że właściwie to on nie przepada za czekoladą i woli suszone morele. Wymieniamy z Molly rozbawione spojrzenia, bo Bruno wygląda dokładnie na takie dziecko, które prędzej cię pogryzie, niż da się zbyć suszoną morelą.

Ezra maszeruje po ogrodzie, informując wszystkich, że teraz ma sześć lat i jest już duży, nie jak głupia Mabel, która właśnie w najlepsze bawi się z Lily. Obie są bardzo zadowolone ze swoich różowych wyjściowych sukienek i Lily uczy Mabel figur baletowych. Alfie i jego

nowy przyjaciel George udają psy i stopniowo zabawa ta pochłania także Lily i Mabel. Mabel jest najmłodsza, ale z pewnością umie walczyć o swoje. Odmawia kategorycznie wykonania siadu, ale bardzo podoba jej się chodzenie wokół na czworakach i szczekanie. Wszyscy czworo świetnie się bawią, kiedy postanawia się do nich przyłączyć Ezra.

- Jestem największy, więc będę rządził. George nie jest zachwycony.

- Ja jestem dużym psem. Możesz być owcą.

O Boże, jakoś nie wydaje mi się, żeby jubilat widział siebie w roli owcy.

- Nie możesz być dużym psem, jesteś tylko dzieckiem. Jak Mabel.

Mabel kibel.

Mabel nic sobie z tego nie robi, tylko rzuca w niego patykiem. Alfie zdaje się ma ochotę zrobić to samo i kiedy mam już ruszyć, żeby uspokoić towarzystwo, zanim ktoś nadzieje się na patyk, Lily przejmuje dowodzenie i obwieszcza, że Ezra jest okropny i nikt nie będzie się z nim bawił. Jest naprawdę niezła w te klocki i lubi przewodzić maluchom w przedszkolu, ale robi to w tak subtelny sposób, że przeważnie nie zwracają na to uwagi-

Alfie i George nadal mają ochotę na rzucanie patykami, ale łykają przynętę, kiedy Lily mówi, że teraz ona i Mabel są kotami, a Alfie i George muszą je gonić. Odbiegają z piskiem, zostawiając biednego Ezrę, który wygląda na bardzo nieszczęśliwego.

Molly próbuje mu pomóc, prosząc, by pokazał nam swojego nowego, wspaniałego konia na biegunach, na co on niechętnie się zgadza. Ulatnia się, kiedy Lola przedstawia nas facetowi ze swojego biura,

który ma na imię bodajże Tray, a może Troy; facet wydaje się z siebie bardzo zadowolony i zaczyna opowiadać nam o swojej ostatniej podróży do Peru.

Molly udaje się uciec, ale ja jestem na całe wieki uziemiona z Trayem, dopóki Dan nie przybywa mi na ratunek, po tym, jak rzucam mu gorączkowe spojrzenia.

- Przepraszam, Alice, ale Jim mówi, że potrzebuje twojej pomocy przy Alfiem.

Oddaliśmy się w drugi koniec ogrodu.

- Naprawdę tak mówił?

- Nie. Świetnie się bawi, gruchając ze wszystkimi paniami. Widziałaś Moll?

- Nie. Chyba weszła do środka. O, a tak przy okazji, przyjmij moje gratulacje. Już wcześniej chciałam ci pogratulować dzidziusia, ale zapomniałam.

- Dzięki. Mamy nadzieję, że następne może będzie większym śpiochem. Lily była straszna. Hm, właściwie nadal jest. Dziś rano była na nogach już o wpół do szóstej. Tańczyła sobie w stroju baletnicy. Moll ci mówiła? Janice zapisała ją na lekcje baletu dla maluchów, raz w tygodniu. Dzieciaki tańczą w tych maleńkich spódniczkach, robią skoki i tak dalej. Wygląda naprawdę słodko, ale nie o cholernym bladym świecie. Skończyło się na tym, że musiałem wstać. Moll potrzebuje teraz dużo snu.

- Myślę, że z drugim powinno być łatwiej.

Właściwie to nie jestem pewna, czy to prawda. Zgodnie ze słowami mamy Jim miał naprawdę twardy sen, a ja byłam pod tym względem okropna. Ale chcę dodać mu otuchy.

- Dopóki wszystko jest w porządku, to naprawdę nie ma znaczenia. Potem człowiek zapomina, jak się denerwował przed ich przyjściem na świat, prawda? Za kilka tygodni mamy pierwsze USG i pomyślałam, że może powinniśmy zabrać Lily, żeby zaczęła się przyzwyczajać do myśli o nowym dziecku. Moll uważa, że to wszystko będzie dla niej nudne, ale ja myślę, że może jej się spodobać.

Wiem czego boi się Moll - że coś może być nie tak, a gdyby naprawdę było, to lepiej, żeby Lily tego nie widziała. Nie chce jednak nic mówić Danowi, żeby się nie martwił. Dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem i dostałam ściśle wytyczne: mam mówić, że według mnie lepiej będzie, jak pójdą sami.

Może lepiej zabrać ją następnym razem, no wiesz, kiedy dziecko będzie troszkę większe. Trudno się w tym wszystkim połapać, kiedy są takie maleńkie, prawda?

- Racja. Moll chyba boi się, że coś może być nie tak. Za pierwszym razem aż do samego porodu była przekonana, że Lily będzie coś dolegać. Oczywiście nie piśnie ani słowa, ale wiem, że się martwi.

- Też to przechodziłam z Alfiem. Chyba wszyscy tak mają.

- Chciałbym tylko, żeby zwolniła tempo. Zawsze jest w coś zaangażowana, no wiesz, w szkole. Wczoraj siedziała naprawdę do późna, wyklejając jakieś pomoce naukowe. W weekendy też ma zawsze coś do roboty.



- Wiem. Ale wkrótce będzie koniec semestru, prawda?

- Tak. Mieliśmy zamiar wyrwać się na parę dni, ale akurat mam robotę. O, i chciałem ci powiedzieć, żebyś dała mi znać, jeśli będziesz potrzebowała jakiejś pomocy przy ogrodzie. Moll o wszystkim mi opowiedziała.

- Dzięki, Dan, byłoby super.

Wracamy do środka, żeby napić się herbaty; po drodze rozmawiamy o planach. Może i świeci słońce, ale ciągle jest cholernie zimno. Dan jest naprawdę w porządku i zdaje się, że bardzo cieszy się na kolejne dziecko. Mówi, że Molly chyba myśli, że on chciałby chłopca, kiedy tak naprawdę wolałby jeszcze jedną dziewczynkę, bo tak według niego byłoby lepiej dla Lily.

Molly utknęła w długiej i zawiłej rozmowie na temat historii swojego domu z pewnym staruszką, który mieszka we wsi od jakichś trzystu lat. Jim ciągle krąży po domu i wydaje się szczególnie zainteresowany wspaniałą blondynką o imieniu Nicky, która pracuje w biurze Loli i ma świetne nogi. Jim mówi, że Lola posyła mu zalotne spojrzenia, ale on stara się jej unikać, bo dotarło do niego mnóstwo plotek na jej temat, i najwyraźniej większość współpracowników, zwłaszcza podwładnych, naprawdę jej nienawidzi. Zgodnie ze słowami Nicky, Lola wylała w ciągu jednego popołudnia swoją sekretarkę i księgowego głównie dlatego, że podczas lunchu chciała kupić spodnie, ale nie udało się jej znaleźć odpowiednich.

Wracam z herbatą do ogrodu, żeby sprawdzić co z Alfiem, ale głównie po to, żeby ponownie uciec od Traya, który zrobił mi wykład na temat bauhausu, a teraz jeszcze odkrył, że jestem architektem.

Charles również jest w ogrodzie i stara się dopilnować, żeby żadne z dzieci nie wylądowało w stawie.

- Przyjęcie można chyba uznać za udane, co? - zagaduję.

- Tak, Lola jest świetna w organizowaniu przyjęć, hm, właściwie jest świetna w organizowaniu wszystkiego. To dobrze, bo nie jest to moja mocna strona. Wielozadaniowość - zdaje się tak to nazywa. Chyba chodzi o geny. Moja matka ciągle powtarza, że ojciec jest tak samo beznadziejny. Nawet psy go ignorują. Ale wystarczy, żeby matka tylko uniosła brwi i od razu zwiewają do swoich koszyków.

- Może zechciałaby wpaść którego dnia i wypróbować sztuczkę z brwiami na Alfiem?

Alfie nadal jest psem i biega z George'em, zataczając kółka, ale wygląda na to, że nikogo to nie irytuje, więc postanawiam zostawić go w spokoju. Lily i Mabel na nowo zajęły się baletem, od czasu do czasu wcielając się w owce, żeby Alfie i George mieli zajęcie. Ezra ciągle krąży na obrzeżach, starając się zachować nonszalancką postawę, ale najwyraźniej bardzo chciałby się przyłączyć. Biedaczek, w końcu wraca do domu. Zawsze uważałam, że niełatwo być jubilatem.

Pojawia się pan Channing, a potem jeszcze jakiś facet o imieniu Frank oraz Elsie Thomas i zaczynamy rozmawiać o planach nowego ogrodu. Znienacka bombardują mnie informacjami na temat rodzajów gleby i różnych ziół, o których w zasadzie pierwsze słyszę. Pan Channing

mówi, że uwielbia koper włoski, a Frank stwierdza, że może z ręką na sercu polecić szalwię, a potem wszyscy robią się bardzo podekscytowani i zaczynają rozmowę o ogrodach otoczonych murami, i zastanawiają się, czy można wyhodować naprawdę dobre brzoskwinie pod południową ścianą.

- Jeśli jesteś zainteresowana drzewami owocowymi, odpowiednim człowiekiem będzie Graham Poltney. Zwykle przychodzi na spotkania, ale tej zimy miał problemy z płucami. Któregoś dnia spotkałam w sklepie jego żonę i powiedziała, że już wraca do zdrowia, ale było naprawdę ciężko. Kasłał tak, że mógłby obudzić umarłego.

Zanim Elsie za bardzo się zaangażuje w chorobę pana Poltneya, Charles naprowadza ją na bezpieczniejszy grunt.

- To bardzo miło z waszej strony, że chcecie nam pomóc. Pani Thomas, która musi mieć co najmniej osiemdziesiąt lat, obdarza Charlesa niezwykle zalotnym spojrzeniem.

- To będzie czysta przyjemność, ponieważ odrobiny zainteresowania nigdy za wiele, dla odmiany. Nie dalej jak parę dni temu mówiłam staremu Frankowi, że kiedy człowiek przechodzi na emeryturę, to tak, jakby się robił niewidzialny, prawda Frank?

Stary Frank, który w rzeczywistości wygląda na co najmniej dwadzieścia lat młodszego od Elsie, przytakuje. Elsie teraz naprawdę rozwija skrzydła.

- Weźmy tę dziewczynę w sklepie. Wiecie, że parę dni temu zapytała mnie, czy pomóc mi zanieść zakupy do domu? Co za tupet. Dzień, w którym nie będę mogła sama postarać się o kolację, jest jeszcze

odległy, mam nadzieję. A kiedy nadejdzie, nie będę zawracała nikomu głowy swoimi zakupami, mówię wam. Kupię sobie takie jeździdełko, jakie ma pani Norris.

Zdaje się, że nikt nie jest do końca pewny, o co jej chodzi. Nagle Frank doznaje olśnienia.

- A, chodzi ci o ten elektryczny skuter? Elsie patrzy na niego pogardliwie.

- Tak, przecież mówię. Niemal zrównała mnie z ziemią przed sklepem. Szalona kobieta. Wiecie, ona w ogóle nad tym nie panuje. Moim zdaniem nie powinni jej tego dawać. Ale ona zawsze miała dobre układy z tym doktorem. Mam problemy z biodrem, mówię poważnie. Ale po prostu jakoś sobie radzę, bo nie lubię robić wokół siebie zamieszania. Nie mam też jednej z tych pomocy domowych. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to strata czasu i pieniędzy. Węszą w twoich rzeczach, pustoszą kredensy. Dziękuję bardzo.

Alfie wybiera właśnie ten moment, żeby przyjść i domagać się więcej tortu. Na szczęście mówi „proszę” i obdarza panią Thomas jednym ze swoich specjalnych, błagalnych uśmiechów, co przypomina jej ojej wnuczku, i Elsie stwierdza, że sama też nie pogardziłaby jeszcze jednym kawałeczkiem, więc wracamy gromadnie do domu.

Lola jest w kuchni, gdzie robi sos do spaghetti; wygląda na to, że zaprosiła na kolację wszystkich swoich londyńskich przyjaciół, jednocześnie dając jasno do zrozumienia, że miejscowi powinni zacząć się zbierać.

Frank proponuje Elsie, że podwiezie ją do domu, co jest jak znak do odwrotu dla większości miejscowych. Zapraszam Dana i Molly na kolację i idę odszukać Lolę, żeby się pożegnać.

- Nalegam, żebyście zostali na kolacji, robię mój specjalny sos. Jest cudowny.

- Na pewno jest wspaniały, ale Alfie jest już zmęczony. Lepiej pójdziemy, zanim zacznie wierzgać. W każdym razie wielkie dzięki, było świetnie.

- No cóż, skoro jesteś pewna. Charles, daj Alice trochę tortu. I nie zapomnijcie toreb z upominkami. Są w holu.

Okazuje się, że wszyscy dostajemy torby z upominkami, na których wypisane są nasze imiona. Moja pełna jest żelków bobasków i miniaturowych buteleczek z eleganckim płynem do kąpieli, jest też srebrny lakier do paznokci. Molly ma czekoladowe drażetki i lakier do paznokci w kolorze metalicznego błękitu. Wiem, że nigdy go nie użyję, i muszę pamiętać, żeby ją zapytać, czy nie wymieni go na trochę żelków. Alfie i Lily dostają gwizdki i słodycze, a Jim i Dan czekoladowe piłki i wyścigowe samochodziki. Ktokolwiek przygotowywał te torby, odwalił kawał świetnej roboty.

Próbujemy przekonać Alfiego i Lily, żeby wstrzymali się zjedzeniem słodyczy, zanim dotrzemy do domu, ale oni nic sobie z tego nie robią i zaczynają dmuchać w gwizdki. Ezra i Ma-bel są bardzo poruszeni, bo nie dostali toreb z upominkami i atmosfera robi się dość napięta. Lola usiłuje wyjaśnić, że torby z upominkami są dla ludzi, którzy wychodzą,

na co Ezra wciąga kurtkę i mówi, że idzie z nami, więc też chce dostać torbę.

Ciągle na haju z powodu odkrycia, że teraz posiadam srebrny lakier do paznokci i mam całkiem duże szanse, by dodać do swojej kolekcji jeszcze błękitny metallic, mówię, że jeśli chcą, mogą przyjść do nas na trochę; Ezra wydaje się naprawdę zdesperowany. Oczywiście tak tylko mówię, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie miałby ochoty zabrać sześciolatka pod koniec jego przyjęcia urodzinowego, a zwłaszcza nie Ezrę, ale Lola jest zachwycona.

- Może mogliby przejść się z tobą na mały spacer. Co o tym myślisz, Charles? Już wiem, może z nimi pójdziesz, zaczerpniesz trochę świeżego powietrza. Zobaczysz, czy uda ci się uspokoić Ezrę.

Wychodzimy. Droga jest zastawiona samochodami: same bmw i ogromne dżipy. Dzieci zaczynają się sprzeczać, a Lily upuszcza swoje słodycze. Zanim wpadnie w szal, Dan zaczyna śpiewać piosenkę Stary Macdonald farmą miał, bardzo realistycznie udając owcę, co Lily uwielbia. Alfie i Mabel wkrótce się przyłączają, nawet Ezra nie może się oprzeć. Jim patrzy na mnie błagalnie, ale nalegam, żeby też śpiewał, i ku jego przerażeniu okazuje się, że świetnie naśladuje osła.

W domu Dan włącza wideo, ja otwieram wino, a Jim rozpala w kominku. Kiedy robię pizzę, Molly wymyśla historię z podziałem na role, w której biorą udział wszystkie dzieci; cała czwórka siedzi jak zaczarowana. Później ster przejmuje Dan, a kiedy przychodzi kolej na Charlesa, Molly musi na nowo przejąć dowodzenie, bo Ezra wspina mu się na plecy i dźga w siedzenie, kiedy ten udaje lwa. Jestem zwolniona

z obowiązku snucia opowieści, bo jestem zajęta tarciami sera, a poza tym próbuję ustalić, kto prawdopodobnie rzuci się z wrzaskiem na podłogę, jeśli znajdzie na swojej pizzy oliwki.

Charles mówi, że lepiej będzie, jak zabierze dzieci do domu, ale trochę się z tym ociąga. Nie wydaje mi się, żeby zbyt się cieszył na wieczór w eleganckim towarzystwie przyjaciół Loli. Proponuję, żeby zostali na kolacji, ale Ezra ma już wyraźnie dość. Zdążył już parę razy przywalić Mabel, a ona oblała go sokiem i wygląda na to, że w każdej chwili może się zdobyć na jeszcze straszniejszą zemstę. I rzeczywiście, wychodząc, zaczynają się popychać i kończy się na tym, że Charles robi z nimi porządek i do domu maszerują już w stanie zupełnej niełaski.

Pizza jest wielkim sukcesem, Jim i Dan rozmawiają o piłce nożnej, podczas gdy Molly i ja ograniczamy się do rozmowy o ciuchach i dzieciach, aż uświadamiamy sobie, że lepiej skończyć imprezę, zanim zaczniemy wymieniać się przepisami na biszkopt ze śliwkami.

Lily śpi jak zabita, kiedy Dan niesie ją do samochodu, a Alfie kima w jakimś półsennym transie przed telewizorem. Z jego ust nie wydobywa się nawet mruknięcie, kiedy Jim zanoszą go do łóżka.

Wszystkie te rozmowy na przyjęciu o ogrodach i roślinach uświadomiły mi, że naprawdę muszę się do tego na poważnie zabrać. Kończy się na tym, że śnię o olbrzymim murze, który się zawala, i ogromnej fontannie, która zajmuje cały ogród i z jakiegoś powodu jest wypełniona jasnorożową wodą. O Boże.

**DZIENNIK OGRODOWY**

Wykop i przesadź przebiśniegi, usun obumarłe główki żonkili. Przytnij kwitnące latem krzewy i skontroluj drzewa owocowe. Zapewnij trawnikowi wiosenną dawkę nawozu.

*Tak bardzo pochtania mnie dokończenie projektu ogrodu, że nie mam czasu, żeby zrobić cokolwiek u siebie. W ogrodzie od frontu uda/o się przebić paru żonkilom, które wyglądają naprawdę sympatycznie, ale boję się, że pod wpływem ulewnego deszczu z gradem grozi im zrównanie z ziemią, więc decyduję się podjąć akcję ratunkową i wybiegam na dwór, ściskając kurczowo parasolkę, z nadzieją, że zaraz nie strzeli mnie piorun. Byłoby głupio, gdyby zabrali mnie do szpitala, po naelektryzowaniu przez własną parasolkę w trakcie ratowania żonkili. Prawdopodobnie potraktowaliby mnie jak kompletnego świra i wszystkie pielęgniarzki zaglądałyby do mojej sali, żeby potraktować mnie szyderczym uśmiechem. Tak samo robią, kiedy przez przypadek człowiekowi przyklei się na superglue do ręki kawałek wikliny, gdy próbuje odnowić stare, wiklinowe krzesło, co jest o wiele bardziej bolesne, niż się wydaje, i tak naprawdę zupełnie nieśmieszne. Nadal uważam, że pielęgniarzki nie powinny się wtedy aż tak ze mnie śmiać.*



- Pan Channing mówi, że mogę teraz posadzić ziemniaki, wysiać groszek i marchewki, obiecał też, że przyniesie mi trochę sadzonek.

Pan Channing zaczął zaglądać do Molly, żeby pomóc jej z warzywnikiem. Również z Lily jest w dobrych stosunkach, choć w zeszłym tygodniu napełniła jego gumowce ziemią, w dodatku, kiedy miał je na nogach.

- Powiedział, że pomoże mi założyć ogródek zielny, i od teraz mam mu mówić Bill, więc chyba przeszłam jakiś wstępny test. A co u ciebie?

- Cóż, nikt mi nie zaproponował, żebym mówiła mu Bill, ale nazbierałam mnóstwo plotek. Stara Elsie jest naprawdę pocieszna - opowiedziała mi wszystko o pani Baxter, no wiesz, to ta, która czasami pracuje w sklepie. Wygląda na to, że kiedy pani Baxter była w zeszłym roku w Hiszpanii, miała tam romans z tancerzem flamenco i od tamtej pory nie jest już taka sama.

- No i dobrze. Czy to ta niska z ciemnymi włosami?

- Tak. Muszę nakłonić Alfiego, żeby zabrał do sklepu swoje kastaniety, żeby zobaczyć, jak ona na to zareaguje.

- Zastanawiam się, czy zna się na tych przytupach i klaskaniu. Może mnie by nauczyła? To naprawdę mogłoby mi się przydać w szkole.

- Tak, a jaką furorę zrobiłoby to w przedszkolu. Właściwie to Alfie już jest całkiem niezły, jeśli chodzi o tupanie. Wiem, mogłybyśmy zapoczątkować nowe zajęcia - „Flamenco dla pięciolatek i młodszych”. To byłoby lepsze od cholernego „Chodzi lisek koło drogi”.

- Tak, i takie wielokulturowe. W kuratorium na pewno byliby tym zachwyceni. Mogłabym podsunąć ten pomysł naszej nauczycielce muzyki, bo jest beznadziejna. W zeszłym tygodniu kazała jednemu z moich dzieciaków ćwiczyć w domu na rondlach. Możesz sobie wyobrazić ten hałas? Czasami nie wiem, na jakim świecie ona żyje. Jego matka była wściekła.

- No, ja myślę. Boże, mam nadzieję, że za parę lat nikt nie będzie kazał ćwiczyć Alfemu w domu Jingle bells na moich garnkach. Słuchaj, będę kończyć. Alfie znowu wkłada samochodziki do pralki i jak ich teraz nie wyjmę, to o tym zapomnę, a one robią potworny hałas podczas wirowania.

- Skończyłaś już projekt?

- Nie całkiem, ale już prawie. Jeszcze raz wszystko pozmieniałam i myślę, że teraz jest lepiej.

- Zadzwoń do mnie później, gdybyś potrzebowała pomocy. Jeśli chcesz, mogę do ciebie wpaść po szkole. Dan powiedział, że posiedzi jutro z dziećmi, kiedy pójdziemy na spotkanie.

- Super.

Przez większość dnia ślęczę nad projektem. Jestem potwornie zdenerwowana na myśl o jutrzejszym zaprezentowaniu go Towarzystwu Ogrodniczemu. Alfie również ma pracowity poranek i kiedy odbieram go z przedszkola, jest cały pokryty farbą i brokatowym klejem, tak zwanym glitterem. Przez większość popołudnia ogląda filmy na wideo i bawi się, co pięć minut domagając się jakiejś przekąski, a ja jestem coraz bardziej wyczerpana, usiłując

doprowadzić sprawę projektu do końca. Przed pójściem do łóżka oboje jesteśmy zmęczeni i zrzędlivi, a ja mam dziwne przeczucie, że kąpiel może okazać się prawdziwym wyzwaniem.

- Mogę dostać do wanny herbatnika w czekoladzie? Potrzebny mi herbatnik.

Alfie zwykle zaczyna potrzebować różnych rzeczy, kiedy usiłuję zapakować go do wanny, zwłaszcza jeśli wiąże się to z wycieczką na dół.

- Nie, ostatnim razem wpadł ci do wody, pamiętasz? I cały rozmókł.

Spogląda na mnie, a ja staram się wyglądać na stanowczą, ale wtedy on wpada w szal i ciska się po łazience, tupiąc i piszcząc, a mała powierzchnia tylko potęguje hałas. Próbuję zastosować pozytywnie wychowawczy trik ze zignorowaniem sprawy, polegający na tym, że stoi się obok z dobrotliwym uśmiechem, czekając aż maleństwo skończy. Jednak łatwiej powiedzieć, niż zrobić, zwłaszcza kiedy stoi się wciśnięta w wieszak na ręczniki.

- Przestań, Alfie, zachowujesz się bardzo niemądrze. Właż do wanny. Będziesz mógł pobawić się zabawkami. Zobacz, wrzuciłam wszystkie twoje łódki.

Alfie oświadcza, że nie chce żadnych łódek, bo tak w ogóle to nie cierpi łódek, a potem wchodzi do wanny i wyrzuca je na podłogę, wylewając przy okazji hektolitry wody.

- Przestań natychmiast, moczysz podłogę.

- Głupia mamusia.

- Głupi Alfie.

Następuje zszokowana cisza. Zwykle nazywa mnie głupią ze sześć razy na dzień, a ja nie reaguję.

- Nie możesz tak na mnie mówić. Jesteś okropna.

- Właśnie, że mogę. Tylko głupi ludzie zalewają specjalnie podłogę w łazience. To jest prawdziwa głupota. Ja nie zachowuję się głupio, zobacz. Wycieram podłogę.

Z wanny leci kolejna łódka, przelatując tuż koło mojego ucha.

- Dobra. Koniec. Wystarczy tej kąpieli.

Wyciągam korek. Z ust Alfiego wydobywa się taki dźwięk, jaki zgodnie z moimi wyobrażeniami musieli wydawać ludzie w erze sprzed środków znieczulających, kiedy doktor zabierał się za piłowanie. Próbuję to ignorować, zaś Alfie nadal miota się w wannie. Ciągle ma na kolanach sporo glittera, ale nie ma mowy, żebym mogła mu je teraz przemyć myjką, chyba że uda mi się na szybko wykombinować jakiś sznur, żeby go związać.

Właściwie to zawsze uważałam, że bardzo by mi się przydał, taki minikaftan bezpieczeństwa. Coś miękkiego i wełniste-go, może ozdobionego królikami, żeby przyjaźnie wyglądało, coś, co można zarzucać na delikwenta w podbramkowych momentach. Nie wierzę w te bzdury o wysyłaniu dziecka do kąta lub na schody, żeby sobie przemyślało, jakie było niegrzeczne. Uważam, że jeśli dziecko faktycznie będzie stało w kącie czy siedziało na schodach, rozmyślając o swoich przewinieniach, to prawdopodobnie nie było wcale aż takie niegrzeczne.

Jeśli jednak ma się dziecko pokroju Alfiego, trzeba by czaić się w pobliżu schodów, żeby mieć pewność, że naprawdę tam siedzi, a nie korzysta z okazji, żeby zabawić się w Piotrusia Pana czy rozmontować telefon. Taki ciuszek na rzepy naprawdę byłby pomocny. Można by go założyć jednym ruchem, posadzić malca na kanapie i popijając herbatę, przyglądać się spokojnie, jak usiłuje zabawić się w Houdiniego. Wiem, że to byłoby nielegalne, ale jestem też pewna, że w Baby Gap zarobiliby na tym fortunę. Może mogłabym poprosić mamę, żeby wydziergała mi coś takiego na drutach?

Woda już spłynęła, ale Alfie nadal się rzuca. Żałuję, że nie zaczęłam go besztać dopiero po wyjęciu z wanny. Ostatnim razem, kiedy próbowałam wyciągnąć go w trakcie napadu furii, prawie zwichnęłam sobie ramię. Jest mokry i śliski, więc nie będzie łatwo go chwycić, i kiedy już myślę o tym, żeby się poddać i iść po puszkę z herbatnikami, nagle spływa na mnie olśnienie. W weekend oglądaliśmy przyrodniczy film dokumentalny, w którym jakiś przygłup uprawiał zapasy z krokodylem; owijał go jakąś płachtą, a potem siedział na nim, mocno się trzymając, kiedy ten miotał się po bagnie.

Zarzucam na Alfiego ogromny ręcznik kąpielowy, a potem go chwytam, choć ciągle wierzga, i zaciągam do jego pokoju. Ręcznik przynajmniej trochę tłumi jego wrzaski. Kiedy wynurza się spod ręcznika, jest czerwony na twarzy i oburzony, włosy sterczą mu we wszystkie strony, ale przynajmniej z kolan zszedł klej. Odebrało mu ze złości mowę, ale nie daję mu czasu na kolejny popis. Ubiegam go szybko, ogłaszając rozejm.

- No proszę, jaki jesteś śliczny i suchy. Założymy piżamkę, a potem będziemy mogli poczytać. Ale już starczy tych niemądrych wrzasków, dobrze?

Alfie spogląda na mnie złowrogo i wyrzuca ręcznik za drzwi, żeby określić swoje stanowisko.

- Którą chcesz książkę, o pingwinach czy niedźwiedziach?

- Ledwie mogłem oddychać, kiedy byłem cały przykryty.

Kręci smutno głową i obdarza mnie długim, nieszczęśliwym spojrzeniem, by podkreślić wagę swoich słów. Postanawiam to zignorować. Jestem pod wrażeniem skuteczności mojej nowej awaryjnej techniki ujarzmiania i być może jeszcze z niej skorzystam, choć paradowanie po Sainsbury's z ogromnym ręcznikiem kąpielowym może się wydawać odrobinę dziwaczne.

- A może poczytamy Kubusia Puchatka!

Wiem, że to odwróci jego uwagę od ręcznika, bo wczoraj oświadczył, że nie cierpi Kubusia Puchatka.

- Mogłabym przynieść ci szklankę wody, jeśli założysz ładnie piżamkę. Zastanawiam się, czy mogę zaryzykować i nalegać, żeby umył zęby. Powrót na miejsce zbrodni może go na nowo rozjuszyć, ale z drugiej strony, w łazience jest jeszcze jeden ręcznik.

Choć może nie powinnam przeginać. Może nabawić się chorobliwego lęku przed ręcznikami, a to po jakimś czasie może zrobić się nieciekawe i jeszcze będę musiała go wycierać kuchennymi ściereczkami.

- Chcę soku.

Wciąga piżamę bez większego problemu i kiedy wracam z piciem, siedzi na łóżku z anielskim wyrazem twarzy. Dość szybko układa się do snu, najwyraźniej wyczerpany całym tym zamieszaniem. Jego oddech staje się wolniejszy i, kiedy gaszę światło, prawie śpi.

Zauważam, że wieszak na ręczniki jest pusty, a jak się nad tym zastanowić, to ręcznik, który wyrzucił wcześniej za drzwi, również zniknął. W końcu znajduję je pod swoim łóżkiem, całe oblepione kurzem. Kiedy poszłam po sok, musiał szybko znać: leżać im jakąś kryjówkę na wypadek, gdybym miała ochotę na dalszą szamotaninę.

Kiedy wracam na dół, dzwoni Lola, a to zwykle oznacza, że czegoś chce. Okazuje się, że ona także miała wyczerpujące popołudnie: Sophie, jej osobista asystentka spieprzyła sprawę z rezerwacją na lunch, więc wysłała jej e-mail, opisując dokładnie, co jej się przytrafi, jeśli jeszcze raz zrobi coś takiego, ale musiała wcisnąć nieodpowiedni klawisz, bo jakimś cudem rozesłała ten list do wszystkich w biurze i większości klientów.

- A dziesięć minut później dostałam ostrą notkę od Penelope z działu kadr, z pytaniem, czy chciałabym porozmawiać o tym, co mówi polityka firmy na temat tyranizowania współpracowników. Co za bezczelność. Te cholerne kadry chyba sobie żartują. W każdym razie powiedziałam jej, że jeśli uważa zwykły, niewinny e-mail za tyranizowanie, to się nieźle zdziwi. A do tego były dzisiaj straszne korki - im szybciej wprowadzą w całym kraju płatne drogi, tym lepiej, takie jest moje zdanie. Cokolwiek, byle tylko ludzie znowu zaczęli jeździć autobusami, gdzie jest ich miejsce. A potem wracam do domu i

Charles mi oznajmia, że pani Bishop znowu nie mogła przyjść, bo jej matka ma problemy z kolanem. Nie wiem, dlaczego jej po prostu nie umieści w jakimś domu starców czy gdzieś. Albo mogłaby zostawić ją w szpitalu, bo zdaje się, że i tak spędza tam większość czasu. Musimy postarać się o kogoś innego, bo nie mogę pozwolić, żeby dom tak wyglądał. Po powrocie spodziewam się cichego azylu, a zastaję zupełne przeciwieństwo. I właśnie zjadłam ogromne pudełko lodów waniliowych. Och.

- Tak. I mam na oku ogromną paczkę chipsów. A Charles w ogóle mi nie pomaga. Jeśli akurat nie rozprawia z połową wsi o cholernym koprze włoskim, to bałagani, ile tylko wlezie. Tak czy inaczej, właśnie czytałam o pewnym cudownym miejscu z ziołami, które jest całkiem niedaleko, i pomyślałam, że mogłybyśmy tam pojechać. Oczywiście nie w sprawie tego wspólnego projektu, od tego nadal trzymam się z daleka, ale może miło byłoby mieć zielny ogródek od kuchni. To nie może być aż tak skomplikowana sprawa, prawda?

- Naprawdę nie wiem.

Boże. Założę się, że zaraz poprosi mnie, żebym zaprojektowała jej zielny ogródek.

- Hm, Charles na pewno wyszpera jakieś wskazówki. Pochłania całe stosy książek, a tam musi znaleźć się coś, co mógł-by skopiować. Może ty byś mu pomogła z rozrysowaniem? A przy okazji, jak ci idzie z projektem?

- Prawie skończyłam, tak myślę.



- Wczoraj wieczorem widziałam na Channel 4 coś bajecznego, to było coś w rodzaju drewnianego pawilonu zawieszzonego nad wodą. Naprawdę stylowe. Może mogłabyś coś takiego zaprojektować?

- Myślę, że to by mogło trochę przekroczyć budżet Towarzystwa Ogrodniczego.

- Och. No cóż, mam tylko nadzieję, że to nie będzie jakieś zupełnie beznadziejne. Chodzi o to, że to zaraz obok naszego domu. Jestem pewna, że twój projekt będzie cudowny, ale jeśli oni obsadzą ogród tymi beznadziejnymi, zaściankowymi roślinami, to będzie tragedia. Jedźmy do tych ziół i zobaczmy, może uda nam się znaleźć coś z klasą, co byś mogła tam przemycić. Dowiem się, gdzie to dokładnie jest, i dam ci znać, dobrze?

Jakimś cudem kończy się na tym, że mówię tak, będzie wspólnie, choć wcale nie chcę jechać po żadne zioła. Może o tym zapomni, ale, nie wiedzieć czemu, mam przeczucie, że jednak nie.

Kiedy zjawiamy się z Molly w świetlicy, okazuje się, że przyszło pół wsi. Ludzie są bardzo podekscytowani, a pani Pomeroy ma wypieki. Kiedy wykładam plany, wszyscy zaczynają gromadzić się wokół stołu, a pani Pomeroy klaszcze w ręce i prosi o ciszę. Chryste, nie ma to jak zwiększyć napięcie.

Wyjaśniam, że zdecydowałam się na dość tradycyjny warzywnik skrzyżowany z czymś w rodzaju Tajemniczego Ogrodu - motywy z Alhambry plus nowy, półkolisty mur, który otoczy jeden róg istniejącego ogrodu; do tego celu można wykorzystać stare cegły, więc będzie wyglądało jakby ten mur stał tam od lat,

1 będzie na tyle wysoki, żeby nie było widać, co za nim jest. Wejście będzie osłonięte przez drzewa i krzewy, więc będzie miało się wrażenie, jakby wchodziło się do zupełnie innego świata.

Zasadniczy plan jest dość prosty. W centrum znajduje się krąg, od którego rozchodzi się sześć ścieżek łączących się z główną alejką, biegnącą wokół całości. Brzeg ogrodu będzie odznaczała wyraźna granica, obsadzona drzewkami owocowymi, mnóstwem kwiatów i krzaków, tak by wydawała się lekko zapuszczona. Chcę, by niektóre rośliny trochę wchodziły na alejkę, by złamać jej linię. Ścieżki będą wyłożone ceglami i żwirem, po trochu jednego i drugiego, a brzeg każdego klombu obsadzimy czym innym: widziałam zdjęcia lawendy, nagietków i nasturcji, a także bardziej tradycyjnych, zielonych roślin, jak na przykład bukszpan, i chcę przekonać Towarzystwo Ogrodnicze do takiej mieszanki, żeby wszystko wyglądało mniej formalnie. Choć, oczywiście, bez przesady, bo inaczej będzie wyglądać na wymysł szaleńca.

W jednym rogu umieściłam małą altanę, w drugim domek zabaw dla dzieci, a naprzeciwko wejścia będziemy mieli coś w rodzaju stawiku z fontanną, obłożonego na brzegach łupkiem, i dwie mniejsze sadzawki w pozostałych dwóch rogach; zbiorniki będą połączone płytkimi strumykami, spływającymi po lekkiej pochyłości od głównego stawu do sadzawek tak, żeby ogród wypełniał szmer płynącej wody. Strumyki też będą obłożone ceglami i łupkiem. Chcę to urządzić tak, żeby refleksy światła odbitego w wodzie padały na mur i aby w ścieżki, a także w dna strumyków i sadzawek zostały wbudowane

punkty świetlne - zwykłe, płaskie, białe lampy, żeby nie było zbyt wymyślnie - dzięki temu po zmroku wszystko będzie wyglądać zupełnie inaczej. Moglibyśmy się nawet pokusić o jakieś bardziej efektowne, centralne oświetlenie między roślinami, jeśli będzie nas na to stać.

Żeby podzielić ogród, nad ścieżkami rozchodzącymi się z centrum chcę umieścić łukowate pergole, oplecione winoroślą, pnącymi różami czy czymkolwiek, na co zdecyduje się Towarzystwo Ogrodnicze, byle pod sklepieniami było chłodno i cieniście. Zasadniczo chodzi o to, żeby nie było widać całego ogrodu z każdego miejsca, w którym się stanie, ale żeby, obchodząc go w koło, odkrywać co chwilę coś nowego.

Zanim docieram do końca, wszyscy cichną, a mnie robi się niedobrze, aż wreszcie Charles mówi, że według niego będzie fantastycznie i że nawet nie wyobrażał sobie czegoś tak wspaniałego. Potem ludzie zaczynają klaskać, a ja oblewam się takim rumieńcem, że dosłownie czuję, jak płoną mi kolana. Następnie wszyscy włączają się z własnymi pomysłami na temat tego, gdzie co posadzić, a pani Pomeroy mówi, że na pewno wygramy konkurs, jeśli tylko prawdziwy ogród będzie równie dobry jak projekt.

- Pomyślcie tylko, będziemy mieli zwycięski ogród. Charles wydaje się naprawdę podekscytowany.

- Nie cieszymy się zawczasu. Ci sędziowie są znani z tego, że mają bzika. W zeszłym roku jeden z nich przyjechał z Londynu na pogadankę i założył się, że nigdy nie widzieliście takiego błazna. Jakbym

potrzebowała porad na temat owoców od faceta w skórzanych spodniach.

Pani Pomeroy posyła Elsie znaczące spojrzenie; zdaje się, ma nadzieję, że Elsie zrozumie aluzję i się zamknie.

- Och, mówię tylko, co myślę, pani Pomeroy, jak pani dobrze wie. Nie mam nic przeciwko nim niech każdy żyje po swojemu. Syna mojej siostry nigdy nie można było nazwać stuprocentowym mężczyzną, ale ze świecą szukać lepszego chłopca. Zamieszkał z nią, kiedy zaczęła mieć kłopoty z pamięcią, i wspaniale się nią zajął.

- Jak miło.

Charles robi wszystko, żeby się nie roześmiać.

- Owszem. Miło widzieć, że dzieci opiekują się swoimi rodzicami. Chodzi mi o to, że w większości przypadków człowiek mógłby leżeć martwy na podłodze całymi tygodniami i nikt by o tym nie wiedział. Ale moja June jest dobrą córką. Odwiedza mnie co tydzień i zawsze przynosi jakieś zakupy, tyle że ciągle kupuje mi szynkę, choć mówiłam jej, że mi się przejadła. Uważajcie na to, jak je wychowujecie. Zawsze mówię, że jak się wokół czegoś chodzi, to potem są efekty. Jeśli przejmujecie się nimi, kiedy są małe, później odpłacą się wam tym samym. To zupełnie inaczej niż z mężczyznami, im mniej się poświęca uwagi, tym lepiej, takie jest moje zdanie.

- Traktuj ich podle, podsycając żar, co Elsie?

Charles wydaje się bardzo odprężony w towarzystwie tej budzącej lekką grozę Elsie.

- Zgadza się, panie B., choć pana nie traktowałabym podle, o co to, to nie. Gdybym była dziesięć lat młodsza, poleciałabym na pana pieniądze.

Wszyscy się śmieją, łącznie z Elsie.

- Jasne, teraz możecie się śmiać, ale powinniście mnie widzieć w moich najlepszych latach. Byłam prawdziwą pozeraczką serc.

Charles mówi jej, że nadal jest, a Elsie oblewa się rumieńcem.

Właściwie to nie rozmawiałam z nikim poważnie na temat budżetu, choć użycie różnych materiałów jest uwarunkowane tym, ile będą skłonni na nie wydać, a poza tym, muszę się też upewnić, że codziennie ktoś będzie na miejscu. Postanawiam zacząć od Charlesa, który mówi, że nie dba o koszty i razem z panem Channingiem mogą wspólnie poprowadzić ten projekt, o ile pan Channing zniesie współpracę z kompletnym amatorem. Pan Channing jest najwyraźniej zachwycony, że został wybrany na lidera, a potem wszyscy po kolei mówią, że będą hodowali sadzonki specjalnie do ogrodu, więc trzeba będzie kupić tylko podrośnięte rośliny.

Bardzo chcę posadzić trochę dorosłych drzewek, co zapewne będzie kosztować fortunę, ale zasadniczo wpłynie na wygląd całego ogrodu. Pan Channing mówi, że zna pewnego człowieka, który, jak mu się wydaje, będzie w stanie dostarczyć nam, czego potrzebujemy po rozsądnych cenach, i zaczynamy rozmawiać o drzewach owocowych. Charles mówi, że Lola już mu mówiła, że chce pigwy i jedno z tych modnych drzewek, vanguerię jakąś tam, których owoce wyglądają, jakby spleśniały jeszcze na gałęziach; widziała je w „Country Life” i

choć teraz pomysł z ogrodem jej się odwidział, równie dobrze możemy zasadzić parę jej wymarzonych drzewek na wypadek, gdyby zmieniła zdanie.

Kiedy Molly odwozi nas do domu, jestem z siebie bardzo zadowolona. Nawet jeśli ogród nie zdobędzie żadnej nagrody, cudownie było pracować nad projektem, który nie ma nic wspólnego z lodówkami.

- Świetna robota, ogród będzie fantastyczny.

- Dzięki. Strasznie się tym stresowałam.

- Zauważyłam, że gdy jechałyśmy w tamtą stronę, byłaś trochę przygaszona. Możemy pojechać do ciebie na kawę, za-nim zabierzesz Alfiego? Nie jestem pewna, czy czuję się na siłach jechać prosto do domu.

- Brzmi świetnie. Myślisz, że Dan nie będzie miał nam tego za złe?

- Nic mu nie będzie. Uwielbia Alfiego i wydaje mi się, że tym razem bardzo chciałby chłopca.

Jedziemy do mnie. Wstawiam wodę. Molly jest jakaś milcząca.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Jestem po prostu wykończona.

- Jak tam praca?

- Okropnie. Parę dni temu wuefista wytargał jednego z moich chłopców za uszy, a kiedy próbowałam z nim pomówić na osobności, nic do niego nie docierało. Rozwodził się nad tym, że wszyscy uczniowie, którzy odmówią wspinania się na drabinki, doskonale wiedzą, czego mogą się spodziewać.

- Super.

- Skończony dupek. A potem powiedział, że do dzieci przemawia tylko porządne lanie, na co puściły mi nerwy i powiedziałam, żeby się chrzanił.
- Brawo.
- Tak, ale to było mało profesjonalne. Tak czy inaczej, mam to gdzieś. Mam dość użerania się z takimi starymi idiotami jak on. Powinien odejść na emeryturę już lata temu.
- No cóż, kiedy będziesz zastępcą dyrektora, będziesz mogła rozwiązać ten problem.
- Jeśli będę. A nawet jeśli tak się stanie, nie jestem pewna, jak sobie z tym wszystkim poradzę. Przez ostatnie dni Lily naprawdę dawała mi do wiwatu, nie chciała się ubierać i takie tam, a to mi przypomniało, ile roboty jest przy dzieciach. Czasami naprawdę doprowadza mnie do szału.
- Tak, wiem, o czym mówisz. Alfie potrafi czasami być tak denerwujący, że najchętniej zamknęłabym się w kredensie.
- Dan świetnie sobie z nią radzi. Cierpliwie znosi te jej gadki. Jest o wiele miłszy ode mnie.
- To nieprawda. Po prostu jesteś zmęczona.
- Nie, naprawdę tak myślę. Potrafi całymi godzinami robić jedno i to samo.
- Brzmi, jakby był lekko opóźniony w rozwoju. O, przepraszam.  
Molly wybucha śmiechem.
- Ma po prostu o wiele więcej cierpliwości ode mnie.

- Nie bądź dla siebie tak surowa. Jest naprawdę ciężko, kiedy pracuje się na cały etat. Czasami jestem tak potwornie zmęczona, że zrobiłabym wszystko za kilka dodatkowych godzin snu, choć pracuję w niepełnym wymiarze i nie jestem w ciąży. Świetnie sobie radzisz z Lily. I będziesz świetnym zastępcą dyrektora.

- Że też to wszystko jest takie ciężkie. Parę dni temu myślałam o tym, że naprawdę ci zazdroszczę, to znaczy tego, jak ci pomaga cała rodzina. Moi są za daleko, a mama Dana mnie nie cierpi.

- Wcale nie.

- Właśnie, że tak. Nadal jest wściekła, że się nie pobraliśmy i Lily nie jest ochrzczona. Uważa, że jestem okropna, wiem to.

- A dlaczego tego nie zrobiliście? Dlaczego nie ochrzciliście Lily?

- Och, głównie dlatego że moja mama wpadłaby w szal, gdybyśmy nie zrobili tego po katolicku, ale żeby to zrobić, musielibyśmy być małżeństwem, a ja nie chcę wychodzić za mąż tylko po to, żeby uszczęśliwić swoją matkę.

- A Dan prosił cię o rękę?

- Nie. Zachował się jak typowy facet: Nie mam nic przeciwko, jeśli ty tego chcesz, a cokolwiek postanowisz, dla mnie jest w porządku.

- Och, to takie denerwujące.

- Wiem. Ale jego mama myśli, że on bardzo chce się ożenić, a więc to wszystko moja wina. A wy zrobiliście prawdziwe chrzciny?

- Nie. Patrie uważa, że to bardzo burżujskie. Ale urządziliśmy małe przyjęcie. Było naprawdę miło. Alfie dostał mnóstwo prezentów, a tata wygłosił mowę i cały poczerwieniał. Mama myślała, że zaraz dostanie



zawału. Chrzestną Alfiego była moja przyjaciółka Em, a chrzestnym Jim. Spędził pół popołudnia z kawałkiem pomarańczy w ustach, udając, że jest Marlonem Brando. Mama była naprawdę niezłe na niego wkurzona.

- Super. Też bym tak chciała, gdyby tylko Doreen spędziła popołudnie z pomarańczą w ustach. A może z ananasem, bo ma całkiem sporą jadaczkę. Muszę powiedzieć o tym Danowi.

- Na twoim miejscu odpuściłabym sobie tego ananasa.

- Ale rozumiesz, o co mi chodzi. Tobie jakoś udało się osiągnąć to, co chciałaś. A wszyscy ci pomogli, bo jesteś sama. Oczywiście, to bardzo dobrze, nie zrozum mnie źle. Musi być naprawdę ciężko borykać się ze wszystkim w pojedynkę, i wiem, że powinnam być wdzięczna, bo nie poradziłabym sobie bez Dana. Serio. Ale czasami bardzo by się przydało trochę więcej pomocy z zewnątrz. Ponieważ mamy z Danem siebie, ludziom wydaje się, że wszystko musi być w porządku: mojej mamie nawet nie przyjdzie do głowy, żeby przyjechać i mi pomóc, ale gdybym była sama, nie wahałaby się ani chwili. Prawdopodobnie przekonałaby tatę do przeprowadzki gdzieś bliżej, żeby mogła mieć mnie na oku. Założę się, że twoja mama nie pomagałaby ci tyle, gdybyś miała jakiegoś faceta pod ręką.

Masz rację, nie pomagałaby. Martwiłaby się, że przeszkadza.

Właśnie. A skoro i tak jęczę, to chcę jeszcze powiedzieć, że mam już po dziurki w nosie bycia wdzięczną Danowi, że tak świetnie radzi sobie z Lily. Jestem, oczywiście, ale czasami naprawdę mnie wkurza, że ludzie uważają go za jakiegoś świętego, tylko dlatego że interesuje się swoją

córką. Nikt nie zachwyci się, jaka to ze mnie wspaniała matka, kiedy wstaję w środku nocy, ale kiedy on to robi, to zupełnie jakby był jakimś bohaterem. To mnie naprawdę wkurza.

- No cóż, ja uważam, że jesteś wspaniałą matką, i mnie też coś takiego denerwuje. I powiem ci, co jeszcze jest wkurzające. Gdybym była facetem, który samotnie wychowuje Alfiego, miałabym praktycznie zagwarantowane, że obwołają mnie świętym. Zapewne przyznaliby mi medal albo pokazali w telewizji, a wszyscy pialiby, jakie to cudowne. Jaki wspaniały facet. Ale kobieta samotnie wychowująca dzieci już nie jest taka wyjątkowa. Prawdopodobnie sama jest sobie winna.

- Właśnie. Dranie. Dan się znowu nie odzywa. Ale myślę, że jemu też nie jest z tym łatwo. Dostał teraz to nowe, ciężkie zlecenie. Powiedział wczoraj, że nie jest pewien, czy powinnam brać na siebie w pracy więcej obowiązków, a ja straciłam cierpliwość i powiedziałam mu, żeby nie był żaloszny. Nie cierpi, kiedy tak mówię. W sumie to nie było nic poważnego i rano już się nie boczył, ale po prostu wszystko idzie teraz pod górkę.

Wydaje się, że Molly jest bliska łez. Poza tym wygląda na naprawdę wyczerpaną i zniechęconą.

- Może powinniście zrobić sobie wolny wieczór, tylko we dwoje. Wyjść gdzieś. Zajmę się Lily, jeśli chcesz.

- Naprawdę byś to zrobiła? Byłoby cudownie. Zapytam Dana. Teraz pracuje całymi dniami przy tej cholерnej przebudowie, ale może w przyszły weekend?

- Dobrze. Po prostu daj mi znać, kiedy tylko chcesz. O, mam coś, co z pewnością poprawi ci humor. Czekaj, zaraz ci pokażę.

Podaję jej bochenek chleba, który upiekłam wczoraj, byle tylko nie pracować.

- Patrz. Próbowалаm ukroić kromkę, ale zdaje się, że przydałaby się piła łańcuchowa.

Molly wybucha śmiechem.

- Przykro mi.

- Trzymałam się wszystkich wskazówek z tej cholernej książki. Nie rozumiem.

- Ile użyłaś drożdży?

- Drożdży? Brzmi dla mnie trochę za fachowo.

- Alice, musiałaś użyć drożdży.

- Cóż, tak, ale na opakowaniu było napisane, że powinno wyrosnąć. Nie wyrosło, ale i tak wsadziłam je do pieca, bo pomyślałam, że może wyrośnie, kiedy nikt nie będzie patrzył. Jeśli podejmę jeszcze jedną próbę, piszesz się na nadzorowanie? Może tobie uda się zauważyć ten istotny etap, który uchodzi mojej uwagi?

- Nie ma sprawy. I dzięki, czuję się już o wiele lepiej.

Prace przy nowym ogrodzie rozpoczynają się niemal z marszu. Frank, który jak się okazuje, był kiedyś budowlańcem, wytycza położenie muru za pomocą patyków i sznurka, a potem zabiera się z Danem do fundamentów. Pojawiają się różni starzy dziwacy, oferując pomoc; większość z nich wydaje się zbyt stara, by unieść szpadel, ale okazuje się, że są potwornie pracowici i pracują o wiele ciężiej niż połowa

budowlańców, z którymi miałam do czynienia. Byłoby głupotą marnować taki potencjał, a oni wydają się bardzo zadowoleni, że zostali zaangażowani.

Musimy ostro kopać, bo pan Channing mówi, że ziemia jest bardzo zbita czy jakoś tak, i potrzeba całej masy nawozu, żeby odżyła. Większość mieszkańców wsi ofiarowuje taczkę lub dwie swojej ulubionej mikstury, a Frank przymocowuje przyczepę do swojego wiekowego minimorrisa, który porusza się z prędkością jakichś dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę, i razem z Elsie jeżdżą w tę i z powrotem po wsi, zbierając nawóz. Elsie świetnie się bawi i macha wszystkim mijanym osobom, zupełnie jakby była na jakiejś paradzie. Pojawia się nawet Lola, ale szybko znika, uświadamiając sobie, ile trzeba kopać.

Molly mówi, że skoro Dan z takim poświęceniem pracuje przy tych fundamentach, to może teraz będzie trochę bardziej zainteresowany ich ogrodem i usiłuje obmyślić jakiś projekt z wykorzystaniem cegieł, by przyciągnąć jego uwagę.

Zjawia się Graham Poltney, żeby doradzić w sprawie drzew owocowych, a Frank przyprowadza starego George'a Dawesa, który przed przejściem na emeryturę był kimś w rodzaju mistrza murarskiego. Dawes jest bardziej zainteresowany damami, jak to on mówi, i niepokojąco szczerzy się do wszystkich kobiet poniżej pięćdziesiątki, udając Leslie Phillipsa, ale obiecuje, że kiedy już załatwimy cegły, przyśle do pomocy przy budowie muru swojego syna.

Nalega na rozmowę z Danem w celu omówienia, jakie konkretnie chcemy cegły, więc strzelam mu fachową gadkę, co jest dla niego lekkim szokiem, ale dość szybko dochodzi do siebie i kończy się na naprawdę ciekawej rozmowie na temat tego, gdzie co możemy dostać i za ile. Zna wszystkich miejscowych dostawców i obiecuje załatwić nam duży rabat.

W dniu dostawy cegieł zjawia się niewielka procesja. Alfie spędza cudowne popołudnie, wchodząc wszystkim w drogę i opychając się bez opamiętania specjalnym orzechowym ciastem pani Bishop. Mur rośnie niezwykle szybko i choć większość z nas nie jest wykwalifikowanymi robotnikami, każdy ma szansę położyć cegłę lub dwie, nawet jeśli później trzeba to po cichu poprawiać.

Nawet Alfie próbuje swoich sił, ale wkrótce go to nudzi i przez większość czasu biega po ogrodzie z jednym z mieczy Ezry, co oczywiście Ezrę denerwuje. Machanie kielniami to jednak poważna sprawa i Charles musi zabrać dzieci do domu na kreskówki.

Charles i Lola mają już nową nianię. Nazywa się Kimberley i wydaje się bardzo miła, choć trochę jakby sponiewierana i małomówna. Ale sprawia wrażenie zadowolonej i Charles mówi, że Mabel ją uwielbia, natomiast Ezra jeszcze się nie zdecydował.

Mur zaczyna naprawdę nieźle wyglądać. Jest jasne, że pan Dawes i jego chłopcy znają się na swojej robocie. Kiedy postanawiamy zakończyć robotę, zapada już zmrok. Pani Pomeroy zrobiła mnóstwo zdjęć, które zamierza umieścić w specjalnym albumie, żeby pokazać sędziom.

Nasze zgłoszenie zostało przyjęte i latem mają nas odwiedzić sędziowie. Na razie to po prostu morze błota, ale jeśli sobie wyobrazić wspinające się po murach rośliny i obsadzone klomby, to człowiek zaczyna wierzyć, że to się może udać.

Charles zorganizował wycieczkę na zakupy z panem Chan-ningiem jako ekspertem, żeby zacząć kupować potrzebne rośliny. W ostatniej chwili przed wyjazdem Lola oświadcza, że też jedzie. Myślę, że czuje się trochę pominięta. Charles i pan Channing wyruszają range roverem, a Lola zabiera nas swoim samochodem razem z Mabel, bo Kimberley ma dziś wolne przedpołudnie.

Przemieszcza się potwornie szybko od jednej leśnej szkółki z naszej listy do drugiej, a ja jestem lekko wytrącona z równowagi, że pędzimy wiejskimi drogami z taką szybkością. To jest jak jakiś ogrodniczy Grand Prix i kończy się na tym, że docieramy do każdej szkółki znacznie wcześniej od Charlesa i pana Channinga, a kiedy już się pojawiają, Lola pyta Charlesa, gdzie, u licha, się podziewał.

Mabel wydaje się zupełnie szczęśliwa, przeżuwając w swoim foteliku bagietkę, ale za każdym razem, kiedy Lola ją wyjmuje, odkłada w połowie przeżutą bułkę na dach samochodu, a pół godziny później, kiedy usadzają na nowo w foteliku, daje jej z powrotem tę samą bułkę. Uderza mnie to jako wysoce niehigieniczne; dokładnie w takiej sytuacji mama sięgnęłaby po awaryjną ściereczkę z dettoksem.

Przyjemnie jest poczuć, że jest się dobrą matką; w zeszłym tygodniu co prawda zbyłam Alfiego lekko oblepioną okruchami gumą do żucia z

dna mojej torebki, ale przynajmniej nie daję mu jedzenia z dachu samochodu.

Kupujemy w jednym miejscu tacki z lawendą i najróżniejsze zioła, w innym krzewy owocowe, aż w końcu docieramy do specjalistycznej szkółki, którą pan Poltney polecał ze względu na jabłonie. Kiedy pan Poltney rozmawia z właścicielem, wahając się pomiędzy odmianą Epicure i Egremont Russet, krążymy z Lolą po szkółce, wybierając śliwki damascenki i wiśnie, chociaż w zasadzie nie było ich na naszej liście, a potem Lola dostrzega swoją vanguerię.

Na razie wszystkie drzewka wyglądają jak wbite w doniczki patyki, ale zdjęcia na etykietach są cudowne. Kończy się na tym, że mamy wszystkiego o wiele za dużo, a potem Lola zaczyna się targować o bezpłatną dostawę i zniżkę. Charles jest tym tak zażenowany, że idzie do samochodu.

Po powrocie do Charlesa i Loli i wyładowaniu wszystkich roślin jesteśmy potwornie wyczerpani i kończy się na tym, że siedzimy w salonie przed kominkiem, popijając dzin z tonikiem. Lola zdaje się mieć tendencję do polewania ogromnych podwójnych drinków z niewielką ilością toniku, więc siedzenie prosto i niezaśniecie wymaga ode mnie nadludzkiego wysiłku.

- Muszę iść do domu, mama też chce mieć wolne. Ale dziękuję za urocze popołudnie. Nie sądziłam, że kupowanie roślin to taka świetna sprawa.

- Zanim pójdziesz... Charles, rusz się i przynieś to.

- Co takiego?

- No, to dla Alice. Przecież wiesz. Charles patrzy pustym wzrokiem.

- Och, na litość boską, czasami zastanawiam się, czy ty kiedykolwiek w ogóle mnie słuchasz. Chodzi o torbę w holu, tę, o której ci mówiłam, że jest dla Alice. W ramach podziękowania. Coś ci świta?

- A, o to chodzi. Tak, oczywiście.

- Naprawdę, czasami myślę, że tekturowe tabliczki z napisami mogłyby być niezłym pomysłem.

Charles przynosi markową torbę z Liberty i kiedy mi ją wręcza, robi minę za plecami Loli.

- Słyszałem ten dowcip o tekturkach, Lolu. Alice, to jest drobny upominek od nas obojga, żeby podziękować ci za ogród.

W torbie znajduje się bajeczny, szary, haftowany szal, jakby z kaszmiru, tylko o wiele miłszy; to jakiś rodzaj aksamitu, bardzo miękki, więc pięknie się układa.

- O Boże, jest cudowny. Dziękuję wam bardzo.

Lola wstaje i poprawia mi szal na ramionach.

- O, właśnie tak. Naprawdę ci w nim dobrze. Tak myślałam, że to będzie idealny kolor dla ciebie. Sobie też kupiłam, nie mogłam się oprzeć. Mój jest niebieski.

- Dziękuję, jest świetny.

Idę do domu, wymachując reklamówką, i jestem z siebie bardzo zadowolona. Mama z Alfiem piekli ciasteczka, więc większość kuchni jest zasypana mąką. Pokazuję im nowy szal.

- Cudowny, skarbie. Jest niemal tak duży, że mógłby służyć za koc, prawda?



- Tak, ale tak właśnie ma być. Nie mogę się doczekać, żeby gdzieś go włożyć.

Alfie chce wypróbować szal, ale jest cały w mące, więc zabieram szal na górę, a mama odwraca jego uwagę perspektywą lukrowania. Kiedy wracam, mieszają w misce czekoladę; Alfie siedzi przycupnięty na krześle, waląc w stół swoją drewnianą łyżką i wyśpiewując składankę piosenek z Księgi dżungli. Mieszanina Up Two Three Four, Keep It Up, Bare Necessities z odrobiną King of the Swingers.

Kuchnia jest cała w lukrze, a my przejadamy się ciastkami. W pewnej chwili Alfie z pełną powagą bierze miskę, do której wkłada ciastko, żeby babcia zabrała je dla dziadka. Czasami robi naprawdę słodkie rzeczy. Niestety, potem przystępuje do konsumpcji owego ciastka, ale liczy się myśl, a poza tym, tata aż tak bardzo nie przepada za ciastkami.

W końcu wszystkich nas zaczyna mdlić i kończymy jedzenie, a ja obiecuję mamie, że później posprzątam kuchnię. Obie wiemy, że i tak ona zrobi to jak należy jutro rano, ale znaczy to przynajmniej, że może już jechać do domu.

Siedzimy z Alfiem przy kominku i oglądamy telewizję. Alfie zasypia w połowie dobranocki, ale kombinacja dzinu i ciasta - połączenie, którego nigdy wcześniej nie próbowałam, ale teraz już wiem, że jest naprawdę niezłe - sprawia, że mało mnie to obchodzi.

W końcu się przejaśnia i zaliczamy popołudnie pod znakiem masowego sadzenia. Sadzimy w nowym ogrodzie kordony

jabłoni wzdłuż wewnętrznej strony muru, do tego grusze, brzoskwinie rozpięte na treliach i figowiec. Jeśli wszystko urośnie będziemy mogli otworzyć warzywniak. Pan Channing stwierdza, że drzewkom nic nie będzie, jeśli sieje trochę zabezpieczy przed zimnem, choć trudno uwierzyć, że te wrzecionowate patyczki wypuszczą choć listek, nie wspominając o owocach.

Wokół zewnętrznej strony muru pan Poltney i pani Pomeroy sadzą jabłonie, damascenki, śliwy i wiśnie. Wewnątrz wszystkie grządki zostają obsadzone warzywami i ziołami. Postanowili, że w jednym rogu będzie strefa owoców, i możemy rozwiesić zieloną siatkę nad roślinami, żeby pokrzyżować plany ptakom. Sadzimy czarne i czerwone porzeczki, agrest i maliny, co sprawia, że czuję się głodna, a pani Pomeroy mówi, że uprawia w swojej szklarni truskawki, które tu przesadzi, kiedy się ociepli.

Frank przyniósł trochę ziół z własnej uprawy, a pani Pomeroy przyprowadziła swojego męża, który kręci film wideo, żebyśmy mogli go załączyć do zgłoszenia. Pojawia się Elsie i jest bardzo zadowolona, kiedy Charles nalega, by pomogła zasadzić orzech włoski w środku ogrodu. Elsie przysypuje dołek niewielką łopatą ziemi, a potem pani Pomeroy nakłania Mabel, żeby również rzuciła garstkę ziemi tak, by we wspólnym przedsięwzięciu mieli udział zarówno najstarsi, jak i najmłodszy mieszkańcy wioski. Pani Pomeroy mówi, że według niej sędziom się to spodoba. Potem uświadamia sobie, że jej mąż kręcił,

gdy to mówiła, więc każe mu to wyciąć i nakłania Elsie i Mabel, żeby powtórzyły scenę.

Graham Poltney przyniósł specjalną miksturę, która, jak twierdzi, nigdy go nie zawiodła i daje roślinom przewagę na starcie. Cokolwiek to jest, obrzydliwie śmierdzi. Potem zabieramy się do warzyw i sadzimy kapustę, pory, cebulę, fasolkę szparagową oraz czosnek. Cukinia i groszek muszą poczekać, aż trochę wzrośnie temperatura gruntu.

Molly i ja jesteśmy zajęte sadzeniem ziół, a Frank poucza nas, żebyśmy włożyły miętę do wielkiego wiadra, bo podobno bardzo szybko się rozrasta i jeśli tylko jej pozwolić, opanuje cały ogród. Następnie sadzimy koper włoski, tymianek i koper ogrodowy. Frank mówi, żebyśmy sadziły koper włoski jak najdalej od ogrodowego, bo inaczej się wzajemnie pozapyłają czy jakoś tak. Najwyraźniej zioła to bardzo żywotny gatunek.

Lola wygląda jak zwykle olśniewająco w bardzo dopasowanych, czarnych dżinsach, maleńkiej, liliowej podkoszulce i rozpinanym swetrze w tym samym kolorze. Wygląda fantastycznie, nawet kiedy ma na nogach gumowce. Przez większość czasu flirtuje jak szalona, co wszyscy przyjmują raczej dobrze, poza panią Pomeroy, która odsyła męża w niełasce do domu, kiedy zauważa, że głównie filmuje Lolę, zamiast skoncentrować się na całej reszcie, która kopie doły pod sadzonki.

Jedna grządka będzie ogródkiem dzieci i wszystkie są pochłonięte kopaniem i sadzeniem. Później będą uprawiały słoneczniki i

pomidory, a na razie zaczęły od fasolki szparagowej i ziemniaków. Charles pomaga im w sadzeniu, a Mabel tak się to wszystko podoba, że zaczyna wykopywać świeżo posadzone zioła, żeby przesadzić je do swojego ogródka, aż w końcu Lola zabierają do domu na herbatnika.

Potem Charles funduje Lily przejażdżkę taczkami, co okazuje się pomyłką, bo potem musi wozić w tę i z powrotem także Ezrę i Alfiego.

Teren zaczyna wyglądać już jak prawdziwy ogród i kiedy dzieci bawią się na górze, siedzimy w kuchni, zajadając się grochówką pani Bishop.

Charles upewnia się, że wszyscy mają po kieliszku wina, a potem czerwienieje i mówi, że chciałby wznieść toast.

- Za was wszystkich i za piękny ogród. Oby wygrał wszystkie nagrody i rozślawił Wiejskie Towarzystwo Ogrodnicze.

Unosimy kieliszki.

- No to za zwycięstwo.

- Za zwycięstwo.

A potem Frank dodaje:

- I za ciepłą wiosnę. Ale żeby nie było za ciepło ani za deszczowo.

Za chwilę zapewne zaczniesz nawijać o mszycach.

- Za zwycięstwo i ciepłą wiosnę.

### DZIENNIK OGRODOWY

Posadź wodne rośliny i usuń rzęsę z sadzawek. Podeprzyj kwitnące byliny, zwłaszcza ostróżki. Ustal i utrzymaj rygorystyczny plan odchwaszczania. Przytnij agrest i spryskaj go preparatem przeciw pleśni.

*Usiłuję oczyścić matę, brudne oczko wodne w kącie ogrodu od tyłu po chwili cała pokryta jest czarnym szlamem, który okropnie cuchnie. Zastanawiam się, czy nie prościej byłoby zasypać je i wykopać nowe, ale Alfie jest pewien, że widział żabę. To musi być strasznie głupia żaba, skoro wybrała sobie taką maleńką sadzawkę. Bambusowymi tyczkami podpieram roślinę, która wygląda, jakby w przyszłości miała się okazać ostróżką, po czym o mało nie wydziobuję sobie oka tyczką, kiedy schylam się po rydel. Jadę do centrum ogrodniczego, żeby kupić gumowe nakładki na bambusy i widzę palety pełne ostróżek. Dochodzę do wniosku, że moja roślina nie jest ostróżką. Prawdopodobnie to tylko bardzo duży chwast.*

- Nigdy nie zgadniesz, co zrobił Dan.

- No co?

- Zaprosił swoją matkę na Wielkanoc, idiota. Zadzwoiła i powiedziała, że ma dla Lily wielkanocne jajko, a on zwyczajnie połknął haczyk.

- O Boże.

- Ostatnim razem, kiedy przyjechała, prawie doprowadziła mnie do obłądu, a była tylko przez jeden dzień. Zaproponowała, że poodkurza, mówiłam ci?

- Co za krowa.

- Wiem. W domu panuje rozgardiasz i potrzebujemy nowych zasłon do gościnnego pokoju, bo te, które mamy są za krótkie. Próbowalam z nim o tym porozmawiać i wiesz, co mi powiedział?

- Nie, ale domyślałam się, że nie przyjął tego zbyt dobrze.

- Powiedział, że nie może ze mną rozmawiać, kiedy zachowuję się jak histeryczka.

- Sprytne. Założę się, że to cię ostudziło.

- O tak. Powiedziałam, że idę na górę wziąć kąpiel, a on odparł, że droga wolna, tyle że nowa podłoga pod wanną jest jeszcze skończona i on nie jest pewien, jaki ciężar jest w stanie jeszcze wytrzymać ta stara. Tak czy inaczej, poradziłam mu, żeby lepiej załatwił tę sprawę, zanim przyjedzie jego matka, bo inaczej może się zdarzyć, że będzie sobie siedziała w wannie i nagle zorientuje się, że wylądowała w kuchni. To by jej otworzyło oczy. Nie byłby już takim złotym chłopcem, prawda?

- Pewnie nie.

- A w szkole mamy wolne dopiero od Wielkiego Czwartku, więc nie będę miała czasu, żeby cokolwiek przygotować.

- Jeśli chcesz, możesz pożyczyć zastony z mojego gościnnego. Moja ciocia Shirley kupiła mi je w prezencie na nowe mieszkanie. Są trochę za bardzo upstrzone kwiatami, ale będą wystarczająco długie.

- Super. Mogę teraz do ciebie wpaść, żeby je zabrać? Dan w ramach pokuty zabrał ze sobą Lily do Tesco, więc mam pół godziny wolnego.

- Jasne. Była może zmęczona, zanim wyjechali?

- Kompletnie wyczerpana. Da mu nieźle popalić, kiedy zacznie marudzić.

- Biedactwo.

Przynajmniej moja Wielkanoc będzie o wiele łatwiejsza do przeżycia niż Molly. Ale tak się jakoś porobiło, że mój plan, żebyśmy wszyscy spotkali się u mamy i wymazali jej obicia czekoladą, uległ tajemniczej mutacji i według nowych ustaleń wszyscy przyjeżdżają do mnie w niedzielę wielkanocną na lunch. To dla mnie lekki szok, bo nie jestem pewna, czy mamie aby na pewno chodzi o pizzę.

Próbuję ją przekonać, żeby nie przywoziła Alfiemu rekordowo wielkiego czekoladowego jajka, jak to zrobiła w zeszłym roku, ale wiem, że walczę z wiatrakami, więc Alfie będzie w niedzielę wielkanocną na porządnym cukrowym haju, akurat wtedy, kiedy będę usiłowała przygotować lunch.

W pracy mam mnóstwo roboty, a Janet dąsa się z powodu mojego projektu dla Towarzystwa Ogrodniczego. Powiedziałam jej, że wszystko robiłam w wolnym czasie i Malcolm nie ma z tym żadnego problemu, ale ona chyba myśli, że w jakiś sposób robię firmę w balona. Zeszłej nocy śniło mi się, że okładam ją piśćciami, co nie jest dobre,

obojętnie z której strony na to spojrzeć. Ale przynajmniej Alfie spędza teraz miłe chwile w przedszkolu: robią jajka i kurczaki, i wraca do domu albo cały w glitterze, albo oblepiony watą i wymazany żółtą farbą.

Molly zabiera zasłony, a ja usiłuję spędzić pracowite popołudnie, lecz Alfie wyciąga wszystkie swoje układanki, rozrzuca po całej podłodze, po czym stwierdza, że właściwie to wcale nie chce mu się ich układać. Kolacja idzie dość dobrze, bo jest jedno z jego ulubionych dań: kotlet rybny z dużą ilością sera. Kładę go do łóżka, a chwilę później dzwoni Lola.

- Stwierdzam, że nie cierpię własnych dzieci. Powiedz mi, że Alfie też jest okropny, potrzebuję odrobiny solidarności.

- Naprawdę nieznośny. A chwilowo też cały błyszczący. W przedszkolu przygotowują się do Wielkanocy, głównie za pomocą glittera. Cholernie trudno pozbyć się tego z dna wanny.

- O, super. Nie miałabym nic przeciwko błyszczącej wannie. Brzmi całkiem nieźle. Może gdybym nasmarowała Ezrę i Ma-bel glitterem, nie denerwowaliby mnie tak bardzo. Zrobiłam dziś na kolację fantastyczną zupę warzywną z makaronem, ale Ezra przez cały czas tylko wybierał makaron, a potem Mabel postanowiła, że w ogóle nie będzie jadła. Chryste. Nie gotuję zbyt często i teraz już wiem dlaczego. A układanie do snu! Koszmar! Ezra usiłował utopić Mabel w wannie, ona w rewanżu trysnęła na niego szamponem, a kiedy próbowałam ją położyć do łóżka, nie chciała się uspokoić, tylko cały czas trzymała się mnie kurczowo i wrzeszczała. W końcu po prostu ją zostawiłam.



Naprawdę, można by pomyśleć, że porzucam ją w sierocińcu czy co. I tak to się, do cholery, może skończyć, jeśli dalej będzie się tak zachowywała. A Alfie jaki jest przed zaśnięciem?

- Dość nieznośny. Musisz odstawić cały rytuał - bajka, picie, kolejna bajka, picie. To się może ciągnąć całymi godzinami.

- Ja tak nie mogę. Jeśli krzyczą, staram się to ignorować. Uważam, że trzeba sobie ustalić rozsądne granice, czytałam o tym w jednej cudownej książce. Ale Charles zawsze daje za wygraną i do nich idzie. To beznadziejne. Uważam, że musimy opracować konkretny system kładzenia ich do łóżka. Na razie wymyślamy wszystko na poczekaniu, co zupełnie się nie sprawdza.

Zawsze uważałam, że to ważne dla dziecka, by wiedziało, że ktoś przyjdzie, kiedy krzyczy. Ale może to dlatego tak dużo czasu zajmuje mi ułożenie Alfiego do snu?

- Podobno niezłe są nalepki z gwiazdkami.

- Och, próbowaliśmy tego wieki temu. Mieliśmy oddzielny arkusz praktycznie na każdą okazję, ale Ezra jest tak przebiegły, że do środy miał już uzbierane wszystkie potrzebne gwiazdki, a potem zaczynał szaleć. A zresztą, jestem przeciwna stosowaniu przekupstwa, żeby dobrze się zachowywali, a ty nie? Uważam, że powinni zachowywać się dobrze sami z siebie.

- Może i tak, ale gdyby nie odrobina przekupstwa, byłabym kompletnie wycieńczona.

- Ale Alfie jest taki słodki.

- Cudze dzieci zawsze są słodkie. Nie zauważyłaś?

- Nie zawsze. Moby, synek mojej przyjaciółki Hermiony, jest przerażający.

- Naprawdę?

- Tak. I potwornie sepleni. Ale ja myślę, że robi to tylko po to, żeby ją denerwować.

Biedne maleństwo. Założę się, że jakiś mądrała w szkole przezywa go Moby Dick; jakby mało było seplenienia, to jeszcze imię, z którego wszyscy się nabijają.

- Szczerze mówiąc, czasami myślę, że szkoła z internatem może być dobrym pomysłem. Naprawdę tak uważam.

Jestem przeciwna szkołom z internatem, ale wiem, że to delikatny temat, zwłaszcza jeśli ktoś zaliczył taką szkołę, a domyślam się, że tak było z Lolą.

- Myślę, że dzieci przechodzą przez różne fazy, to znaczy wiem, że tak jest. Niektóre historie o tym, jak tłukliśmy się z Jimem, są naprawdę straszne. Raz przycięłam mu rękę kuchennymi drzwiami, a on zamknął mnie na parę godzin w szopie i byłam cała w kreozocie, a wszystko to działo się, kiedy pilnowała nas sąsiadka.

- Ale zdaje się, że teraz jesteście ze sobą bardzo blisko, a on jest naprawdę fantastyczny. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że tak mówię. Ma cudowne oczy.

- O tak, teraz jesteśmy w dobrych stosunkach, ale kiedy byliśmy mali, to było jak trzecia wojna światowa. A on wykorzystuje te swoje cudowne oczy, żeby hipnotyzować wszystkie laski w zasięgu wzroku, więc nie daj się nabrać na jego niewinną minkę. Jim to siewca zamętu.

- Och, uwielbiam zamęt. Małe urozmaicenie, żebym oderwała się od moich okropnych dzieci, byłoby idealne. Przyślij go do mnie, kiedy przyjedzie następnym razem. Razem z glitterem, jeśli masz trochę na zbyciu.

Jestem pewna, że żartuje. Boże, mam nadzieję, że żartuje.

- Tak czy inaczej, muszę kończyć. Mam jeszcze całą masę telefonów do załatwienia. W przyszłym tygodniu mamy imprezę pod hasłem „Zachowanie równowagi między pracą i życiem prywatnym”, na którą przychodzi połowa naszych klientów. Jakiś idiota kompletnie spieprzył sprawę z listą gości i teraz muszę wszędzie wydzwaniać, żeby upewnić się, że wszyscy zostaną zaproszeni, co kompletnie zachwiało mi równowagę między pracą i życiem na ten tydzień, mówię ci. Och, ale miałam ci powiedzieć, że wiem już, gdzie jest to miejsce z ziołami. Mają tam przeróżne niesamowite rzeczy, których raczej nie można dostać nigdzie indziej. Pojedziemy? Zdaje się, że prowadzi to jakiś ekscentryk. Może być zabawnie.

- Dobrze, ale to by musiało być w piątek rano. Zapytam pana Channinga, czy nie potrzeba nam jeszcze czegoś do nowego ogrodu.

- Świetnie, mnie też pasuje piątek.

Rozmyślałam nad moją własną równowagą pomiędzy życiem i pracą i zastanawiam się, czy w ogóle coś takiego mnie dotyczy. Myślę, że to problem ludzi, którzy zarabiają fortunę i traktują siebie bardzo serio, a nie ludzi pracujących w niepełnym wymiarze godzin, którzy po prostu jakoś ciągną.

Mam nadzieję, że Lola tak naprawdę nie jest zainteresowana Jimem. Miałam parę przyjaciółek, które uważały, że jest cudowny, i zawsze kończyło się łzami. A żadna z nich nie była mężatką. Jestem przekonana, że nie mówiła tego poważnie, a jeśli nawet, to i tak nic w związku z tym nie robi, no, chyba że ona i Charles są latawcami, jak to mówi moja ciocia Shirley, chociaż mnie słowo „latawiec” kojarzy się wyłącznie z dziecięcymi zabawami w parku.

Przy jej ulicy mieszkała pewna para i okazało się, że ludzie ci latają na boki bez opamiętania z połową sąsiadów. Biedna stara Shirley była wstrząśnięta. Powiedziała, że to wpłynęło na ceny domów, ale myślę, że po prostu była odrobinę wkurzona, że nie zaproponowali jej i wujkowi Malcolmowi, żeby się przyłączyli.

Ekscentryczny handlarz ziołami mieszka jakieś pół godziny jazdy od nas, w samym środku niczego, w walącym się domu. Kiedyś musiała to być stróżówka przy bramie ogromnej rezydencji, jednej z tych, które można podziwiać wyłącznie zza krat. Dom lata świetności ma wyraźnie za sobą, ale ogród jest niesamowity. Rosną tam najróżniejsze gatunki roślin, niektóre naprawdę ogromne, a wszystkie cudownie pachną na dawnym trawniku stoją rzędy czarnych, plastikowych doniczek z sadzonkami i tacek.

Walimy przez chwilę do frontowych drzwi, a potem dajemy za wygraną i zachodzimy od tyłu, co łatwiej powiedzieć niż zrobić, bo musimy przedzierać się przez dżunglę jakichś pnączy, które cudownie pachną i są obsypane maleńkimi, białymi kwiatkami.

- Dranie, kompletne dranie. Ale dosyć tego. Wyciągam trutkę. Ktoś o wyglądzie starego włóczęgi kuca przy tylnej ścianie i krzyczy do doniczki, ale kiedy wstaje, okazuje się, że to około trzydziestopięcioletni mężczyzna z ładnymi, zielonymi oczami i krótkimi, ciemnymi włosami, skrytymi pod tragicznym, starym, wełnianym kapeluszem, który natychmiast ściąga, kiedy tylko nas dostrzega.

- Witam, przepraszam, nie słyszałem pań. Nie cierpię ślimaków, a panie? Niestety, piwo nie zawsze na nie działa. Zdaje się, że moje są abstynentami. Próbowałem kawy, słyszałem o tym sposobie w radiu, ale też nie zadziałało. Tak więc zostały mi tylko te obrzydliwe, niebieskie kulki. Ale albo to, albo stracę połowę moich roślin.

Lola pierwsza dochodzi do siebie.

- Tak, cóż, zgadza się. Co za koszmar. Przyjechałyśmy kupić trochę ziół. Zakładam, że zajmuje się pan sprzedażą. Mam rację?

- Tak, cóż, czasami. Dorywczo rzucam moje produkty na rynek albo ludzie przyjeżdżają tutaj. Napiją się panie kawy? Właśnie miałem zrobić.

Idziemy za nim do domu, w którym panuje potworny bałagan. Zbieranina mocno zabytkowych mebli, które prawdopodobnie kosztowałyby fortunę, gdyby je oczyścić, stosy katalogów, kawałki sznurka, doniczki, piły o śmiercionośnym wyglądzie i ogromna kosa na samym środku kuchennego stołu. Podłoga sprawia wrażenie, jakby nie była wycierana przez dziesięciolecia. Mama dostałaby ataku serca.

- Przepraszam za bałagan. Gdzie jest dzbanek do kawy? Srebrny, trochę podniszczony. Czy ktoś go widzi?

- Czy to to?

Lola znalazła dzbanek na podłodze; z jakiegoś powodu leżał na poduszce.

- Tak. Dobra, już się robi. Ja lubię mocną, mam nadzieję, że panie też.

Zaczyna pogwizdywać, napełniając dzbanek wodą, a potem stawia go na wiekowej kuchence. Jest ubrany w okropnie zabłocone dżinsy i kraciastą, flanelową koszulę z rozdarciem na jednym rękawie, ale ma ładne dłonie, choć brudne.

Pojawia się oblepiony błotem czarny labrador, przez chwilę na nas patrzy, a potem kładzie się w koszyku pod stołem. Paskudnie śmierdzi; prawdopodobnie był na jakiejś tajnej misji w ogrodzie.

Siadamy przy stole, starając się zbytnio nie zbliżać do psa.

- Jakie rośliny panie interesują?

Zanim mam szansę odczytać pozycje z lisy pana Channinga, Lola mówi, że chce coś absolutnie fantastycznego do donic przy kuchennym wejściu.

- I najchętniej coś łatwego do uprawy, bo jestem amatorką. Unosi brwi w bardzo niedwuznaczny sposób.

O Boże. Ale żenada. Biedak jest cały czerwony.

- Jasne. Hm, mam cudowny rozmaryn, którego praktycznie nie da się uśmiercić, no, chyba że ktoś jest bardzo zdeterminowany. Kiedy wypijemy kawę, oprowadzę panie i same zobaczycie, co wam się podoba. Cholera.

Dzwoni telefon i kiedy facet podnosi się, żeby odebrać, obie zauważamy, że jego spodnie są rozdarte na siedzeniu, wyraźnie odslaniając białe slipki. Staramy się nie patrzeć i naprawdę niewiele nam brakuje, żebyśmy zaczęły chichotać.

- Tak, mamo, pamiętam. Tak. Przecież mówiłem, że tak, prawda? Muszę kończyć, mam klientów. Na razie. Dobry Boże, robi się coraz gorsza. Jakbym nie miał jeszcze dość zajęć bez wożenia jej do Waitrose. Przepraszam, proszę mi wybaczyć. Moja matka zwykle wyzwala we mnie najgorsze instynkty.

- Och, z moją jest tak samo. A więc mieszka pan sam? Nie do końca wierzę, że Lola to powiedziała.

- Tak. Cóż, moja matka mieszka wprawdzie po drugiej stronie drogi, ale staram się nie wchodzić jej w paradę.

- A kto mieszka w tym bajecznym, ogromnym domu? Miejscowy dziedzic? Jakieś lordostwo?

- Mniej więcej. Lady Boughton. Lord zmarł kilka lat temu.

- Jacy oni są, mili czy pokręceny? Arystokratów zwykle można podciągnąć pod obie te kategorie.

- Och, raczej pokręceny. Lady Boughton ciągle do mnie dzwoni i prosi mnie, żebym zabrał ją do Waitrose.

Uśmiecha się i zdaje się w ogóle nie przejmować, że Lola właśnie zasugerowała, że jego matka ma bzika. Ja byłabym zawstydzona, ale Lola po prostu obdarza go jednym ze swoich olśniewających uśmiechów.

- Och, a więc należy pan do miejscowej szlachty. Świetnie. Musi pan wpaść na kolację - przydałoby mi się kilka lekcji rządzenia, żeby zaprowadzić trochę porządku w domu. Niech pan nie patrzy takim przerażonym wzrokiem, może się pan świetnie bawić. Jestem Lola, tak przy okazji, Lola Barker. Wydaję fantastyczne przyjęcia, jeśli mogę tak nieskromnie powiedzieć.

- Harry Boughton. Jestem pewien, że to prawda, ale jestem uczulony na tego typu imprezy.

- Lord Harry dla przyjaciół?

- Dobry Boże, nie. Mój ojciec był lordem. Pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Tytuł był czymś w rodzaju prezentu pożegnawczego. Zdaje się, że wszyscy pracownicy ministerstwa dostają taki prezent,

Mogę się założyć o duże pieniądze, że nie dotyczy to przechodzących na emeryturę sprzątaczek, ale nic nie mówię, głównie dlatego, że Lola jest w trakcie swego rodzaju misji wywiadowczej i nie da za wygraną, dopóki nie zdobędzie wszystkich pożądaných informacji.

- A zatem mieszkał pan tu od zawsze, czy ten dom to nowy nabytek?

- Nie, nie. W naszej rodzinie prawdziwą szlachcianką jest moja matka i ten dom należy do jej rodziny od pokoleń.

Lola drąży dalej i okazuje się, że kiedy jego rodzice przebywali za granicą, trzymali ten dom jako bazę, a po przejściu na emeryturę, wprowadzili się tu na stałe. Nie mogę uwierzyć, że Lola jest taka wścibska.



- To świetnie. Uwielbiam Londyn, ale wiejskie życie też mi się podoba. Ale nie mogłabym tak przez cały czas, oszalałabym.

- Rzeczywiście, wtedy jest łatwiej.

Lola kontynuuje wypytywanie i Harry mówi, że kiedyś tak jak jego brat pracował w londyńskim City w jakiejś eleganckiej firmie, którą Lola zna, ale miał dosyć i rzucił wszystko, żeby zająć się uprawą ziół. Tak właściwie to ma cudowne oczy i naprawdę miły uśmiech. Lola flirtuje z nim jak oszalała.

Zwiedzamy ogród, dowiadując się niesamowitych rzeczy o przeróżnych roślinach, z których większość ledwie rozpoznaję. Facet najwyraźniej zna się na rzeczy. Opowiadam mu o nowym ogrodzie i pokazuję listę pana Channinga. Zdaje się, że ma większość wymienionych pozycji. Lola kupuje trochę krzewów rozmarynu i pyta go, czy mógłby dostarczyć je jutro, bo teraz trochę nam się śpieszy i musimy wracać. Odpowiada, że nie ma problemu, i Lola daje mu swój numer i adres, a kiedy odjeżdżamy, macha mu przez okno i trąbi.

- Hm, co za odkrycie. Jest cudowny. Muszę zaprosić go na kolację. Czemu sobie nie pozwolić od czasu do czasu na drobny dreszczyk emocji z przystojnym nieznajomym?

Naprawdę nie wiem, co na to powiedzieć, ale w pewnym sensie czuję się nielojalna wobec Charlesa.

- Wspaniałe rośliny, prawda? Jestem pewna, że Charles będzie zachwycony. Wiesz, pan Channing mówi, że Charles ma prawdziwy talent do ogrodnictwa.

- Dobrze wiedzieć, że ma do czegoś talent. Och. No cóż, poszło bardzo dobrze.

- Sprawdzę kalendarz, żeby zobaczyć, co już mam w planach i kiedy ewentualnie mogłabym go zaprosić. Albo mogła-bym zaprosić na weekend Tinę. Mógłby się dla niej nadawać -chwilowo jest zdesperowana. Miał cudowne dłonie, zauważyłaś? Uwielbiam facetów, którzy pracują rękami, a ty? - Lola chichocze w bardzo niedwuznaczny sposób.

Spędzam pół popołudnia na rozmyślaniu o upojnych chwilach z przystojnymi nieznajomymi o cudownych dłoniach. Nie mam na swoim koncie zbyt porywających osiągnięć, nie licząc tego, że raz ja i Patrie spędziliśmy cudowny weekend w Brighton, ale to było na samym początku, kiedy jeszcze nie był takim nudziarzem. Właściwie byłoby miło wyrwać się gdzieś na weekend. Ale wtedy musiałabym wyjaśnić mamie, dlaczego chcę, żeby zajęła się Alfie, a ona urządziłaby mi hiszpańską inkwizycję. Tak czy inaczej, ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba, jest wplątanie się w przygodę ze zwariowanym hodowcą ziół, który mieszka z matką. Nawet jeśli ma cudowne oczy.

Przez większość sobotniego ranka Alfie ogląda kreskówki, więc podczas lunchu jest wyjątkowo żywy. Dokazuje jeszcze, kiedy przyjeżdża Patrie, prawie trzy kwadransy po czasie, narzekając na upiorny ruch; mówi, że utknął za samochodem policyjnym na autostradzie i nie mógł dać po gazie, żeby nadrobić trochę czasu. Jakimś cudem udaje mu się to przekazać tonem, który sugeruje, że to wszystko moja wina.

Potem informuje, że z jednego z pływackich skrzydełek Alfiego uchodzi powietrze.

- Masz może czym to załatać?

- Dziwnym trafem, nie mam. Gdybyś powiedział mi to ostatnim razem, kiedy brałeś go na pływalnię, postarałabym się o coś, ale w tej chwili nie mam.

- Och. Cóż, w takim razie będę musiał kupić mu nowe skrzydełka, co?

- Tak. Chyba że chcesz, by przez całe popołudnie pływał w kółku.

- Wiesz, Alice, mogłabyś spróbować być odrobinę mniej agresywna. Tylko pytałem.

Chryste, ale jest irytujący.

- Jego torba z pływackim ekwipunkiem jest przy drzwiach. Włożyłam sok na wypadek, gdyby zachciało mu się pić.

To cała ja staram się być delikatna i nie okazywać agresji, ale jednocześnie chcę się upewnić, że załapał, że wolę, by Alfie pił sok, a nie colę. Wiem, że kiedy się z nim spotyka, chce mu zafundować jak najwięcej przyjemności, ale to ja muszę się z nim borykać, kiedy po powrocie do domu skacze po ścianach na cukrowym haju po tych wszystkich słodyczach i coli.

Jakieś pół godziny po ich odjeździe słyszę, że pod domem zatrzymuje się samochód. To nie mogą być jeszcze oni, no, chyba że Alfie zarzygał Patricowi nowy samochód. Kiedy otwieram drzwi, ścieżką pędzi w podskokach czarny labrador.

- Chryste, przepraszam. Bazyl. Siad. Bazyl!

To Harry, który niesie tacę z roślinami. Wygląda trochę mniej lumpowato niż wczoraj; ma czystą parę dżinsów i dość czysty granatowy sweter. Bazyl biega, robiąc kółka, macha ogonem i szczeka.

- Dobrze trafiłem?

- Tak, ale chodzi o tamten dom po drugiej stronie.

- Bazyl. Cicho. Siad! Tak, tylko chodzi o to, że już tam byłem i nikogo nie zastałem. Właściwie to jestem trochę spóźniony - przez całe rano miałem klientów. Tak przy okazji, gdzie jest ten nowy ogród? Ten, o którym mi mówiłaś. Bardzo bym chciał go zobaczyć.

- Chodzi ci o ten projekt Towarzystwa Ogrodniczego?

- Tak. Przywiozłem kilka rzeczy ekstra, jako mój wkład. Mam nadzieję, że będą się nadawać - to tylko parę krzaczków lawendy - bardzo popieram ideę towarzystw ogrodniczych. Dzięki nim zyskuję wielu klientów.

- Och, dziękuję ci, naprawdę, to bardzo miłe. Musisz tam pójść i się rozejrzeć. Jestem pewna, że Charles i Lola nie będą mieć nic przeciwko.

- Zakładam, że nie jesteś zapaloną ogrodniczką. Rozgląda się po moim ogrodzie i kręci głową.

- Podoba mi się jak jest.

- Naprawdę? Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny.

- Nie, właściwie to próbuję się do tego zabrać. Mam poradnik i tak dalej, ale to wszystko jest raczej mało skuteczne. Zastanawiałam się nad miotaczem płomieni.

Harry się śmieje.

- Wiesz, pod tym wszystkim jest trochę przyzwoitych roślin. To nie zajmie aż tak dużo czasu.

- Problem polega na tym, że nie wiem, od czego zacząć.

- Mogę ci pomóc.

Czerwieni się. Ja też. Chryste. To wszystko zamienia się w jakąś tanią love story.

- Oczywiście, jeśli chcesz. Uwielbiam ratować ogrody.

Dziękuję mu, ale mówię, że lepiej będzie, jak skończę najpierw tamten ogród, po czym wracamy jego dżipem do Charlesa i Loli. Nadal ich nie ma, więc zostawiamy rośliny w garażu, żeby nie załatwiło ich słońce, przechodzimy przez boczną bramkę i przecinamy trawniki.

Jestem zaskoczona rozpierającą mnie dumą, kiedy wchodzimy do nowego ogrodu. W zeszłym tygodniu Dan spędził całe wieki, bawiąc się z wodą, i teraz woda sączy się z głównego stawu do dwóch mniejszych, cudownie przy tym szemrząc. Harry jest pod wrażeniem.

- Myślę, że będziemy potrzebowali trochę roślin wodnych. Wysokich i smukłych, żeby się poruszały na wietrze, ale żadnych kwiatów. Ale łupki wyglądają super, prawda?

- Cudownie. Na pewno nie zajmowałaś się wcześniej projektowaniem ogrodów? Ten ogród jest naprawdę świetny.

- Nie, ale to nie ja zajmowałam się roślinami. To wszystko dzieło Towarzystwa Ogrodniczego. Plan jest dość prosty, charakter tak naprawdę nadają rośliny.

Hm. Cóż, ogromnie podoba mi się to rozwiązanie z wodą i ceglane ścieżki. Wiesz, czasami z ogrodów wychodzą prawdziwe

okropieństwa, jeśli podejdziesz się do tego w niewłaściwy sposób. Ale ty najwyraźniej masz do tego talent. A co tu jest?

- Domek do zabawy, żeby dzieci też miały coś dla siebie. Maluchy również sadziły warzywa, zobacz. Ziemniaki i... hm, właściwie to zapomniałam, co to jest.

- Sądząc po wyglądzie, fasolka szparagowa. W mgnieniu oka wespnie się na te podpórki.

- Alfie chce uprawiać banany.

- No to czeka go trudne zadanie.

Robimy jeszcze jedną rundkę i Harry pyta mnie, kto to jest Alfie, a ja wyjaśniam. Mówię mu, że on i Patrie są teraz na pływalni i że Patrie od czasu naszego rozstania przyjeżdża w większość weekendów, żeby się z nim zobaczyć. Myślę, że to bardzo zgrabny sposób na zasugerowanie, że nie jestem szczęśliwie ustabilizowana w jakimś związku. Nie żeby miało jakieś znaczenie, co on sobie pomyśli, no, ale w sumie to nigdy nie wiadomo.

Wracamy do mnie i proponuję mu herbatę. Kiedy oglądamy ogród od frontu i Harry opowiada mi o roślinach, tych, które już mam, i różnych nowych, które by się przydały, z pływalni wracają Patrie z Alfiem. Bazyl rzuca się na nich, zostawiając na lewej nodze Patrica cienką smużkę śliny. Patrie nie jest zachwycony. Za to Alfie promienieje; uwielbia psy i od czasu do czasu stara się namówić mnie na bernardyna, takiego jak w Piotrusiu Panu.

- Przepraszam. Staram się go tego oduczyć. Bazyl. Siad. Siad!

Bazyl go ignoruje i Harry wygląda na zawstydzonego, ale to głównie wina Alfiego, który biega w kółko i krzyczy.

- Alfie. Przestań. Patrie, to jest Harry. Harry, Patrie. Patrie obdarza Harry'ego piorunującym spojrzeniem, a ten zdaje się tego nie zauważać.

- Dlaczego on się nazywa Bazyl?

Harry wyjaśnia Alfiemu, że to na cześć Bazyla Fawłty'ego który występował w jego ulubionym programie telewizyjnym, kiedy Harry był dzieckiem. Ale założę się, że ostatecznie zdecydował się na to imię ze względu na zioła.

- Potrzebny mi pies, ale mama mi nie pozwala...

Alfie urywa z nadzieją, że Harry zemdleje, zaszokowany moim okrucieństwem.

- No tak, ale wiesz, z psami jest dużo roboty, a poza tym są bardzo głupie. Zwłaszcza Bazyl. Strasznie się brudzi i znosi do domu różne rzeczy z ogrodu. W zeszłym tygodniu włożył mi do kapci polną mysz.

Mogę się założyć, że perspektywa posiadania wielkiego, zabłoconego psa, który wkłada myszy do kapci, to dla Alfiego absolutna rewelacja.

- Dzięki, Harry, to na pewno go zniechęciło. Posłuchaj, Alfie kiedy będziesz dość duży, żeby zabierać go na spacerunki we wszystkie deszczowe wieczory, będziesz mógł mieć psa, w porządku?

- Teraz też mogę chodzić po deszczu. Naprawdę. Mam gumowce. Tatusiu, ty możesz mieć psa, prawda? I mógłby jeździć z nami na basen, nie?

- Nie, nie bardzo. Słuchaj, Alice, będę się zbierał. Jeszcze zadzwonię, ale w przyszły weekend może być ciężko. Dam ci znać, dobrze?

- Dobrze.

Ponownie piorunuje Harry'ego wzrokiem i idzie ciężkim krokiem w stronę Alfiego, który daje mu na pożegnanie szybkiego buziaka, a potem znowu pędzi za Bazylem.

Patrie odjeżdża. Nadal wygląda na wściekłego. Wspaniale.

- Cóż, też się będę zbierał. Dzięki, że pokazałaś mi ogród.

- Nie ma sprawy. Na pewno nie chcesz napić się tej herbaty, którą ci obiecałam? Zdaje się, że nie będzie łatwo ich teraz rozdzielić.

Alfie i Bazyl świetnie się bawią, tarzając po trawie.

- Rozumiem. Cóż, w takim razie z chęcią napiję się herbaty. Bazyl. Przestań. Bazyl!

Kiedy wynoszę na zewnątrz herbatę, Alfie pokazuje swoje zabawki, a Harry wydaje się szczególnie przejęty jaskrawożółtą koparką. Mówi, że kiedy był mały, nie miał takich fajnych zabawek. Alfie mówi, że jeśli chce, może mu ją pożyczyć, a Harry bardzo uroczyście dziękuje i mówi, że bardzo by chciał.

Pijemy herbatę. Harry rzuca Bazylowi patyki i Alfie jest zachwycony. Potem znowu biegają po ogrodzie. Bazyl tak mocno wachluje ogonem, że zaraz mu chyba odpadnie, a potem zaczyna skakać na Alfiego, któremu w każdej chwili grozi zrównanie z ziemią. Ale on zdaje się tym nie przejmować.

- Przestań, Bazyl. Siad! Bazyl jak zwykle go ignoruje.



- Przepraszam za to wszystko. Nigdy go porządnie nie szkoliłem, jest na to za głupi. Bazyl, przestań.

Właściwie jest całkiem seksowny, kiedy krzyczy. Alfie leży teraz w błocie, a Bazyl liże go po twarzy.

- Boże, naprawdę przepraszam.

- Nie przejmuj się. Alfie jest wniebowzięty. Naprawdę tak jest. Chichocze jak opętany i choć raczej nie jestem zwolenniczką lizania przez psy po twarzy, na pewno nie będę tą, która spróbuje ich rozdzielić. Harry łapie Bazyla za obrozę, żeby go odciągnąć. Za swoją troskę obrywa mu się nieprzyjemne spojrzenie od Alfiego.

- Bawiliśmy się. Bazyl był niedźwiadkiem, a ja dużym niedźwiedziem. Z mojego punktu widzenia było odwrotnie, ale trzymam się od tego z daleka.

- Przykro mi, ale Bazyl nie może lizać ludzi po twarzy. Niektórzy tego nie lubią.

- Głupi ludzie.

- Cóż, może i tak, ale niektóre psy gryzą i ludzie mogą nie wiedzieć, jakie ma zamiary, prawda? Mógłbym mieć przez to kłopoty.

Bazyl rzuca się teraz do Harry'ego i liże go po rękach.

- Odczep się. Przestań.

Kończy się na tym, że Harry pochyla się i przyciska Bazyla do ziemi, żeby zmusić go do siadu. Bazyl chyba myśli, że to sygnał do tego, by przewrócić się brzuchem do góry i wymachuje w powietrzu łapami;

najwyraźniej ma nadzieję na pieszczoty. Alfie czuje się zobowiązany zareagować i po chwili Bazyl znowu liże go po twarzy.

Harry'emu udaje się w końcu ich rozplatać i zaciąga Bazyla do dżipa. Alfie uważa, że to oburzające, i wybucha płaczem.

- Bawiliśmy się. Czy Bazyl może przyjechać któregoś dnia, żeby się pobawić? Może?

- Tak, jestem pewna, że tak. Któregoś dnia.

Któregoś dnia, najlepiej, kiedy nas nie będzie. Ten drobny epizod nie pomoże mi utrzymać w naszym domu strefy bez zwierząt. Miałam nadzieję, że da sobie spokój z psami na rzecz jakiegoś bardziej odprężającego zwierzątka, na przykład złotej rybki. Ewentualnie chomika.

- Alfie, podnieś się już, skarbie, jesteś cały zabłocony. Alfie nie zwraca na mnie uwagi.

Ścieżką wraca Harry.

- Przepraszam za to wszystko. I dziękuję, że mi pożyczyłeś koparkę, Alfie.

Alfie pędzi do bramy, więc muszę się za nim rzucić. To niesamowite, jak szybko mogą się przemieszczać mali chłopcy, kiedy tylko chcą. Zaczynam kolejny odcinek pogadanki na temat bezpieczeństwa na drodze, trzymając Alfiego za rękę, zaś Harry potakuje i mówi, że mam rację, bo znał jednego chłopca, którego prawie zmiotła ciężarówka. Potem Alfie chce wiedzieć, czy ten chłopiec został zmiotony zupełnie czy tylko częściowo, i Harry usiłuje zmienić temat. Nie jestem

pewna, czy zamierza powiedzieć coś jeszcze, ale wtedy Alfie przypomina sobie o koparce i podnosi ją z frontowych schodów.

- Masz, zapomniałeś.

- Dzięki, super.

Harry wygląda na zdezorientowanego.

- Możesz ją pożyczyć. A jak znowu przyjedziesz, możesz przywieźć Bazyla.

- Tak. Jasne. Hm, cóż, jeszcze raz dziękuję za wszystko, i za koparkę. Super.

A potem pyta mnie szeptem, czy na pewno powinien ją zabrać.

112

- Tak, nie ma problemu. Po prostu podrzuć ją następnym razem, kiedy będziesz w okolicy.

Alfie spogląda tęsknie w stronę dżipa, który teraz kołysze się z boku na bok - zapewne Bazyl próbuje się usadowić.

- W takim razie będę się zbierał.

Dżipem teraz porządnie rzuca, a Bazyl zaczął szczekać.

- Cóż, jeszcze raz dziękuję. Szczególnie za koparkę. Alfie znowu próbuje mi się wymknąć, ale go łapię. Harry wycofuje się ścieżką, prawie potyka się o wiadro, a potem macha, wsiada do auta i odjeżdża.

Cholera. Myślałam, że może zaprosi mnie na drinka albo coś. Sama nie wiem, czy jestem z tego powodu zawiedziona, czy nie. Z jednej strony naprawdę nie potrzebuję, żeby ciągle nas nachodził facet ze zbzikowanym psem, ale z drugiej, on ma takie cudowne oczy... No cóż,

chyba po prostu zaczekam na rozwój wydarzeń, a jeśli nie zadzwoni, to może trzeba będzie dokupić jeszcze trochę ziół do ogrodu. Mogłabym przecież do niego wpaść, zupełnie niezobowiązująco, i coś kupić. Może po Wielkanocy, żeby nie wydało się to zbyt oczywiste.

Wieczorem dzwoni Lola. Jest niepokieszona, że rozminęła się z Harrym.

- Oprowadziłam go po nowym ogrodzie.

- Podobało mu się?

- Bardzo. A potem wpadł na herbatę i wtedy wrócił Patrie.

- I dobrze. Założę się, że to mu trochę utarło nosa. Ciągłe nie miałam okazji go poznać. Musisz przyprowadzić go następnym razem. Z tego, co mówiłaś, wynika, że jest ostatnim kutasem, a ja całkiem dobrze sobie z takimi radzę. Mam praktykę w pracy. Wiesz, właśnie przyszło mi do głowy, że właściwie Harry mógłby być dla ciebie idealny - mogłabyś sobie trochę poużywać latem.

- Nie, on raczej nie jest w moim typie.

Właściwie to sama nie wiem, jaki jest mój typ, ale nie chcę, żeby Lola myślała, że mogę być zainteresowana. Poczująby się zobowiązana, żeby wziąć sprawy w swoje ręce i zorganizowałaaby jakieś okropne przyjęcie czy coś w tym rodzaju. A ja ciągle się jeszcze nie zdecydowałam. W każdym razie nie do końca.

- No cóż, skoro tak mówisz. W takim razie muszę do niego zadzwonić i zaprosić na kolację, kiedy przyjedzie Tina.

Cholera. Chyba mi się należało za to, że nie byłam bardziej stanowcza. Ale też wcale nie jestem pewna, czy Lola by to za-uważyła, nawet gdybym była.

Rozmawiamy o wielkanocnej niespodziance dla Molly, którą szykuje Dan w ramach przeprosin za wizytę matki. Kupi jej kilka kurczaków, które zawsze chciała hodować, i zamówił dla nich u Franka kurnik.

- To naprawdę słodkie. Pomalował go na biało, a dach jest niebieski.

- Urocze. Zupełnie jak w Domku na prerii. Hm, mam nadzieję, że nie dopadną ich lisy. Czy to nie dlatego wszyscy na wsi polują?

Właściwie, to nie znam nikogo, kto by polował, Lola też nie,

O ile wiem; myślę, że po prostu jest w zrzędlwym nastroju. Wydaje mi się, że ciągle jest poirytowana z powodu ogrodu: niezbyt jej się podoba, że nie ma w nim nic naprawdę modnego, na przykład cynkowego pawilonu, do którego próbowała nas swego czasu przekonać. Pokazała mi nawet zdjęcia jakiejś szkaradnej, olbrzymiej szklanej kuli, którą popycha się po ogrodzie, a potem sobie w niej siedzi, najpierw ją zakotwicząc, jak przypuszczam. No, chyba że chce się toczyć w niej jak chomik.

Poza tym ciągle mi powtarza, że krzewy sąburżujskie i muszę czuwać, żeby nikt ich nie przemycił. Nie wiem, kto powiedział, że krzewy są burżujskie, zapewne ktoś z tych magazynów po osiem funtów, które są pełne reklam skórzanych mis na owoce i willi w Toskanii. Ale wydaje mi się, że teraz Lola ma dość mieszane uczucia, kiedy ogród zaczął już wyglądać jak ogród

1 jest tak popularny.

- Co robicie na Wielkanoc?

- Nic. Będzie okropnie. Chciałam gdzieś wyjechać, ale mam dużo roboty w pracy, więc po prostu zaprosimy trochę osób na lunch czy coś w tym stylu. I nie wiadomo po co, ale przyjeżdżają rodzice Charlesa, co mnie cholernie irytuje. Boże, oni są tacy nudni. Będę musiała zaprosić więcej ludzi, żeby nie zwariować.

Zdaje się, że Lola kolekcjonuje ludzi, tak jak inni kolekcjonują dzbanki do herbaty - zawsze wydaje jakieś przyjęcia czy zaprasza gości na lunch albo weekend. Podejrzewam, że nie bardzo jej się uśmiecha perspektywa spędzenia zbyt dużej ilości czasu tylko z Charlesem i dziećmi.

- Jeśli będę w skrajnej desperacji, przyjdę się do ciebie ukryć. Nie masz żadnych planów, co?

- Właściwie nie. W niedzielę mam wszystkich na świątecznym lunchu, ale poza tym jestem wolna.

- Świetnie. W takim razie jesteśmy wstępnie umówione. Przyniosę wódkę.

Molly zaprasza nas na podwieczorek w Wielki Piątek, żebyśmy zobaczyli jej kurczaki. Mówi, że ta odmiana nazywa się Buff Orpington, co kojarzy mi się z armią emerytowanych pułkowników. Są w ładnym karmelowym kolorze i do tego zupełnie szalone, a ich piskłota są naprawdę słodkie, jak małe, piszczące, puchate kulki. Tłoczą się wokół Alfiego, kiedy kładzie się w ich klatce, choć proszę go, żeby tego nie robił, i dziobią go po kolanach, co mu się bardzo podoba. Kogucik nazywa się Bernard po Bernardzie Matthewsie, a Lily ochrzciła

pozostałe kury Hoppy, Poppy i Lopy, zaś pisklę nazywa się Tygrysek. Molly mówi, że Alfie również może mieć własnego kurczaka i Alfie całe wieki wybiera mu imię, w końcu nazywa go Edward, na cześć swojego najlepszego przyjaciela z przedszkola.

Harry nie zadzwonił i jeśli mam być szczerą, to jestem trochę zawiedziona, choć staram się udawać, że mi nie zależy. Molly mówi, że to powszechnie znany fakt, iż mężczyźni mają zupełnie inne poczucie czasu niż kobiety i zapewne Harry nie chce wyjść na napaleńca. Nie jestem przekonana, czy ma rację. Według mnie, o wiele bardziej prawdopodobne jest, że nie jest ani trochę zainteresowany. Poza tym zbliża się mój wielki dzień, kiedy mam urządzić lunch dla całej rodziny, przez co jestem wystarczająco spanikowana i nie mam siły przejmować się Harrym.

Doreen, mama Dana, już doprowadza Molly do obłędu. Jest naprawdę okropna. Molly upiekła trzy różne rodzaje ciasta na podwieczorek, ale Doreen mówi, że ona jada tylko keks, a potem krytykuje zachowanie Lily przy stole, które jest zupełnie w porządku, ale całkiem ignoruje maniery Alfiego, które są fatalne. Wrzucił mi do herbaty kawałek owsianego herbatnika, żeby zwyczajnie zobaczyć, co się stanie, a kiedy wyławiam ciastko mówię mu, żeby przestał, Doreen go chwali i stwierdza, że jest po prostu dociekliwy.

Po podwieczorku Dan zabiera dzieci na spacer, głównie dlatego żeby uciec przed Doreen, jak mi się zdaje. Doreen sadowi się w fotelu i zaczyna gadkę o tym, jaki wspaniały jest Dan.

- Obecnie jest zupełnie inaczej. Kiedyś mężczyźni nie byli przyzwyczajeni do zajmowania się z dziećmi, ale też nie prosiliśmy ich o to, po prostu godziłyśmy się z tym. Nie wiem, jak wy, nowoczesne kobiety, to robicie, naprawdę nie wiem chodzicie do pracy i tak dalej. Tak naprawdę to chodzi jej o to, że nie wie, dlaczego to robimy, i uważa to za prawdziwy skandal.

- Jednak on wydaje się taki zmęczony. Mówił mi, że na zmianę robicie kolacje. Myślisz, że podjęcie tej nowej pracy, o której mówił mi Dan, to na pewno dobry pomysł, skarbie? Zdaje się, że nawet bez nowych obowiązków już teraz jest ci trudno z tym wszystkim sobie poradzić. To wspaniale, że poświęcasz tyle czasu swoim uczniom, naprawdę tak myślę, ale Lily i nowe dziecko też będą cię potrzebować, przecież wiesz.

Jezu, tak właściwie to oskarża Molly o to, że jest złą matką. Mimo to jestem pewna, że wszystko między wami będzie w porządku. Ale ty przynajmniej jesteś w miłej, ciepłej szkole, a nie na zewnątrz, na budowie. On musi tam być w każdą pogodę.

Nie puszczę jej tego płazem.

- Och, sama nie wiem. Spędzam sporo czasu na budowach, wie pani, i tam się często przesiaduje w barakach, popijając herbatę, czytając gazety i opowiadając sprośne dowcipy.

Ignoruje mnie.

- Uważam, iż to cudowne, że współcześni mężczyźni włączają się w domowe obowiązki. Nam było o wiele trudniej. Chodzi mi o to, że nawet nie miałam pralki, dopóki Danny nie skończył czterech latek.



Wszystko prałam ręcznie. Nadal sporo piorę w ręku, bo uważam, że tak jest lepiej dla delikatnych tkanin.

Stara rura. Gdyby mogła, pewnie zagnałaby nas nad rzekę, żebyśmy trzepały bielizną o kamienie. Teraz Molly musi się czuć jak nieudacznica, ponieważ nie pierze wszystkiego w ręku.

- Właściwie to wcale nie jestem pewna, czy dzisiejsi mężczyźni są rzeczywiście tacy wspaniali. Parę dni temu czytałam coś o tym w gazecie i najwyraźniej jeden na trzech mężczyzn nawet nie budzi się, kiedy jego dziecko płacze w nocy, a co dopiero mówić o wstawaniu. Patrie nigdy nie wstawał do Alfiego, to znaczy, zanim jeszcze okazał się totalnym gnojkiem.

Molly spogląda na mnie z wdzięcznością.

- Tak, a kiedy już się budzą, to po prostu szturchają cię w plecy i mówią, że dziecko znowu płacze. Dan czasami wstaje, ale przeważnie ja to robię.

- Mnie nigdy nie przeszkadzało wstawanie do moich dzieci. A niech mnie, ale jest irytująca.

- Naprawdę? A mnie tak. Choć bardzo Kocham Alfiego, przysięgam, że prawie co rano mam ochotę go wymienić na filiżankę herbaty i dodatkową godzinę w łóżku. Ale zdaje się, że pewne rzeczy zmieniły się na lepsze. Parę dni temu moja mama stwierdziła, że teraz jest o wiele lepiej, ponieważ ludzie zdają sobie sprawę, że posiadanie dziecka nie oznacza jeszcze konieczności siedzenia do końca życia w domu. Powiedziała, że prawie zbzikowała, kiedy byliśmy mali. Bała

się, że zamieni się w jedną z tych szalonych kobiet, które potrafią z pamięci recytować przepisy.

Doreen ma nawyk wycinania przepisów z czasopism i przysyłania ich Molly. Szybkie kolacje, pożywne zupy... Biedna Molly wygląda, jakby miała się rozplakać. Czas na mój awaryjny plan ucieczki.

- Skoro już mowa o doskonałych kucharkach, będę musiała pożyczyć Molly, jeśli oczywiście to nie problem. Muszę upiec tort na niedzielę i potrzebuję jej pomocy. Nie ma pani nic przeciwko temu, prawda? Jest świetna, jeśli chodzi o torty, i jestem pewna, że Dan zajmie się kolacją. Może zrobić swój specjalny omlet.

Dan robi najgorsze omlety, jakie kiedykolwiek jadłam. Jednocześnie udaje mu sieje spalić i nie dopiec w środku, do czego, jak mówi Molly, trzeba mieć naprawdę wyjątkowy talent. Dobrze zrobi tej starej rurze, jeśli zakosztuje jednego ze specjałów swojego złotego chłopca, omleta z serem.

- Chodźmy jeszcze popatrzeć na kurczaki.

- Zostanę przy kominku, jeśli nie masz nic przeciwko, skarbie. Czuję nadchodzący ból głowy.

Znajdujemy jej jakieś tabletki od bólu głowy, których - jak zauważam - nie bierze, a potem wychodzimy popatrzeć na kurczaki.

- Boże, jest okropna.

- Wiem. Czuję, że ocenia każdy mój ruch, i choć wiem, że nie ma racji, bo w życiu chodzi o coś więcej niż codzienne mycie podłogi w kuchni, i tak mi się to nie podoba. Ciągle mnie zagina.

- Kto codziennie myje podłogę w kuchni? Boże, nie mów mamie.

- Ona myje. Po wewnętrznej stronie drzwiczek od kuchennej szafki ma plan zajęć i jak już coś zrobi, to na nim odhacza.

- Może powinniśmy się tam zakraść i coś dopisać.

- Co? Może: wtorek. Pożyj trochę.

- Tak, albo: piątek, wyluzuj.

- Dzięki, że mnie uratowałaś, jesteś aniołem.

- Nie zrobiłam tego bezinteresownie.

- Nie obchodzi mnie to.

- Lepiej, żeby obeszło. Naprawdę chcę, żebyś pomogła mi z tortem - jeden już upiekłam, ale wyszedł krzywy. Mam trochę dekoracji w postaci kurczaczków, ale musisz mi pomóc z lukrem, żeby to nie wyglądało, jakby próbowały popełnić samobójstwo, rzucając się z klifu.

- Zgoda. Wszystko, bylebym mogła u ciebie zostać, dopóki Lily nie pójdzie spać.

- Zostań na noc, jeśli chcesz. Możemy zrobić woskowe figurki Doreen i wbijać w nie szpilki. To powinno załatwić sprawę bólu głowy.

Wielkanocna niedziela nie jest zbyt udana, choć jest dopiero wpół do jedenastej. Dzwoni Molly, żeby powiedzieć, że Doreen ciągle jest okropna; wstała o siódmej, żeby zrobić śniadanie Danowi, i zużyła ostatnie jajka, ale nie przygotowała nic dla Molly, bo - jak powiedziała - nie wiedziała, co Molly lubi. A potem kurczaki wyszły w teren i minęły całe wieki, zanim z powrotem je zagonili; najtrudniej było wytropić Edwarda i został przechrzczony na Szybkiego Eddiego.

Potem dzwoni mama, żeby przypomnieć mi, jak ważne jest, by porządnie dopiec szynkę, a po niej dzwoni Jim i mówi, że się spóźni. Alfie z kolei znowu chce iść do kurczaków, a poza tym, zdążył już zjeść dwa jajka z czekolady. Na jego twarzy maluje się szaleńczy uśmiech, kiedy z zapalem trzepocze łokciami, usiłując umościć sobie gniazdko, do czego wykorzystuje wszystkie poduszki.

Czuję wielką pokusę, żeby wrócić do łóżka i kiedy przyjadą rodzice udawać chorą, ale zamiast tego mocuję się z gigantyczną szynką - najpierw muszę ją upchnąć do formy, a potem pokryć miodem. Zaczynam nakładać miód za pomocą łyżki, ale ostatecznie robię to ręcznie. Właściwie to dość terapeutyczne przeżycie; przy wcieraniu miodu wydobywają się przyjemne, chlupoczące dźwięki. Dopóki nie dzwoni telefon. Zapominam, że jestem cała w miodzie, i chwytam za słuchawkę, ale wypada mi z rąk i ląduje ze ślizgiem na podłodze. Krzyczę na cały głos: „ja chromolę”, łapię za ścierkę i podnoszę telefon, ale ktokolwiek dzwonił, już się rozłączył. Typowe. Prawdopodobnie to jakiś cholerny sprzedawca podwójnych szyb, który uważa, że niedziela wielkanocna to idealny moment, żeby zastać ludzi w domu i zapytać, ile chcą wymienić okien gratis.

Telefon pokrywają teraz nieprzyjemne, brązowe ślady, a kiedy staram się je zmyć, znowu rozlega się dzwonek. To Harry.

- To ty byłaś przed chwilą?

- Co?

- Czy to ty krzyczałaś do telefonu „ja chromolę”?

- A tak. Przepraszam. Wypadł mi. Właśnie gotuję.

- Aha.

- I jestem cała w miodzie.

- Fajnie.

O Boże, musi sobie myśleć, że jestem zupełnie stuknięta.

- Robię szynkę i najpierw trzeba ją posmarować miodem. Wyostrza smak.

- Brzmi tak, że aż ślinka cieknie.

Dzięki Bogu nie mam jednego z tych wideotelefonów, dzięki którym rozmówcy widzą się nawzajem. Kiedy się nad tym zastanowić, zupełnie nie rozumiem, kto może chcieć taki telefon: człowiek nie mógłby spokojnie wejść do wanny z obawy, że ktoś akurat zadzwoni.

- W każdym razie tak się właśnie zastanawiałem, czy nie poszłabyś ze mną któregoś dnia na kolację, jeśli oczywiście nie jesteś zajęta albo coś. W Tonbridge jest nowa włoska knajpka, która powinna być w porządku. Moglibyśmy porozmawiać o twoim ogrodzie. Wiesz, tak sobie pomyślałem, że uporządkowanie go wcale nie zajmie aż tak dużo czasu. Może być fajnie.

- Przy porządkach czy na kolacji? Cholera. Żałuję, że to powiedziałam.

- Mam nadzieję, że i tu, i tu. Ja w zasadzie jestem codziennie wolny, pomijając czwartek. Moja matka zaprasza wtedy wszystkie swoje stare psiapsiółki na brydża, a ja muszę krążyć między nimi z drinkami i rozstrzygać wszystkie większe spory. Czasami jest naprawdę ostro.

- Może być piątek wieczorem.

- Super. W takim razie piątek. Mam po ciebie wpaść? O którą-rej, około siódmej? Czy to za wcześnie?

- Nie, siódma jest w porządku. Do tego czasu powinnam pozbyć się tego miodu.

O Boże. Znowu żałuję, że mam taki szybki język.

- Szkoda. Cóż, w takim razie do piątku. O, a tak przy okazji, nie zapomniałem o koparce Alfiego - nie chcę, żeby myślał, że ją ukradłem. Przywiozę ją w piątek. Na razie.

A niech mnie. Dzwonię do Molly, która jest zachwycona, ale nie może teraz rozmawiać, bo Lily właśnie zalała sofę lemoniadą.

- Co założysz?

- Nie mam pojęcia.

- Jeśli chcesz, przyjadę do ciebie i zrobimy sobie małą rewię.

- Świetnie.

Molly przynajmniej wie, jak bardzo ograniczone zasoby kryje moja szafa, i nie będzie kazała mi wyrzucać wszystkich rzeczy, które są już niemodne, jak to robią w telewizyjnych programach, gdzie stare, ukochane swetry lądują w koszu.

Jim zjawia się z okropnym kacem i olbrzymim czekoladowym jajkiem dla Alfiego, które natychmiast porywam i próbuję ukryć na najwyższej półce w kredensie. Alfie uważa, że zachowuję się nedorzecznie, i Jim się z nim zgadza.

- Jasne. Zjadł już dzisiaj dwa jajka i całe mnóstwo mini-jajeczek, ale jeśli chcesz mu dać jeszcze jedno i wyjaśnisz mamie, dlaczego nie je lunchu, to w porządku. O, i po dodatkowej porcji cukru będzie bardziej żwawy, a potem pewnie zrobi mu się niedobrze. Ale może siedzieć obok ciebie i ty się tym zajmiesz, prawda?

- Wiesz co, Alf, właściwie to mama może mieć rację. Może powinieneś zostawić sobie to jajko na podwieczorek. Albo na jutro. Wtedy będzie na co czekać. Co o tym myślisz?

- Chromolę to.

Patrzemy na siebie z Jimem. On nie mógł tego naprawdę powiedzieć.

- Chromolę to. Chcę moje jajko. Teraz.

- Alfie, to bardzo nieładnie tak mówić.

- Sama tak mówiłaś, kiedy spadł telefon. I mówisz tak w samochodzie, kiedy czekamy za autobusem.

- Cóż, nie powinnam tak mówić, ale czasami dorosłym wolno robić rzeczy, których nie powinni. Ale małym chłopcom tego nie wolno, i to bardzo niegrzecznie, kiedy mali chłopcy to robią, o wiele bardziej niegrzecznie niż w przypadku dorosłych.

- Chromolę to.

Muszę przyznać, że Alfie ma rację. Ale wiem również, że trzeba wyjaśnić tę sytuację, zanim przyjadą rodzice, bo inaczej możemy mieć drobny problem. Postanawiam spróbować jednego z najbardziej niezawodnych sposobów, żeby go od czegoś odwieść, choć doprowadza mnie on do szału.

- Jim nigdy tak nie mówi. Właściwie to tylko dziewczyny tak mówią.

Na szczęście Jim łapie, do czego zmierzam, i mnie wspiera.

- O tak, to bardzo dziewczynskie. Tylko mamusie i dziewczyny tak mówią. Ja nigdy bym tak nie powiedział.

- Wszyscy duzi chłopcy z twojego biura by się z ciebie śmiali?

- Tak, śmialiby się do rozpuku. Alfie rozważa to przez chwilę.

- Chcę moje jajko. Teraz.

Myślę, że wie, że go zbywamy, ale woli nie ryzykować używania słowa, które może wzbudzić śmiech dużych chłopców.

- W porządku, ale tylko kawałek?

- Ale duży kawałek?

- Dobra.

Rodzice przyjeżdżają z kolejnym gigantycznym jajem. Cudownie.

- Cześć, mój malutki kurczaczku, zobacz, co babcia ci przywiozła.

Wspaniałe wielkie jajko, ale to dopiero po lunchu, dobrze skarbie?

- Tak, babciu. Kocham cię, babciu. I mam kurczaka. Nazywa się Eddie.

Mieszka u cioci Molly, ale jest mój, naprawdę mój.

Oszaleć można. Gdybym to ja powiedziała, że nie może zabrać się do jajka, już by się rzucał po podłodze w napadzie złości, ale kiedy mówi to babcia, jakimś cudem nie ma żadnego problemu.

Świetnie, masz własnego kurczaczka. Ale z ciebie spryciarz. Chodź, usiądziesz i opowiesz mi o wszystkim. Bob, przynieś moją torbę. Mam dla ciebie nową książeczkę, słoneczko, cała jest o kurczakach. Zobaczymy, czy jest tam jakiś podobny do twojego, co? Cześć, James, dlaczego się dzisiaj nie ogoliłeś? Wyglądasz, jakbyś spał w tym swetrze.

Mama uparcie mówi do Jima James, z jakiegoś, znanego tylko sobie, powodu. Zapewne głównie dlatego, że go to denerwuje.

- Też się cieszę, że cię widzę, mamó. Alf, korzystaj, póki możesz.

Niedługo i ciebie zaczną besztać z powodu swetrów.



- Wcale nie, słoneczko. Ty nie przyszedłbyś w wymiętym swetrze, żeby zobaczyć się z babcią, prawda?

- Nie. Lubię bluzy. Mam jedną z pieskiem.

- Wiem, że masz. Powinniśmy ci sprawić jakąś z kurczakiem, co?

- Napijesz się kawy, mamo?

- O tak, poproszę. I zrób też dla ojca. Gdzie on się podziewa z tą torbą? Naprawdę, nie można go spuścić z oczu nawet na minutę. James, idź zobacz, co on robi, a jeśli kieruje się w stronę pubu, to go zawróć.

Tata wstąpił raz do pubu, kiedy wracał do domu z niedzielnymi gazetami. Było to piętnaście lat temu, ale mama nie pozwala mu o tym zapomnieć.

Lunch to prawdziwy triumf. Szynka poczerniała od specjalnej miodowej warstwy i Jim robi na ten temat rozmaite uwagi, dopóki nie wyjaśniam, że to ma właśnie tak wyglądać. Smakuje fantastycznie. Tort również się udał, choć Jim podśmiewa się z kurczaków, które wyglądają, jakby jeździły na nartach, co przypomina tacie

o naszym wspólnym wyjeździe na narty sprzed wielu laty, kiedy to Jim wjechał prosto na drzewo i dostał wstrząśnienia mózgu.

Mama zapędza tatę i Jima do zmywania, my tymczasem pijemy kawę, zaś Alfie dokłada starań, żeby dostać się do Księgi Rekordów Guinnessa jako chłopiec, który zjadł najwięcej czekolady w ciągu jednego dnia.

Tata i Jim śmieją się w kuchni, czego mama nie wytrzymuje

i idzie przeprowadzić dochodzenie. Mam tylko nadzieję, że nie mówią o Alfim i chromoleniu.

Przed podwieczorkiem udajemy się spacerkiem w odwiedzinach do Molly i kurczaków. Doreen z miejsca próbuje zakumplować się z mamą i pytają, czy nie uważa, że dzisiejsze dzieci są bardzo niegrzeczne, ale mama odpowiada, że właściwie to nie, i Doreen się nabzdycza.

Udaje mi się spędzić pięć minut sam na sam w kuchni z Molly. Wygląda na zmęczoną.

- Czemu nie poprosisz Doreen, żeby zajęła się Lily. Równie dobrze mogłaby zrobić coś pożytecznego. Wyrwijcie się gdzieś wieczorem, tylko ty i Dan.

- O, nie. Cały czas bym się martwiła, czy nie przetrząsa kredensów i nie analizuje naszych wyciągów z banku.

- Racja. Ale przynajmniej po waszym powrocie wszędzie panowałby idealny porządek.

- Wiesz, właściwie to nie taki zły pomysł z tym przewietrzeniem szafek. Za każdym razem, kiedy otwieram drzwiczki, coś wypada. Ciągle myślę o tym, żeby się do tego zabrać, ale jakoś mi nie wychodzi. Doreen na pewno zechce powęszyć, a potem po prostu będzie musiała coś z tym zrobić. Powie, że potrzebowała ręcznika albo czegoś. Zobaczę, co Dan o tym myśli.

Dan jednak mówi, że jest wykończony, a poza tym uważa, że jeśli poproszą Doreen o opiekę nad Lily, to będzie marudziła, bo ciągle powtarza, jak rzadko go widuje. I moim zdaniem ma rację.

Mama mówi, że według niej powinniśmy się zaraz zbierać, bo Alfie kombinuje, jak przemycić Eddiego do nas, zatem wracamy do domu,

jemy jeszcze trochę pochyłego tortu, a kiedy rodzice już odjeżdżają, mama mówi, że było cudownie, bo nie musiała sama przygotowywać lunchu, a poza tym wiedziała, że potrafię dobrze gotować, jeśli tylko się skoncentruję. Mówi jeszcze, że skoro było tak miło, może powinniśmy spędzić u mnie tegoroczne Boże Narodzenie. Z jednej strony jestem zadowolona, z drugiej przerażona.

Alfie zjadł tyle, że ledwie może się ruszać, i ogląda teraz telewizję, leżąc płasko na sofie, a Jim i ja sprzątamy po podwieczorku.

- Miałam cię zapytać, czy nie masz może ochoty wpaść do mnie znowu w przyszły weekend. W piątek, żebym mogła wyjść?

- A w jakim celu?

- Och, chodzi tylko o kolację z jedną osobą z braci ogrodniczej.

- Wolną?

- Tak.

- Czy ta osoba jest mężczyzną poniżej osiemdziesiątki?

- Tak.

- O! Prawdziwy mężczyzna z krwi i kości na horyzoncie. To dlatego nie chcesz, żeby mama zajęła się Alfiem, jak sądzę?

- Tak.

- Czym on się zajmuje?

- Handluje ziołami.

- To taki eufemizm, tak? Chodzi o towar, którym nie można się zaciągać, jeśli chce się zostać prezydentem.

- W tym przypadku chodzi o prawdziwe zioła. Nazywa się Harry i ma psa Bazyla.

- Kojarzy mi się to z jakimś głupkiem. Zielarz Harry. Jakim samochodem jeździ?
- Prawdziwy z ciebie facet. Ma starego dżipa. A poza tym, to wcale jeszcze nie wiem, czy jest w moim typie. To tylko kolacja.
- A w takim razie, jaki jest twój typ? Totalny dupek jak Mork?
- To tylko kolacja. Naprawdę, teraz żałuję, że ci powiedziałam.
- Dobra, dobra, wyluzuj. Mogę się nim zająć, ale jeszcze zadzwonię do ciebie jutro z biura, bo muszę sprawdzić w terminarzu. I nie wygadam się ani słowem przed mamą. Chcę tylko, żebyś miała trochę rozrywki. Tak tylko się z tobą drażniłem.
- Ależ ja mam rozrywkę. To, że nie śpiam z połową wsi, nie znaczy, że nie mam żadnych rozrywek. A skoro już o tym mowa: widziałeś się jeszcze z tamtą kobietą z biura Loli?
- Tak. Trochę trudno ją było okiełznać, ale mam mnóstwo informacji na temat tej twojej Loli. Zdaje się, że ta kobieta to prawdziwy koszmar. Wiedziałaś, że kiedyś obrysowała stopy jednego ze swoich dzieci, a potem puściła to faksem do biura, żeby jej osobista asystentka poszła kupić dzieciakowi nowe buty? Ta biedna dziewczyna musiała zabrać ten faks do Johna Lewisa, żeby na tej podstawie zrobić przymiarke, a potem jej się oberwało, bo najwyraźniej buty nie były wystarczająco trendy.
- Cholera.
- Tak. Na twoim miejscu bym na nią uważał. Wygląda mi na niezłą agentkę.
- A ty oczywiście wiesz najlepiej.

- Tak tylko mówię. W każdym razie Stella już wróciła i dość często się z nią spotykam, właściwie to tylko z nią. Myślałem o tym, że mógłbym jara przywieźć, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ciągle mówi o weekendzie na wsi.

- Założę się, że nie chodzi jej o weekend z twoją siostrą.

- A właśnie, że tak. Ona bardzo chce cię poznać. I Alfiego. Jim zwykle nie przyprawdza swoich dziewczyn do domu.

Musi mu na niej naprawdę zależeć.

- Właściwie to mógłbym przyjechać z nią w piątek, jeśli to nie problem?

- Dla mnie w porządku. Masz ochotę się napić? W lodówce jest butelka wina.

- Myślałem o tym, żeby zadzwonić do Dana i wyskoczyć na godzinę do pubu. Pewnie bardzo chciałby się wyrwać z domu. Mogę zostać na noc?

- Jasne. Ale nie waż się dzwonić do Dana. Powinien siedzieć w domu ze swoją matką.

- O, w takim razie koniecznie muszę do niego zadzwonić i uratować go od tych wszystkich bab.

Pokazuję mu język i Jim się śmieje.

- No, dzwoń do niego, dzwoń.

- Super. Teraz, kiedy dostałem pozwolenie od kontroli naziemnej, mogę do niego zadzwonić.

- Ale musisz obiecać, że nie będziesz śpiewał po powrocie do domu. Wcale nie przypominasz Franka Sinatry, wiesz o tym, prawda?

- And now, the end is near...

- Przestań. Alfie, szybko siadaj na wujku Jimie. Znowu zaczyna śpiewać.

- Co za despotka. Jesteś bardzo despotyczną kobietą, Alice Mayhew. Zdaje się, że Zielarza Harry'ego czeka duża niespodzianka. Chodź, Alf, pomożesz wujkowi Jimowi. Zrobimy coś, żeby mamusia nie była taka despotyczna. Połaskoczemy ją w stopy, nie cierpi tego.

**DZIENNIK OGRODOWY**

Podlej i odżyw nowo obsiane rabaty, kontynuuj program ścisłego odchwaszczania. Kiedy pogoda na to pozwoli, posadź truskawki i poobrywaj nowe, zbyteczne pędy winorośli. Wysiej sałatę, szpinak i marchewki.

Próbuję zaprowadzić ścisty reżim odchwaszczania i przycinam pnącze, które ciągle próbuje wdrzeć się przez kuchenne okno. Kończy się na tym, że mam całą masę ogrodowych odpadów, których - jak mówi pan Channing - nie można wyrzucić do śmietnika, chyba że najpierw przekupi się śmieciarzy odpowiednią sumką. Inaczej wysypią ci to wszystko w ogrodzie od frontu. Po wielu godzinach szamotania się z motyką mam jeden, względnie oczyszczony klomb z kilkoma różami i paroma innymi, wycieńczonymi roślinami. Chyba wolałam, kiedy rosły tam chwasty. Alfie również był zajęty; wykopał dziurę na środku trawnika, która jest mała, ale ma istotne znaczenie. Mówi, że to dla królików, na wypadek gdyby chciały zamieszkać w naszym ogrodzie i potrzebowały nory na dobry początek. Pali się, żeby włożyć tam trochę jedzenia, by je zachęcić. Kończy się na tym, że wpycha do dziury resztki sałatki z lunchu. Ciekawe, czy króliki lubią tuńczyka.

Przyjeżdża Molly i pomaga mi wybrać ciuchy na kolację z Harrym. W końcu decydujemy się na czarne spodnie i szarą, jedwabną bluzkę, do której mogę założyć nowy szal, żeby być choć odrobinę elegancka. Molly ma w piątek rozmowę w sprawie stanowiska zastępcy dyrektora i jest pełna obaw. Będzie musiała spotkać się ze wszystkimi członkami zarządu i martwi się, że piąty miesiąc ciąży raczej jej nie pomoże.

Dyrektor mówi, że nie ma problemu, bo stanowisko może na mnie poczekać, aż wrócę z urlopu macierzyńskiego, ale założę się, że oni nie będą tym zachwyceni.

- A nie mogą na razie zatrudnić kogoś tymczasowo?

- Tak, i pan Marchent mówi, że może jeszcze trochę zostać, jeśli będą go chcieli. Szczerze mówiąc, wcale nie chce odchodzić, ale jego żona naciska, żeby przeszedł na wcześniejszą emeryturę, bo zamierza przeprowadzić się gdzieś bliżej swojej matki. Ale i tak myślę, że ciąża będzie przemawiać przeciwko mnie.

- W co się ubierzesz?

- To kolejna sprawa. Nic już na mnie nie pasuje, a nie stać mnie na nowy kostium. Chodzę w rzeczach, które nosiłam w ciąży z Lily, ale nic z tego raczej nie nadaje się na rozmowę kwalifikacyjną. A żakiet się nie dopnie.

- Pomyśl o jakimś dużym szalu. Nie musiałybyś się wtedy zapinać.

- Właściwie to nie wiem, czemu zawracam sobie tym głowę. Już teraz sobie nie radzę. Dan cały tydzień chodził nadąsany. Teraz ciągle sprzeczamy się bez powodu, a do tego na schodach dostaję zadyszki.



- Pamiętam, jak to było, też miałam dość. Ma się wrażenie, że to się nigdy nie skończy.
- Tak, do cholery. O, ale wczoraj było przyjemnie. Zdaje się, że Lily w końcu przyjęła do wiadomości, że będziemy mieli nowe dziecko. Karmiła je spaghetti, hm, właściwie to dźgała mnie w brzuch łyżką, pytając, czy dziecko jest głodne. To było naprawdę słodkie.
- Maluszkowi smakowało spaghetti?
- Jeszcze jak. A jaki miałam uświniony sweter.
- Miejmy nadzieję, że nie będzie karmiła maleństwa, jak już się urodzi. W każdym razie przez jakiś czas. Jim wpychał mi do ust różne rzeczy. Raz dał mi węgiel.
- Wiem i naprawdę martwię się, żeby nie była zazdrosna. Żeby nie czuła, że ją w jakiś sposób zdradziliśmy, jakby nam nie wystarczała.
- Jestem pewna, że nic jej nie będzie. Wiem, że będziesz uważała, i możesz podrzucać mi maluszka, no wiesz, żeby mieć specjalny czas tylko dla Lily.
- Będę trzymała cię za słowo, absolutnie, tak długo, dopóki nie stwierdzisz, że Alfiemu to przeszkadza.
- On lubi maluchy. Uwielbia wszystkich, od których czuje się lepszy, a teraz prawie wszystkich można podciągnąć pod tę kategorię. Dziś rano powiedział mi, że jestem głupia, tylko dlatego że nie mogłam znaleźć jego butów. A kiedy powiedziałam, że sam powinien znaleźć własne buty, spojrzał na mnie takim wzrokiem, jak to tylko dzieci potrafią patrzeć: jakbyś była kompletną idiotką, i to w ogóle cud, że wolno ci

się swobodnie poruszać bez specjalnej naszywki na kurtce, żeby ostrzec ludzi.

- O, Lily też to często stosuje. Ciekawa jestem, kiedy z tego wyrosną.

- Zapewne kiedy będą mieli po jakieś trzydzieści pięć lat. Choć wydaje mi się, że nadal to robię mamie. Straszne. Właściwie to wiem, że to robię. Parę dni temu wspominała coś na ten temat. Powiedziała, że zastanawia się, jak by sobie poradziła, gdybym nie mówiła jej, jak robić prawidłowo różne rzeczy.

Denerwuję się kolacją z Harrym i czuję się niewyraźnie, kiedy przyjeżdżają Jim i Stella, spóźnieni i zadyszani, bo utknęli w horrendalnym korku.

- To przechodzi ludzkie pojęcie! Wyszliśmy z biura naprawdę wcześnie. Gdzie jest Alfie?

- W ogródku za domem. Kopie nory dla królików. Doprowadza mnie to do szału - trawnik wygląda, jak byśmy mieli gigantyczne krety.

- Nie jest już trochę za ciemno?

- No tak, ale ma z tego taką radochę, że pozwoliłam mu na dodatkowe pięć minut.

- Chcesz powiedzieć, że próbowałaś zagonić go do domu i dał ci popalić.

- Tak.

- Chodź, Stello, poznasz go. Jest naprawdę świetny. Ma to po wujku, oczywiście.

Stella wydaje się bardzo miła. Ma na sobie świetną spódniczkę, którą bym zapewne pragnęła posiadać, gdyby nie była na mnie o trzy numery

za mała, i maciupką, białą koszulkę, której nie pożądam w najmniejszym stopniu, bo ledwie mogłabym przeciągnąć ją przez głowę, pomijając już wszystko inne. Zdaje się, że można z nią normalnie porozmawiać, co jest nowością, bo Jim zwykle zabiera się za niezbyt rozgarnięte, wodzące za nim maślanymi oczami panienki.

Kiedy się ubieram, słyszę dobiegający z ogrodu śmiech, ale gdy wracam na dół, wszyscy siedzą na sofie i oglądają Piotrusia Pana. Alfie wyjaśnia fabułę Stelli, która świetnie udaje, że jest tym zafascynowana.

Możesz być Wendy. Jesteś do niej trochę podobna.

Mam nadzieję, że zdaje sobie sprawę, jaki trafił jej się komplement.

- Miałaś psa, kiedy byłaś mała?

- Nie, ale miałam kota.

- Nie chcę mieć kota, chcę psa, ale mama mi nie pozwala. Ale będę miał króliki. I mam nawet, jak Wendy i Michael, tylko moja nie jest psem.

Zdaje się, że Jima bardzo bawi porównanie mamy do bernardyna o imieniu Nana z Piotrusia Pana. Właściwie to aż dławi się kawą.

- Wujek Jim napluł mi na nogę. Patrz. Stella kręci z dezaprobatą głową i mówi:

- Okropność, prawda? Nie zwracajmy na niego uwagi, to zwykle działa.

Wyglądasz cudownie, Alice. Ten szal jest bajeczny.

Myślę, że mogłabym polubić tę Stellę.

Kiedy wreszcie przyjeżdża Harry, jestem tak zdenerwowana, że ledwie mogę otworzyć drzwi. Ma na sobie brązowe spodnie ze sztruksu i bladozieloną koszulkę; wydaje się jakiś wyższy, niż

zapamiętałam. Jim robi miny za jego plecami, co raczej mi nie pomaga, ale naszemu wyjściu nie towarzyszą jakieś poważniejsze incydenty, pomijając oświadczenie Alfiego, że umiera z głodu, kiedy wyjaśniam mu, że wychodzę na kolację. Już ma zapytać, czy też może iść, ale Stella mówi, że widziała w kuchni wielką paczkę czipsów i mogą sobie zrobić zawody w jedzeniu czipsów, co oczywiście Alfie uznaje za doskonały pomysł.

Droga do restauracji upływa nam na rozmowie o ogrodach i pogodzie oraz tym, jak Harry zaczął zajmować się ziołami. Prowadzi naprawdę dobrze, niezbyt szybko, kiedy to człowiek trzyma się kurczowo swojego pasa, ale też się nie wlecze, a poza tym to miło, kiedy dla odmiany ktoś inny siedzi za kółkiem.

- Zawsze lubiłem uprawiać rośliny. W szkole miałem własny kawałek ogrodu. Uprawiałem go, zamiast grać w rugby; starali się mnie do tego nakłonić, nawet bardzo, ale w końcu dali za wygraną i stwierdzili, że dopóki jestem na zewnątrz i nie stwarzam problemów, mogę zajmować się ogrodem. Ojciec był wściekły.

- Co, pasjonował się rugby?

- O tak. Grał w pierwszym składzie, a mój brat oczywiście też był gwiazdą. Po prostu kolejny przykład, jaki to ja potrafię być beznadziejny.

- Jestem pewna, że wcale tak nie myślał.

- Ależ tak, powiedział mi to. Nie układało się między nami, aleja przeważnie byłem w szkole, więc nie miało to większego znaczenia. Był bardzo zadowolony, kiedy zacząłem pracować w City. Było w

porządku, dopóki nie rzuciłem tego wszystkiego, żeby zająć się ziołami.

- Domyślam się, że nie był zbyt zachwycony.

- Był wściekły. Matka powiedziała, że mogę zająć stróżówkę, ale myślę, że chciała mu tym zrobić na złość. Zdaje się, ciągle ma nadzieję, że odzyskam rozum i tam wrócę.

- A wrócisz?

- O nie. Nigdy. Wolałbym już pracować w rzeźni.

- Pogodziliście się? Zanim umarł? O, przepraszam. Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz.

- Nie, w porządku. Chyba trochę się dogadaliśmy. Powiedział, że uważał mnie za cholernego głupka, ale przynajmniej umiałem postawić na swoim, a zatem nie wykluczy mnie z testamentu, jak wcześniej zapowiadał. I chyba dobrze, że tak się stało, bo przynajmniej przez jakiś czas nie muszę się martwić o pieniądze. Uprawianie ziół nie przynosi zbyt wielkich dochodów. No cóż, w każdym razie nie przy moich metodach.

Właściwie to wcale nie interesował mnie testament jego ojca. Boże, mam nadzieję, że nie pomyślał, że to o to mi chodziło.

Kolacja jest cudowna, zwłaszcza że nie ma Alfiego, który zwykle domaga się tego, co mam na talerzu, i maże sobie włosy sosem. Zapomniałam już, jak to przyjemnie jeść w restauracji, w towarzystwie kogoś, kto nie mówi bez końca, o jakich marzy zwierzętach. To dziwne, ale z drugiej strony trochę mi go brakuje i

łapię się na tym, że zamawiam pieczywo czosnkowe, bo wiem, że je lubi, co jest żalosne. Stanowczo muszę częściej wychodzić z domu.

Rozmawiamy o City, brokerach i maklerach; Harry rozbawia mnie historyjką o jednym ze swoich stukniętych, byłych klientów.

- W jaki sposób pozyskiwałeś klientów? Musiałeś im robić prezentacje, jak u mnie w pracy, żeby mieli pojęcie, co możesz im zaproponować? Nie cierpię tego. W połowie przypadków po prostu kradną twoje pomysły, a potem mówią, że twoja oferta jest za droga.

- Nie, choć to mógłby być niezły pomysł. Można by się pozbyć tych najbardziej szurniętych. Nie, przeważnie zajmowałem się firmami. Oni sami do ciebie przychodzą, zwłaszcza jeśli jest się jedną z tych dużych firm jak my, jedną z pierwszej piątki. Dobrze jest korzystać z usług dużych firm, to korzystnie wpływa na wizerunek.

- To coś takiego, jak kto ma największego ptaszka? Cholera. Po co ja o tym mówiłam? Harry wygląda na lekko zaskoczonego, ale zaraz dochodzi do siebie.

- Tak, coś w tym stylu.

- W takim razie to świetna branża na karierę dla kobiety.

- Cóż, niektórym zdaje się to podobać, ale w mojej firmie wspólnikami byli w przeważającej liczbie mężczyźni. Kobiety są za rozsądne, żeby siedzieć cały czas w pracy.

- Ile czasu minęło, zanim uświadomiłeś sobie, że musisz się z tego wypisać?

- O, jakieś dziesięć lat. Na początku bardzo mi się podobało - na swój dziwaczny sposób lubię współzawodnictwo, ale w końcu masz dość.

Jest tam, co prawda, paru porządnych gości, kilku ciągle widuję, ale jako całość to banda drani i nudziarzy, którzy mają prawdziwą obsesję na punkcie forsy.

- Jak ludzie sobie z tym wszystkim radzą, kiedy mają dzieci? Chyba nigdy ich nie widują.

- Myślę, że wysyłają je do szkoły z internatem.

- A tak, racja.

Zamawiamy kawę, a ja postanawiam, że nie wezmę deseru, bo tak mi się wydaje bardziej dorośle i powściągliwie. Wciągnięcie olbrzymiej miski puddingu nie idzie w parze z moim nowym dorosłym wizerunkiem, do którego aspiruję.

Kiedy czekamy na kawę, Harry wyciąga z marynarki kawałek papieru i lekko się czerwieni.

- Zrobiłem to dla ciebie, mam nadzieję, że się nie gniewasz. To tylko parę surowych pomysłów.

To szkic mojego ogrodu, na którym nabazgrolił mnóstwo nazw różnych roślin, co jest bardzo miłe z jego strony, ale gdyby chciał zostać projektantem, będzie musiał nauczyć się rysować. Udało mu się stworzyć jakąś dziwną kombinację prostych i falistych linii, co jest dość intrygujące. Cudownie. Opowiedz mi o tym.

Harry wyjaśnia i trzy filiżanki kawy później mam tak wysoki poziom kofeiny, że zaczynają mi się trząść ręce, ale może to być również spowodowane tym, że aż mnie świerzbi, by poprawić ten plan. Harry mówi, że zaczęło się od ogólnego pomysłu, a skończyło na zupełnie nowym ogrodzie.

Ścieżka, zamiast prowadzić prosto do drzwi frontowych, teraz wije się przez cały ogród. Listonosz będzie zachwycony, bo dotarcie do drzwi zabierze mu co najmniej dwadzieścia minut. W ogrodzie od tyłu jest nowy taras, altanka, warzywnik, ogródek zielny i tradycyjny kawałek z klombami i żywopłotami. I z tego, co widzę, będzie potrzeba jakieś piętnaście ton żwiru i dodatkowe trzy akry, żeby to wszystko się zmieściło.

Zwracam na to uwagę najdelikatniej, jak potrafię, a Harry przyznaje, że nie ma pojęcia o proporcjach, ale to tylko taki ogólny zarys. Uważa, że będzie cudownie, i deklaruje, że z ogromną chęcią mi pomoże. Mówi, że możemy zrobić tylko to, co się zmieści.

Ostatecznie rozrysowujemy jego plan na nowo i powstaje nowa, bardziej realistyczna wersja. Kiedy dochodzimy do roślin, jest w swoim żywiole i zarzuca mnie fantastycznymi informacjami na temat tego, co jak pachnie i jakiego koloru poszczególne rośliny mają kwiaty, co sprawia, że chcę mieć je wszystkie. Kończy się na tym, że naprawdę zapalam się do tego pomysłu.

W drodze do domu nadal rozmawiamy o ogrodzie i trochę o mojej pracy. Harry mówi, że jeśli kiedyś będzie musiał zrobić nową łazienkę, już wie, do kogo się zwrócić, i tak właściwie to jego matka powinna zrobić porządek ze swoim domem, choć nigdy tego nie robi, bo podoba jej się tak, jak jest. A mogłoby być naprawdę bajecznie.

Potem rozmawiamy trochę o Alfiem i zachowuję iście angielską powściągliwość, co mi się udaje tylko dlatego że nie trwa to zbyt



długo, a poza tym, Harry nie wydaje się aż tak bardzo zainteresowany tym tematem.

Wracamy do mnie i znowu zaczynam czuć się niewyraźnie. Nie mogę sobie przypomnieć, jakie są zasady: po prostu dziękujesz i wyskakujesz z samochodu czy jak?

- Dzięki za kolację, było cudownie.

- Tak, było cudownie. I ja ci dziękuję. Musimy to powtórzyć. Zadzwoń do ciebie w sprawie ogrodu, dobrze? Mówiłem poważnie, że chciałbym pomóc.

- Super.

Chwila niezręcznego milczenia. Mam straszliwe przeczucie, że Jim podgląda zza zasłonek, bo jestem pewna, że właśnie się poruszyły.

- Lepiej już pójdę. Nie byłabym zaskoczona, gdyby Alfie ciągle był na nogach. Jim i Stella mogą potrzebować wytchnienia.

- A tak, przepraszam, oczywiście.

A potem, kiedy już prawie sięgam do klamki, Harry wysiada, obchodzi samochód i otwiera mi drzwi. A niech mnie. Minęło dużo czasu, kiedy ostatni raz ktoś otworzył mi drzwi od samochodu. Kiedy wysiadam, Harry nachyla się do mnie i całuje w policzek.

- No cóż, dobranoc. Zadzwoń do ciebie.

- Dobranoc.

Pokonuję ścieżkę, otwieram drzwi i odwracam się, żeby pomachać, kiedy odjeżdża. Na szczęście dżipy są naprawdę hałaśliwe, więc nie wydaje mi się, żeby słyszał, jak Jim krzyczy „Pocałował ją, pocałował

ją", biegnąc po salonie z koszulką nad głową, jak piłkarze po zdobyciu bramki.

- Po prostu nie zwracaj na niego uwagi. Przestań, Jim, zachowujesz się jak dupek. Chciałbyś, żeby Alice cię podglądała?

- Żaden problem. Nie robię nic, na co moja siostra nie mogłaby patrzeć.

- Doprawdy?

Stella patrzy na niego surowo i Jim robi się cały czerwony.

Robimy kawę i Jim mówi, że Alfie ociągał się z pójściem spać. Musieli dwa razy oglądać Piotrusia Pana, a potem całymi godzinami bawić się w konie. Stella mówi, że Alfie był małym aniołkiem, ale jest trochę zmęczona, więc jeśli nie mamy nic przeciwko temu, to ona pójdzie do łóżka. Zdaje się, że jest bardzo subtelna, bo chyba wie, że Jim aż się pali, żeby przepytac mnie odnośnie do kolacji.

Ledwie znika na górze, Jim zaczyna przesłuchanie.

- No więc, jak było?

- W porządku. Naprawdę miło.

- Miło. Ojejku. Samo miło nie wystarczy.

- Jim, jestem wykończona. Nie możemy pogadać rano?

- Nie. Obiecałem Alfiemu, że jutro wykopimy naprawdę olbrzymią norę, a poza tym, chcę wiedzieć. Moja mała siostrzyczka miała pierwszą prawdziwą randkę od wieków - muszę wiedzieć wszystko, to chyba zrozumiałe. Przystawiał się do ciebie? Mam do niego pojechać i przyłożyć mu w nos? A może nie? W takim razie na pewno tam pojedę i mu przyłożę.

- Nie, było cudownie. Jedzenie było super i gadaliśmy o różnych rzeczach. Pomoże mi z ogrodem, zrobił plany i tak dalej, i trochę się już do siebie zbliżyliśmy. Fajnie. Ale to też trochę przerażające.

- To zawsze jest przerażające. Moment przed podjęciem życiowej decyzji. Wypytywał się ciebie i Alfiego, tego typu sprawy?

- Nie, raczej nie. Ale rozmawialiśmy o mojej pracy. Lubię go. To był miły wieczór.

- Lubię. Wcale nie chcesz go lubić. Chcesz się z nim seksić bez opamiętania. Zabaw się trochę. Nie po to oglądam cholernego Piotrusia Pana i całymi godzinami udaję jakiegoś cholernego konia, żebyś ty mogła po prostu kogoś lubić.

- A ty nie lubisz Stelli?

- Ależ oczywiście, że tak, uwielbiam ją, ale o tym, co mi się najbardziej w niej podoba, hm, między innymi, no cóż, nie mogę powiedzieć, tego typu rozmów po prostu nie można prowadzić z kobietami, bo zaraz się zacietrzewiają.

- Zrobiłeś się czerwony.

- Przymknij się.

- Spiekłeś raka, i to jak. Założę się, że ma to coś wspólnego z jej biustem.

- Przestań albo będę musiał zrobić ci pokrzywkę.

Kiedy byliśmy mali, ciągle robił mi pokrzywkę. Czasami zakradał się rano do mojego pokoju i w ten sposób mnie budził.

- Słuchaj, było miło i może nawet dotrzemy do etapu, kiedy będzie więcej całowania. Zwłaszcza jeśli nikt nie będzie podglądał. To ci wystarczy?

- Tak, chyba tak.

- Dzięki Bogu.

Harry dzwoni następnego dnia rano, na co Jim stwierdza, że z pewnością jest namolnym świrem, bo każdy wie, że nie dzwoni się zaraz na drugi dzień. Umawiamy się na przyszłą sobotę -Harry przyjedzie i pomoże mi zabrać się do pracy nad ogrodem.

Jim i Stella odjeżdżają po lunchu, a ja i Alfie idziemy zobaczyć, jak idzie praca w nowym ogrodzie. Charles z zapałem wyrywa chwasty.

136

- Pielenie warzyw jest naprawdę łatwe. Są proste rzędkie, więc łatwo można odróżnić co jest chwastem, a co cukinią.

- Tak, to pomocne.

- Muszę przyznać, że bardzo się cieszę z tego ogrodu. Czasami przychodzę tu, żeby się trochę wyciszyć, i jest po prostu wspaniale. Łapię się na tym, że czekam na programy ogrodnicze, co jest dość niepokojące. W zeszłym tygodniu przyszedłem tu nawet w deszcz.

Uśmiecha się. Wygląda na znacznie bardziej zrelaksowanego niż zwykle.

- Wiem. Jest w tym coś uspokajającego, prawda?

- Tak. I sprawia, że człowiek czuje się bardziej z tym wszystkim związany, jak część jednej całości.

- Myślisz, że skończymy jako kompletne świry, które mają obsesję na punkcie katalogów z nasionami?
- Zapewne. Osobiście nie mogę się już doczekać.
- W tym tygodniu zabieram się do mojego ogrodu. Po prostu nie mogę dłużej patrzeć, w jak opłakanym jest stanie. Wygląda na to, że musiałam się zarazić tą ogrodniczą gorączką. O, przypomniało mi się. Będę mogła pożyczyć od ciebie taczki? Nie mam własnych i trochę głupio byłoby kupować na zapas, skoro nawet nie wiem, co tak właściwie będzie mi potrzebne.
- Jasne, nie ma sprawy. Jak chcesz, sam ci je przyprowadzę i trochę ci pomogę. Daj mi znać, jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebowała.
- Dzwoni Molly, żeby się pochwalić, że dostała to stanowisko zastępcy dyrektora. Powiedzieli jej dzisiaj, że chcą, żeby zaczęła po powrocie z urlopu macierzyńskiego, a więc wszystko poszło świetnie.
- Powiedzieli, że podobają im się moje pomysły na programy integracyjne.
- Super, dobra robota. Wiedziałam, że dasz radę.
- Dzięki. Naprawdę nie myślałam, że mi się uda. Niektórzy moi konkurenci byli naprawdę przerażający. Jedna babka przy-targała laptopa i wyglądała, jakby była w stanie zarządzać wielką międzynarodową firmą. Jest super. I będzie więcej pieniędzy, choć oczywiście praca też będzie ogromna. Pewnie będzie mi się wydawało, że nie dam rady, ale to jest właśnie to, czego chcę. Bardzo. I naprawdę myślę, że mogę coś zmienić.
- Tak się cieszę. Założę się, że Dan też jest zadowolony.

- Tak. Tak jakby. Nie, to nie fair. Naprawdę się ucieszył, ale szybko przeszedł nad tym do porządku dziennego. W jednej chwili zachwyca się, jakie to cudowne, a zaraz potem pyta, co na podwieczorek. Myślę, że jest po prostu za bardzo zmęczony, żeby mieć jeszcze siłę czymś się emocjonować. Naprawdę ciężko haruje całymi dniami i kiedy wraca do domu, jest wykończony.

Mogę się założyć, że Molly bardzo stara się nie mieć Danowi za złe, że nie szalał z radości z powodu jej nowej pracy.

- Ale tak sobie myślę, że w końcu wyjdziemy na prostą i będzie cudownie. Lola zaprosiła nas do ciebie na sobotnie przyjęcie w ogrodzie, więc będę mogła poznać Harry'ego.

- Jakie przyjęcie, do cholery?

- Lola powiedziała, że urządzasz przyjęcie, bo będziesz porządkowała ogród. Nie chcesz, żebyśmy przyszli?

- Wybacz, Moll, oczywiście, że chcę. Ale ja go dopiero co poznałam i nie chciałabym robić zbyt dużego zamieszania. I nie zamierzałam urządzać żadnego przyjęcia ani niczego takiego. Wspomniałam tylko Charlesowi o ogrodzie, bo chciałam pożyczyć od niego taczki.

- Nie według Loli. Mówi, że wszyscy mamy coś przynieść. Pomyślałam, że to fajny pomysł. Wiem, że jest potworną snobką i despotką, ale uważam, że to całkiem miłe z jej strony.

- Tak, tak, oczywiście, szkoda tylko, że najpierw nie zapytała mnie o zdanie.

- A niech to. Może chciała, żeby to była niespodzianka, a ja wszystko zepsułam. Niech to szlag.

- Nie bądź niemądra. Cieszę się, że to zrobiłaś. Przynajmniej w sobotę nie przeżyję szoku. Zastanawiam się, czy powinnam ostrzec Harry'ego.

- Po prostu pomyśli, że masz mnóstwo przyjaciół. A tak przecież jest, więc wszystko będzie w porządku.

Oczywiście sobotni poranek zaczyna się od deszczu, ale szybko przestaje padać i choć wszystko jest odrobinę mokre, nie wydaje mi się, żeby to miało jakieś znaczenie. Charles pojawia się wcześniej z taczkami i groźnym sekatorem, a Molly przycina nim krzaki w ogrodzie od frontu.

Zjawia się Harry, który chyba nie jest ani trochę speszony, że w ogrodzie jest pełno nieznanym ludzi. Frank i pan Channing przynieśli parę krzaczków pomidorów i wielką donicę szczypiorku. Niemal zbiera mi się na płacz, kiedy wychodzę z kuchni z kawą dla wszystkich i widzę, z jakim zapałem pracują.

A potem zjawia się Elsie z panią Pomeroy.

- Słyszałam, że zabierasz się do porządkowanie swojego ogrodu, więc pomyślałam, że ci to przyniosę. Rośnie u mnie od frontu i cudownie pachnie. Wzięłam parę zaszczepkę, bo to zimowy jaśmin. Ma piękny kolor.

- Dziękuję, Elsie, to bardzo miłe z twojej strony. Pani Pomeroy wręcza mi plastikową tackę z roślinami.

- Tak, a ja ci przyniosłam trochę nagietków. To do czego mam się zabrać? Mogę ci poświęcić godzinę, a potem muszę wracać. Przygotowuję na jutro kwiaty do kościoła i muszę tam wpaść, żeby

zobaczyć co i jak. Pani Garnett ma okropny nawyk zabierania wazonów do domu, a potem zapomina je zwrócić.

Elsie kręci z dezaprobatą głową.

- Mam nadzieję, że nie będziesz robiła kompozycji z gałązek. Moim zdaniem wyglądają śmiesznie. Do kościoła najlepiej nadaje się ładny bukiet kwiatów. Nie żadne srebrne gałązki z kilkoma jagodami.

- To była zimowa aranżacja pani Thomas, w dodatku nagrodzona. Sędzia powiedział, że to było bardzo kreatywne podejście do zimowego listowia.

- Kupa starych badyli. Pani Garnett to dopiero robi piękne rzeczy. Przygotowała cudowne kwiaty na ślub mojej June, naprawdę wspaniałe.

Elsie sadowi się na krześle i udziela porad wszystkim, którzy znajdują się w pobliżu. Jak zawsze, najwięcej zamieszania robi wokół Charlesa. Zdaje się, że Harry też jej się spodobał. Opowiada mu wszystko na temat starych metod leczniczych, o których uczyła ją jej matka, polecając zwłaszcza napar z pokrzywy.

- Jeśli czujesz, że łapią cię nerwy, dobrze jest napić się rumianku, a żywokost przyspiesza gojenie. Mama zwykle przy tym klęła. Ja uważam, że najlepiej użyć trochę savlou całe to gotowanie liści działa mi na nerwy. Ale nic nie pobije mniszka lekarskiego, jeśli chodzi o działanie moczopędne.

Harry uśmiecha się.

- Postaram się o tym pamiętać.



Ogród od frontu wygląda coraz lepiej i teraz nawet da się już wyróżnić jakieś rośliny. Molly posadziła nagietki w dwóch starych, znalezionych w garażu donicach, które stanęły po obu stronach frontowych drzwi, a Frank i Charles wyrównali trochę trawnik od tyłu i zasypali wszystkie królicze nory. Teraz odchwaszczają klomby, a pan Channing kopie nową grządkę pod warzywa i zioła tuż przy tarasie na tyłach domu.

Frank i pan Channing opuszczają nas tuż przed lunchem, ale obiecują wrócić, jeśli tylko będę jeszcze kiedyś potrzebowała pomocy, co jest naprawdę miłe z ich strony, zaś pani Pomeroy idzie robić swoje kwiaty; razem z nią odchodzi Elsie.

Pojawia się Lola z ciastem orzechowym pani Bishop, więc siedzimy na dworze, zajadając się kanapkami i ciastem, a ja nie mogę uwierzyć w tę przemianę. To było uroczę przedpołudnie. Cały czas byłam świadoma obecności Harry'ego, ale dzięki temu, że nie byliśmy sami, byłam całkiem rozluźniona. Molly uważa, że Harry jest cudowny, i mówi, że nie spuszcza mnie z oka, kiedy myślę, że nie widzę.

- A teraz proszę wszystkich o uwagę, czas na niespodziankę.

O Boże, co tym razem wymyśliła Lola? Mam tylko nadzieję, że nie ma to związku z kopaniem, bo jestem wyczerpana.

Charles podnosi się i znika za rogiem z taczkami, a kiedy wraca, taczki są pełne różnych roślin.

- To od nas i Molly, nic wielkiego, ale pomyśleliśmy, że może ci się spodobać.

Charles zaczyna rozładowywać taczki. Jest tam krzew różany, trochę maków i najróżniejsze rośliny, które nawet rozpoznaję, ale nie znam ich nazw.

- Dziękuję wam. Naprawdę, bardzo wam dziękuję, są fantastyczne.

Właściwie to mało brakuje, żebym się rozpląkała, co jest bardzo krępujące, ale jakoś biorę się w garść. Molly mówi, że zabierze Alfiego i Lily do domu. Zaczynają się nudzić, a przed nami jeszcze mnóstwo sadzenia; Lola mówi, że ona też będzie się zbierała.

- Powinnam pójść i uwolnić Kimberley. Chce jechać na zakupy. O, a może wpadniecie na kolację? Tylko my i Marissa z mężem, koło ósmej? Weź Alfiego, Kimberley się nim zajmie. Och, Molly, ty i Dan również, im nas więcej tym weselej, a Ma-bel uwielbia Lily. To nic oficjalnego, przyjdźcie tak jak stoicie. Harry, mam nadzieję, że nie masz innych planów na kolację?

- Cóż, nie, byłoby cudownie.

Zanim zdążyliśmy się zorientować, Lola zorganizowała przyjęcie. Molly mówi, że weźmie Alfiego na podwieczorek, a potem przywiezie go do Loli razem z Lily. Nie jestem wcale pewna, czy mam ochotę na wieczór poza domem. Jestem nie tylko wykończona, ale też okropnie brudna, jednak nic nie powstrzyma Loli, kiedy wpadnie na jeden ze swoich genialnych pomysłów i do tego była tak miła, że zwyczajnie nie mogę odmówić.

Całymi godzinami zastanawiamy się, gdzie posadzić różne rośliny i teraz to wszystko naprawdę wygląda jak prawdziwy ogród. Kiedy kończymy, jest już dość zimno. Charles mówi, że lepiej pójdzie pomóc

przy kolacji. Ściskam go, żeby podziękować, a on robi się cały czerwony. Harry robi nam herbatę i siedzimy na zewnątrz, podziwiając nowe rośliny. Nie mogę uwierzyć, że to jest to samo miejsce, co rano. Niesamowite.

Właściwie czuję się lekko zdenerwowana, kiedy wszyscy sobie idą i zostaję sam na sam z Harrym. Zapada niezręczna cisza i nagle uświadamiam sobie, że mam strasznie ubłocone dżinsy i brudne ręce.

Harry najwyraźniej myśli o tym samym.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli wezmę kąpiel? Mam trochę daleko do domu, żeby obrócić w tę i z powrotem, a nie mogę pójść w takim stanie na kolację, prawda?

- Oczywiście, że nie. Woda jest nagrzana, ale lepiej najpierw napuść gorącej. Ciepła woda kończy się dość szybko i nagle robi się lodowato zimna.

- Też chcesz?

- Co?

- Kąpać się.

Mam nadzieję, że nie zaproponuje wspólnej kąpieli, bo raczej nie jestem jeszcze na coś takiego gotowa. Właściwie nie wydaje mi się, że bym kiedykolwiek była, bo pomijając wszystko inne, nasza wanna nie jest aż tak duża. W filmach wanny są zawsze ogromne. Chciałabym zobaczyć, czy Richard Gere i Julia Roberts nadal wyglądałoby tak cudownie w mojej starej wannie. Jedno z nich na pewno złapałoby jakiś skurcz.

- Hm, tak, chyba tak.

- Słusznie. No cóż, nie będę długo siedział.

- Czyste ręczniki są w bieliźniarce obok łazienki. Harry rusza na górę, pogwizdując.

W zasadzie chciałam również udać się na górę i zacząć się zastanawiać, co na siebie włożyć, ale nie mogę się przełamać, żeby tam pójść, kiedy on siedzi w wannie. Chwilę krążę po ogrodzie, a potem postanawiam napalić w kominku, żebyśmy nie zamarзли, kiedy wrócimy z kolacji. Alfie będzie wykończony i przeważnie nie jest łatwo zapakować go w piżamę.

Właśnie podpalam drewno, kiedy na dół schodzi Harry, z mokrymi po kąpieli włosami. Jakimś cudem widok jego gołych stóp strasznie mnie bierze.

- Fantastyczne zabawki do kąpieli. Miałem ochotę pożyczyć tę łódź podwodną, ale okazało się, że wcale aż tak świetnie się nie zanurza.

- Kiedyś się zanurzała, ale Alfie pogiął peryskop.

- Zauważyłem. Żaba też jest niezła.

- Cieszę się, że ci się podoba. Chyba lepiej pójdę na górę i też się przygotuję. Masz ochotę na kawę albo coś? Zdaje się, że w lodówce jest jakieś wino. Jeśli chcesz, włącz sobie telewizor. Nie zajmie mi to dużo czasu.

- Woda jeszcze się nie zagrzała na nowo, prawda? Może najpierw napij się ze mną.

O Boże. O Boże. Pijemy po małej lampce wina, ponieważ nie zostało go tak dużo, jak myślałam, a kiedy gawędzimy sobie na sofie, Harry nachyla się, całuje mnie i mówi, że to był wspaniały dzień i że miał

ochotę mnie pocałować właściwie od pierwszej chwili, kiedy do mnie przyjechał. Ma nadzieję, że nie mam nic przeciwko temu, ale może zechcieć to powtórzyć, co też robi. A potem wszystko robi się troszkę skomplikowane, w przyjemny sposób, ale skomplikowane. Mamy być na kolacji u Loli i Charlesa za jakieś pół godziny, ale to całowanie jest na tyle przyjemne, że wcale nie jestem pewna, czy mam ochotę się podnieść i iść na górę, żeby się przebrać.

W końcu udaje mi się zwlec z sofy, a Harry patrzy na mnie z błyskiem w oku i mówi, że będzie na mnie czekał i lepiej, żebym się pospieszyła. Idę na górę, gdzie przeżywam drobny kryzys, bo nie wiem, w co się ubrać. Żałuję, że nie mam czegoś niezobowiązującego, a zarazem fajnego. No cóż, nie mam, więc wydobywam czystą parę dzinsów i bluzkę, skrapiam się lekko perfumami i zakładam kolczyki, które dostałam od Molly na Gwiazdkę. Schodząc na dół, czuję się lekko chwiejnie.

- Powinniśmy już iść. Przepraszam, że tak się grzebałam.

- Słusznie, tylko założę buty.

- Często mówisz „słusznie”?

- Tak, zdaje się, że tak. A co, to jakiś problem?

- Nie, oczywiście, że nie. Przepraszam. Chodzi tylko o to, że to trochę takie w stylu Just William, ale w sympatyczny sposób.

- Cóż, ja taki trochę jestem. Tylko że ja nie nienawidzę dziewczyn. W każdym razie nie wszystkich.

Cholera, on znowu to robi. Ten błysk w oku... I przytrzymuje mi kurtkę, kiedy usiłuję odnaleźć klucze. Może moglibyśmy tu zostać i po

prostu zapomnieć o kolacji. Ale przecież muszę zabrać Alfiego, a poza tym, umieram z głodu.

Przybywamy jako ostatni, ale właściwie nie jesteśmy spóźnieni, więc raczej nikt nie ma nam tego za złe. Ledwie wchodzę do środka, Alfie rzuca się do mnie i zaczyna mi opowiadać wszystko o wspaniałym podwieczorku i Eddiem, który bardzo m urósł i potrafi nieźle dziobnąć w rękę. Nagle zauważa Harry'ego.

- Gdzie jest Bazyl? I Liczył pewnie na to, że Harry pojechał do domu po psa.

Zanim zabrała go Molly, dał Harry'emu co do tego ściśle wskazówki.

- W domu. On nie przepada za przyjęciami.

- Na pewno? Może by mu się spodobało. Mógłbyś po niego pojechać. A jeśli mu się nie będzie podobało, może pójść ze mną na górę i oglądać kreskówki.

Harry śmieje się i mówi, że psy nie oglądają kreskówek, a potem Lola przedstawia nas Campbellowi i Marissie, którzy są jej londyńskimi przyjaciółmi.

Marissa ma na sobie niezwykłą przejrzystą sukienkę z granatowej żorżety z maleńką halką pod spodem, do tego sandałki na bardzo wysokim obcasie; wcale nie jestem zaskoczona, kiedy Lola mówi, że kiedyś Marissa pracowała dla „Vogue'a”. Mam tylko nadzieję, że nikt nie zaproponuje jej zwiedzania nowego ogrodu, bo te jej obcasy ugrzęzną w żwirku i trzeba ją będzie wyciągać. Lola nie mówi, czym zajmuje się Campbell, ale wygląda na zrzedę. Ledwie raczy skinąć głową, kiedy jesteśmy sobie przedstawiani, i zdaje się, że ma o sobie

bardzo wysokie mniemanie. Molly wygląda na zmęczoną, a Dana nigdzie nie widać.

- Gdzie jest Dan? Ogląda swoje dzieło w ogrodzie?

- Nie, ma awaryjną robotę z Johnem, chyba komuś poszła rura i runął sufit, więc nie da rady.

- Molly, trzeba było do mnie zadzwonić. Już dawno zabrałabym od ciebie Alfiego.

- Nie wygłupiaj się, było fajnie. Oglądali telewizję i bawili się z kurczakami. Właściwie było nawet lepiej, niż kiedy Lily jest sama. Uwielbia, kiedy przychodzi Alfie, wtedy nie jest tak nudno.

- Gdzie ona jest?

- Na górze.

- Pójdę z tobą, żeby do niej zajrzeć, jeśli chcesz. Spoglądam na nią w znaczący sposób, a przynajmniej taką mam nadzieję, i choć wygląda na lekko zdezorientowaną, podnosi się i idzie za mną na górę.

- Co się dzieje?

- Nic takiego, tyle że sytuacja z Harrym się rozkręca i trochę się boję.

- Hm, wydaje się miły. Po prostu go wypróbuj i zobacz, jak będzie.

- Mam go wypróbować? To nie jest jakiś tam nowy szampon. Wszystko może się skomplikować.

- Tak, ale komplikacje są zabawne.

- Zgadza się.

- A więc równie dobrze możesz się odprężyć i dobrze zabawić. Słuchaj, lepiej wracajmy na dół. Wszystko będzie dobrze, jestem pewna, ale

jeśli zmienisz zdanie, po prostu daj mi znać, to wrócimy z tobą. To go trochę ostudzi.

Sprawdzamy, co u Lily, która bawi się lalkami z Mabel, a potem wracamy na dół.

Charles rozmawia z Campbellem.

- Macie z Marissą dzieci?

- Nie, Boże uchronaj. Dla mnie dzieci są okropnie nudne. I wymagają tyle uwagi. Jestem pewien, że nie postrzega się tego w ten sposób, jeśli ma się własne, ale osobiście nigdy nie widziałem w tym sensu.

Lola wybucha śmiechem.

- Campbell, doprawdy.

Cudownie. Uroczy facet. Mam tylko nadzieję, że Alfie zostawi go w spokoju, bo zwykle dziwnie go ciągnie do ludzi, którzy nie przepadają za dziećmi. To trochę tak jak z kotami, które zawsze ruszają z miejsca do każdego, kto ma alergię. O, właśnie. Alfie idzie prosto do Campbella.

- Mam kurczaka.

- Co, proszę?

- Mam kurczaka. Nazywa się Eddie. Potrafi skakać i dziobać po rękę.

- Świetnie.

Na szczęście sarkazm w ogóle na Alfiego nie działa.

- Masz psa?

Campbell wygląda na potwornie zirytowanego taką liczbą pytań, lecz Alfie zdaje się tego nie zauważać. A jeśli mam być szczerą, nawet gdyby zauważył, zapewne by to zignorował.

- Nie.



- A chcesz mieć psa?

- Nie.

- Alfie, nie chcesz pójść na górę obejrzeć jakiegoś filmu? Zdaje się, że Ezra ma trochę czipsów, ale musisz się pospieszyć, bo sam zje wszystkie.

Dobra robota, Charles. Alfie pędzi na górę.

Molly i ja wymieniamy spojrzenia, a Charles proponuje wszystkim po drinku. Lola tymczasem idzie do kuchni, żeby przygotować swój specjalny sos do sałatki.

- Powiedz, Campbell, czym się zajmujesz poza tym, że nie lubisz dzieci? Charles mówi to z tak czarującym uśmiechem, że Campbell nie może się obrazić.

- Tym i tamtym. Przemysł telewizyjny.

- Sprzedajesz telewizory czyje reperujesz?

- Właściwie to jestem producentem. Zajmuję się produkcją filmów dokumentalnych.

- Coś, co mogliśmy oglądać?

Teraz Campbell wygląda na naprawdę rozwścieczonego.

- Pewnie nie. Nie znoszę tego całego ogłupiającego chłamu.

- Campbell jest prawdziwym geniuszem, prawda skarbie? Specjalizuje się w operze, ale jego cykl o Królewskim Baletcie został obsypany nagrodami.

Zdaje się, że Marissa jest z niego bardzo dumna.

- Tak, poszło mi całkiem nieźle z tym baletem, jeśli mogę tak nieskromnie powiedzieć.

Charles patrzy na niego na wpół ubawionym, na wpół przerażonym wzrokiem, jakim patrzy każdy jedenastolatek, gdy dowiaduje się o czyimś umiłowaniu baletu. No, prawie każdy, bo oczywiście nie Billy Elliot.

- Balet. Jasne. Super.

Jedzenie jest przepyszne. Łosoś udał się pani Bishop znakomicie, a na deser jest wykwintna tarta z jabłkami, dla dzieci zaś lody. Lola ma na sobie bajeczną sukienkę z czarnej koronki i flirtuje jak nakręcona z Harrym, a ja czuję się głupio i nie na miejscu w moich dżinsach i bluzce: myślałam, że jej słowa, żeby przyjść jak stoimy, można potraktować dosłownie. Harry na szczęście nie reaguje na jej zaczepki. Co więcej, w pewnej chwili puszcza do mnie oko i zaczynam się lekko dławić, co go rozbawia.

Wszyscy pijemy zbyt dużo wina, poza Molly, która wzięła dwie dokładki tarty, żeby to sobie jakoś odbić. Lily jest naprawdę słodka i karmi maluszka niewidzialnymi lodami, co Campbella przyprawia o mdłości. Marissa zjadła jakieś dwa kęsy łososa i maleńki kawałeczek ogórka, a na widok deseru wyraźnie pobladła.

Pijemy kawę, a dzieci ganiają z krzykiem, kiedy Charles wpada na genialny pomysł, żeby zagrać w szarady. Zwykle nie cierpię brać udziału w żadnych grach towarzyskich, bo trzeba robić z siebie głupka przed kompletnie obcymi ludźmi, ale tym razem okazuje się, że to świetna zabawa. Dzielimy się na dwie drużyny: Lola, Marissa i Harry kontra ja, Charles i Campbell. Molly mówi, że powszechnie znanym medycznie faktem jest, iż ciężarne kobiety nie mogą brać udziału w

szaradach, tak więc będzie sędzią i wybierze tytuły filmów, które mamy przedstawić.

Trafia mi się Przyczajony tygrys, ukryty smok, co jest dość łatwe i Magiczna podróż, co już jest trudniejsze, a Harry odważa kawał świetnej roboty z Wielkim luzem, co jest dość bezczelne ze strony Molly, bo wie, że uwielbiam ten film. Jednak prawdziwym geniuszem okazuje się Charles, który z wielką pasją rzuca się w Ostatnim tangu w Paryżu i zdaje się zupełnie nie przejmować tym, że robi z siebie ostatniego idiotę. Marissa dostaje Moby Dicka i usiłuje udawać wieloryba. Nie mogę powiedzieć, że bym miała jej coś do zarzucenia, ale i tak najlepszy jest Campbell, który próbuje odegrać 101 dalmatyńczyków. Musiał chyba uznać, że udawanie psa jest poniżej jego godności, więc próbuje naprowadzić nas na trop za pomocą skomplikowanego, dźwiękonaśladowczego zabiegu. Oczywiście nie jesteśmy w stanie tego odgadnąć, a on się dąsa. Kończy się na tym, że wszyscy zanosimy się śmiechem; nawet Marissa się śmieje, a z tego, co widzę, Campbell raczej nie jest do czegoś takiego przyzwyczajony.

Zaczyna robić się późno, więc mówię, że powinniśmy się zbierać, zanim Alfie padnie ze zmęczenia. Harry zanoszą pograżoną w głębokim śnie Lily do samochodu Molly i mówi, że wróci z nami po swojego dzipta. Molly nas podwozi, a kiedy wysiadam z samochodu puszcza do mnie oko i zaczynam się śmiać. Harry proponuje, że zrobi nam kawę, kiedy ja będę kładła Alfiego do łóżka. Alfie jest tak wykończony, że kładzie się bez słowa sprzeciwu. Bóg jednak istnieje.

Kiedy wracam na dół, Harry dokłada trochę drewna do kominka, a kawa jest już prawie gotowa.

- Sympatyczny wieczór. Pomijając tego okropnego faceta. Ta twoja przyjaciółka Lola nie lubi siedzieć z założonymi rękami, co? Ale jej mąż wydaje się miły.

- O tak, Charles jest cudowny.

- Świetna byłaś w Tygrysie, ale nad Magiczną podróżą mogłabyś jeszcze trochę popracować.

- Doprawdy? W takim razie zrób jeszcze raz Wielki luz. To wcale nie było aż takie genialne, wiesz?

- Myślałem, że już nigdy nie poprosisz.

Zostajemy w salonie i kończy się na tym, że lądujemy na dywaniku przed kominkiem, co wcale nie jest takie przyjemne, jak mogłoby się wydawać, dopóki Harry nie wpada na genialny pomysł, żeby rozebrać sofę na części i zasłać podłogę poduszkami. Potem robię nam herbatę; czuję się z siebie bardzo zadowolona. Zapomniałam już, jak odrobina pożądania może poprawić krążenie.

- Hm, było miło. Przyjemnie dla odmiany nie zastanawiać się, co znajdę rano w kapciach za sprawką Bazyla.

- Miło? Miło?

- Wyjątkowo miło, w takim razie. To cię urządza? Wyjątkowo miło.

Uderzam go poduszką.

- Słuchaj, nie zaczynaj od nowa, jestem wykończony. Wiesz, że cały dzień harowałem w twoim cholernym ogrodzie. Mój kręgosłup tego nie wytrzyma.

- O Boże, a ja miałam takie duże oczekiwania.

- Naprawdę?

- Tak. Ale taki już mój pech, że zawsze trafiam na mięczaków.

Harry śmieje się, a ja uświadamiam sobie, że stworzyłam mu idealną okazję do wypowiedzenia magicznej sentencji z Wielkiego luzu, kiedy Dennis Quaid i Ellen Barkin w końcu wylądowali w łóżku i właśnie zaczynają się rozkręcać, kiedy odzywa się jego biper wzywają go na sprawę. Ona mówi, że zawsze miała pecha do mężczyzn, a on wraca do łóżka i mówi: „Twój pech zaraz się skończy”. Mam nadzieję, że Harry tego nie powie, a jeśli powie, to zrobi to jak należy. To naprawdę nie jest dobry moment, by pokazał, że nie załapał, o co chodzi.

- Cóż, twój pech zaraz się skończy, skarbie.

Bingo. Wprawdzie nie powiedział tego z fantastycznym, Luizjańskim akcentem Dennisa Quaida, co więcej, poszedł trochę w stronę Humphreya Bogarta, ale to nie ma znaczenia. I tak brzmi cudownie. Działa za każdym razem.

**DZIENNIK OGRODOWY**

Posadź sałatę i inne rośliny z rodziny astrowatych na późne zbiory, porozdzielaj lilie wodne, posadź rośliny jednoroczne, trzymaj się rygorystycznego programu odchwaszczania, zajmij się trawnikiem.

*Okazuje się, że mój prezent urodzinowy od rodziców to wiklinowa brama do ogrodu od frontu, która przyjeżdża w częściach i mijają całe wieki, zanim udaje się ją zamontować, ale wygląda świetnie, choć uważam, że koniecznie trzeba ją przyozdobić kolorowymi lampkami, by zaakcentować postmodernistyczne podejście do zjawiska. Spędzam parę godzin na przewleczeniu lampek przez wiklinę, a potem wtykam kabel do węża ogrodowego i zakopuję w rabatkach. Mam nadzieję, że żadne małe zwierzątko się przez to nie przegryzie i nie przeleci nagle nad ogrodem w postaci płonącej pieczeni. Montuję do gniazdka w garażu bezpiecznik, więc przynajmniej Alfie nie skończy z nową fryzurą, kiedy następnym razem zachce mu się trochę pokopać. Uroczyście zapalamy lampki i Alfie jest zachwycony, ale mama mówi, że to wygląda jak wejście do wesołego miasteczka, i pyta, czy będę sprzedawała watę cukrową. Staram się to zignorować, ale tak naprawdę martwię się, że obniżam prestiż wsi.*

- Jak ci poszło z Harrym?
- Bardzo dobrze, dziękuję.
- O której wyszedł?
- Około czwartej.
- Cholera, szczęściara z ciebie. Lily obudziła mnie o piątej, mogłam do ciebie wpaść. Umówiłaś się już na powtórkę z rozrywki?
- Nie. Zrobił tę akcję, kiedy facet nagle zaczyna bardzo palić się do wyjścia i mówi, że do ciebie zadzwoni. Ale było mi to na rękę, bo nie chciałam, żeby tu był, kiedy Alfie się obudzi.
- Ale jak zadzwoni, to się z nim spotkasz?
- O tak. Zdecydowanie. Choć zapomniałam już, jakie to wyczerpujące.
- Przestań. Jedyne, co mnie teraz wyczerpuje, to próba wdrapania się po schodach. I znowu nie mam się w co ubrać. Pojedziesz ze mną później na zakupy? Zaliczysz rundkę po wszystkich sklepach dla ciężarnych i pomożesz mi wybrać?
- Jasne.

Molly nie cierpi działów z ubiorami ciążowymi.

- Dzięki. Bardzo się cieszę. Z powodu Harry'ego. Najwyższy czas, żebyś się trochę zabawiła.

Jeśli mam być szczerą, ja również się cieszę i z całą pewnością był to przyjemny sposób na uporządkowanie jakichś pozostałości po Patricu. Co prawda, to dopiero początek, ale mam nadzieję, że Harry nie wyciągnie nagle z rękawa ukrytej żony ani nie wyzna, że lubi

przebierać się za parkingowego, bo byłoby potwornie wkurzające, gdyby okazał się kolejną porażką.

A najlepsze jest to, że na razie nie mam na tym tle obsesji -w przeszłości każdy nowy mężczyzna na horyzoncie odsunąłby wszystko inne na bok i całymi godzinami zamartwiałabym się, kiedy zadzwoni, jeśli w ogóle zadzwoni, i co na siebie założę, jak już zadzwoni. Skończyłoby się na tym, że straciłabym zupełnie grunt pod nogami. Ale z Harrym jest zupełnie inaczej, i to wcale nie dlatego że jest nudny czy coś takiego.

Oczywiście zdarzają się różne rzeczy i mogłabym skończyć jak w Fatalnym zauroczeniu i zacząć go śledzić, ale jakoś wydaje mi się to mało realne. Może tu chodzi o Alfiego; może wielka miłość do niego wyczerpała moją zdolność do angażowania się bez reszty w romanse. Może dorosłam, nawet nie zdając sobie z tego sprawy? Bosko.

W sobotę wpada na podwieczorek Lola z Mabel i Ezrą. Mabel ma na sobie białe skrzydełka wróżki i kiedy w nich idzie, błyszczą i trzepoczą. Jest z nich bardzo dumna.

Loli bardzo podobają się lampki na mojej bramie i mówi, że chce takie światełka w nowym ogrodzie; właściwie to chce, by mienił się nimi cały ogród. Mija dużo czasu, zanim udaje mi się ją przekonać, że eleganckie oświetlenie, które już mamy, pasuje o wiele bardziej, a poza tym pan Channing pewnie dostałby zawału, gdyby zobaczył, że cały ogród jest upstrzony kolorowymi lampkami.



Nagle Mabel zaczyna piszczeć i okazuje się, że Ezra pogiął J jej jedno skrzydło i właśnie zabiera się za drugie. Lola wydziera się na niego i zaczynamy podwieczorek, żeby uniknąć dalszych zniszczeń.

Mabel patrzy z wściekłością na Ezrę, który kopie ją pod » stołem, a potem przyłącza się do niego Alfie. Lola mówi, że przez cały dzień działają jej na nerwy.

- Charlesa nie ma. Kupuje obrazy. Ciekawe, dlaczego musiał na to wybrać akurat ten dzień; pewnie tylko po to, żeby zrobić mi na złość. A Kimberley właśnie zrezygnowała.

- O, dlaczego?

- Kto to wie? Zawsze się spóźniała. Uważam, że miejscowe nianie są o wiele lepsze. Przynajmniej wiesz, gdzie się podziewają przez większość czasu. Powiedziałam jej, że jak jeszcze raz się spóźni, to będę musiała potrącić jej z wypłaty, a ona przyszła do mnie następnego dnia z wypowiedzeniem. Właściwie to była dość arogancka.

Myślę, że była całkiem słodka, choć raczej nie wygrałaby w Milionerach, i na dodatek podskakiwała nieznacznie za każdym razem, kiedy tylko Lola wchodziła do pokoju, ale wydawało się, że naprawdę dobrze radzi sobie z dziećmi.

- Charles ciągle powtarza, że nie potrzebujemy niani i przy pomocy pani Bishop poradzimy sobie sami, a potem znika na cały cholerny dzień. To bez sensu. Ja mam za dużo innych zajęć. Znowu będę musiała obdzwonić te cholerne agencje.

- Ale Mabel niedługo idzie do żłobka, prawda?

- Tak.

- A skoro Ezra chodzi do szkoły, Charles może mieć rację. Zaoszczędzilibyście fortunę.

- Nic z tego, jeśli mam być z nimi uziemiona przez cały dzień. Strasznie boli mnie głowa. Właściwie dobrze by mi zrobiła krótka drzemka, wystarczyłoby jakieś pół godzinki. Nie będzie ci to przeszkadzało, prawda skarbie? Dzięki, jesteś aniołem.

Nie mam czasu zareagować, bo Lola pruje już na górę do mojej sypialni, a ja zostaję na dole ze wszystkimi dziećmi. Nie ma jej prawie przez godzinę, co wystarcza, żebym prawie udusiła Ezrę, który dwa razy celowo rozlał sok i przypuścił niezliczoną liczbę ataków na swoją siostrę.

- Dziękuję ci, skarbie, teraz czuję się prawie jak człowiek. Już ich zabieram, bo zapewne nie możesz się doczekać, kiedy się nas pozbędziesz. Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że zbieram ludzi na wyjazd do Glyndebourne - mamy mnóstwo biletów w pracy. Nie pamiętam, co to będzie za opera, ale detale możemy ustalić później. Muszę zorganizować tyle ludzi, ile się da, żebym tylko nie musiała gadać przez cały wieczór z cholernymi klientami. Pomyślałam o tobie, Molly i Danie. Co ty na to?

- Sama nie wiem, Lolu. To bardzo miło z twojej strony, ale nie jestem zbyt wielką miłośniczką opery.

- Och, pokochasz Glyndebourne, tam zawsze jest cudownie. Harry'ego też mogę zaprosić. Co o tym myślisz?

Cholera.

- Widzisz, to może być troszkę skomplikowane. Miałam ci powiedzieć, że właściwie to został na noc.

- Co?

- Po tym, jak wyszliśmy od was, został u mnie, więc jak do niego zadzwonisz i zaprosisz do opery, będzie to wyglądało, jakbym cię o to poprosiła, prawda? A tego nie chcę.

Lola reaguje lekkim chłodem, że do niej nie zadzwoniłam zaraz po wyjściu Harry'ego, żeby podzielić się wszystkimi szczegółami, ale dość szybko dochodzi do siebie i mówi, że musimy przyjść oboje na kolację, traktując nas od razu jako parę, a właśnie czegoś takiego chciałam uniknąć.

- Chyba na razie wolałabym się z tym wszystkim nie spieszyć.

- Och, tak naprawdę wcale tak nie myślisz. Zadzwon do niego i się nie czaj. Chyba już można dzwonić do facetów -zdaje się, że to postfeminizm. A może to oznacza, że nie można do nich dzwonić? Nie wiem. Wysokie obcasy przeżywają renesans, ale nie jestem pewna, jak to jest z dzwonieniem. Mam zapytać którąś z dziewczyn z pracy o najnowsze trendy w kwestii dzwonienia?

- Nie, dzięki. Ja się tym jakoś specjalnie nie stresuję. Myślę, że po prostu zobaczę, jak się rozwinie sytuacja.

- Cóż, daj mi znać, jeśli się zdecydujesz do środy.

Wieczorem dzwoni Em. Mówi, że przylatuje na kilka dni z Włoch i wpadnie do mnie na weekend, z czego bardzo się cieszę, bo nie widziałam jej od Bożego Narodzenia i naprawdę się stęskniłam. Byłyśmy współlokatorkami na początku naszej londyńskiej kariery i

Em była naprawdę wspaniała po odejściu Patrica. Przyjechała prosto do mnie i pomogła mi przetrwać kilka pierwszych dni, kiedy czułam się, jakby przejechał mnie walec.

Będę miała na weekend także Jima, bo Stella jest na jakimś kursie i Jim chyba nie chce siedzieć w mieście bez niej, co jest naprawdę słodkie. Tyle że będzie musiał spać na sofie, a Em zajmie pokój Alfiego. Em mówi mi, że zostawi Lukę na parę dni, żeby zajął się hotelem. Opowiadam jej o Harrym. Strasznie jej imponuje mój spokój; mówi, że to dobry objaw, który oznacza, że Patrie już mi totalnie przeszedł - uważa, że to genialnie, bo nigdy go nie lubiła.

Harry dzwoni we wtorek wieczorem i umawiamy się na piątek. Kończy się na tym, że Harry zostaje do czwartej nad ranem, co jest naprawdę cudowne. Zaczyna już świtać, kiedy zbiera się do wyjścia. Zapraszam go na kolację z Em i Jimem, zakładając, że odmówi, ale on mówi, że z przyjemnością przyjdzie, choć będzie musiał wcześniej się pożegnać, bo w niedzielę zabiera matkę do Londynu na lunch z bratem, co napawa go przerażeniem.

- W takim razie widzimy się później, tak?

- Tak.

- Około ósmej?

- Może być.

- Chyba pojedę do domu, żeby się trochę zdrzemnąć, zanim zacznę realizować zamówienia. Jestem kompletnie wycieńczony.

- Dobry pomysł.

- A może mógłbym zostać na jeszcze jedną filiżankę herbaty?

- Jeszcze lepszy.

Ostatecznie rozstajemy się tuż przed piątą. Boże, nie jestem pewna, czy wytrzymam tyle atrakcji. Jestem wycieńczona, ale w bardzo przyjemny, radosny sposób; Alfie też jest całkiem zadowolony, bo przez cały ranek pozwalałam mu oglądać kreskówki. Patrie znowu odwołał wyjście na basen, więc przynajmniej nie będę musiała zaliczyć jego wizyty. Choć właściwie nie byłoby to takie złe, gdyby następnym razem, kiedy się pojawi, natknął się na Harry'ego. Ani razu nie wspomniał o tamtym spotkaniu, ale wiem, że go to wytrąciło z równowagi. Kiedy zadzwonił, żeby odwołać basen, przypiął się do telefonu jeszcze bardziej niż zwykle.

Em, która zjawia się w sobotni poranek, zalicza entuzjastyczne powitanie ze strony Alfiego, głównie dlatego że przywiozła mu olbrzymią tubę smarties i włoską książeczkę dla dzieci, pełną rysunków psów, które dopuszczają się przeróżnych nieprzyzwoitych zachowań, jak na przykład kradzieży kiełbasy, z którą potem ganiają po mieście, ścigane przez rozgniewanych sklepikarzy.

Em jest rozbawiona moją nową ogrodniczą pasją, ale kiedy oprowadzam ją po ogrodzie, widzę, że jest naprawdę pod wrażeniem.

- Wiesz, powinnaś się tym zająć zawodowo. Jest super.

- Dzięki. Naprawdę mi się to podoba. Na początku w ogóle mnie to nie kręciło, ale teraz naprawdę zaczynam się w to wciągać.

- Opowiedz mi coś więcej o tym Harrym. Jest dorosły?

Em ma teorię, że większość facetów zatrzymało się w rozwoju na poziomie ośmiolatka i dlatego robią tyle wkurzających rzeczy.

Przyznaje, że jest trochę dorosłych facetów, ale kobieta musi być bardzo uważna.

- Tak. Tak myślę. Co prawda, to dopiero początek, ale na razie jest świetnie.

- Jest dobry w łóżku?

- Naprawdę nieźle sobie radzi na poduszkach na podłodze.

- Alice, co by powiedziała twoja mama?

- Kto to wie. Ale założę się, że wyciągnęłyby mopa.

- A jest miły dla Alfiego?

- Tak. Cóż, właściwie to nie spędził z nim zbyt wiele czasu. Na razie zmywa się, zanim Alfie się obudzi, i tak chyba na razie wolę, bo to wszystko jest jeszcze bardzo świeże. Ale kiedy przyjechał po raz pierwszy, przywiózł psa, więc Alfie uważa, że jest świetny. I zachował się naprawdę uroczo, pożyczając od Alfiego koparkę.

Patrzemy na Alfiego, który podskakuje na ścieżce, młóćąc patykiem.

- Przestań, Alfie. Uszkodzisz rośliny.

Udaje, że mnie nie słyszy, ale zostawia rośliny w spokoju i zaczyna walić patykiem o ścieżkę.

- Robi się z niego duży chłopak. Za każdym razem, kiedy go widzę, jest dużo większy. To dzieje się zbyt szybko.

- Wiem. Znowu potrzebuje nowych butów. W przyszłym miesiącu kończy cztery lata, a we wrześniu zaczyna szkołę. To wydaje się zupełnie nieprawdopodobne, nie?

- Zgadza się. Boże, pamiętam tę noc, kiedy się urodził.

- Zabawne, boja też.

- Był taki maleńki.
- Wiem. Mówiłam ci, że Molly spodziewa się kolejnego dziecka?
- Tak, bardzo bym chciała się z nią zobaczyć.
- Świetnie. Powiedziałam, że wpadniemy jutro na podwieczorek. Pasuje ci to?
- Jasne.
- Wszystko u ciebie dobrze, z hotelem i tak dalej?
- O tak, interesy idą świetnie. Cały czas mamy rezerwacje, a Luka jest cudowny. Właściwie przyjechałam tu między innymi z tego powodu, żeby ci powiedzieć, to znaczy zapytać, czy nie zostałąbyś moją druhną? Mija minuta, zanim dociera do mnie znaczenie jej słów, a potem obie piszczymy i się ściskamy. Kiedy podbiega do nas Alfie, Em pyta go, czy będzie niósł jej obrączki, na co on się zgadza, choć nie ma pojęcia, o co tak właściwie chodzi. To może być trochę skomplikowane - zapewne nadepnie jej na suknię albo coś w tym stylu. Ale Em jest taka szczęśliwa. Wiedziałam, że układa jej się z Luką, a do tego Em jeszcze mówi, że ostatnie miesiące były idealne i wie, że to Ten Jedyny.
- Nie znaczy to, że nigdy mnie nie wkurza, a do tego jego matka jest stuknięta; myślę, że gdyby tylko mogła, nadal ubierałaby go co rano. To niewiarygodne, jak ona się nad nim trzęsie. Ale go kocham i chcę mieć z nim dzieci - całe mnóstwo dwujęzycznych dzieci. Nie chcemy robić z wesela wielkiego halo, ale moja mama jest już w amoku, więc będziesz musiała mi z nią pomóc. A wesele jest za sześć tygodni. Wiem, że to straszny pośpiech, ale wydaje mi się, że jego matka chce

załatwić to jak najszybciej na wypadek, gdybyśmy mieli zmienić zdanie. Pół wyspy myśli, że jestem w ciąży.

- Ale nie jesteś, tak?

- Nie, ale chcę być. To ostatecznie mnie przekonało. Nie możesz być niezamężna i mieć dzieci. Zapewne obwieźliby cię po porcie w jakiejś specjalnej łodzi.

To naprawdę cudowne. Em wygląda na szczęśliwą i naprawdę cieszę się jej szczęściem. Obiecuję, że pomogę jej stawić czoło mamie, i mówię, że pomysł z hotelem jest świetny. A potem przechodzimy do poważnej rozmowy na temat sukienki. Em myśli o welonie i całej tej weselnej otoczce, ale ma również ochotę na kostium ze spodniami, głównie dlatego żeby zrobić na złość matce. Wymuszam na niej obietnicę, że nie będzie kazała mi założyć nic w stylu Małej Księżniczki, nie wiadomo też, co założy Alfie, ale jeśli Em myśli o kilcie, może o tym zapomnieć.

Sobotnia kolacja idzie bardzo dobrze. Powiedziałam Jimowi o zaręczynach Em, więc przyjeżdża wcześniej z dwoma butelkami szampana i wszyscy trochę się spijamy, kiedy Em gotuje. Ślinka nam cieknie, bo dzięki pobytowi we Włoszech tylko udoskonaliła swoje kucharskie umiejętności, które już wcześniej były całkiem spore. Bardzo sprytnie przyprawia jagnięcinę rozmarynem z ogródka, a Jim udaje, że jest zdruzgotany z powodu jej zaręczyn - mówi, że to na nią czekał, bo jest jedyną dziewczyną, jaką kiedykolwiek chciał poślubić, a teraz ona łamie mu serce.



Em nie zwraca na niego uwagi, koncentrując się na Harrym. Rozmawiają o ziołach i gotowaniu, a potem rozprawiają o winach i Em opowiada mu wszystko o miejscowych, wyspiarskich winach, które tam smakują fantastycznie, ale kiedy przywiezie się do Anglii, przypominają w smaku zwykły syrop.

Jim kładzie Alfiego do łóżka, co ciągnie się całymi godzinami, więc ostatecznie dość późno zabieramy się do kolacji, która kończy się licytacją, które z nas miało najbardziej upierdliwego klienta. Wygrywa Em za sprawą pewnej kobiety, która stawiła się w hotelu i wręczyła jej ogromny stos ubrań do uprasowania, a potem dzwoniła w środku nocy do obsługi hotelowej ze skargą, że jej woda mineralna się odgazowała. Ostatecznie tak im wszystkim zszargała nerwy, że kiedy zadzwoniła parę miesięcy później, żeby znowu zrobić rezerwację, Em wciskała różne przyciski w telefonie, udając, że są jakieś zakłócenia na linii.

Jim jest pod wrażeniem i mówi, że raz próbował tej sztuczki ze swoim dyrektorem naczelnym, ale na nieszczęście rozmawiał z nim przez komórkę, więc tylko aktywował sobie usługę z serwisem drogowym i później jego telefon dzwonił co pół minuty z aktualnymi informacjami na temat korków na M25.

Harry pomaga mi przy kawie, i dobrze się składa, bo nie wlał w siebie tyle alkoholu co ja. Naprawdę obawia się jutrzejszego lunchu i mówi, że jego brat gardzi wiejskim życiem i robi dużo dowcipnych uwag na temat kompostu.

- Pewnie ci zazdrości.

- Nie wydaje mi się.

- Nigdy nic nie wiadomo.

- Wierz mi. Właściwie będę musiał się zaraz zbierać, bo jeśli tego nie zrobię, będę miał wielką ochotę znowu zostać do rana, a już i tak jestem wykończony.

- Urocze.

Wybacz, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało, ale całe popołudnie miałem urwanie głowy z dostawami i to był naprawdę długi dzień. A jutrzejszy będzie jeszcze dłuższy. Jim zaczyna się wydzierać z salonu:

- Ej, wy tam, pospieszcie się, gdzie jest ta kawa? Co wy tam robicie? Mam nadzieję, że się nie obcałowujecie.

Słyszymy, jak Em go czymś uderza, chyba poduszką, bo nagle jego głos robi się przytłumiony. Harry się uśmiecha.

- Świetny pomysł.

Po wyjściu Harry'ego otwieramy kolejną butelkę wina. W pewnym sensie ulżyło mi, że już poszedł. Pomijając wszystko inne, z Alfiem w moim łóżku i Jimem na sofie, gdyby Harry mógł zostać, wylądowalibyśmy chyba w namiocie w ogrodzie. W namiocie, którego nie mam. A poza tym miło jest zrelaksować się tylko w towarzystwie Em i Jima, bo nie muszę tak uważać na swoje zachowanie. Choć teoretycznie wiem, że nie muszę przy Harrym niczego udawać, jednak ciągle jestem na tym etapie, że wciągam brzuch, kiedy myślę, że na mnie patrzy, co jest dość wyczerpujące.

- A więc jaki jest werdykt?

- Chyba w porządku, choć nadal uważam, że te zioła to zajęcie raczej dla panienki. Mógłby przynajmniej uprawiać coś trochę bardziej męskiego: trujący bluszcz czy storczyki. A ta jego matka to, zdaje się, jeden wielki koszmar. Ale wydaje się w porządku, o ile się w czymś takim gustuje.

- Właściwie to nie ciebie pytałam o zdanie.

Em mówi, że według niej Harry jest dorosłym facetem i wydaje się naprawdę zainteresowany.

- Nie wygląda mi na gościa, który nagle obwieści, że potrzebuje „przestrzeni” czy coś równie bzdurnego. Boże, to wino jest przepyszne.

- A niech mnie, ten twój Kapitan Kirk nieźle cię rozpił.

Z jakiegoś, tylko znanemu sobie powodu Jim postanowił nazywać Lukę Kapitanem Kirkiem. Chyba ma tu coś do rzeczy Jean Luc Picard i Star Trek.

- Przymknij się.

- Odważnie kroczyć, gdzie nie dotarł jeszcze żaden człowiek. Ale jesteś pewna, że to właśnie Ten Jedyny, Em? W tym cały problem. Możesz popełnić straszną pomyłkę.

- Po prostu go ignoruj.

- Możesz się teraz ze mnie śmiać, ale jeszcze zobaczysz. Kiedy jego matka okaże się Klingonką, będziesz żałowała, że mnie nie słuchałaś.

- Tu możesz mieć rację. Bardzo by mi się przydał taki gadżet do teleportacji, to byłby naprawdę świetny prezent ślubny. Kiedy robi się

denerwująca, mogłabym ją teleportować w jakieś miejsce, gdzie by się na coś przydała.

- Dla Alfiego też by się coś takiego przydało. Nie jestem do końca przekonana co do tego pomysłu z obrączkami. Niewykluczone, że znienacka zacznie śpiewać albo coś.

Jim wydaje się zachwycony myślą o Alfiem, który zaczyna śpiewać w środku nabożeństwa.

- Jak chcesz, mogę go nauczyć paru użytecznych melodii. My Old Man 's a Dustman, Rule Britannia i takie tam. To trochę podkreśli atmosferę. Nie mogę się już doczekać tego wesela.

W niedzielę robimy przegląd prasy i usiłujemy powstrzymać Jima, żeby nie uczył Alfiego śpiewać Rule Britannia. Na szczęście Alfie nie jest zbyt zainteresowany i koncentruje się na tym, żeby zaciągnąć nas do Molly na spotkanie z Eddiem i innymi kurczakami.

Jim odjeżdża po lunchu, a Alfie ciągnie nas prosto do Molly. Eddie bardzo urósł i wszystkie kurczaki biegają histerycznie w kółko, dziobiąc i wymachując skrzydłami, a Em wyraża głośno swój zachwyt i mówi, że Eddie jest najlepszym kurczakiem, jakiego kiedykolwiek widziała.

- Czy Eddie to nie jest skrót od Edwarda? To chłopięce imię, a Eddie to kurka, tak jak cała reszta, prawda?

160

- Wiem, głuptasie. Chłopcy to koguciki. Ale chcę, żeby miała na imię Edward. Dziewczyny mogą mieć chłopięce imiona. W przedszkolu jest jedna dziewczyna, która ma na imię Sydney.

- Skoro tak...

Siedzimy w kuchni, obserwując Alfiego i Lily, żeby mieć pewność, że nie będą zbyt entuzjastycznie zaganiać kurczaków.

- Wiesz, Molly, nagle bardzo zaczęło być widać po tobie ciążę.

- Wiem. Jak tak dalej pójdzie, nie będę mogła się wcisnąć do samochodu. Dan mówi, że zamontuje dla mnie bagażnik na dachu, ale niezbyt mi się ten pomysł podoba.

- Wyglądasz fantastycznie. Uwielbiałam dotykać brzucha Alice, kiedy była w ciąży z Alfiem.

Em ma rozmarzony wyraz twarzy.

- O tak, to naprawdę cudowne. Nie mogę spać dłużej niż godzinę, bo dziecko uciska mi chyba jakiś ważny organ, a potem Lily budzi mnie bladym świtem. A nawet jeśli ona śpi, to cholerny Bernard radośnie sobie pieje. Mówię wam, jak mi to działa na nerwy. Myślę, że niedługo mogę się pokusić o kurczaka w winie.

- Myślałam, że jesteś wegetarianką.

- Jestem, ale dla Bernarda zrobię wyjątek.

- Mimo wszystko naprawdę ci zazdroszczę. To musi być cudowne być w ciąży.

- Marzymy o dziecku, co?

- Tak. Od kiedy tylko Alfie się urodził, jeśli mam być szczerą. Jestem tym poruszona.

- Pamiętam to uczucie.

- Ja też. Ale to szybko przechodzi. Wierz mi.

- Nie bądź okropna, przecież uwielbiasz Alfiego.

- Jasne, że tak, ale nie byłam w pełni świadoma, jaka to poważna sprawa. Chodzi mi o to, że wszystko się zmienia. Dosłownie wszystko. Już nawet nie pamiętam, jak to było, zanim się urodziłam. Zupełnie jakbym miała jakąś operację, w wyniku której na zawsze utraciłam część mózgu, dzięki której mogłam czytać całymi godzinami albo na poważnie się w coś zaangażować. Pamięć też ci siada. Kiedyś planowałam sobie wszystko w głowie, a teraz muszę zapisywać. Mówią, że to przechodzi, ale nie w moim cholernym przypadku.

- Mnie też nie przeszło i robi się coraz gorzej. Parę dni temu prawie zgubiłam drogę do domu. Przejechałam nasz zakręt. Nie wiem, jak to się stało.

- No tak, rozumiem. Ta cała gadka ma mnie zniechęcić do dzieci. Co jeszcze?

Molly się śmieje.

- Przepraszam, to jest naprawdę cudowne, ale cię zmienia. Już nigdy więcej nie możesz być samolubna. Dzieci zawsze są na pierwszym miejscu. Na zawsze.

- I kochasz je tak bardzo, że aż strach. To trochę przerażające. Czasami patrzyłam na Alfiego, kiedy był malutki, i czułam taką miłość, że aż bolało. Czułam fizyczny ból. Dzieci są takie delikatne i całkowicie zależne od nas. Czasami mam koszmary, że nie mogę do niego dotrzeć, i to jest naprawdę straszne. To tak, jakby mi brakowało warstwy skóry. Wyglądam tak samo, ale wszystko się zmienia.

- Właściwie brzmi to całkiem zachęcająco. Pomijając ten kawałek ze skórą.

- Zgadza się, ale Alice ma rację, tak właśnie się czujesz. A do tego jeszcze to nieszczęsne dno miednicy.

- Słucham?

Wyjaśniamy jej, o co chodzi z dnem miednicy, nie oszczędzając złowieszczych ostrzeżeń, że nie będzie mogła kichać w publicznych miejscach, jeśli przez resztę swojego życia nie będzie wykonywała co dziesięć sekund specjalnych ćwiczeń. Siedzimy przez chwilę w milczeniu, oddając się ćwiczeniom mięśni miednicy. Zaciskamy je i rozluźniamy, czemu towarzyszy raczej napięty wyraz twarzy.

- Boże, to naprawdę ciężka sprawa, nie?

- Kobieta, która prowadzi zajęcia w szpitalu, mówi, że musisz sobie wyobrazić, że to winda, którą jedziesz z parteru na dziesiąte piętro i z powrotem.

Rozmyślamy nad tym przez chwilę.

- Ja mogę co najwyżej dotrzeć do trzeciego.

- Ja też.

- Cholera.

Mama każe mi obiecać, że jeśli tylko będę mogła, wrócę wcześniej z pracy na swój urodzinowy podwieczorek. W firmie jest taka tradycja, że solenizant stawia wszystkim ciasto, a potem, w czasie podwieczorku wszyscy stoją w niezręcznej ciszy, kiedy Janet obdarowuje jubilata tanią kartką. A ponieważ chcę wyjść wcześniej, wyciągam ciastka w czasie lunchu.

Janet nie jest zadowolona.

- No cóż, skoro nalegasz, może skuszę się na odrobinę tego.

Nie cierpię ludzi, którzy dzielą czekoladowego eklera na trzy części, a potem zjadają tylko najmniejszy kawałeczek.

Podchodzi Malcolm, który porywa olbrzymi rożek z kremem i oblizuje wargi w mało pociągający sposób.

- Wszystkiego najlepszego i dużo, dużo więcej. Alice, z dnia na dzień wyglądasz coraz młodziej, musisz nam zdradzić swój sekret.

- To głównie zasługa dżinu.

Malcolm śmieje się, ale Janet wcale nie jest ubawiona.

Tym razem Brenda osobiście postarała się o kartkę dla mnie, którą wszyscy podpisali. Tekst na kartce głosi „Od whisky jesteś rozbawiona, a od brandy napalona” i jest dołączona specjalna nalepka: „Dla mnie do pełna”.

Brenda pyta mnie o najnowsze doniesienia na temat ślubu Em. Pokazałam jej e-mail od Em ze szkaradnymi sukienkami w najróżniejszych odcieniach oberżyny (tak ten kolor określa Em, ale dla mnie to po prostu fioletowy). Myślę, że to jakiś żart, ale nie jestem pewna.

- Zostały jej już tylko dwa tygodnie, żeby wszystko zapiąć na ostatni guzik, więc musi trochę przyspieszyć. A matka doprowadzają po prostu do obłędu.

- Moja też była okropna. Mało brakowało, abym wszystko odwołała. A potem mój Brian upił się na przyjęciu i kazał się jej odpieprzyć.

- A ty, Janet? Przeżywałaś jakieś ślubne dramaty w ostatniej chwili?

- O nie, wszystko było idealnie.



- Pomijając fakt, że lało jak z cebra i połowa gości skończyła z zatruciem pokarmowym.

Janet jest teraz naprawdę wściekła, Chyba nie spodziewała się, że Malcolm okaże się taki rozmowny.

- Właściwie chciałam zamienić z tobą słówko, Alice. Zauważyłam, że ostatnio dostajesz mnóstwo e-maili od swojej przyjaciółki, a nie chcemy, żeby ludzie załatwiali swoje prywatne sprawy w pracy. To trochę niestosowne.

- Przepraszam, zwykle przysyła mi e-maile na prywatną skrzynkę, ale w domu nawalił mi modem, więc poprosiłam ją, żeby pisała do mnie tutaj. Właściwie używam domowego komputera również do pracy, więc jestem pewna, że wszystko powinno się jakoś wyrównać.

Złośliwe krówsko. To powinno zamknąć jej buzię.

- Naturalnie, Alice. Jestem pewien, że Janet nie chciała, żebyś posądziła nas o małostkowość, prawda skarbie?

O Boże. Teraz to dopiero Janet mnie znienawidzi. Jej wspaniały facet osobiście poddał ją publicznej krytyce.

- A jeśli jesteśmy ci coś winni za jakieś nadgodziny, powiedz nam o tym, Alice, bardzo proszę. Nie chcę, żebyś się dla nas poświęcała, absolutnie nie o to chodzi.

Robi się coraz lepiej.

Jadę do domu. Facet z kasy na stacji benzynowej patrzy na mnie dość dziwnie i puszcza oko, co mi uświadamia, że nadal paraduję z nalepką „Dla mnie do pełna”. Ściągam ją przed dotarciem do domu, bo nie

wydaje mi się, żeby mama uznała to za zabawne. Raczej nie gustuje w tego typu naklejkach, no, chyba że zaczęłyby je firmować domestos.

Alfie czeka na mnie w ogrodzie od frontu, a ja obiecuję nie podglądać, kiedy prowadzi mnie do salonu. Idziemy dość szybko i wpadam na drzwi. Udaje mi się nie zakląć, ale niewiele brakuje, a potem Alfie mówi, że mogę otworzyć oczy i wręcza mi ogromne pudełko czekoladek. Uważa, że bombonierka to szczyt wyrafinowania, bo kiedyś powiedziałam mu w sklepie, że nie możemy jej kupić, ponieważ bombonierki są tylko dla dorosłych.

- Och dziękuję ci bardzo, skarbie. To cudowne z twojej strony.

- Tak, i możesz je zjeść wszystkie sama. Ale dobrze jest się dzielić z innymi, wiesz mamusiu? To bardzo dobrze. Mili ludzie się dzielą.

Mama urządza mi prawdziwy urodzinowy podwieczorek, z kiełbaskami na patykach, chipsami i galaretką. I balonami, które na nieszczęście Alfie postanawia poprzebijać, kiedy jesteśmy akurat w trakcie drugiej filiżanki herbaty. Mama zaciąga zasłony i gasi światło, tak jak to robiła, kiedy byliśmy mali, a potem wnosi tort, zaś Alfie odstawia w tym czasie jakiś paranazistowski marsz i wierzga, jakby ćwiczył kung-fu. Lukier jest różowy jak guma balonowa i jest go całe mnóstwo, a czekoladowe litery układają się w napis WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO MAM, co mnie trochę zastanawia, dopóki mama mi nie wyjaśnia, że kupiła literki w specjalnej cukierni w mieście, i miało być napisane MAMO, ale Alfie zjadł O.

Zdmuchujemy świece i myślę sobie życzenie, a potem na nowo je zapalamy, żeby i Alfie mógł pomyśleć życzenie. Wiem, że życzył sobie

psa, zwłaszcza że mi o tym mówi, a ja życzę sobie więcej takich urodzin jak te, choć może bez tylu strzelających balonów.

Mama zabiera do domu kawałek tortu dla taty, a kiedy wychodzi, ściskam ją.

- Dziękuję, mamó. Naprawdę.

- Za co? To tylko zwykły tort.

- Tak, ale chodzi o podwieczorek i w ogóle o wszystko. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Wiesz o tym, prawda?

- Oj, daj spokój i wracaj do środka, robi się zimno. Machamy jej z Alfiem na pożegnanie, a potem wracamy do domu i oglądamy telewizję, zajadając się czekoladkami. Rozkosz.

Harry dzwoni z życzeniami urodzinowymi i umawiamy się na weekend. Przyzwyczajamy się do naszej małej, piątkowej rutyny, co chyba odpowiada nam obojgu. Harry przyjeżdża na kolację i zostaje do czwartej, piątej rano, a potem wychodzi, zanim obudzi się Alfie. Nie wydaje mi się, żeby mu przeszkadzało, że to donikąd nie zmierza, a jeśli mam być szczerą, ja również nie mam z tym żadnego problemu. Jestem zadowolona, że to wszystko jest takie stonowane. Z jakiegoś powodu łatwiej sobie z tym wszystkim poradzić.

- A więc widzimy się w piątek, tak?

- Tak. Koło ósmej. A tak przy okazji, dzwoniła do mnie twoja przyjaciółka Lola, żeby zaprosić mnie do Glyndebourne, ale powiedziałem, że nie dam rady. Mam nadzieję, że to żaden problem. Chodzi o to, że tego typu atrakcje przejadły mi się, kiedy jeszcze

pracowałem w Londynie. Nigdy nie cierpiałem imprez firmowych i takich tam.

Jestem pewna, że prosiłam Lolę, żeby do niego nie dzwoniła. Cholera. Pewnie myśli, że kazałam jej, żeby go zaprosiła.

- W porządku. Nie wiedziałam, że do ciebie dzwoniła. Inaczej bym cię ostrzegła.

- Cóż, mogę ci tylko życzyć, żeby to nie było nic Wagnera. Jego opery ciągną się po trzy tygodnie. O, i zabierz parasolkę. Z doświadczenia wiem, że tam ciągle leje.

Super.

Lola genialnie pozałatwiała wszystkie sprawy związane z wyprawą do Glyndebourne i mówi, że zapomniała, że miała nie dzwonić do Harry'ego, co więcej, jest oburzona jego odmową. Każe mi obiecać, że założę sukienkę, zapomnę o gumowcach i przez cały wieczornie wspomnę o ogrodnictwie, bo, jak mówi, Charles i tak przez cały czas ją tym zamęcza i nie trzeba go dodatkowo zachęcać.

Ponieważ nie mam eleganckiej sukienki, zaliczam w czasie przerwy na lunch rajd po sklepach i w końcu znajduję w takim jednym nowym butikku odpowiednią kreację z jasnoniebieskiego, jedwabistego materiału, wykończoną maleńkimi koralikami; zeszłego lata kupiłam bładoniebieskie klapki, które, jak myślę, będą do niej idealnie pasowały.

Mama mówi, że wyglądam cudownie i razem z Alfiem machają mi na pożegnanie, kiedy idę do Charlesa i Loli. Jedyne problem polega na tym, że Molly właśnie zadzwoniła, żeby powiedzieć, że jest zbyt

zmęczona. Spytała, czy moim zdaniem Lola ją zabije, jeśli zostanie w domu i wcześniej pójdzie do łóżka, bo nie może się zmusić, żeby przesiedzieć sztywno parę godzin, wysłuchując zawodzenia jakiejś kobiety. Zatem będę tylko ja i Dan, a szkoda. Molly nalega, żeby Dan mimo wszystko jechał, bo wypożyczył już smoking i tak dalej, a poza tym uważa, że naprawdę się na to cieszył.

Drzwi otwiera Charles.

- A niech mnie! Wyglądasz bosko. Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało, chodzi tylko o to, że, no cóż, świetnie wyglądasz.

Pojawia się Lola. Wygląda fantastycznie w długiej, fioletowej spódnicy z szeleszczącego jedwabiu; do tego obcisła, czarna jedwabna góra z dość imponującym dekoltem. Wygląda jak bohaterka Przemięto z wiatrem.

- Chyba napijemy się szampana przed wyjazdem, nie sądzicie?

Charles idzie po szampana, kiedy przyjeżdża Dan. On również wygląda fantastycznie, jakby grał w reklamie płynu po goleniu czy czegoś takiego. Nigdy nie widziałam go tak odstawionego; naprawdę szkoda, że Molly nie dała rady się wybrać. Lola również jest pod wrażeniem, bo chociaż i z nim flirtuje, przez co on jest chyba zdenerwowany, bo tak się przyssał do szampana, jakby od tego zależało jego życie.

- Zabierz kieliszek do samochodu, Alice, to napijemy się jeszcze po drodze. Równie dobrze możemy zacząć pić już teraz. Ty też, Dan.

Czuję się dość dziwnie, siedząc w rangę roverze i obciągając szampana, kiedy na dworze jest ciągle jasno, ale musimy tam dotrzeć przed trzecią - cała impreza rozpoczyna się dość wcześnie, bo potem

są jeszcze dwie przerwy na piknik. Najwyraźniej ten piknik to najważniejsza część całego tego wydarzenia i ludzie ostro rywalizują na tym polu.

Docieramy na miejsce i stajemy w długiej kolejce eleganckich samochodów z rozćwierkanymi snobami, którzy wyładowują kosze piknikowe. Nigdy nie widziałam tylu eleganckich wozów w jednym miejscu: same bmw i rangę rovery, co wygląda trochę jak zlot limuzyn. Lola zaczyna nam opowiadać o operze; najwyraźniej będzie to coś Glucka, o którym nigdy nie słyszałam, ale Lola twierdzi, że jest cudowny. Zanim znajdujemy miejsce do zaparkowania, robi się późnawo, lecz Lola zdaje się tym nie przejmować.

Przemierzając park, spotykamy całe mnóstwo znajomych Loli. Przybiega do nas podenerwowana kobieta z biura Loli z biletami i programami; mówi, że wszyscy klienci oprócz Grahama już przyjechali, i pyta, czy ma wypakować nasz kosz piknikowy. Przy okazji informuje, że zarezerwowała nam stoliki na balkonie, na wypadek, gdyby padało. Lola wręcza jej kluczyki od samochodu i mówi, że koszyk jest w bagażniku. Nakazuje jej, żeby pod żadnym pozorem nie mówiła Bernardowi, gdzie siedzimy, po czym rusza dalej, a my wszyscy pędzimy za nią.

Wygląda na to, że Lola zna połowę publiczności i mijają całe wieki, zanim udaje nam się dotrzeć na miejsce, bo ciągle zatrzymuje się, żeby się z kimś wyczałować na powitanie. Kiedy jesteśmy już w środku, zostajemy zaprowadzeni do fantastycznej łoży, w której siedzenia są naprzeciwko siebie, więc jest trochę tak, jakby się siedziało w

autobusie. Ktokolwiek projektował to miejsce, zdecydowanie bardziej przejmował się akustyką niż lożami dla snobów. Mamy za to wspaniały widok - bilety musiały kosztować fortunę. To wszystko pokazuje, ile ludzie są gotowi zapłacić za elegancki piknik i możliwość popatrzenia na kiecki innych babek. Właściwie to zaczynam czuć się trochę winna; zapewne niejeden ześwirowany fan opery oddałby wszystko, żeby tu być, a ja nawet nie wiem, jaką operę będziemy oglądali.

Budynek jest fantastyczny. Zbudowano go w miejscu starej opery, którą wszyscy uwielbiali. Jest naprawdę bajecznie i nie mogę się doczekać, kiedy się zacznie. Czar pryska jakieś dziesięć minut po podniesieniu kurtyny. Dekoracje są okropne: mnóstwo pustej przestrzeni, czarno-białe linie i wstrętne, płaskie oświetlenie. Wszyscy aktorzy są we współczesnych strojach i poruszają się w zwolnionym tempie, jakby toczyli się na kółkach.

Z jakiegoś powodu chór wchodzi na scenę na czworakach. Zdaje się, że ma to coś wspólnego z grecką tragedią i tym, że bogowie traktują ludzi jak pionki; niestety, koncepcja się nie sprawdza, a walki na miecze są wyjątkowo komiczne.

Muzyka z początku wydaje się w porządku, ale stopniowo uświadamiam sobie, że nie mogę się doczekać końca. Charles chyba zasnął i sama też mam ochotę pójść w jego ślady, jednak Lola wygląda na pochłoniętą akcją, zaś Dan sprawia wrażenie zmartwionego, że coś mu umyka. Ciągle zagląda do programu, a potem pochyła się do

przodu, jakby dzięki większej koncentracji dzieło to mogło stać się trochę bardziej przystępne.

W końcu jest przerwa i pędzimy na piknik. Leje deszcz, więc wszyscy tłoczą się na balkonach, które są teraz tak zapchane, jakby to był jakiś obóz dla uchodźców z wyższych sfer. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawia się znowu ta kobieta od biletów i pyta Lolę, czy czegoś potrzebuje, bo jeśli nie, to ona pójdzie zobaczyć, jak radzi sobie reszta gości w restauracji - najwyraźniej siedzą tam wszyscy z firmy Loli i dlatego nalegała, żebyśmy urządzili sobie piknik.

- Zaraz będę musiała witać się z ludźmi. O Boże, tam jest Bernard. On wiecznie ma do omówienia jakieś sprawy służbowe i zawsze robi coś wkurzającego. W zeszłym roku w Henley wypadł za burtę. Patrzcie, jest Tony, Tony Howard, no wiecie, ten reżyser filmowy.

Lola podnosi się i macha do niego, aż w końcu podchodzi do nas, lekko zdezorientowany, jakby nie całkiem ją kojarzył. Lola obdarza go jednym ze swoich specjalnych uśmiechów, odsłaniając wszystkie zęby.

- Tony, Lola Barker. Pracowałam z tobą w zeszłym roku przy tym projekcie na zlecenie telekomunikacji, pamiętasz?

- A tak, cudownie cię znowu widzieć. Właśnie idziemy na kolację. Chloe, skarbie, chodź się przywitać.

Zza jego pleców wyłania się młoda, oszałamiająca kobieta. Ma na sobie króciutką sukienkę na ramiączkach z bladoszmaragdowego jedwabiu.

Lola nie wygląda na zachwyconą.

- Urocza sukienka. To z Ghost?

- Nie. Top Shopu.



- O, jak pomysłowo.

Właściwie to trochę irytujące. Gdyby wydała na to z pięćset funtów, nie zazdrościłabym jej tak bardzo.

Pan Howard uśmiecha się do Loli w dość przerażający sposób.

- I jak ci się podobała opera?

Lola znowu mówi coś o tym, że Gluck zawsze był cudowny, a potem ten boski reżyser zwraca się do mnie:

- A co pani myśli?

Cholera. Choć wiem, że powinnam udzielić jakiejś uprzejmej, ogólnikowej odpowiedzi, po prostu nie mogę się przemóc.

- Nie znam się zbyt na operze, ale uważam, że powinno się rozstrzelać człowieka odpowiedzialnego za dekoracje.

- A ja chyba chciałbym go poznać.

Teraz to do mnie uśmiecha się w ten specyficzny sposób. O Boże.

Chloe szczerzy się z wyższością, a Lola ożywia się i mówi, że może to załatwić - jej ojciec jest honorowym członkiem. Panu Howardowi wydaje się to chyba dość zabawne.

- Twój ojciec to ten kompozytor, tak?

Lola wygląda na bardzo z siebie zadowoloną.

- Hm, nie zadawaj sobie trudu z mojego powodu. Chciałem się tylko dowiedzieć, co miały znaczyć te cholerne sześciany. Ale pewnie trudno byłoby mu się przepchnąć do mnie przez ten tłum z psem-przewodnikiem.

Charles się śmieje, co zdaje się podobać panu Howardowi.

- Zakładam, że nie jest pan fanem opery?

- Raczej nie. I zgadzam się z Alice, choć może z tym rozstrzelaniem to byłaby już lekka przesada.

- No nie wiem. Są pewne granice. Lola dochodzi do siebie i mówi:

- A tak, no cóż, właściwie myślałam o tym samym. Te dekoracje są trochę bezbarwne.

- Bezbarwne? To prawdziwa hańba. Chloe wygląda na bardzo znudzoną.

- Kochanie, powinniśmy już iść. Będą na nas czekać.

- Tak, tak, oczywiście. Przepraszam, musimy iść. Cudownie było cię znowu zobaczyć, Lolu, no i poznać twoich przyjaciół. Dobrze wiedzieć, że nie tylko takie stare dranie jak ja nie cierpią tych bzdur.

Lola jest zachwycona.

- Może mogłabym go zaprosić któregoś dnia na kolację, ty też byś wpadła, Alice. Jestem pewna, że byłby zadowolony, bo chyba mu się spodobałaś.

- Mogłabyś też zaprosić Chloe.

- Nie bądź głupi, Charles. Po co mi ona? To tylko jego dziewczyna, jedna z wielu, jak sądzę.

- Tak, oczywiście. - Charles uśmiecha się. - A tak poza tym, to jest odrobinę zbyt atrakcyjna na idealnego gościa, nieprawdaż?

Lola jest rozdrażniona, ale Charles parska śmiechem i pyta, czy już zakończyła swoje spotkania i powitania i czy możemy się zabrać do jedzenia, bo umiera z głodu.

Z koszyka wyłaniają się najróżniejsze smakołyki. Homar, małe słoiczki z krewetkami, truskawki, sałatka z kurczakiem i mnóstwo

fantastycznych serów. Jest również smakowicie wyglądający pasztet z dziczyzny i rozmaite sałatki z sosami w małych buteleczkach.

- Boże, Lolu, jest cudownie. Dziękuję, że nas zaprosiłaś i wszystko zorganizowałaś. To prawdziwa uczta.

- Cała przyjemność po mojej stronie, skarbie. Jednak nadal uważam, że powinnaś zabrać Harry'ego.

- Nie przepada za operą.

- Szkoda. Zawsze uważałam, że można wiele się dowiedzieć po tym, jak mężczyzna reaguje na operę. To bardzo odkrywczе.

Raczej nie mam ochoty dociekać, co przez to rozumie - chyba po prostu puszcze to mimo uszu. Jednak Lola nie daje za wygraną.

- Myślałam, że będzie miał ochotę zaliczyć eleganckie wyjście. To byłaby miła odmiana po codziennym towarzystwie doniczek z roślinami. Nieważne. A ty co powiesz, Dan? To twój pierwszy raz, zgadza się? A wiesz, co mówią, jak to jest z tymi pierwszymi razami.

Chryste. Dan robi się czerwony. Naprawdę, zachowuje się jak królik, którego oślepiły reflektory samochodu.

- Szkoda, że Molly nie mogła przyjechać. Brawo, Dan.

- Trzeba będzie pomyśleć, jak jej to wynagrodzić, co Dan? Jak chcesz, popilnuję Lily, o ile nie przeszkadza ci, że Alfie przez cały wieczór będzie zaprowadzał u kurczaków własne porządki.

- Próbowałem ją przekonać, żeby trochę zwolniła tempo, ale nie chce słuchać.

- A może załatwisz jej jakiś masaż albo coś w tym rodzaju ? Lola uwielbiała tego typu sprawy, kiedy była w ciąży, prawda skarbie? A ja zawsze uważałem, że ciąża to musi być cholerna harówka.

Lola piorunuje Charlesa wzrokiem.

- Uwielbiam te rzeczy. Zarezerwuj coś i dla mnie, Dan, jeśli coś znajdziesz w pobliżu. Chodzi mi o całe ciało i wszystkie dodatki.

Dan znowu czerwienieje. Boże, Lola przechodzi dziś samą siebie.

- Alice, masz ochotę na truskawki? Zdaje się, że Charles próbuje zmienić temat.

- Tak, proszę, wyglądają cudownie.

- Wkrótce będziemy mieli własne, z ogrodu. Nie mogę się doczekać. Byłem tam dziś rano i wszystko idzie po prostu wspaniale. To zdumiewające, jak szybko rośliny rosną. Wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Wiem. To niesamowite, prawda? Masz maleńkie sadzonki, które ledwo trzymają pion, a chwilę później to już porządna rośliny. Nie przypuszczałam, że to może być tak ekscytujące.

- Znam bardziej ekscytujące rzeczy. - Lola chichocze.

- Jestem tego pewny, kochanie, ale w przypadku ogrodu przynajmniej nie potrzeba widowni.

Lola go ignoruje, ale jest najwyraźniej wytrącona z równowagi.

- O, patrzcie, jest Melvyn. Muszę się z nim przywitać.

Wszyscy jemy o wiele za dużo, ale dzięki szampanowi trochę łatwiej nam przetrwać drugą część. Tym razem Charles naprawdę zasypia i trzeba go szturchnąć łokciem, żeby się obudził, bo zaczyna chrapać.

Oklaski na koniec nie są może powalające, ale myślę, że obsada także odczuwa ulgę, że już po wszystkim.

A kiedy w końcu Lola pożegnała się już z całymi setkami ludzi i docieramy na parking, nie możemy znaleźć samochodu. Zdaje się, że nie tylko my mamy ten problem; ludzie spacerują w tę i z powrotem, wciskając piloty, żeby zobaczyć, które bmw zamruga światłami. Wreszcie odnajdujemy samochód po przeciwnej stronie niż miejsce, w którym rozpoczęliśmy nasze poszukiwania, a potem mijają całe wieki, zanim udaje nam się stamtąd wydostać, bo zrobił się ogromny korek.

Droga do domu upływa nam miło i spokojnie, głównie dlatego, że Lola zasnęła. Charles najpierw podrzuca Dana, potem jedziemy do mnie.

- Dzięki, Charles, i podziękuj ode mnie Loli. Było cudownie.

- Nie, to ja dziękuję, naprawdę, było miło mieć z kim porozmawiać. Przykro mi tylko, że ta cała opera była tak okropna.

- Dobranoc. Słodkich snów.

Boże. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Zabrzmiało, jakbym z nim flirtowała, choć wcale nie miałam takiego zamiaru. Ale miał taki smutny głos i jest naprawdę świetnym facetem. Musiałam wypić więcej szampana, niż myślałam.

- Dobranoc, Alice.

Kiedy wchodzę do domu, mama mówi, że Alfie już mocno śpi. Poszedł spać dość wcześnie, co mu się przy mnie nigdy nie zdarza, ale taka to już jest pewnie dola rodzica. Pijemy herbatę i opowiadam jej, jak minął wieczór. Mama mówi, że brzmi super, choć według niej Lola sprawia wrażenie wielkiej damy.

Mama zrobiła prasowane. Świetnie. Prasowała przy jednej z moich płyt z Frankiem Sinatrą, a kiedy już wychodzi, Frank zaczyna nam radzić, żeby niczym się nie przejmować. Gdyby w Glyndebourne poszli z muzyką trochę w stronę wielkich orkiestr, zapewne mieliby co wieczór komplet widzów. Ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby stary Frank mógł się odnaleźć wśród tych dekoracji. Pomijając oczywiście fakt, że już nie żyje. Ale kiedy jeszcze porywał publikę w Vegas, chyba nie wchodził na scenę na czworakach i śpiewał *did it my way*, balansując na sześcianie. A nawet jeśli tak było, to przynajmniej publiczność mogła przyłączyć się do śpiewu. Zdaje się, że wlałam w siebie za dużo szampana.

## DZIENNIK OGRODOWY

Pokryj nową darnią łyse placki na trawnikach. Jeśli coś wysiewasz, dopilnuj, żeby ziemia była porządnie podlana. Porozdzielaj irysy i posadź rośliny bulwiaste. Przystrzyż żywopłoty.

*Próbuję pozbyć się mchu i chwastów z trawnika od frontu, ale trochę mnie ponosi i kończy się na ogromnych, łysych plackach. Rozrzucam pudło nasion cudownej trawy, która ma w ciągu dwóch tygodni urosnąć do pasa, tworząc szmaragdowe morze, ale zlatują się wszystkie cholerne ptaszyska, żyjące w promieniu jakichś dziesięciu kilometrów, i wydziobują nasiona. Robimy z Alfiem stracha, wykorzystując do tego celu jego starą piżamę, ale te wstrętne ptaszyska są tym wręcz zachwycone. Robią ze stracha maskotkę swojej drużyny dziobaczy i przysiadają na nim, żeby odpocząć pomiędzy posiłkami: Ostatecznie kupuję czarną siatkę, którą zabezpieczam cały ogród. Zabieg ten działa i nadąsane ptaszyska siedzą na ogrodzeniu. Teraz muszę tylko pamiętać o podlewaniu i któregoś dnia może będziemy mieli nowy trawnik.*

*Postanawiamy z Molly, że wyprawimy Alfiemu i Lily wspólne czwarte urodziny. Jeśli pogoda się utrzyma, będzie można urządzić przyjęcie w ich ogródku za domem, bo jest większy od mojego, a Dan wypożyczy*

*minizamek do skakania. Zapraszamy dziesięcioro dzieciaków z przedszkola, przyjdą także Ezra i Mabel, więc będziemy mieli do okiełznania czternaścioro maluchów.*

*Alfie bez końca przegląda katalogi z zabawkami i na razie lista rzeczy, które wpadły mu w oko, zamyka się jeszcze w niecałych siedmiuset funtach. Jim zamierza kupić mu łuk i strzały z gumowymi przyssawkami, które przyklejają się do ścian i mebli, jak również ludzkich głów.*

*Naprawdę cieszę się, kiedy dzwoni Stella. Miejmy nadzieję, że uda mi się ją przekonać, żeby nakłoniła Jima do kupna czegoś mniej upierdliwego.*

- To o której mamy się zjawić?

- Około wpół do pierwszej, ale jeśli się spóźnicie, nie będzie żadnego problemu, bo na lunch będą tylko sałatki i takie tam. Jim naprawdę kupuje mu łuk ze strzałami?

- Przykro mi. Naprawdę próbowałam. Jeśli mam być szczerą, to chwilowo w zasadzie z nim nie rozmawiam. On nadal miewa te odjazdy, kiedy jest zupełnie nieprzystępny. Twój brat potrafi być prawdziwym dupkiem. Nie wiem, dlaczego to znoszę. Nie, tak naprawdę, to wiem.

O Boże. Mam nadzieję, że nie zacznie mi opowiadać, jakim wspaniałym jest kochankiem.

- Czasami potrafi być taki uroczy.

- A niech mnie. Naprawdę? Nie zauważyłam.



- Tak. A potem robi się chłodny i zdystansowany. Zupełnie jakby przeczytał jakąś książkę, która radzi, że jeśli okazałeś ciepło i uczucie, musisz to zrównoważyć, zachowując się jak zła-mas. Tak więc jeśli mamy naprawdę udany weekend, on zaczyna się dziwnie zachowywać, wraca do siebie i mówi, że jest zajęty. To mnie naprawdę wkurza.

- Wygląda na to, że całe mnóstwo facetów czytało tę książkę. Ciekawe, czy dają im ją w skautach. Czuj czuj, czuwaj! Zawsze trzymaj dziewczynę na dystans.

Stella się śmieje.

- Pewnie nazywają dziewczyny damami. Uduszę go chustą, jeśli jeszcze ją gdzieś ma, bo to naprawdę doprowadza mnie do szału. A on w ogóle był skautem?

- Nie. Mama powiedziała, że nie musi się uczyć, jak rozpalać ogień, bo i bez tego sprawia dość problemów.

- Harry też tak robi?

- Raczej nie. Ale my popadliśmy już chyba w lekką rutynę. Widuję go raz na tydzień, i to wszystko. Ale rzecz w tym, że tak jak jest, całkiem mi odpowiada. Myślisz, że to okropne?

- Co?

- Że nie chcę pójść naprzód, spędzać razem weekendów, takie tam.

- Myślę, że jeśli oboje jesteście zadowoleni z tego, jak jest, to wszystko w porządku.

- Tak, chyba tak, myślę, że jesteśmy. W każdym razie ja jestem. O, a tak przy okazji, wiesz, że mama urządzi ci przesłuchanie podczas lunchu,

prawda? Dobrze by było, gdybyś zabrała ze sobą paszport i CV, bo ona lubi wiedzieć tak dużo, ile tylko się da. Świadectwa szkolne, zaświadczenie lekarskie. Tego typu rzeczy.

- Jim już mnie ostrzegł. Mam nadzieję, że mnie polubi.

- Tylko żartowałam. Będzie dobrze. A ja już jej mówiłam, że jesteś bardzo miła.

- Dzięki, Alice.

- Nie ma sprawy.

- Alice...

- Tak?

- Tak naprawdę, to wcale nie myślę, że Jim jest dupkiem.

- Wiem.

Patrie i Cindy pojawiają się na urodzinach Alfiego koło jedenastej, obładowani elegancko zapakowanymi prezentami, ze wstążkami i lśniącymi kokardami. Cindy upiekła nawet niewielki tort, co jest bardzo miłe z jej strony, choć nie mogę oprzeć się wrażeniu, że bardziej chodziło jej o zaimponowanie Patricowi niż Alfiemu. Tak czy inaczej podjęła jakiś wysiłek, czego nie można powiedzieć o Patricu, który najwyraźniej nie ma najmniejszego pojęcia, co przywieźli Alfiemu w prezencie, bo to Cindy spędziła długie godziny na zwiedzaniu sklepów. Jednak bardzo mu się podoba wyrzutnia raketowa i zabiera Alfiego do ogrodu, żeby mu pokazać, jak „właściwie” z tego korzystać.

Cindy wygląda dziś wyjątkowo różowo, trochę jak Barbie, ale brak jej tego blasku, jak też i Kena. Jednak usiłuję być miła, bo widzę, że

bardzo się stara. Proponuję jej filiżankę herbaty, ale mówi, że obecnie pija tylko wodę z plasterkiem cytryny, jeśli mam, bo to robi jej bardzo dobrze na skórę.

- Wiesz, powinnaś tego spróbować, Alice. Teraz przeprowadzam taką detoksykację co parę tygodni. Fantastyczna sprawa. A poza tym pomaga utrzymać wagę.

- Świetnie.

Jezu. Zaraz zaczniesz mnie pouczać, jak mam nakładać szminkę.

- A więc w przyszłym tygodniu wyjeżdżacie do Włoch? Patrie mi mówił. Super.

- Tak. Naprawdę nie mogę się już doczekać. Ciągle mu powtarzam, że musimy się gdzieś wyrwać. On tak ciężko pracuje, biedaczek. Ale nie pozwala mi nic zarezerwować, zawsze mówi, że jest zbyt zajęty.

Mogłabym jej powiedzieć, że Patrie nie pozwala jej niczego zarezerwować, bo nienawidzi tracić pieniędzy na wakacje, i że nawet jeśli uda się jej gdzieś go wyciągnąć, to i tak przez cały czas będzie maniakalnie rozmyślał o pracy, ale nie robię tego. Zamierzam być miła.

- Po prostu coś zarezerwuj, taka jest moja rada. Zrobiłam tak jednego roku i Patrie chodził nabzdyczony przez

całe dwa tygodnie, ale nigdy nic nie wiadomo. Może się zmienić?

- Myślałam o jakimś uroczym, gorącym miejscu. Uwielbiam słońce, a ty?

- Też.

Zastanawiam się, czy powinnam jej powiedzieć o jego uczuleniu na słońce. W Grecji było tak źle, że musieliśmy pójść do lekarza i kupić specjalną maść.

- U fryzjera czytałam o nowym, cudownym hotelu na Majorce, pięć gwiazdek i tak dalej, a apartamenty mają własne baseny. Koniecznie musimy wziąć apartament, bo jak już gdzieś jechać, to z pełną pompą, prawda?

Myślę, że raczej nie wspomnę jej o jego przypadłości; spodziewam się, że będzie mu współczuła o wiele bardziej niż ja, a poza tym pięciogwiazdkowy hotel ma zapewne własną klinikę.

Odjeżdżają tuż przed przyjazdem rodziców, co jest chyba dobrym pomysłem, a potem zjawiają się Jim i Stella z łukiem i strzałami, więc Alfie znowu siedzi w ogrodzie, nabierając wprawy w strzelaniu, a ja przygotowuję lunch.

Lunch idzie całkiem nieźle, choć Alfie jest tak podekscytowany swoim przyjęciem, że ledwie może usiedzieć przy jedzeniu, zaś mama skupia całą uwagę na Stelli, a Jim jest zdenerwowany. Kazał mi obiecać, że odwiodę ją od snucia jej ulubionych opowieści z czasów naszego dzieciństwa, a zwłaszcza tej o pięcioletnim Jimie, który - jak to ona mówi - przyciął sobie siusiaka w suwaku od spodenek.

Robię, co mogę, ale mama nadal pamięta, jak Jim tańczył na trawniku zupełnie nagi, pomijając indiański pióropusz, kiedy przyszła konsultantka Avonu. Zanim się zagalopuje, wyznaję, że zawsze chciałam mieć turkusową, zapinaną na zamek torbę jak tamta

konsultantka, pełną szminek i balsamów, i rozmowa koncentruje się na torebkach.

Rodzice kupili Alfiemu na urodziny jego pierwszy rower z bocznymi kółkami, które przymocował tata, i dzwonkiem jak z Dennisa Rozrabiaki. Alfie jest zachwycony i wszyscy po kolei biegamy z nim w tę i z powrotem po drodze, a on pedałuje jak szalony i dzwoni nowym dzwonkiem. Potem tata ulatnia się pograć w golfa, a my pakujemy do mojego samochodu jedzenie na przyjęcie.

Mam chipsy i kiełbaski na patykach. Upiekłam też trochę babeczek; wyszły za płaskie, ale nie sądzę, żeby komukolwiek to przeszkadzało. Chciałam im dodać trochę oryginalności i skusiłam się na różowy lukier, ale wyszedł mi dość paskudny odcień fioletu. Posypałam go mnóstwem małych, srebrnych kuleczek, ale niewiele pomogły.

Mama wyprodukowała całą górę minipasztecików, porobiła też koreczki z serem i ananasem, bo, jak mówi, przepadaliśmy za nimi, kiedy byliśmy mali. Właściwie to pamiętam, że nie cierpiałam ananasa, ale mam nadzieję, że Alfie będzie uważał inaczej, bo istnieje spore ryzyko, że porzuci ananasa na dywanie Molly, kiedy będzie myślał, że nikt nie patrzy.

Kiedy docieramy do Molly i wypakowujemy jedzenie, zaczynają się pojawiać zaproszone dzieci. Jest i Doreen, która pilnuje, żeby prezenty pozostały nierozpakowane i leżały na oddzielnych kupkach. Reszta nas nakrywa do stołu i stara się wykombinować, co zrobić z galaretką, która jeszcze się nie ścięła.

Molly mówi, że Dan jest nabzdyczony, bo się pokłócili: zapomniała kupić świeczki, więc musiał sam to załatwić. Nie było go całe wieki, ponieważ postanowił pojechać do supermarketu po jakieś specjalne, a ona i Doreen musiały radzić sobie same przez niemal dwie godziny. Właściwie nadal się do siebie nie odzywają i Doreen jest zachwycona, co po prostu po niej widać.

Dan wychodzi na dwór z Jimem, żeby powstrzymać dzieciaki przed skakaniem z zamku do ogrodu sąsiadów, Ezra wypuszcza kurczaki, a potem zjawiają się Frank, Bill i Elsie z małymi prezencikami, co jest naprawdę urocze z ich strony. Zostają na herbatę i ciasto; są bardzo uprzejmi i nie pytają mnie, dlaczego, u licha, zdecydowałam się na lukier w tak odrażającym kolorze. Wreszcie zaczyna padać i wszystkie dzieciaki z krzykiem pędzą do domu.

Usadzamy je rzędem do zabawy w muzyczną paczkę i okazuje się, że Stella ma prawdziwy talent do włączania i wyłączania odtwarzacza CD w odpowiednim momencie, by każde dziecko miało okazję zedrzeć warstwę opakowania. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Molly włożyła pod każdą warstwę mały gwizdek, więc Doreen idzie na górę ze swoim sławetnym bólem głowy.

Dan wchodzi do kuchni i pyta, czy ma jej zrobić filizankę herbaty, czy też Molly woli to zrobić sama, bo on z pewnością zrobi coś nie tak lub będzie się grzebał.

- Przestań, Dan, po prostu zrób starej herbatę.
- Mówisz o mojej matce.
- Wiem.

- Usłyszycie.

- Nie usłyszysz, nie w tym hałasie.

Usiłuję ułożyć czipsy na płaskim talerzu i staram się nie zwracać na siebie uwagi. Dan sięga nad moją głowę do kredensu i podaje mi miskę.

- Masz.

- Dzięki, Dan. Ciasta Molly wyglądają świetnie, co?

- Taaak.

- Możesz to wziąć ode mnie i zanieść na stół, a ja wstawię wodę na herbatę dla twojej mamy.

Molly podaje mu talerz z małymi kanapeczkami, z których zostały odcięte skórki, chociaż dzieci nie zwrócą na to uwagi.

- Myślę, że powinienem sobie z tym poradzić. Zajęcie w sam raz dla mnie.

Wychodząc, lekko się uśmiecha i myślę, że nabzdyczenie już mu przechodzi.

- Powinnam jej coś dodać do herbaty?

- Co? Wilczą jagodę lub coś podobnego?

- Nie mam niczego pod ręką.

Urodzinowy podwieczorek to wielki sukces, choć Sydney zjada cały talerz pasztecików z kiełbaską, a potem mówi, że mama kazała jej przypomnieć, że jest wegetarianką. Jubilaci dostają wypieków na twarzy, kiedy przychodzi pora, żeby odśpiewać im Sto lat, a potem bawimy się w muzyczne krzesła i stary niedźwiedź mocno śpi, aż goście zaczynają zbierać się do domu i Molly rozdaje torby z

upominkami. Kiedy zostają już tylko Ezra i Mabel, uświadamiamy sobie, że zupełnie zapomnieliśmy o galaretkę, więc teraz mamy jej całe mnóstwo.

Dom jest pogrążony w chaosie, ale Molly mówi, że ma to gdzieś i marzy tylko o filiżance herbaty i chwili odpoczynku. Zjawia się Lola i opowiada, jak utknęła w korku za kombajnem. Siedzimy wszyscy razem i kończy się na rozmowie o porodach, co sprawia, że Jim i Dan idą do ogrodu i zaczynają spuszczać powietrze z zamku.

- Jedno jest pewne, wcale mi się do tego nie spieszy. Nagle zauważam, że Molly wygląda na zmęczoną. Mam nadzieję, że nie przeceniła swoich sił.

- Nie dziwię ci się, z Ezrą była prawdziwa mordęga. A Mabel nie była o wiele lepsza.

- Och, ale z drugim dzieckiem zawsze idzie szybciej, prawda? Moja siostra mówi, że w porównaniu z pierwszym to łatwizna. Będzie dobrze, jestem pewna.

Dobra, pocziwa Stella. Przynajmniej stara się dodać Molly otuchy. Lola rzuca jej rozdrażnione spojrzenie, ale Stella albo jest tego nieświadoma, albo większa z niej twardzielka, niż mi się wydawało.

- Zdaje się, że dużo wiesz o dzieciach.

- Moja siostra ma troje, a na zajęciach z jogi pełno jest kobiet w ciąży. Właściwie to chyba trafiłam do nieodpowiedniej grupy, ale strasznie mi się podoba, bo czuję się przy nich tak szczupło.

- Tak, przerabiałam te bzdury. Siedziałam całymi godzinami w białym trykocie, wyobrażając sobie, że moja szyjka macicy otwiera się jak



pączek. Ale to wszystko bzdury. Kiedy przyszło co do czego, dostałam wszystkie możliwe środki uśmierzające, a potem nie mogli go wyciągnąć i musieli użyć tej przyssawy, którą zakładają dzieciom na czaszkę i przez długi czas miał spiczastą głowę. Z Mabel było tak samo. Boże. A co do karmienia piersią, Jezu, nikt mnie nie ostrzegł, jaka to nuda. Miałam dość po dwóch miesiącach. Uważam, że to wystarczająco długo. Układałam Mabel na poduszce z butelką i wkrótce załapała, o co chodzi. To oszczędza mnóstwo czasu.

Jestem pewna, że Molly tego nie pochwała, ja właściwie też nie, ale jestem też pewna, że Lola to wszystko wyolbrzymia.

Stella stwierdza, że zabiera się do sprzątnięcia i wręcza Loli duży, czarny worek na śmieci, lecz Lola zwyczajnie odkłada go na podłogę i mówi, że musi zabrać dzieci do domu, bo zrobiło się już naprawdę późno. Wychodząc, Ezra i Mabel okładają się nawzajem swoimi torbami z upominkami.

- Co za okropna kobieta. Przepraszam, to znaczy wiem, że to wasza znajoma, ale kiedyś pracowałam dla jednej takiej jej pokroju: udawane uśmiechy na prawo i lewo i pragnienie, żeby cały czas być w centrum uwagi. Co za zdzira.

- Och, Lola jest całkiem w porządku. - Molly się uśmiecha. - Wcale nie miała na myśli nawet połowy tego, co powiedziała.

Kiedy wychodzimy, Doreen nadal się dąsa i nikt nie wie, o co jej tak właściwie chodzi. Kiedy docieramy do domu, mama jest kompletnie wykończona. Jim i Stella wracają do miasta na kolejne przyjęcie, ale zapewne na takie bez galaretki.

- To co, za tydzień o tej porze będziecie już we Włoszech?
- Wiem. Nie mogę się doczekać. Jeśli nadal jesteś pewny, że odwieziesz nas na lotnisko, powinniśmy dogadać się co do godziny i tak dalej, bo musimy być tam naprawdę wcześniej.
- Już mi to mówiłaś. Przestań panikować. Mogę przyjechać do ciebie dzień przed i znowu pobawić się łukiem i strzałami.  
Patrzemy, jak odjeżdżają, i Alfie posyła za samochodem kilka strzał, które muszę potem zbierać z drogi. Następnie robię mamie filiżankę herbaty, a Alfie pada przed telewizorem, kompletnie wykończony.
- Dziękuję, skarbie, tego mi było trzeba. Miał cudowne urodziny, prawda? Mój skarbek.
- Tak, było cudownie. Dziękuję, mamó, naprawdę, za jedzenie i wszystko.
- Podoba mu się rowerek, prawda?
- Jest zachwycony.
- Czas tak szybko płynie. Myślałam dziś po południu o tym, że pamiętam was oboje w jego wieku, zupełnie jakby to było wczoraj. A teraz, tylko spójrz na siebie.
- Co, dalej jestem zapaćkana galaretką?
- Ta Stella wydaje się miła. Mógł trafić o wiele gorzej.
- Tak, ale nie mów mu nic na ten temat. Wiesz, jak on reaguje.
- Zawsze był taki. Skryty, jak twój ojciec. A właśnie, gdzie on się znowu podział? Powinien tu być już pół godziny temu. Pewnie ciągle siedzi w barze w tym głupim klubie golfowym.

Widzę, że zaczyna się martwić. Tata zjawia się pięć minut później i mówi, że ktoś złapał gumę, więc zatrzymał się, żeby pomóc. Cały on. Wychodzą, sprzecząc się, co zjeść na kolację.

- Mam wędzone śledzie, które już dłużej nie mogą leżeć.

- Nie przepadam za śledziami, wiesz przecież.

- Mogłeś powiedzieć.

- Mówiłem. Powtarzam ci to przez ostatnich trzydzieści lat. Nie lubię śledzi.

- Cóż, pierwsze słyszę. Może zrobię je z jajecznicą?

O świcie zjawia się Jim, żeby zabrać nas na Gatwick. Spogląda na mój kostium i mówi:

- Personel pokładowy, serdecznie witamy.

- Starasz się mi powiedzieć, że wyglądam jak stewardesa?

- Nie.

- To dobrze, bo nie jestem w nastroju. Pół nocy spędziłam na pakowaniu, a potem nie mogłam spać.

- Jakieś to takie niebieskawe, nie?

- Owszem, bo to granatowy kostium. Założyłam go tylko na podróż. Czytałam gdzieś, że trzeba się odstroić, gdy się gdzieś leci, żeby wpuścili cię do klasy biznes, jeśli w twojej klasie będzie komplet.

- Pomysłowe, ale jest jeden drobny problem.

- Jaki?

- Alfie. Nie wydaje mi się, żeby wpuścili cię do biznesowej z Alfiem. Chłopcom w garniturach by się to nie spodobało.

- Racja, ale przynajmniej może nas nie posadzą tuż przy toalecie.

Właściwie to mogę się założyć, że tak właśnie będzie. To zdumiewające, jak wielu ludziom wydaje się, że traktowanie dzieci jak odpady toksyczne jest w porządku. Przeważnie dokładnie ci sami ludzie uważają, że ich ukochane zwierzaczki mogą bezkarnie obsrywać twój ogródek. Oczywiście zachowanie niektórych dzieci jest tak oburzające, że chciałoby się uśmiercić ich rodziców, ale Alfie przez większość czasu jest całkiem grzeczny. No, pomijając zawodzenie, kiedy zdarzy mu się rozchlapać sok. Właściwie po chwili zastanowienia dochodzę do wniosku, że tył samolotu będzie w sam raz.

Kiedy w końcu siedzimy w samolocie, Alfie jest tak podekscytowany, że podskakuje na swoim fotelu jak piłeczka. To jego pierwszy lot i z jednej strony nie mogę się już doczekać, ale z drugiej trochę się boję. Steward o prawie pomarańczowej opa-leniźnie i super białych zębach demonstruje działanie kamizelki ratunkowej i właśnie doszedł do momentu o dmuchaniu w gwizdek, w celu przyciągnięcia uwagi. Na szczęście Alfie wygląda przez okno, bo inaczej na pewno próbowałby odnaleźć swoją kamizelkę.

Mogliby sobie darować ten kawałek z gwizdkiem. Gdybyśmy skończyli w morzu, to mam nadzieję, że wiedzieliby o tym w kontroli ruchu lotniczego, i to nie ja byłabym odpowiedzialna za dmuchanie w gwizdek, żeby zwrócić na nas uwagę.

Choć pewnie jest to jakieś zajęcie, kiedy człowiek huśta się na falach. Jeśli mam być szczerą, powinni w ogóle odpuścić sobie pogadankę na temat kamizelek ratunkowych, bo to człowieka tylko denerwuje, a ja i

tak jestem podenerwowana, głównie z powodu porywaczy. Jim twierdzi, że nikt przy zdrowych zmysłach nie uprowadziłby samolotu lecącego na Sycylię. Zauważyłam, że do samolotu wsiadło sporo facetów w garniturach i ciemnych okularach, którzy mogliby być mafijnymi bossami. A może to zwykli biznesmeni, którym podoba się styl Marlona Brando?

Nie mogę odpędzić od siebie wizji, że muszę wydostać Alfie-go z samolotu i ewakuować się tą żółtą, plastikową zjeżdżalnią. Alfie pewnie byłby zachwycony. Właściwie dobrze, że nie siedzimy w pobliżu drzwi, bo jeszcze mógłby zechcieć ją wypróbować, i to kiedy jesteśmy na wysokości piętnastu kilometrów.

Na Sycylii musimy zmienić lotnisko, co wiąże się z wielką wyprawą przez wyspę taksówką do Trapani, gdzie musimy złapać samolot do Pantallerii. Pantalleria to maleńka wysepka, na której Em i Luka mają swój hotel. Przy lądowaniu mam wrażenie, jakbyśmy schodzili prosto do morza, ale w ostatniej chwili dostrzegam jakiś asfalt. Kiedy wychodzimy z samolotu, widzimy machającą do nas Em.

Em biegnie do nas przez maciupkie lotnisko i podnosi Alfie-go do góry, żeby go uściskać. Nikt do niej nie strzela ani nie każe się cofać za żadną barierkę. Em mówi, że możemy na razie zostawić bagaże, a później ktoś po nie przyjedzie. Jest zupełnie inaczej niż na Gatwick, gdzie w przypadku pozostawienia bagażu samego na dłużej niż dziesięć sekund, zapewne rozerwaliby twoją walizkę na strzępy albo odlały się na nią pies policyjny.

Panuje okropny upał, a wyspa, choć wydaje się jałowa i kamienista, jest bardzo piękna. Do Tunezji jest rzut beretem i mam wrażenie, jakbym była raczej w Afryce, a nie we Włoszech, choć oczywiście nigdy nie byłam w Afryce. Kiedy jedziemy do hotelu starym, zajeżdżonym fiatem Em, wszystko wygląda bardzo mauretańsko. Domy, które, jak mówi Em, są nazywane dammusi, mają białe kopuły i ściany z czarnego bazaltu grube na jakiś metr, więc w środku jest chłodno. Są bajeczne. Właściwie cała wyspa jest bajeczna, jakaś taka magiczna i dzika, a czarne skały wyglądają, jakby ktoś je cisnął do morza.

Nic dziwnego, że Armani ma tu jedną ze swoich willi. Em opowiedziała mi o prywatnych odrzutowcach lądujących każdego lata na wyspie. Miejscowi rybacy zbijają fortuny, wynajmując swoje domy na lato, i najwyraźniej nie da się przejść przez centrum miasta i nie wpaść na jakąś gwiazdę filmową, owiniętą kremowym płótnem. To musi być koszmar: nie możesz włożyć się w workowatych, starych szortach i japonkach, chyba że chcesz się czuć jak ostatnia ofiara na porannym espresso z Armanim, kiedy jego goście przechadzają się w szpilkach.

Ledwie docieramy do hotelu, wytacza się matka Em i mówi, że bardzo się cieszy z naszego przyjazdu, bo może ja będę w stanie przemówić Em do rozsądku i wyjaśnić, że lepiej zorganizować porządny bufet z zamówionym jedzeniem, niż żeby gotowała matka Luki. Luka jest cudowny i wyraźnie widać, że ma świra na punkcie Em. Pojawia się jego brat, Marco, który również bardzo się cieszy z mojego przyjazdu, bo dwie matki do spółki doprowadzają ich wszystkich do obłądu.

Hotel jest zachwycający. To kompleks składający się z dam-musi, a wszystkie są w środku pięknie urządzone z cudownymi łózkami i dywanami; największy budynek jest głównym obiektem hotelowym z tarasem wychodzącym na morze. Wszędzie rosną ozdobne, tropikalne pnącza, winorośle i drzewa cytrynowe, sosny i coś, co wygląda na dzikie krzewy rozmarynu. Jest i szałwia. To jak sesja aromaterapii na świeżym powietrzu.

Jest nawet mały basen. Em mówi, że zdecydowałiby się na większy, ale brakuje wody i jeśli zabraknie, trzeba sprowadzać ją w cysternie promem z Sycylii, co kosztuje fortunę, i w ogóle to jedna wielka tragedia, bo cysterna ledwie się mieści na drodze dojazdowej do hotelu. Tak więc stawiają na recykling i filtrowanie, a zimą gromadzą wodę w ogromnych, kamiennych studniach w ogrodzie.

Em pokazuje mi od razu wielkie głazy na pokrywach i mówi, że trzeba dwóch osób, żeby je odsunąć, więc nie ma powodu do obaw, co dowodzi tego, jak dobrze mnie zna, bo inaczej obsesyjnie bym się zamartwiała, że Alfie utopi się w którejś studni. Jest to dokładnie jedna z tych rzeczy, które sprawiają, że siedziałabym w środku nocy sztywna jak kij od szczotki, czytając na temat reanimacji w książce o pierwszej pomocy, którą tuż przed wyjazdem mama zapakowała mi do torby.

Nasz mały domek ma taras z widokiem na morze i zasadniczo składa się z olbrzymiej sypialni i łazienki, a oba te pomieszczenia są przepiękne. Zawsze wiedziałam, że Em ma świetny gust, ale to wszystko jest naprawdę oszałamiające. Em pomaga mi się rozpakować

i przygotować do kolacji, która będzie wielkim rodzinnym spędem w miejscowej restauracji.

Mama Em jest już nadąsana, bo niezbyt dobrze radzi sobie z dużą liczbą Włochów. Właściwie to nie przepada za wszelkimi dużymi zgrupowaniami. Zwykle jada kolację przed siódmą i najpóźniej o dziesiątej jest w łóżku. Dzisiejsza kolacja rozpocznie się w najlepszym przypadku o dziewiątej i zgodnie ze słowami Em, zapewne będzie się ciągnąć całymi godzinami.

- W hotelu jest już tłoczno, bo mamy rodzinę Luky, no i mamę, a do tego goście, którzy rozlokowali się po całej wyspie, więc pomyślałam, że najlepiej będzie pójść do restauracji, ale mama uważa, że powinniśmy zjeść spokojną kolację tylko z nią. Do tego ciągle jeszcze nie rozwiązałam problemu z kwiatami i...

Zaczyna płakać. Po chwili gwałtownego szlochu mówi, że to dla niej za dużo, choć Luka powtarza, że ją kocha i nic więcej nie ma znaczenia. I właściwie naprawdę nie ma, ale ona chce, żeby było idealnie. Mija prawie dziesięć minut, zanim udaje mi się ją wreszcie uspokoić; kończy się na tym, że obiecuję jej we wszystkim pomóc, żeby było tak, jak ona tego chce, a nawet zepchnę jej matkę z tarasu do morza, jeśli zajdzie taka konieczność. To ją trochę rozwesela i mówi, że lepiej pójdzie się przygotować.

Kolacja jest fantastyczna, choć kompletnie gubię się, kto jest kim - zdaje się, że wszyscy są spokrewnieni z Luką na różne skomplikowane sposoby, nawet ludzie, którzy prowadzą restaurację. Marco stara się na bieżąco wyjaśniać mi, kim są poszczególne osoby, ale po paru



kieliszkach wina przestaje mieć to dla mnie znaczenie. Panuje bardzo odprężająca atmosfera, wokół kręci się mnóstwo dzieci i Alfie zaprzyjaźnia się z małym chłopcem o imieniu Giovanni i jego siostrą Gabriella zdaje się, że to dzieci którejs z sióstr Luki, ale nie jestem pewna.

Wygląda na to, że wszyscy mają tu świra na punkcie dzieci. Zauważyłam to już wcześniej na lotnisku, gdzie nawet policjant z przewieszonym przez ramię karabinem maszynowym podszedł, żeby przywitać się z Em i narobił dużo zamieszania wokół Al-fiego. Gdyby w restauracji wywieszono tabliczkę Dzieci mile widziane, byłaby to dla wszystkich niezła zagadka.

Na kolacji jest nawet niemowlę, ale mija dużo czasu, zanim udaje mi się ustalić, kto jest matką dziewczynki, bo wszyscy strasznie się nad nią trzęsą. Chyba doskonale wiedzą, że niełatwo jest zabawić malucha przez wiele godzin i nikt nie oczekuje, że przez cały wieczór będzie się tym zajmowała tylko jedna osoba. Mała przechodzi z rąk do rąk, podają ją sobie po kolei wszyscy siedzący za stołem; to trochę jak zabawa w muzyczną paczkę, tylko bez muzyki.

Kiedy przychodzi kolej na bardzo elegancko ubranego mężczyznę, ten wstaje i nosi ją na rękach, podrzucając i kołysząc, a także śpiewa jej w niezwykle komiczny sposób, czym mała jest oczarowana. Nikt więcej nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Potem siada z powrotem za stołem, podaje małą sąsiadowi, poprawia przewieszony na ramionach sweter i kontynuuje flirt z kobietą siedzącą naprzeciwko.

Uwielbiam Włochów. Chyba chciałabym odrodzić się w kolejnym wcieleniu jako Włoszka; zapomnijmy o motylach czy czymkolwiek innym, do czego według wierzeń buddystów można aspirować po spędzeniu całych lat w pomarańczowej szacie, uważając, żeby niczego nie rozdeptać. Byłabym usatysfakcjonowana tylko wtedy, gdybym narodziła się na nowo jako Włoszka. A jedzenie też jest świetne.

Alfie zwykle dość stanowczo odmawia jedzenia czegokolwiek, jeśli tego nie rozpoznaje, ale podoba mu się zamieszanie, jaki robi wokół niego mama Luki, która przez większość kolacji nakłada mu na talerz różne rzeczy, kroi na małe kawałeczki, a potem wskazuje zachęcającym ruchem głowy i klaszcze z zachwytem, kiedy Alfie je zjada. W pewnej chwili nawet przytula się do niej na małe pieszczotki, co zostaje bardzo dobrze przyjęte.

Do hotelu wracamy dopiero tuż przed pierwszą w nocy, ale przynajmniej Alfie nie budzi się i nikogo nie kopie, kiedy Luka zanoszą go do naszego pokoju. Śpi prawie do wpół do dziesiątej, co jak na niego jest prawdziwym rekordem, i chciałabym łudzić się nadzieją, że podczas naszego pobytu tutaj nabierze takiego nawyku.

Mamy z Em załatany ranek, przygotowując wszystko do wesela. W mieście Em spotyka swoją ciężarną przyjaciółkę, która ma tak wielki brzuch, że zastanawiam się, jak ona jest jeszcze w stanie utrzymać się na nogach, nie wspominając już o zakupach. Em wyjaśnia, że jej przyjaciółka spodziewa się bliźniąt, co najwyraźniej jest charakterystyczne dla tej wyspy, i rzeczywiście, tego ranka spotykamy

trzy pary bliźniaków, w tym facetów, którzy prowadzą sklep mięsny, są identyczni i stoją za ladą jak statyści w filmie Felliniego.

Jeden z braci Luki ma córki bliźniaczki i Em trochę się niepokoi, czy i jej się coś takiego nie przytrafi.

- Ale z drugiej strony, to byłoby cudowne, prawda? Dwójka za jednym razem.

- O tak, uroczo.

Na wszelki wypadek nie zamierzam jej mówić, co naprawdę o tym myślę. Pamiętam, że będąc w ciąży z Alfiem, myślałam, że byłoby fajnie mieć bliźniaki. Myślałam tak przez jakieś pięć minut. Boże, musiałam być szalona.

Wracamy do hotelu na lunch i Marco proponuje, że zabierze nas łodzią na wycieczkę wokół wyspy.

- Możemy zabrać chleb, żeby karmić małe rybki. Byłoby świetnie, nie? No, nie całkiem. Nie jestem zachwycona na myśl o Alfiem w łódce, głównie dlatego że po prostu wiem, że wypadnie za burtę, zanim jeszcze wypłyniemy z portu. Ale on oczywiście uważa, że to wspaniały pomysł i jest już w połowie drogi do drzwi, kiedy Em szepcze mi do ucha, że Marco jest bardzo odpowiedzialny i spokojnie możemy płynąć, bo to jest naprawdę najlepszy sposób, żeby obejrzeć wyspę. Ostatecznie wszyscy razem jedziemy do portu i okazuje się, że będziemy pływali łodzią rybacką jego wujka, z którą Marco wydaje się świetnie obeznany.

Zatrzymujemy się w małej rybackiej wiosce i Marco mówi, że możemy popływać. Basen morskiej wody odgradza od otwartego morza niski

murek i Alfie jest zachwycony, kiedy Marco bez końca pokazuje mu jak nurkować z maską, którą rano kupiliśmy w mieście. Alfie za każdym razem, kiedy zobaczy rybę, tak się tym ekscytuje, że prawie połyka rurkę i Marco musi go wyciągać za szorty na powierzchnię, żeby złapał oddech.

Jest to naprawdę cudowny sposób na spędzenie popołudnia. Em powoli się odpręży i mówi, że chyba świat się nie zawali, jeśli dodatkowe lilie nie dotrą na czas. A jeszcze rano dostała z tego powodu hysterii i praktycznie musiałam na siłę karmić ją w kawiarni lodami, zanim się uspokoiła.

Kiedy wracamy, jest już krawcowa i Alfie mierzy swój garnitur, który jest z jasnoniebieskiego płótna. Wygląda w nim naprawdę słodko i żałuję, że mama nie może go zobaczyć. Nigdy nie miał prawdziwego garnituru i z jednej strony wygląda bardzo dorośle, a z drugiej na mniejszego, niż jest. Pasuje na niego doskonale: Em kupiła go w Mediolanie, razem z naszymi sukienkami, i Bóg raczy wiedzieć, ile to kosztowało, bo nie chce mi powiedzieć. Umowa była taka, że ja płacę za nasze bilety i diadem dla Em, który ze sobą przywieźliśmy. Diadem jest srebrny, wysadzany małymi, szklanymi paciorkami. Em chodzi w nim po hotelu od czasu naszego przyjazdu. Mówi, że to dla nabrania wprawy, ale ja myślę, że jej się to po prostu podoba.

Jej sukienka jest śliczna. Klasyczna suknia ślubna, ale bez przesadnych ozdóbek; kremowa biel jedwabiu, maleńkie szklane paciorki i lekki biało-kremowy hafcik na brzegach. Pasuje idealnie, ale krawcowa chce odrobinę poprawić haftki i najwyraźniej jest profesjonalistką, bo nie

każe Em stać na stole, tak jak ja musiałam, kiedy mama szyła mi letnie sukienki do szkoły.

Em ciągle mówi, że moja sukienka jest w kolorze oberżyny, i zaczynam się poważnie martwić, ale z torby wyłania się śliczna, jasnożółta sukienka z płótna z domieszką czegoś tam, tak że się nie pogniecie, zanim w ogóle ją na siebie włożę. Jest bardzo elegancka i w komplecie jest jeszcze mały zakieciak, wykończony takim samym haftem jak sukienka Em. Krawcowa poprawia brzeg, który jak dla mnie jest w porządku, ale ona upiera się, że będzie lepiej, gdy się trochę skróci, a kiedy już przypina zakład szpilkami, widać, że miała rację. Po wszystkim pakuje sukienki i mówi, że wróci jutro rano.

Po raz kolejny próbujemy wyjaśnić Alfiemu, w jaki sposób ma iść przez kościół za Em i rozrzucać płatki kwiatów. Stwierdza, że to głupie, ale postanawia spróbować, a Em mówi, że ma dla niego specjalny prezent, który dostanie jutro, jeśli uda mu się nie nastąpić na jej sukienkę. Ja również obiecuję mu prezent pod warunkiem, że sypnie płatkami parę razy, a nie zrzuci je wszystkie na jedną, wielką kupę tuż za drzwiami.

Następny poranek to istny chaos. Po wielu minidramatach, kiedy niewiele mi brakuje do napadu hysterii, nagle wszystko się wycisza i spędzamy błogie pół godziny, popijając szampana i wykańczając paznokcie Em, która nie może się zdecydować między odcieniem Nude Blush i Sugar Frost, które jak dla mnie są identyczne, ale przynajmniej musi siedzieć spokojnie, kiedy nakładam jej lakier.

Alfie ogląda na wideo Mary Poppins, którą załatwiła dla niego Em, i kończy się na tym, że wspólnie śpiewamy Feed the Birds, a do oczu napływają nam łzy. Nie dotyczy to oczywiście Alfiego, który uważa, że zachowujemy się jak idiotki.

Naturalnie na ślubie również płaczę i nie mówimy tu o eleganckim pociąganiu nosem czy ocieraniu oczu chusteczką. Em wygląda przepięknie, a Alfie naprawdę dobrze wywiązuje się ze swojego zadania. Cała ceremonia odbywa się we włoskim stylu, czego zupełnie się nie spodziewałam. Zauważam, jak Luka ociera oczy, kiedy myśli, że nikt nie patrzy, co jeszcze pogarsza mój stan.

Nabożeństwo trwa całe wieki. Alfie zasypia i zdaje się, że nie on jeden drzemie, ale w końcu docieramy do miejsca, kiedy młodzi zostają zaślubieni. Luce trzęsie się głosem, kiedy zakładają sobie nawzajem obrączki, a potem odwracają się do nas na twarzy Em widzę promienny uśmiech. Em patrzy na mnie Puszczą oko, co mnie do reszty wykańcza.

Wracamy do hotelu, gdzie wszyscy już czekają, wznoszone sa-toasty, jest mnóstwo uścisków, a potem pijemy szampana na tarasie i nawet mama Em wygląda na zadowoloną. Mama Luki spędziła prawie cały wczorajszy dzień w kuchni i teraz ona praktycznie wszystkie spokrewnione z Luką kobiety na nowo przejmują kuchnię we władanie, żeby przyrządzić najróżniejsze, weselne smakołyki na wieczorną ucztę. Sprawę tortu pozostawiły mamie Em i mamy tradycyjny, angielski tort weselny, który zdaje się budzić powszechny respekt. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało jej się go tu

zorganizować, na dodatek wczoraj było ogromne zamieszanie z powodu lukru, który lekko popękał, ale zdołała to poprawić i rzeczywiście tort wygląda pięknie.

Luka wygłasza przemowę i wszyscy się śmieją, a polerna co jest naprawdę słodkie z jego strony, powtarza to wszystko po agielsku, „dla mojej nowej angielskiej rodziny”. Mówi, że kiedy poznał Em, uznał ją za potwornie upartą Angielkę, a teraz kiedy zna ją już naprawdę dobrze, wie, że miał rację. Mówi też że Ern w ogóle nie umie grać w pokera, ale wie również, że jest kobietą, którą będzie kochał aż do śmierci. Myślę, że po włosku brzmiało to trochę bardziej romantycznie, ale Luka wygląda na bardzo szczęśliwego i nie ma wątpliwości, że naprawdę tak myśli.

Na lunch jest stół szwedzki z sałatkami i wędlinami dla wszystkich, którzy zgłodnieli, a dalszy plan jest taki, że mamy trochę się zdrzemnąć i wypocząć przed wielką, wieczorną ucztą weselną.

Alfie jest oburzony, kiedy proponuję, żebyśmy się przespali, i daje się przekonać, dopiero kiedy mówię, że wieczór będą fajerwerki i będzie mógł je obejrzeć tylko pod warunkiem- że teraz się prześpi.

- Tak, ale nie jestem zmęczony. Naprawdę.

Zasypia w ciągu kilku minut. Ja też.

Po przebudzeniu rozpaczliwie marzę o filiżance herbaty, co jest doprawdy żałosne, ale Alfiemu też chce się pić, więc idziemy do kuchni. Alfiemu włosy sterczą na wszystkie strony. Mama Luki nadal pracuje bez wytchnienia, ale odrywa się na chwilę od swoich zajęć, żeby przygotować Alfiemu małą przekąskę, a kiedy jest zajęty

jedzeniem, próbuje przygłodzić mu włosy, czego on nawet nie zauważa, bo robi to tak swobodnie. A co najważniejsze, nie wywołuje we mnie poczucia winy, że to przeze mnie ma włosy w takim nieładzie.

Wchodzi Em, również w poszukiwaniu herbaty.

- Świetnie. Właśnie was szukałam. Mam prezenty.

Alfie piszczy z podekscytowania, kiedy idziemy za Em do jej pokoju. Luka twardo śpi na środku ogromnego łóżka wygląda na bardzo zadowolonego z siebie.

- Nie przejmujcie się nim, zaraz się obudzi. A tak właściwie, myślisz Alfie, że mógłbyś go obudzić?

- Em, czy to na pewno dobry pomysł? Ale Alfie skacze już po łóżku i wrzeszczy:

- Wujku Luka, wujku Luka!

Całe szczęście Luka nie budzi się z krzykiem, tylko owija się szczelniej przykryciem i mówi „cześć”.

Em wyciąga z szafy ogromne pudło i podaje Alfiemu. Luka najwyraźniej wie, co jest w środku, bo podnosi się i patrzy wyczekująco na mojego synka, który rozdziera opakowanie i z pudła wyłania się olbrzymi, niemal tak duży jak Alfie, pluszowy bernardyn. Alfie krzyczy „Nana”, zarzuca psu ręce na szyję i zaczyna się z nim tarzać po łóżku.

- Och, Em. Nie powinnaś była. Musiał kosztować fortunę.

- Owszem, ale mój specjalny weselny pomocnik na to zasługuje. Kiedy zobaczyłam tego psa, nie mogłam uwierzyć własnym oczom - po



prostu idealny. Kto wie, może dzięki temu przestanie cię zadręczać o prawdziwego psa. O, a to dla ciebie.

Podaje mi eleganckie pudełko, w którym jest srebrny medalion z maleńkim zdjęciem Alfiego w środku i wygrawerowanym napisem: Dfa Afice. Z wyrazami miłości, Em i Luka. Boże, chyba zaraz znowu się rozpłaczę. Ściskam ich oboje i wyciągam Alfiego z Naną za drzwi, żeby biedny Luka mógł w spokoju wstać i się ubrać.

Zachwycony Alfie bawi się z Naną w naszym pokoju, a ja biorę prysznic. Jestem zakochana w tutejszych domach i bardzo podoba mi się sklepiony sufit w łazience: zupełnie jakbym była w średniowiecznej kaplicy. Luka wyjaśnia mi, że po prostu dopasowywano do siebie kamienie, bez cementu, a kopuły budowano w ten sposób, że instalowano na czas budowy grube, drewniane podpórki, a potem układano kamienie w pożądaną kształt, nadal bez cementu. Następnie usuwano podpórki i jeśli robota została wykonana dobrze, wszystko zostawało na swoim miejscu. Ktokolwiek usuwał ostatnią podpórkę, musiał albo szybko biegać, albo być bardzo pewnym siebie budowniczym.

Kiedy się szykuję, Alfie z zapałem urządza Nanie psie legowisko ze wszystkich poduszek i koców na środku mojego łóżka; musimy jej nawet zostawić szklanek wody na wypadek, gdyby zachciało się jej pić. Restauracja wygląda dziś zupełnie inaczej - wszędzie są kwiaty i świece. Podchodzi Marco i mówi, że tak to urządził, żebyśmy siedzieli obok siebie.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, ale potrzebuję twojej pomocy. Ta przyjaciółka mojej kuzynki, Mariella, jest potwornie zdeterminowana.

- Nie ma sprawy, o ile nie będzie ci przeszkadzało, że Alfie będzie częstował się z twojego talerza, jeśli tylko coś mu wpadnie w oko.

- Och.

Kolacja jest fantastyczna; na stół wjechało tyle najróżniejszych potraw, że straciłam rachubę. Alfie ma się na baczności przed kałamamicami, którymi nieświadomie objadał się parę dni temu i twierdził, że są pyszne, ale teraz uważa, że to najobrzydliwsza rzecz na całym świecie, zaś Marco flirtuje jak najęty ze wszystkimi kobietami poniżej siedemdziesiątki, bo nadal chce pozbyć się Marielli, która spogląda na mnie znacząco z drugiej strony sali. Wreszcie część stolików wędruje pod ściany i zaczynają się tańce.

Luka daje Alfiemu szklanekę wody z odrobiną wina. Alfie trochę tańczy, ale powoli wyhamowuje i w końcu zasypia przy naszym stoliku. Muszę pamiętać, żeby spróbować tego w domu.

Mama Em przesadza z piciem i bez końca ściska mnie za ramię, powtarzając, że ciągle nie rozumie, dlaczego cała ta impreza nie mogła odbyć się w Anglii, ale poza nią, wszyscy wydają się bardzo zadowoleni.

Po północy zaczynają się fajerwerki, ale Alfie nadal twardo śpi. Stoję na tarasie, podziwiając fajerwerki oraz Em i Lukę, którzy wyglądają na bezgranicznie szczęśliwych. Wtedy pojawia się Marco.

- Zdaje się, że pozostała jeszcze jedna tradycja, której musimy dopełnić.

- Tak, a jaka?

- Na prawdziwym angielskim weselu jest chyba taka jedna tradycja?

- Niby jaka? Leje deszcz, a potem wszyscy zaczynają się tłuc?

- Nie. Druhna musi pocałować družbę. Zgadza się?

- Cóż. Właściwie...

- Tak, tak. Czytałem o tym. To bardzo źle wróży, jeśli nie będzie całowania.

- Nie na angielskich weselach. Może na włoskich.

- O tak. Na włoskich weselach wszyscy muszą się całować. Jest naprawdę cudowny. Och, a co tam. Całuję go. On oddaje mi pocałunek, a ja całuję go jeszcze raz. Cholera.

- Lepiej pójde sprawdzic, czy Alfie się nie obudził.

- Myślę, że go usłyszymy, jeśli się obudzi.

- Pewnie tak.

- Myślę, że powinniśmy tu zostać. Myślę, że tak będzie o wiele lepiej.

Myślę, że ma rację.

Ciągle jesteśmy na wpół objęci, kiedy zza rogu wychodzi

Em.

- O, przepraszam.

- Nic się nie stało, naprawdę. Właśnie miałam pójść sprawdzic, co u Alfiego.

A niech to. Nogi mam jak z waty.

- Nie, ja pójde. Ty zostań.

- Boże, przepraszam, Alice. Nie chciałam wam w niczym przeszkodzić.
  - Nie przeszkodziłaś. To się po prostu stało, ale nie działa się nic, w czym mogłabyś nam przeszkodzić. Naprawdę. Po prostu go pocałowałam i tyle. Chciał, to go pocałowałam.
- Założę się, że go to zaskoczyło.
- Nawet nie w połowie tak jak mnie.
  - Uroczy jest, prawda?
  - Wiem.
  - Pomyśl tylko, gdyby to wypaliło, zostałybyśmy rodziną i mogłabyś tu zamieszkać i zaprojektować nowe dammusi, i mogłybyśmy spotykać się co rano w mieście, i...
  - Em, czy nie doszukujesz się przypadkiem zbyt wiele w jednym, zwykłym pocałunku?
  - Może i tak, ale patrzył na ciebie tęsknym wzrokiem, od kiedy tylko przyjechałaś.
  - Wcale nie.
  - Właśnie, że tak. To jak z autobusami, nie? Kiedy już stracisz nadzieję, zjawiają się dwa na raz. Najpierw Harry, a teraz Marco.
  - Tak, ale to jeszcze inna sprawa. To znaczy, tak jakby jestem z Harrym, prawda? Nie chodzi o to, że odbyliśmy jakąś poważną rozmowę czy coś w tym stylu, ale to i tak wygląda, jakbym go zdradzała. A to mi się zupełnie nie podoba. Sama nie wiem, co mnie napadło. Może jestem bardziej pijana, niż myślałam. Normalnie nie zachowuję się tak swobodnie i naprawdę nie chcę, żeby coś się pokomplikowało.

- Wiesz, czasami komplikacje są dobre. Tak to już bywa.
- Wiem, ale to był tylko pocałunek. Z jego strony pewnie tylko przyjacielski.
- Alice, dla niego to nie był przyjacielski pocałunek. Wierz mi.
- Cóż, niezależnie od tego, jaki to był pocałunek, powinnam pójść po Alfiego i pożegnać się ze wszystkimi, a ty powinnaś wracać do męża.
- Mój mąż! Jeszcze się do tego nie przyzwyczyłam. Jesteś pewna co do Marco?
- Tak, jestem pewna.
- W porządku. Uważam, że jesteś pomyłona, ale w porządku. I dziękuję za pomoc. Wszystko było idealnie. To był najpiękniejszy dzień w moim życiu.
- Och skarbie, tak się cieszę.

Marco jest bardzo wyrozumiały, kiedy postanawiam zakończyć wieczór, i mówi, że zobaczymy się jutro. Em i Luka odprowadzają nas do pokoju. Luka ma nadzieję, że jego brat nie działał mi na nerwy, ja mówię, że właściwie wręcz przeciwnie, na co Luka zaczyna się śmiać. Nie jestem do końca pewna, co czuję w związku z tym incydentem z całowaniem, ale nie wiem również, gdzie wsadziłam szczoteczkę do zębów, więc z całą pewnością jestem bardziej pijana, niż mi się wydawało.

Alfie budzi się na krótką pogawędkę z Naną, ale za moment na nowo zapada w sen, a ja leżę przez chwilę ze świadomością, że wokół mnie wszystko wiruje, i też zaraz zasypiam.

Następnego dnia spotykamy Marco w drodze na śniadanie. Alfie uparł się, żeby zabrać Nanę, a ja mam za dużego kaca, żeby mu się przeciwstawić. Marco jest czarujący i mówi, że musi wracać w interesach do Mediolanu, ale może kiedy przyjedziemy na kolejne wakacje, to on znowu zabierze nas na wycieczkę łódką, ja odpowiadam, że być może, on się uśmiecha, a potem Alfie zaczyna szczekać i mówi, że Nana jest bardzo głodna.

Później widzę, jak Marco odjeżdża swoim samochodem i czuję lekkie ukłucie żalu. Jakaś część mnie z rozkoszą zostałaaby na tamtym tarasie. Marco naprawdę świetnie całuje, choć niewykluczone, że to była zasługa szampana. Może jeszcze go zobaczę. Em zaprosiła nas na Boże Narodzenie i nigdy nic nie wiadomo.

Ale jest jeszcze Harry i czuję się trochę z tego powodu winna, bo byłabym naprawdę zapieniona, gdyby oświadczył mi, że kiedy nas nie było, całował się na tarasie z jakąś nieznajomą. I to nieważne, że nie obiecywaliśmy sobie dozgonnego oddania ani niczego takiego.

To wszystko jest dość zagmatwane, zwłaszcza na kacu. Tak czy inaczej, chwilowo mam o wiele poważniejsze zmartwienia. Na przykład, co zrobić, żeby Alfie przestał szczekać. I jak wciśniemy tego ogromnego pluszaka do samolotu.

Ostatni dzień upływa nam na leniwym wylegiwaniu się w słońcu i pluskaniu w basenie, dopóki nie wpada do niego Nana, którą trzeba opłukać pod prysznicem, a potem wysuszyć na słońcu.

Po południu Em zabiera nas na środek wyspy, gdzie znajduje się jezioro o nazwie Lustro Wenus, w którym jest tak cudownie błękitna

woda, że trudno w to uwierzyć. Człowiek ma wrażenie, jakby pluskał się w wannie z ciepłą wodą. Znajdujące się wokół jeziora siarkowe błota są chyba niezwykle dobre dla zdrowia, bo tu i tam widać ludzi taplających się w tej mazi, a potem prażących się w słońcu. Po czymś takim moja skóra jest zupełnie inna i czuję się wspaniale, i to nieważne, że po powrocie Alfie będzie próbował tych samych zabiegów z błotem z naszego ogródka za domem.

Spędził tu wspaniałe chwile i choć w użyciu był faktor 200, zaczął już nabierać ślicznego, złocistego koloru. Może powinniśmy wrócić tu na Boże Narodzenie albo na następną Wielkanoc, kiedy zaczyna się robić ciepło i, zgodnie ze słowami Em, wyspa tonie w kwiatach. A może po prostu powinniśmy tu zamieszkać i Alfie mógłby nauczyć się włoskiego, a ja kupowałabym kiełbaski od bliźniaków-rzeźników i uczyła się, jak budować domy z kopułami.

Podróż do domu nas wykańcza, częściowo dlatego że lot z Sycylii jest opóźniony i musimy przez cztery godziny organizować sobie jakąś rozrywkę na lotnisku w Palermo, co nie jest łatwe, ale głównie dlatego że wcale nie chcę wracać do domu. Cudownie było spędzić tyle czasu z Em, a wyspa jest naprawdę przepiękna.

Alfie cieszy się jednak, że już jesteśmy w domu i aby to uczcić, ogląda na wideo Piotrusia Pana, otoczony wszystkimi zabawkami.

Podczas naszej nieobecności ogród potwornie się rozrósł. Charles i Lola są w jakiejś willi we Francji, więc staramy się z Molly odpracować naszą działkę, żeby nie było tak, że cała robota spadnie na pana Channinga i Franka.

Prawie cały poranek upływa nam na odchwaszczaniu i opowiadam Molly o Włoszech Molly mówi, że to wszystko brzmi fantastycznie, i bardzo by chciała mieć przyjaciółkę, która mieszka w tak cudownym miejscu.

Uważa też, że z tego, co usłyszała, Marco również jest uroczy. Stwierdza, że choć całowanie się na wakacjach z nieznanym to teoretycznie nie najlepsze zachowanie, to przecież Harry nigdy nie musi się o tym dowiedzieć i, tak czy inaczej, to był tylko pocałunek.

A potem rozmawiamy o tym, żeby zabrać Alfiego i Lily na pierwszą wizytę do szkoły, żeby przygotować ich na rozpoczęcie roku szkolnego we wrześniu. Alfie upiera się, żeby zabrać ze sobą Nanę, a Lily mówi, że może pójść, ale tylko po to, żeby zobaczyć, bo jeszcze nie podjęła decyzji.

- Wiesz, wierzyć mi się nie chce, że już idą do szkoły. Wydaje się, że są za mali.

- Wiem. Usiłowałam nauczyć Lily, żeby sama zakładała buty, ale ona zwyczajnie nie chce tego robić. Chociaż czasami robi to dla Dana.

- Ja kupiłam Alfiemu na rzepy, nigdy sobie nie poradzi ze sznurówkami. O której mamy ich tam zabrać?

- Na wpół do drugiej, a o wpół do trzeciej jest w wiejskiej świetlicy zebranie, na którym będą sprzedawali szkolne bluzy i tak dalej.

- Mam nadzieję, że im się spodoba. Boże, to byłoby straszne, gdyby po tej wizycie stwierdzili, że nie cierpią szkoły i nigdy tam nie wrócą.



- Tak, ale mamy jeszcze całe lato, żeby nad nimi popracować. Tak przy okazji, Janice już dzierga na drutach szkolny sweter dla Lily i mówi, że jeśli chcesz, zrobi też dla Alfiego.

- O Boże.

- Wiem. Powiedziała jej, że dzieciaki chodzą w bluzach, ale ona miała już wełnę i wszystko. Przynajmniej nie będzie różowy. Mówi, że zrobi trochę większy, żeby dłużej pochodziła.

- Świetnie. Urocze, długie rękawy, które Lily będzie mogła sobie podwijać.

- Przestań, nie chcę o tym myśleć. Opowiedz mi jeszcze o Włoszech.

- Cóż, w zasadzie opowiedziałam ci już wszystko.

- Widziałaś się już z Harrym po powrocie?

- Jeszcze nie, ale wpadnie później.

- Tęskniłaś za nim?

- Właściwie to nie. Nie wiem, czy chodzi o to, że teraz podchodzę do wszystkiego trochę bardziej na luzie, czy tak naprawdę wcale mi na nim nie zależy.

- Wiesz, ja myślę, że wszystko się zmienia, kiedy ma się dzieci. Parę dni temu o tym myślałam. Dochodzisz jakby do punktu, kiedy czujesz się na tyle stabilna, że niewiele jest w stanie tobą wstrząsnąć. W każdym razie nie mężczyzna. Oczywiście byłabym wstrząśnięta, gdyby Danowi coś się stało, ale kiedy się pokłócimy albo nie ma go przez jakiś czas, nie jest to już dla mnie najstraszniejsza rzecz na świecie. Tak to już po prostu jest i nie ma sensu się tym zbytnio przejmować.

- Tak, myślę, że możesz mieć rację. Może dorosłyśmy. Boże, to trochę przerażające, co? Jesteśmy już dużymi dziewczynkami.

- Tak. A niektóre z nas są chwilowo nawet większe od innych.

Po południu dzwoni Lola i mówi, że nienawidzi Francji.

- Wszędzie pełno cholernych Brytyjczyków włączających się wszędzie w tych swoich sandałkach i zawodzących jak bardzo ceny poszły w górę. Jezu. Nie ma nikogo ciekawego, a dzieciaki doprowadzają mnie do szału. Francja zdecydowanie jest już niemodna wszyscy jeżdżą gdzie indziej. Ezra ciągle wpada do cholernego basenu, a opiekunka, którą zatrudniłyśmy, zapalała uczuciem do kelnera z miejscowej pizzerii i wiecznie znika. Mabel ma okropne uczulenie na słońce i wygląda potwornie. Kupiliśmy jej jakieś specyfiki w aptece i obrzydliwie śmierdzi. Wygląda, jakby dopadła ją jakaś zaraza. Szczerze powiedziawszy, chodziło mi po głowie, żeby ich tam zostawić i wynieść się do jakiegoś hotelu. Charles wydaje się szczęśliwy, spędzając całe godziny z dziećmi, nie robiąc absolutnie nic. Co za nuda.

- A pogodę macie dobrą?

- Nie. Jest cholernie gorąco. Miejscowi ciągle powtarzają, że nie pamiętają gorszego lata.

- No to kiepsko. Ale przynajmniej gdzieś wyjechaliście, zmiana scenerii i takie tam...

- O, tak, odmiana owszem, jest. Po powrocie będę potrzebowała kolejnych wakacji, żeby dojść po tym wszystkim do siebie. Właściwie to po to dzwonię. Masz ochotę wybrać się ze mną na farmę piękności albo gdzieś? Jest taki jeden nowy salon, który wszyscy chwalą.

- Bardzo bym chciała, Lolu, ale chwilowo jest dość krucho z pieniędzmi, no wiesz, splukałam się trochę na te Włochy i tak dalej, a poza tym, trochę mnie cisną w pracy.

- Och. No cóż, pomyśl o tym i daj mi znać, jestem pod komórką.

Cholera. Cieszę się, że nie jestem w tej chwili we Francji.

Harry zjawia się wcześniej w piątkowy wieczór i chce dowiedzieć się wszystkiego o tym, jak było we Włoszech. Zdaję mu w skrócie relację o wszystkich najciekawszych wydarzeniach, a potem próbuję mu opowiedzieć o pierwszym popołudniu Alfiego w szkole, ale nie wydaje się tym zbyt zainteresowany.

- Nie pamiętam za dobrze mojego pierwszego dnia szkoły. Wysłali nas do tej szkoły z internatem naprawdę wcześniej i pamiętam to wszystko jak przez mgłę. Pierwsze dni były koszmarne. Codziennie rano było mi niedobrze. Pamiętam to uczucie, kiedy wyczekiwałem pociągu. To było okropne. Jestem pewien, że nic mu nie będzie.

- Tak sądzę.

- Ale będziesz go odbierała codziennie po południu, prawda?

- Tak, ja albo mama, ale to i tak będzie dla niego długi dzień. To popołudnie to tylko próba, żeby oswoił się z myślą o szkole i naprawdę mam nadzieję, że jej nie znienawidzi.

- No tak, ale przynajmniej codziennie będzie mógł wrócić do domu.

Nie mogę nic na to poradzić, ale lekko działa mi na nerwy jego przekonanie, że skoro nie wysyłam Alfiego do szkoły z internatem, to nic mu nie będzie. Przypuszczam, że gdybym sama trafiła do takiej szkoły jako zupełnie małe dziecko, to pewnie nie uważałabym

pierwszego dnia w miejscowej podstawówce za wielkie wyzwanie, ale dla mnie to i tak duża sprawa. Próbuję mu to wyjaśnić i atmosfera robi się dość napięta.

- O co chodzi? Czuję, że ty do czegoś zmierzasz. Zachowujesz się dziwnie. Czy czeka nas może poważna rozmowa? Ta, kiedy powiesz, że chcesz zobowiązań, a ja powiem, że odpowiada mi jak jest?

Co za tupet.

- Niekoniecznie. Może nawet chciałabym trochę przyhamować.

- Och. Jasne. A chcesz tego?

- Nie, ale skoro już poruszyłeś ten temat, mogłoby być miło, gdybyśmy więcej ze sobą rozmawiali.

- O czym?

- Nie wiem, o czymkolwiek.

- Słuchaj, nie możemy tego po prostu tak zostawić? Chodzi mi o to, że przecież dobrze się razem bawimy, prawda?

- Tak. Ale co, jeśli chcę czegoś więcej? Sama nie wiem, ale powiedzmy, że chciałabym jeszcze jedno dziecko albo coś?

Naprawdę nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Nie chcę kolejnego dziecka. W każdym razie na pewno nie teraz i na pewno nie z Harrym. Ale z jakiegoś powodu chciałam zobaczyć jego reakcję. Wygląda na przerażonego.

- Chwila moment. Nie rozmawialiśmy o żadnych dzieciach.

- Wiem, że nie rozmawialiśmy, ale czy nie powinniśmy umieć rozmawiać o takich rzeczach?

- Pewnie tak. Oczywiście nie mam nic przeciwko Alfiemu, ale nie chcę mieć własnych dzieci. Nie jestem gotów na nic tak poważnego, jeszcze nie. Jeśli mam być szczery, to nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek będę.

- Och.

- Czy to jakiś problem?

- Chodzi o to, że po tym wyjeździe chyba zdałam sobie sprawę z tego, że chcę czegoś więcej. Nie chcę tylko zwykłego romansu bez żadnych zobowiązań.

- Cholera.

- Wiem.

- Nie jestem pewien, czy się do czegoś takiego nadaję.

- Wiem, Harry, i jest mi przykro, naprawdę.

- No cóż. To po prostu umarło śmiercią naturalną czy jak to się mówi.

- Tak.

- W takim razie powinienem już chyba pójść, co?

- Chyba tak.

Tak naprawdę to nie chcę, żeby wyszedł. Ale z drugiej strony, wcale też nie chcę, żeby został. Wstaje i idzie do drzwi.

- Przykro mi, Harry.

- Mnie też.

Cholera. Naprawdę nie chciałam, żeby to się tak potoczyło. Nie, żeby to nie była prawda, ale po prostu nie zdawałam sobie sprawy, że podejmam decyzję, dopóki nie zaczęliśmy o tym rozmawiać. Cholera. Będzie mi go brakowało. Niech to szlag.

Dzwonię do Molly, która zjawia się z awaryjną czekoladą.

- Założę się, że do ciebie zadzwoni.

- Może, ale my się nie pokłóciliśmy ani nic takiego. Właściwie byliśmy całkiem zgodni, więc nie wydaje mi się, żeby zadzwonił. Kiedy byłam we Włoszech i widziałam Em z Luką, uświadomiłam sobie, że nie chcę więcej zadowalać się żadnym Panem Przejściowym, żadnym nieoszlifowanym diamentem, który przy ogromnym nakładzie pracy może zamienić się w prawdziwy brylant. Czegoś takiego mam powyżej uszu w pracy. Albo przelotny romans bez pretensji do niczego innego, albo coś prawdziwego. Chcę kogoś, kto będzie kochał Alfiego prawie tak mocno jak ja, a nie tylko łaskawie znosił jako część nabytego pakietu. Pan Przejściowy to już nie dla mnie.

- Brawo. Myślę, że masz absolutną rację. Chcesz mleczną czy z orzechami?

### DZIENNIK OGRODOWY

Pozbieraj zioła do zasuszenia i powkładaj do szczelnych pojemników. Zamów bulwy na wiosnę. Podsyp różom nawozu przed zimą. W czasie upałów podlewaj trawniki i klomby, upewniając się, że woda przeniknęła głęboko do gruntu. Utrzymuj ścisły reżim odchwasszczania.

*Robi się tak gorąco, że kupuję Alfiemu plastikową piaskownicę i kilka worków piasku. Alfie bawi się radośnie w piaskownicy przez jakieś pięć minut, kiedy ja próbuję pozbierać zioła, a potem rozsypuje piasek po całym trawniku. Usiłuję go powstrzymać, ale kończy się na tym, że potykam się o worek z piaskiem i ląduję z twarzą w rabacie z ziołami. Zapach jest niesamowicie piękny i leżę tak przez chwilę lekko oszołomiona, z nadzieją, że kiedy się podniosę, żadna kończyzna nie będzie mi zwisać pod dziwnym kątem. Alfie myśli, że to taka zabawa, i skacze mi na plecy Koper włoski trochę się pogiął, a mięta jest zupełnie zrównana z ziemią, ale kiedy usuwam najbardziej zmalretowane kawałki, całość wygląda zupełnie dobrze i ostatecznie mam ogromny stos ziół, które mogę porozwieszać do zasuszenia po całej kuchni. Czuję się jak porządna, cnotliwa wieśniaczka, gromadząca zapasy na zimę.*

*Nawet jeśli nie pamiętam ich nazw, jestem pewna, że nadadzą zupełnie interesujący smak. Alfie co prawda nie zje zupy, ale może mogłabym udawać, że to taki rodzaj sosu.*

*Planujemy z Molly wyprawę z dziećmi do londyńskiego zoo, choć Molly jest już w zaawansowanej ciąży i ledwie człapie.*

- Już nawet nie mieszczę się do wanny. To znaczy, mogę wejść do środka, ale z wyjściem jest już drobny problem. I nie mogę spać w tym upale.

- Ja też nie. Kłóciliście się jeszcze na temat płatków? Molly i Dan mieli wczoraj poważną awanturę, jak prawidłowo otwierać paczkę biszkoptów.

- Nie. Pogodziliśmy się, tak jakby. Przeprosiłam go wieczorem, a on oglądał film z Bruce'em Willisem, żeby na pewno dobrze zrozumiała, że nadal mam przechlapane, na co nie odezwałam się już ani słowem. Próbowałam coś wydziergać dla maluszka, ale to też doprowadza mnie do szału - wszystko zwija mi się w jakieś kółko. Może mogłabym zrobić pelerynę?

Świetny pomysł. Założę się, że wszystkie naprawdę modne maluchy noszą peleryny. Słuchaj, na pewno chcesz jechać do tego zoo?

- Zostało mi jeszcze sześć tygodni do porodu. Co się może zdarzyć?

- Możesz zacząć rodzić, kiedy będziemy w pociągu albo coś takiego. Właśnie to się może zdarzyć, do cholery. Nie jestem zbyt mocna w kryzysowych sytuacjach. Równie dobrze możesz się o tym dowiedzieć już teraz.



- Och, nie przejmuj się. Mam przeczucie, że urodzę po terminie, tak jak to było z Lily.

- Cóż, mam nadzieję, że masz rację, bo nie uśmiecha mi się, żeby pokazali mnie w wiadomościach o szóstej, jak pomagam ci rodzić, otoczona przez lwy i pingwiny.

W zoo pełno jest rozwrzeszczanych dzieci i zwierząt, a Alfie ma na sobie swój nowy kapelusz w stylu safari i workowate spodenki. Wygląda, jakby zaraz miał wystąpić w jakimś tematycznym skeczu.

Nie mija nawet dwadzieścia minut od naszego przyjazdu, kiedy nagle uświadamiam sobie, że go zgubiłyśmy: w jednej chwili tu jest, a w następnej, tam, gdzie powinien być, jest tylko pustka wypełniona jeszcze lekko drżącym powietrzem. Chcę zacząć go szukać pod ławkami i za krzakami, jakby jakimś tajemniczym sposobem mógł się zmniejszyć. Może jeśli będę udawała, że nadal go widzę, to będzie tak, jakby wcale się nie zgubił. Nie ma go od jakiejś minuty, a ja jestem już bliska załamania nerwowego.

Zanim zaczynam na dobre histeryzować, dostrzegam go: stoi przed jedną z klatek i rozmawia przez pręty z orłem o groźnym obliczu. Nie mogę się zdecydować, czy go wyściskać, czy wpaść w szal, więc robię i to, i to, a Molly aż musi usiąść, bo również jest bliska łez. Alfie obiecuje, że już więcej nigdzie nie pójdzie, a ja trzymam go za rękę, czym jest zirytowany, i staram się uspokoić, co nie jest łatwe; pomijając uwiązanie dziecka na długim kawałku sznurka, nie bardzo wiem, co jeszcze powinno się zrobić, poza tym, że człowiek do końca życia będzie się obwiniał, że maluchowi udało się zwiać.

Lunch jemy w barku, co kosztuje nas fortunę, a że zrobiło się burzowo i wilgotno, wszyscy są zrzędlivi. Lily upuszcza kanapkę na podłogę i wrzeszczy, dopóki Molly nie oddaje jej większej części swojej, a potem Alfie stwierdza, że chce jeszcze jedną paczkę czipsów i będzie jęczał, dopóki nie dostanie. Mówię mu, że już nigdy więcej nie dostanie czipsów, jeśli nie przestanie, a on zaczyna płakać i kobieta od sąsiedniego stolika, która ma dwoje nienagannie grzecznych dzieci, spogląda na mnie z pogardliwą wyższością.

Obiecuję Alfiemu lody, jeśli przestanie robić zamieszanie, a potem jedno z tych idealnych dzieci pryska sokiem w twarz drugiemu i oboje zaczynają wierzgać, więc staram się odpłacić tej kobiecie dokładnie takim samym spojrzeniem, jakim ona uraczyła mnie.

Po lunchu zaliczamy pingwiny i foki, idziemy też do mini-zoo, które nie jest już takie atrakcyjne, kiedy nie można napastować zwierząt, ale Alfie i tak gania się z kozą i prawie traci swój nowy kapelusz, a potem przeżywamy dramatyczne chwile w sklepie z pamiątkami i praktycznie musimy wzywać uzbrojone posiłki, żeby oderwać ich oboje od gigantycznych pand. Geniusz,

który postanowił zapełnić sklep z pamiątkami ogromnymi, pluszowymi zwierzętami, zasługuje na porządnego klapsa.

Pociąg do domu jest brudny i spóźniony, a Alfie wymyśla nową piosenką, składającą się z jego ulubionych brzydkich wyrazów, które wyśpiewuje dosyć głośno. Próbujemy nie zwracać na niego uwagi, ale jak długo można ignorować, jeśli ktoś ciągle śpiewa „dupek - fiutek” w zatłoczonym pociągu. Próbują drobnych pogróżek, ale on ma to w

nosie, a potem Molly znajduje gdzieś siłę, żeby opowiedzieć im bajkę, i oboje zamieniają się w małe aniołki, na zmianę dodając niesamowite zwroty akcji, jak olbrzymie rekiny, wyłaniające się nagle z czyjejs wanny. Ciągle zadziwia mnie, jak dzieci potrafią się zmieniać. W jednej chwili masz ochotę je udusić, a w następnej to już słodkie maleństwa. Zostawiłam samochód na dworcu i kiedy jedziemy do domu, proponuję, że zrobię kolację, bo chcę, żeby Molly trochę odpoczęła.

- O tak, byłoby super, bo jestem strasznie zmęczona.

- Mam sałatkę, odrobiną szynki i trochę truskawek. Nie za wiele, ale dla dzieci wystarczy.

Molly mówi, że w nowym ogrodzie jest pełno truskawek, i Frank powiedział, że możemy zrywać, ile tylko chcemy, więc po herbatce i krótkim odpoczynku, idziemy z miską na truskawki. Zanosimy też Charlesowi i Loli, bo wydaje się nam trochę bezczelne, żeby zrobić taki nalot i podprowadzić wszystkie truskawki dla siebie. Nikogo nie widać, ale drzwi od kuchni są otwarte, więc pewnie Lola jest w swoim gabinecie na górze.

- Charles mówił coś chyba, że zabiera dzisiaj dzieci do swojej matki. Zostawmy te truskawki tutaj i nie przeszkadzajmy jej, pewnie pracuje.

- Dobrze. Nie, Lily, zostań w kuchni.

Ale Lily już biegnie do pokoju zabaw, a Alfie ma ochotę pójść w jej ślady.

- Ja idę, patrz Alfie.

Trochę dziwnie jest być w czyimś domu bez wiedzy właścicieli. Nie chcą, żeby Lola wzięła nas za włamywaczy i po dotarciu do schodów

już mam zawołać coś na powitanie, kiedy nagle słyszę, jak Lily krzyczy „tatuś”, a potem ktoś mówi „Jezu” i wszystko zaczyna dziać się jak w zwolnionym tempie.

U szczytu schodów pojawia się Lola, kurczowo przyciskając do siebie prześcieradło, a Dan pędzi na dół w samych dżinsach, które po drodze jeszcze dopina. Jest bardzo blady, jakby właśnie ktoś przekazał mu jakieś naprawdę złe wieści. W pewnym sensie tak się chyba stało.

- Moll, to nie tak jak myślisz. Przepraszam, zaczekaj, pozwól mi wyjaśnić.

Molly jest w holu. Przez chwilę stoi bez ruchu, Dan lekko się waha, a potem Molly wydaje z siebie przedziwny dźwięk, coś pomiędzy krzykiem a odgłosem poprzedzającym wymioty, i wybiega z domu. Biegnę za nią z dziećmi, które ucichły, jakby wiedziały, że coś się dzieje, ale nie potrafiły rozpracować, co to takiego. Idziemy w milczeniu do mnie.

Kiedy docieramy do domu, jestem nieźle roztrzęsiona, więc wyobrażam sobie, jak musi się czuć Molly. Otwieram chipsy i paczkę smarties, którą trzymałam na wypadek awaryjnej sytuacji. Włączam dzieciom Piotrusia Pana. Molly siedzi w kuchni i wpatruje się w lodówkę.

- Cholera. Nie mogę sobie nawet strzelić drinka.

- Zrobię herbatę.

- Nie chcę herbaty. Jest mi niedobrze. Powiedz mi, co właśnie widziałyśmy. Chcę, żebyś to głośno powiedziała.

- Nie wiem, Molly. Myślę, Jezu, po prostu nie wiem.

- Pieprzony drań. Jak on mógł? Ciekawe, jak długo to się ciągnie. Od dawna dziwnie się zachowywał. Myślałam, że po prostu ma dużo pracy, ale on pewnie widywał się z nią. Boże.

Zdaje się, że zaraz naprawdę zwymiotuje, bo wstaje i idzie do zlewu.

- Widziałaś jego samochód? Ja nie widziałam. Musiała po niego gdzieś podjechać. Jego wóz może być nawet u nas.

Kiedy mówi „u nas”, znów się rozkleja i zaczyna płakać.

- Chcesz napić się wody albo czegoś? O Boże, ktoś stoi za drzwiami. Molly, to może być Dan. Co mam zrobić?

- Powiedz mu, żeby się odpieprzył. Nie mogę się z nim teraz zobaczyć, nie mogę.

Wygląda na naprawdę spanikowaną. To Charles.

Pomyślałem, że może ci się spodobać. Byliśmy u mojej matki na jednej z jej wiejskich imprez i pomyślałem, że... Przepraszam, przyszedłem nie w porę?

- Nie, to znaczy... są cudowne.

Charles ściska małą doniczkę ze słonecznikiem.

- Przywiozłem też trochę do ogrodu, dla dzieci. Zawsze uwielbiałem słoneczniki, są takie radosne, prawda? O, Molly. Cześć.

O Boże. Molly jest wściekła.

- Molly, uspokój się.

- Jestem całkowicie spokojna. Właśnie odkryłam, że Dan jest skończonym draniem, ale podchodzę do tego całkiem spokojnie. Naprawdę. To nawet zabawne. Czułam się winna, że nie poświęcam

mu dość uwagi, ale wygląda na to, że wyręczył mnie w tym ktoś inny, czyż nie?

- Co? Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

- Mówię o tej zdzirze twojej żonie i pieprzonym Danie. Właśnie ich nakryłyśmy, w waszym domu. Nazbierałyśmy truskawek na podwieczorek i...

Molly wybuchła płaczem, a Charles jest przez chwilę czerwony jak burak, po czym rusza z powrotem do swojego samochodu.

- Molly, wracaj do domu i usiądź, Charles, nie idź. Chodź do środka, dam ci drinka. Nie możesz tak wrócić do domu. Pójdę po dzieci, a ty idź do kuchni i porozmawiaj z Molly.

Charles wygląda zupełnie bezradnie, kiedy tak stoi jak sparaliżowany przy bramce, ale zawraca i idzie razem z Molly do kuchni, a potem na dwór wychodzi Lily i zaczyna marudzić. Najwyraźniej jest coraz bardziej przejęta całym zamieszaniem i Alfiemu też zaczyna się to udzielać. Zbywam ich, mówiąc, że wszystko jest w porządku, tylko mamusia nie lubi słoneczników, co poraża mnie beznadziejnością już w chwili, kiedy to mówię, ale nie przychodzi mi do głowy nic innego. Wyciągamy Mabel z jej fotelika, a potem Ezra i Alfie zaczynają się sprzeczać, czy oglądać Piotrusia Pana, czy jakieś inne kreskówki.

Molly i Charles siedzą w kuchni w stanie kompletnego szoku, ale kiedy wpadają dzieciaki, trochę się mobilizują i kończy się na surrealistycznej pogawędce na temat zoo i zwierząt, które widzieliśmy. Ja tymczasem przygotowuję podwieczorek. Wydzielam dzieciakom jeszcze trochę chipsów i powoli usadawiają się przed

telewizorem, choć Ezra i Lily ciągle zaglądają do kuchni i udziela im się ogólne napięcie.

Molly zrobiła się dziwnie cicha, co jest chyba jeszcze bardziej przerażające, niż kiedy szlochała. Charles bez końca kręci głową i wpatruje się w przestrzeń. Ostatecznie wychodzą do ogrodu i udają, że podziwiają rośliny; Charles obejmuje Molly i wiem, że ona znowu płacze.

Charles mówi, że lepiej będzie, jak pojedzie już do domu, i obiecuje zadzwonić do nas później. Molly prosi go o przekazanie Danowi, jeśli ciągle tam jest, żeby sobie darował powrót do domu, bo nie chce go widzieć.

Jest bardzo blada i zastanawiam się, czy nie powinnam zadzwonić po lekarza, bo takie wstrząsy na pewno nie są dobre dla kobiety w ciąży. Robię to co zawsze w kryzysowej sytuacji i dzwonię do mamy, która mówi, że zaraz przyjedzie i każe mi uważnie obserwować Molly, a jeśli zacznie jej się robić słabo albo coś takiego, mamy jechać prosto do szpitala. Jestem tym naprawdę przejęta i pytam Molly, czy na pewno czuje się dobrze, a ona odpowiada, że nie. Mówi, że czuje się jakby rozjechała ją ciężarówka, ale obiecuje, że da mi znać, jeśli poczuje się dziwnie i stwierdzi, że trzeba jechać do szpitala.

Kończy się na tym, że odwożę Molly i Lily do domu, a mama zabiera Alfiego do siebie. Kiedy wchodzimy do Molly, dzwoni telefon, ale ona nie odbiera, a ostatecznie go wyłącza.

Mam przy sobie komórkę i dzwoni Charles, żeby powiedzieć, że kiedy wrócił, Loli nie było, ale jak się zjawi, to do nas zadzwoni. Wydaje mi się jakiś daleki i wyczerpany.

Kąpię Lily, a Molly jeszcze chwilę jej czyta i mała zaraz zasypia. Kolację jemy w ogrodzie, przyglądając się kurczakom. Obserwowanie ich, jak sobie dziobią i stroszą pióra, jest nawet uspokajające, ale Molly nadal wygląda bardzo blado.

- Nie wiem, co robić. Cały czas o tym myślę, ale nie mogę niczego wymyślić. Wiem tylko, że nie mogę się z nim teraz widzieć, nie dam rady. Jeszcze nie. Czuję się bardzo dziwnie. Mam ochotę to wszystko od siebie odsunąć.

- Wiem, skarbie, ale nie ma pośpiechu. Możesz porozmawiać z nim jutro.

- Albo i nie. Może już nigdy się do niego nie odezwę. Dzwoni moja komórka. To Dan.

- Słuchaj, Alice, jest tam Molly? Nie odbiera telefonu, a ja muszę z nią porozmawiać.

- Poczekaj chwilę. Molly kręci głową.

- Nie mogę.

- Słyszałeś?

- Tak. Powiedz jej tylko, że bardzo mi przykro, dobrze? Mogę to wyjaśnić. Czy ona dobrze się czuje?

- Niezbyt.

- Alice, ja tylko, o Boże, to takie skomplikowane.



- Powiedz to Molly, Dan, nie mnie. Zadzwoń do niej jutro. Boże, jestem na niego tak wściekła, że cała się trzęsę, kiedy wkładam telefon do torebki. Ja przynajmniej nie nakryłam Patri-ca i Cindy razem. Miał na tyle przyzwoitości, że sam mi o wszystkim powiedział. No i nie byłam w ciąży. Biedna Molly, to takie niesprawiedliwe. Ja ciągle jeszcze czuję ten szok i upokorzenie, poczucie zdrady. To jak stara blizna, która ciągle boli, jeśli ją nacisnąć. A ona jest dopiero na samym początku tego wszystkiego. Jezu.

Koło jedenastej dzwoni Charles. Mówi, że Lola wróciła do domu i mieli straszną awanturę, a teraz wyjechała na kilka dni do Londynu.

- Powiedziała, że to moja wina. Najwyraźniej jestem strasznie nudny.

- Och, Charles.

- Z Molly wszystko w porządku?

- Powiedzmy. A ty jak się czujesz?

- Tak samo.

- Słuchaj, możesz do mnie dzwonić, o każdej porze, naprawdę. Przed południem jestem w pracy, ale po południu siedzę w domu. Dzwoń, jeśli tylko będziesz chciał z kimś pogadać.

Kładziemy się późno i prawie natychmiast zasypiam. Śnią mi się różne koszmary: gubię Alfiego w zoo, Patrie się wyprowadza, by potem powrócić z Lolą i Danem. Rano mam wyrzuty sumienia, bo miałam się tylko zdrzemnąć, żeby wkroczyć do akcji, gdyby Molly mnie potrzebowała.

Planowałam też, że wstanę wcześniej, żeby zrobić jej śniadanie, ale to ona budzi mnie kawą i mówi, że całe wieki jest już na nogach, tylko nie

chciała mnie budzić. Wydaje się spokojniejsza. Mówi, że zadzwoni do mnie później i spotkamy się po południu. Chce spędzić trochę czasu tylko z Lily i o niczym nie myśleć.

Wracam do domu, żeby się przebrać i spóźniam się do pracy, ale Janet i Malcolm są w Hiszpanii, więc nikt nie patrzy wymownie na zegarek ani nie robi sarkastycznych uwag.

Dzwoni mama i mówi, że przywiezie po południu Alfiego, który był grzeczny jak aniołek, tylko niemal przyprawił tatę o atak serca, kiedy o świcie wskoczył do ich łóżka na poranne pieszczotki.

- Spał w twoim starym łóżku i wyglądał jak mała kruszynka. Wiesz, ta Lola nigdy mi się nie podobała. Zawsze uważałam ją za paskudną, samolubną jędzę, ale Danowi to się dziwię. Wydawał się takim sympatycznym chłopcem. Założę się, że jego matka musi się nieźle wstydzić.

Nie zastanawiałam się nad tym, jak Doreen przyjmie wieści, że jej cudowny synek spadł z piedestału. Każda nieprzyjemna sytuacja ma jakiś pozytywny aspekt, chociażby zupełnie nieznaczny, ale raczej nie podzielę się tą refleksją z Molly. Niemniej jednak chciałabym zobaczyć minę Doreen, kiedy się wszystkiego dowie.

W czasie lunchu biorę trochę papierów i zwijam się do domu. Nie mam akurat nic pilnego, a Brenda mówi, że będzie mnie kryła. W domu znajduję wiadomość od mamy. Widać musiała wstąpić w drodze do przedszkola. Pisze, że na sekretarce były trzy wiadomości, wszystkie od Dana, który wczoraj wieczorem usiłował znaleźć Molly. Poza tym

dzwonił Charles, któremu powiedziała, że oddzwonię, a Alfiego przywiezie później.

Mama uwielbia odsłuchiwać moje wiadomości, licząc na to, że uda jej się poznać jakieś interesujące szczegóły, które staram się przed nią ukryć. Lubi wiedzieć nawet o zupełnych błahostkach: co jadłam na lunch, gdzie byłam na zakupach. To samo dotyczy Jima. Kiedyś niemal przez pół godziny gawędziła z recepcjonistką z jego biura, zanim zdała sobie sprawę, z kim rozmawia, ale wtedy było już za późno, bo zdążyła opowiedzieć historię o siusiaku. Później przez parę miesięcy Jim musiał przed pracą kupować tej kobiecie kawę ze Starbuck's, żeby trzymała buzię na kłódkę.

Słyszę jakiś samochód, a potem widzę na ścieżce Lolę. Niech to szlag.

- Cześć. Czy teraz jestem persona non grata?
- Jeśli chodzi ci o to, czy jestem na ciebie wściekła, to owszem. Jestem.
- To miał być tylko zwykły romans. To nie było nic poważnego.
- No cóż, Molly odebrała to inaczej.
- Wiem. Ale ona nie miała się o tym nigdy dowiedzieć. Właściwie to już było po wszystkim.
- Nie chcę znać żadnych szczegółów, Lolu. Właściwie chcę, ale jest mi wstyd.
- Trochę się ze sobą spotykaliśmy przez moment, to wszystko. Nie chciałam go jej odebrać ani nic takiego. Boże uchron.
- Myślę, że to chyba tylko pogarsza sprawę. Gdybyś się w nim szaleńczo zakochała, mogłabym to jeszcze zrozumieć.

- Nie bądź śmieszna. Miałabym się zakochać w Danie? Proszę. Gdybyście nie weszły w moim domu, nikt by się nigdy nie dowiedział.
- Lolu, my nie weszłyśmy, tylko przyniosłyśmy ci truskawki.
- Charles jest wściekły.
- Nie dziwię mu się.
- Tak naprawdę to mało istotne. Od dawna już nam się nie układało.
- W takim razie weź rozwód. Postaraj się, żeby nie ucierpiały dzieci, i rozwiąż tę sprawę. Ale nie mieszaj w to innych ludzi.
- Wiesz, mi też było ciężko.
- Przykro mi, Lolu, ale moje współczucie już się wyczerpało. Całą noc byłam z Molly, która jest w zaawansowanej ciąży.
- Wiem. Trochę mi głupio z tego powodu.
- Trochę głupio. Jezu. Lolu, jesteś niewiarygodna.
- Ty tego nie rozumiesz. To był tylko romans. Musiałam coś zrobić, żeby nie zwariować. Zastanawiałam się nad podjęciem decyzji. Ty nie masz takich problemów - ja żyję pod ogromną presją. Nie da się zarobić naprawdę dużych pieniędzy, jeśli człowiek nie zaangażuje się w to bez reszty. Nie ma znaczenia, czy jestem w biurze, czy w domu, bo i tak do mnie cały czas wydzwanają. Jestem otoczona harpiami, które tylko czyhają na moje miejsce.
- Cóż, może powinnaś zrezygnować. Tu chodzi nie tylko o ciebie, Lolu, ale też o dzieci. Musisz uporządkować to wszystko dla ich dobra. Dzieci powinny być na pierwszym miejscu, czyż nie?
- Ja nigdy nie byłam na pierwszym miejscu, nie dla moich rodziców. Matka dała mi to jasno do zrozumienia.

- Na litość boską, skończ już z tym. To, że miałaś beznadziejną matkę, nie znaczy, że masz być taka sama. Słuchaj, nie wiem, po co przysłałaś, ale nie wydaje mi się, żebym mogła ci w jakikolwiek sposób pomóc.

- Muszę podjąć jakąś decyzję i naprawdę jest mi ciężko. Ty wiesz, jak to jest, kiedy człowiek musi radzić sobie sam, ale ja nie jestem pewna, czy się do czegoś takiego nadaję. Mogłabym wrócić do Londynu i być jak rozwiedziony ojciec. Widywać dzieciaki w weekendy, zasypywać je prezentami i zmywać się przed dobranocką. Choć może powinnam zabrać je ze sobą, moglibyśmy kupić jakiś dom w Londynie. Nie widzę powodu, dla którego Charles miałby je zatrzymać - to również moje dzieci. Pewnie myśli, że się po prostu wyniosę i zostawię wszystko tak jak jest.

Wydaje mi się, że byłaby całkiem szczęśliwa, mogąc zostawić dzieci, gdyby to tylko nie oznaczało, że będzie miał je Charles.

- Mówisz poważnie o rozstaniu?

- Tak. Czara się już przepełniła, od dawna nam się nie układało. Ale po prostu jeszcze nie wiem, czego tak właściwie chcę. Chodzi o to, że nie znalazłam jeszcze żadnej porządnej niani, a jeśli zostaną z Charlesem, pewnie zażąda alimentów. Jezu, to dopiero byłaby ironia losu, gdybym musiała mu płacić za opiekę nad dziećmi.

- Lolu, tu nie może chodzić tylko o pieniądze. Patrzy na mnie z politowaniem.

- Och, Alice. Ty naprawdę tego nie łapiesz, co? Charles jest bardzo bogaty, jego rodzina jest naprawdę nadziana.

- No to wszystko w porządku, nie?

- Nie, do cholery. Jeśli się rozwiedziemy, powinnam dostać połowę wszystkiego. Muszę znaleźć sobie dobrego adwokata, żeby mieć pewność, że ta jego cholerna rodzinka mnie nie wy-cycka. Mówimy tu o ogromnych pieniądzach, tyle że większość jest w rodzinnych funduszach powierniczych i na pewno będą próbowali je zatrzymać. Jego matka mnie nienawidzi.

Nie mogę uwierzyć, że mówi tylko o pieniądzach. Nagle ogarnia mnie gniew.

- No cóż, jeśli dbasz tylko o pieniądze, jestem pewna, że sobie doskonale poradzisz.

- Jeśli masz być taka sarkastyczna, to równie dobrze mogę już sobie pójść. Jezu, ale jesteś cholernie nadęta. Nie sądziłam, że możesz aż tak zaściankowo myśleć.

Patrzy na mnie szyderczo i teraz naprawdę mam już dość.

- Powiem ci, co jest zaściankowe, Lolu. Cholernie zaściankowe jest obsesyjne myślenie o pieniądzach, posiadanie odpowiedniego samochodu i odpowiedniego domu, wydawanie niezliczonych przyjęć, a wszystko tylko na pokaz. Dbasz tylko o odpowiednie znajomości i o to, co pomyślą twoi znajomi. Nikt mnie nie rozumie, gadka szmatka. Jestem tak cholernie wyjątkowa, że nie obowiązują mnie żadne reguły. Żyjesz w jakimś równoległym świecie, wiesz? Jesteś jak czarna dziura, chodzi tylko o ciebie i o to, czego ty chcesz.

A niech to. Jestem tak wściekła, że aż się trzęsę. Lola wypada jak burza gradowa, zatraskując drzwi tak mocno, że niemal wypadają z zawiasów.

Dzwonią do Em, żeby trochę się uspokoić.

- Co? Dan? Lola robi to z Danem Molly? Boże. Co za krówsko.

- Wiem.

- Biedna Molly. Co ona teraz zrobi?

- Nie wiem. Myślę, że ona sama też jeszcze tego nie wie.

- Co za drań.

- Wiem. Ja też nie mogę w to uwierzyć.

- No cóż, powiedz jej, że jeśli chce, może do nas przyjechać, jak już się dziecko urodzi. Na miły, długi wypoczynek. Mama Luki wyrwie jej malucha z rąk, kiedy tylko samolot wylądjuje.

- Dzięki, Em. Przekażę jej.

- Ty też przyjedź. To ci poprawi humor po tym, jak rzuciłaś Harry'ego. Zaproszę też Marco, jeśli chcesz.

- Ja go nie rzuciłam, Em, to była wspólna decyzja. To po prostu nie miało przyszłości.

- Tak, ale gdyby nie to, on nadal by wpadał, żeby się trochę zabawić, prawda?

- Pewnie tak. Właściwie sama też miałabym ochotę odrobinę się zabawić, żeby oderwać się na trochę od tej sprawy z Molly i Danem. To takie przygnębiające i niesprawiedliwe. Nie mogę patrzeć na to, jaka jest rozstrojona.

- No cóż, przyjeżdżaj do nas w każdej chwili, skarbie. Jestem pewna, że to się da załatwić.

Molly dzwoni zaraz po tym, jak kończę rozmawiać z Em i oznajmia, że umówiła się z Danem, więc ma mi podrzucić Lily, żeby mogli spokojnie

porozmawiać. Kiedy przyjeżdża, wydaje się spokojna i bardzo zdeterminowana, ale nie mam okazji z nią porozmawiać, bo cały czas kręcą się przy nas dzieciaki.

Po wszystkim wygląda na wyczerpaną. Przywozi słodycze i lemoniadę, więc dzieciaki szybko się ożywiają i biegają po całym ogrodzie, rozsypując piasek.

- I jak poszło?

- W porządku. Powiedziałam mu, że nie mogę podejmować żadnych poważnych decyzji, dopóki nie urodzi się dziecko.

Naprawdę nie mogę. Cały czas usiłował mnie przekonać, że to nie miało żadnego znaczenia, że tylko kilka razy, jakby to robiło jakąś różnicę. Powiedziałam mu, żeby wyprowadził się na kilka tygodni. Możemy powiedzieć Lily, że wyjechał na jakąś budowę, już wcześniej tak się zdarzało. Może przyjeżdżać co niedzielę, żeby się z nią zobaczyć i tak dalej. Kiedy dziecko już się urodzi, wtedy będę miała jakiś jaśniejszy punkt widzenia.

- Jesteś pewna?

- Tak, absolutnie. Wiem, na początku nie chciałam tego dziecka, ale teraz bardzo go chcę, i wiem też, że nie dam rady tak od razu wszystkiego rozwiązać. To nie byłoby dobre dla dziecka, prawda? Uświadomiło mi to napięcie, jakie czułam, kiedy się dziś spotkałam z Danem. Wiem, że to brzmi trochę dziwnie, ale ja nie mogę teraz nic z tym zrobić, jestem zbyt zmęczona. Tak więc zamierzam udawać, że nic się nie stało. Tylko przez kilka tygodni. Mówię jak wariatka?

- Nie, wcale nie.



- I myślę, że to zrobi dobrze nam obojgu. Nabierzemy trochę dystansu. Teraz jestem tak bardzo wkurzona, że gdybym zaczęła się na niego wściekać, to chyba bym nie skończyła. I nie chodzi tylko o Dana, ale właściwie o wszystko. Co zrobić, żeby wszyscy byli zadowoleni, odpowiednio postępować z Lily, z nim, no i jest jeszcze praca. Jestem strasznie zmęczona, po prostu nie mam siły. To nie tak, że mi nie zależy, ale po prostu nie jestem w stanie temu sprostać. Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Oczywiście, że tak.

- I cholernie się na nim zawiodłam. Myślałam, że jest inny. Wiem, że ostatnio było trochę ciężko, ale nie przyszłoby mi do głowy, że może zrobić coś takiego. I nie można zwalić tego wszystkiego tylko na Lolę.

- Tak, chyba masz rację.

Boże, to cała Molly - zawsze stara się być w porządku. Wiem, że ma rację, ale i tak jestem bardziej wściekła na Lolę niż Dana, co nie ma za bardzo sensu. Ale ja wiem, że to nie był pomysł Dana. Owszem, mógł się na to zgodzić, złapać przynętę, ale to Lola tym wszystkim sterowała. To był jej pomysł. Tak jak zawsze.

- Jest jeszcze jedna sprawa.

- Co takiego?

- Będziesz ze mną przy porodzie? To znaczy, jestem pewna, że nic mi nie będzie pod okiem położnych, bo one wszystkie są naprawdę świetne, ale byłoby miło mieć przy sobie kogoś bliskiego.

- Jasne, że tak. Ale będę beznadziejna, ostrzegam cię.

- Nie będziesz. Ale w porządku. Jeśli będziesz miała dość emocji, możesz zawsze wyjść na spacer - nie będę zła. Raczej nie będę chciała, żeby był przy tym Dan. Niewykluczone, że mogę w ostatniej chwili zmienić zdanie, ale nie wydaje mi się, żeby tak się stało. Nie myślisz, że jestem pomyłona, prawda? Powiedziałaabyś mi, co?

- Pewnie. Z radością przy tobie będę. Tylko nie wiem, czy na pewno można na mnie polegać, kiedy trzeba będzie z ciebie wycisnąć to dziecko. Och, przepraszam.

Bardzo śmieszne.

- Masz ochotę się czegoś napić? Może coś zjesz?

- Nie, ale bardzo bym chciała się trochę zdrzemnąć. Czy to nie straszne? Ale jestem tak bardzo zmęczona. Nie będzie ci przeszkadzać? Tylko pół godzinki. A potem zabiorę Alfiego do nas, żebyś i ty miała trochę spokoju.

- Nie gadaj głupot, śpij, jak długo chcesz. Nie mam żadnych planów. Później muszę jechać do supermarketu, ale to wszystko.

- Dobra. To może ja się prześpię i potem zostanę tu z dziećmi, a ty pojedziesz na zakupy. Co ty na to? Urządza cię to?

- Teraz mówisz do rzeczy. Tobie też mogę zrobić zakupy, jeśli chcesz.

- Mam straszną ochotę na spaghetti. Cały dzień to za mną chodzi. Zrobię kolację, jeśli chcesz. Alfie lubi grzyby?

- Tak.

- Dobra. W takim razie zrobię moje specjalne spaghetti. A na deser możemy zjeść lody. Ciemna czekolada dla nas, waniliowe dla dzieci. Właściwie to nie jestem pewna, czy powinnam jeść ciemną czekoladę -

zdaje się, że tam jest dużo kofeiny. E tam, chrzanię to. Och, jest wspaniale. Nie muszę nic robić. Najpierw się prześpię, a potem tylko zrobię listę. Cudownie, zupełnie jakbym była księżniczką.

Myślę, że trudno byłoby znaleźć osobę, która ma w sobie mniej z księżniczki niż Molly, która tymczasem człapie na górę, a ja siedzę z dziećmi i bronię się przed zasypaniem mokrym piachem.

Jezu. Robi się coraz gorzej. Molly wróciła do domu i właśnie zadzwoniła, że zjawiała się u niej Doreen była w okropnym stanie, powiedziała, że wie o wszystkim od Dana, który mieszka teraz u niej, i chciała z nią porozmawiać.

- A potem powiedziała mi, że takie rzeczy się zdarzają i najwyraźniej ojciec Dana miał podobną przygodę z kobietą, która pracowała w miejscowym pubie. Dan miał wtedy trzy lata, a jego brat dopiero co się urodził; ojciec wybył na dwa tygodnie, a potem wrócił do domu i udawał, że nic się nie stało. Powiedziała, że po prostu postanowiła zrobić to samo i ostatecznie wszystko było dobrze, a ona przeszła nad tym do porządku dziennego. Ale nie wydaje mi się, żeby puściła to w niepamięć. Nie do końca.

- Cóż, to by wiele wyjaśniało.

- Wiem. Prawie zrobiło mi się jej żal, tyle tłumionego gniewu. Nic dziwnego, że jest taka koszmarna. Naprawdę nie chcę skończyć tak jak ona. A potem zapytała, czy nie uważam, że najlepiej byłoby, gdyby Dan wrócił do domu.

- Tak zapytała? Boże, ale tupet.

- Powiedziała, że zdaje sobie sprawę, że to nie będzie łatwe, ale tak naprawdę nie mam żadnego wyboru, z maleńkim dzieckiem i tak dalej. Wtedy puściły mi nerwy i powiedziałam, że mam mnóstwo możliwości, bo nie żyjemy już w mrokach średniowiecza i kobiety nie muszą już cierpliwie znosić takiego badziewia, jeśli nie chcą. Powiedziałam jej też, że albo się rozstaniemy i doskonale dam sobie radę sama, albo dojdziemy do porozumienia. Ale to wszystko postanowię dopiero, kiedy będę gotowa.

- Brawo, co ona na to?

- Szczerze mówiąc, przyjęła to naprawdę dobrze. Powiedziała, że mnie podziwia. To było dziwne, bo zabrzmiało, jakby naprawdę tak myślała. A potem uścisnęła mi dłoń. To dopiero było niesamowite, jakby była ze mnie dumna. Ale to było też trochę wkurzające. Myślałam, że wypadnie rozjuszona i będę rozkoszowała się zwycięstwem. Na koniec powiedziała, że chce pomóc i gdybym potrzebowała pomocy przy sprzątanii, to z radością przyjedzie. Kiedy tylko zechcę. Oczywiście nie skorzystam, ale możesz w to uwierzyć?

- Z trudem. Ale mam brudno w łazience, gdyby była zainteresowana. Jak myślisz?

Charles usiłuje uniknąć wyjaśniania wszystkim, gdzie jest Lola, ale robi się to coraz bardziej skomplikowane. Pani Bishop ciągle zadaje pytania; na razie powiedział jej, że Lola ma dużo pracy i na kilka dni zatrzymała się w mieście. Jednak pani Bishop nie jest co do tego przekonana. Członkowie Towarzystwa Ogrodniczego pracują pełną

parą, bo zostały już tylko dwa tygodnie do czasu przyjazdu sędziów i każdy stara się, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek o tym wiedział, dopóki czegoś nie postanowimy.

- Jasne.

- Jej najnowszy pomysł jest taki, że damy sobie jeszcze jedną szansę i wszyscy wrócimy do Londynu.

- Och.

Boże, naprawdę mam nadzieję, że Charles na to nie pójdzie.

- Ale nie widzę w tym żadnego sensu. Coś takiego zdarzyło się jej nie pierwszy raz. Właściwie dlatego się tu przeprowadziliśmy. I taka zagrywka z jej strony na pewno się powtórzy. Ale sam nie wiem. Co o tym myślisz? Powinienem spróbować jeszcze raz?

Bardzo chcę powiedzieć, że nie, że Lola jest ostatnią zdzirą, a jemu będzie o wiele lepiej bez niej, ale wydaje mi się, że nie powinnam. No bo, pomijając już wszystko inne, on może ciągle ją kochać.

- Nie wiem, Charles. A chcesz jeszcze raz spróbować?

- Nie, jeśli mam być szczery, ale najbardziej chodzi mi o dobro dzieci. Myślę, że ona nie chce rozwodu tylko ze względu na pieniądze.

Uważam, że ma absolutną rację, ale nie chcę pogarszać sprawy.

- Dlaczego tak mówisz?

- Zawsze miała na tym punkcie obsesję i nadal żąda połowy mojego rodzinnego majątku, a wszystko jest w funduszach. Co do domu, to jesteśmy współwłaścicielami, więc powinienem zapłacić jej połowę jego wartości i coś tam jeszcze, ale to i tak będzie za mało. Ona zawsze

chce więcej i więcej. Tak czy siak, nie chcę wracać do Londynu. Nie cierpiałem tamtejszego życia, zawsze czułem się tam bezużyteczny, ale tutaj jest inaczej. I uwielbiam ten ogród. Wiem, że to grupie, ale tak jest. A ona robi to ponownie, wiem, że tak będzie. Od dawna nie było między nami dobrze. To moja wina. Powinienem załatwić to wszystko już wieki temu, ale po prostu nie byłem w stanie się z tym zmierzyć. Myślałem, że tak będzie lepiej dla dzieci i takie tam, no wiesz. Głupiek ze mnie, naprawdę.

Robi się cały czerwony. Jest strasznie zdenerwowany.

- Wcale nie. Staraleś się postąpić właściwie. To nie jest głupie. Gdzie ona teraz mieszka?

- W Londynie, z przyjacielem. Powiedziała, że na weekend wraca do domu i chce zabrać dzieci. Oczywiście, jeśli wszyscy nie wrócimy do Londynu. Powiedziała, że kiedy się urządzi, będą mieszkały z nią, ale już teraz wiem, że tak nie będzie. Po prostu musi tylko to wszystko jakoś wyjaśnić swoim znajomym i tak naprawdę będzie szczęśliwa, zostawiając je ze mną i widując je od czasu do czasu w weekendy. Muszą tylko dać jej dość pieniędzy, żeby mogła sobie kupić odpowiedni dom. Wszystko znowu sprowadza się do pieniędzy. Wiem, że to brzmi strasznie, ale taka jest prawda. Czasami myślę, że wyszła za mnie tylko z tego powodu.

- Och, Charles, to nie może być prawda.

- Nie wiem. Na początku byliśmy naprawdę szczęśliwi, ale wtedy była inna. Zmieniła się na gorsze z biegiem lat, co pewnie jest moją winą. Tak czy inaczej, chyba się nie zgodzę na nowy początek. Nie wydaje mi

się, żeby to miało zrobić dobrze dzieciom. One wyczuwają całe to napięcie.

Zastanawiała się nad wysłaniem Ezry do szkoły z internatem. Wiedziałaś o tym? Po moim trupie. Może i jestem beznadziejny, ale przynajmniej mogę mu tego oszczędzić. Nienawidziłem swojej szkoły. Z całego serca nienawidziłem. I ona o tym wie. Zdaje się, że właśnie wtedy zrozumiałem, że to wszystko nie ma sensu. Nie chcę go nigdzie wysyłać. Może zostać ze mną. Tak będzie lepiej, prawda?

- Tak, jestem tego pewna.

- W każdym razie, przepraszam, strasznie się rozgadałem. Myślę, że w końcu to wszystko się jakoś ułoży. Co z Molly?

- W porządku. Nadal nie jest jej lekko, ale czeka, aż urodzi się dziecko, zanim cokolwiek postanowi.

- Muszę przyznać, że czuję się okropnie z jej powodu.

- Hm, to przecież nie twoja wina.

- W pewnym sensie tak. Wiesz, Alice, potrzeba dwojga, żeby spieprzyć małżeństwo.

- Pewnie tak.

Boże, ale z niego dorosły facet. Wiem też, że ma rację.

- A tak w ogóle, to chciałem ci powiedzieć o ogrodzie. Frank powiedział, że według niego mamy szansę, wiesz? Uważa, że sędziom się spodoba. Mam taką nadzieję. Nam wszystkim przydałyby się dla odmiany jakieś dobre wiadomości, a poza tym, ludzie naprawdę się przy tym napracowali.

- Ty też nie próżnowałeś, Charles. I myślę, że chyba masz rację co do Loli, a dzieciom na pewno będzie lepiej, kiedy oboje będziecie szczęśliwsi, jak już załatwicie wszystko między sobą.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak. I mam nadzieję, że ogród zdobędzie jakąś nagrodę, bo to doprowadzi Lolę do szału. Ominie ją cała chwała.

- Znając ją, zapewne znajdzie jakiś sposób, żeby przypisać całą zasługę sobie.

- Och, wydaje mi się, że to nie będzie takie łatwe. Nie, jeśli pani Pomeroy ma w tej sprawie coś do powiedzenia.

Znowu robi się upalnie i burzowo i wszyscy mamy już tego dosyć. Cindy udało się wyciągnąć Patrica do jakiegoś eleganckiego hotelu na Majorce, co musi ich kosztować fortunę. Mam nadzieję, że to jego uczulenie na słońce nie da mu zbyt mocno do wiwatu.

Postanawiamy z Molly zafundować dzieciom popołudnie na plaży, bo doprowadzają nas do szału, kiedy siedzą cały czas w domu. Z radosnym chichotem igrają z falami, wbiegając w morze po kolana, aż w końcu Alfie się przewraca i jest cały mokry, ale przynajmniej jest nam odrobinę chłodniej. Potem zabierają się do budowy zamków z piasku i noszą wiadrami wodę do fosy, a my siedzimy sobie na kocyku, nadzorujemy całą zabawę i po-pijamy herbatę z termosu, zagryzając od czasu do czasu herbatnikiem, kiedy nie patrzą.

- Śpisz już trochę lepiej?



- Raczej nie. Czuję się, jakby przebywała w wiecznej mgle. Właściwie to całkiem przyjemne uczucie, gorzej, jeśli mam coś zrobić.

- Jak się spisał Dan w niedzielę?

- W porządku. Przyjechał, trzymał się warunków umowy i nic nie mówił. Po prostu bawił się z Lily, a potem zrobiłam lunch, jakby wszystko było normalnie. Potem powiedział, że musi jechać do pracy, i zdaje się, że Lily nie była tym zbytnio przejęta, jeśli mam być szczerą.

- A ty co czułaś, widząc go ponownie?

- Cóż, nadal jestem wkurzona, ale jakimś cudem ta umowa, że nie będą podejmowane żadne decyzje, dopóki dziecko się nie urodzi, naprawdę dobrze na to wszystko wpływa. Dobrze robię, prawda?

- Tak, już ci mówiłam. No bo skąd możesz teraz wiedzieć, jak będziesz się z tym czuła? Boże, przez ostatnie tygodnie ciąży z Al-fiem byłam tak tym przytłoczona, że nie zauważyłabym nawet, gdyby cały świat się zawalił, jeśli tylko byłaby otwarta porodówka.

- To dobrze. Bo czasami myślę, że go nie kocham, a to nie ma sensu. Gdybym naprawdę go kochała, chciałabym go zabić, prawda? Właściwie, to chcę go zabić, ale po prostu chwilowo nie mam dość siły.

- No właśnie. Myślę, że znaczy to tylko tyle, że jesteś w ciąży.

- Racja.

- Boże, spójrz na niego.

Plażą idzie super przystojniak i niesie na barana małą dziewczynkę. Mała ma kapelusz, jakieś trzy numery za duży, i różową, przewiewną sukieneczkę.

- Słodko wygląda. Lily ma podobną sukienkę.
- Jest boski.
- Tak. I on to wie. Uważaj, zaraz zobaczymy jakąś biedną, obładowaną jak wielbłąd kobietę. Tylko poczekaj.

Faktycznie, spory kawałek za nim pojawia się młoda kobieta, która prowadzi jedną z tych modnych, trójkołowych spacerówek, co na piachu wydaje się prawdziwą mordęgą. Do tego jest obwieszona przeróżnymi torbami, ma też parasol i koc.

- Typowe.

Robimy na plaży szybki rekonesans, żeby się upewnić, że za tymi fasadami szczęśliwych rodzin tak naprawdę buzuje napięcie. Wokół pełno jest facetów przechadzających się z kluczykami od samochodu i małymi wiaderkami, a ich żony biegną za nimi truchtem, objuczone jak dzikie osły. Zauważamy też jednego mężczyznę, który taszczy cały dobytek, zaś jego żona odziana w sarong niesie tylko magazyny i komórkę. Widać, że jest wściekła; pewnie chodzi o to, że angielska plaża to nie to samo co Saint-Tropez.

Potem pojawia się młoda para, dość sprawiedliwie obdzielona bagażami. Mają maleńkie dziecko i zapewne jest to jego pierwsza wyprawa nad morze. Przytargali ze sobą całe niezbędne wyposażenie: jeden z tych specjalnych namiotów, które blokują promienie UV w zestawie z moskitierą, parasol, matę do zabawy, ogromną torbę zabawek na wypadek, gdyby mały się znudził, i kamerę, żeby mogli uwiecznić moment, kiedy po raz pierwszy zobaczy morze.

Oboje wyglądają na wycieńczonych, obchodzą się z małym jak z niewybuchem i ciągle poprawiają, a to jego namiocik, a to kapelusik. Widać, że są z niego bardzo dumni. Molly mówi, że ona i Dan też kiedyś tacy byli, po czym milknie.

Myślę, że mogła poczuć przygnębienie, ale akurat wtedy pojawia się okropny, czerwony na twarzy mężczyzna i zaczyna krzyczeć na swoją żonę i dzieci. Praktycznie zmusza ich do tego, by maszerowali jak jakaś formacja wojskowa, a blada, wyglądająca na wyczerpaną kobieta taszczy olbrzymią torbę-lodówkę. Kiedy wreszcie stawiają na piasku, facet krzyczy: „Nie tu, Maureen”, i kobieta musi ją przesunąć. Następnie gość wyciąga młotek i ustawia w wielkim kwadracie parawany od wiatru, zostawiając jedynie niewielki otwór, jako wejście do swojego obozu. Później pewnie wystawi wartowników. Pokrzykuje na dwóch chłopców, żeby zajęli pozycje do gry w frisbee; młodszy zupełnie nie potrafi łapać, więc ojciec ciągle się na niego wydziera i nazywa idiotą.

- Nie mogę tego znieść. Zaraz do niego pójde i coś mu powiem. Nie cierpię takich tyranów jak on.

- Molly, nie rób tego. Pewnie i na ciebie nawrzeszczy.

- Liczę, że to zrobi. Umiem sobie radzić z takimi krzykaczami. Zapewne czegoś takiego się nie spodziewa.

Ale nim zdołałyśmy podzwignąć Molly do pionu, wydarza się prawdziwy cud. Mały, który został nazwany idiotą, odrzuca ojcu frisbee, które przelatuje ze świstem zaledwie parę centymetrów od jego głowy. Kiedy facet rzuca się, żeby je złapać, traci równowagę i

pada jak długi twarzą w wilgotny piasek tuż na skraju morza. Rozlega się naprawdę satysfakcjonujący chlupot, a poza tym zajście to widziała prawie cała plaża. Wszyscy się uśmiechają, ktoś nawet klaszcze. Zdaje się, że to może być Molly.

- Dzięki ci, Boże.

Mężczyzna wstaje i wraca dość obolały do swojego obozu. A kiedy już mamy wizję okropnej zemsty, jaką szykuje za parawanami, ze środka wyłania się jego żona, żeby uściskać małego. Wsuwa mu do ręki coś, co wygląda nam na kitkata, ale dobrze nie widzimy. Gdybym wiedziała, że to wszystko będzie takie fascynujące, zabrałabym lornetkę. Jim sprezentował mamie lornetkę pod choinkę i mama bardzo ją sobie chwali. Mówi, że obserwuje przez nią ptaki, ale tak naprawdę, to spędza długie godziny na podglądaniu sąsiadów.

- To lepsze od EastEnders. Zobacz, ta snobka w sarongu idzie do morza. Czeka ją okropny szok. Założę się, że nie zdaje sobie sprawy jak zimna jest woda.

Kobieta zdaje się przez moment wahać, jakby nie dowierzała, że woda jest aż tak zimna, i chciała złożyć formalną skargę kierownictwu, ale jest bardzo zdeterminowana, więc się zanurza. Może usiłuje przedostać się do Francji?

Konsumujemy naszą wałówkę z piaskiem, a potem brodzimy przy brzegu.

- Dziecko też jest nad morzem, prawda mamusiu?

- Tak, Lily.

- Może chce wyjść i popływać? Mogę pożyczyć mu moje rękawki.

- Jeszcze nie, skarbie, ale to bardzo miło, że chcesz podzielić się swoimi rękawkami.

Alfie patrzy na brzuch Molly, po czym przysuwa się bliżej i krzyczy na cały regulator:

- Wychodź, wychodź. Jesteśmy nad morzem i mamy rękawki! Następnie zaczyna pukać w brzuch, jakby pukał do drzwi, ale na szczęście Molly zdaje się to nie przeszkadzać.

- Na pewno śpi. Założę się, że się zdenerwuje, kiedy się obudzi i dowie, że przegapiło morze.

Zapewne nie tak jak Molly, jeśli ta wyprawa zakończy się porodem na plaży.

- Właściwie, Alfie, myślę że masz rację. Dziecko teraz śpi. Pobrodzimy sobie jeszcze w morzu?

Alfie i Lily zaczynają przeskakiwać przez rozbijające się o brzeg fale.

- Moll, jest coś, o co chciałam cię zapytać. Powinnam przeczytać jakąś książkę albo broszurkę ze szpitala?

- Na temat tego, jak być dobrym partnerem przy porodzie?

- Właśnie.

- Nie.

- Świetnie. Zaplanowałaś sobie, jak to ma wyglądać?

- Nie, ale powiem ci, jak bym chciała.

- Dobra.

Boże, mam nadzieję, że to nie będzie poród w wodzie. Nie mam specjalnej ochoty całymi godzinami taplać się w brodziku z letnią wodą.

- Chcę zacząć w naturalny sposób, bez kroplówek, monitorów czy oślepiających świateł. I żadnego skakania.

- Co?

- Nie cierpię, kiedy mówią: a teraz skoczmy sobie do sali, proszę sobie wskoczyć na łóżko, no wiesz. Mam wtedy ochotę wrzeszczeć.

- Racja.

- Jeśli jest na świecie ktoś, kto absolutnie nie ma ochoty skakać, to właśnie kobieta w dziewiątym miesiącu ciąży. Ja się ledwie toczę. Mój lekarz prowadzący też mnie tak wkurzał. Widziałam go tylko raz. Jest bardzo pompatyczny i nie patrzy w oczy. Pan Hamilton-Parr. Może byłoby dobrze, gdybyś mu przyłożyła, kiedy się pojawi.

Właściwie nie jestem pewna, czy temu wszystkiemu podołam, ale chyba jest już trochę za późno, żeby zmienić zdanie.

- Dobra. Jak dla mnie, brzmi całkiem nieźle. Przyłożyć lekarzowi i żadnego skakania. Da się zrobić. Nie ma problemu.

### DZIENNIK OGRODOWY

Posadź zimową kapustę i szpinak, wypiel rabaty i poucinaj zaszczepki. Rozrzuc cebulki garściami, a potem posadź je tam, gdzie upadły, by uzyskać naturalny efekt, unikając kępek i zacienionych miejsc. Rozepnij siatki nad oczkami wodnymi, by ochronić je przed liśćmi.

*Sadzę cebulki w kadzi przy tylnych drzwiach; próbowałam tego sposobu z rzucaniem garściami, ale połowa zginęła pod żywoplotem. Grabię też trochę liści i dorzucam je do kupy na ognisko. W weekend próbuję ją podpalić, ale najpierw bez końca grzebię w niej grabiami, by się upewnić, że nie urządzimy kremacji żadnemu jeżowi. Okazuje się, że podpalenie tego cholerstwa nie jest takie proste, jak mi się zdawało; ostatecznie zużywam wszystkie niedzielne gazety i trzy długie zapałki do kominka, a kiedy wreszcie zajmuje się ogniem, płomienie strzelają tak wysoko, że wygląda, jakby za chwilę miał się spalić płot, a może i dom. Alfie wpada w pinomański szał i skacze wokół ogniska, udając Indianina. Ja stoję w pobliżu z wiadrem wody, gotowa chlusnąć na niego, jeśli się nie uspokoi. Alfie strasznie chce wrzucać różne rzeczy do ognia i kiedy wydaje mi się już, że wyjaśniłam mu, jakie to niebezpieczne*

*i absolutnie zabronione przez kodeks skautów, wrzuca w płomienie jeden ze swoich kapci i pieje niczym jakaś postać z Władcy much. Jezu. Kto by pomyślał, że ogniska mogą być takie stresujące.*

*Pierwszy dzień Alfiego w szkole okazuje się mniej traumatyczny, niż się obawiałam, i trzeba przyznać, że wygląda niezwykle słodko w szkolnej bluzie. Nie rozumiem, dlaczego w podstawówkach upierają się, żeby wpychać czterolatki w sztywne koszule i krawaty. Jak dla mnie, zalatuje to lekkim fetyszyzmem.*

*Zarówno Alfie, jak i Lily radośnie wchodzą do środka; Alfie wymachuje nowym pudełkiem na lunch z Batmanem, a Lily gawędzi z nauczycielką, która wydaje się bardzo wesoła. Wprawia nas w lekkie zakłopotanie, kiedy podchodzi, mówi „witam mamusie” i pyta, czy jesteśmy podekscytowane naszym pierwszym dniem, ale zdaje się, że Alfiemu i Lily się podoba. Śniły mi się koszmary, że Alfie trzyma się kurczowo bramy, odmawiając wejścia do szkoły, ale fakty są takie, że jedyną osobą bliską łez jestem ja. Jestem pewna, że sobie poradzi. Podobało mu się tamto pokazowe popołudnie i zna już inne dzieci. Ale mimo wszystko...*

*Ledwie zjawiam się w pracy, dzwoni do mnie mama, domagając się pełnego sprawozdania. Mówi, że od świtu siedzi jak na szpilkach, ale nie chciała dzwonić, żeby przypadkiem jeszcze bardziej mnie nie zdenerwować.*

- Dzięki Bogu, przeszedł to szczęśliwie.
- Tak, a poza tym zna już mnóstwo dzieci, z przedszkola.
- Poradzi sobie.
- Tak.



- Zadzwoń, jak tylko wrócisz do domu. Obiecujesz?

- Tak, mam, obiecuję.

- Albo możesz zadzwonić do mnie z komórki, jak będziesz jechała do domu. Pod warunkiem że się zatrzymasz na poboczu. Nie chcę, żebyś rozmawiała w czasie jazdy przez telefon. Któregoś dnia widziałam faceta, który to robił, i jechał zygzakami. Na wszelki wypadek spisałam numery z jego tablicy rejestracyjnej i miałam wielką ochotę zadzwonić na policję, żeby mieli go w kartotece, gdyby coś takiego się powtórzyło.

- Dobrze, mam, obiecuję.

Zajęcia dobiegają końca i okazuje się, że tu również moje przewidywania się nie sprawdziły, dzięki ci Boże. Alfie nie stwierdza, że nigdy więcej nie pójdzie do szkoły ani że na przerwie znęcał się nad nim jakiś okropny, duży chłopak, co było moimi dwoma głównymi zmartwieniami. Kiedy wychodzi ze szkoły, wygląda na wykończonego. Co zagadkowe, ma tylko jedną skarpetkę i zapodział gdzieś pudełko na lunch, ale mówi, że było całkiem fajnie. Rysował i pani Trent powiedziała, że jest bardzo grzecznym chłopcem. Chce wiedzieć, co jest na podwieczorek, po czym oświadcza, że nie cierpi makaronu, właściwie to zawsze nie cierpiał makaronu, i nie zje go pod żadnym pozorem.

Proponuję pieczone ziemniaki z tuńczykiem, co najwyraźniej jest jeszcze gorsze i może przyprawić go o mdłości, zatem kończy się na kompromisie i będą kiełbaski z groszkiem i puree, ale tylko pod

warunkiem że nie będzie grudkowate i bez tych czarnych kuleczek. Tylko raz dodałam pieprz, ale on nigdy nie puścił tego w niepamięć. Molly mówi, że Lily też ma się dobrze, choć twierdzi, że jej lunch był okropny i inne dziewczynki miały sok, a nie wodę i ona też chce frugo, jak Natasha.

- Już się zaczęło. Teraz jesteśmy zdane na łaskę tego, co mają inne dzieci.

- Wiem. A we frugo jest pełno świństw. Myślisz, że mogę kupić butelkę i napełnić ją czymś mniej obrzydliwym?

- Tak, ale nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- Wiem. Ale to początek szkoły i chcę tylko, żeby była szczęśliwa.

- No cóż, może przez jakiś czas się uda. O, i kup od razu kilka tych butelek.

- Po co?

- Jak Alfie się dowie, że Lily ma frugo, też będzie chciał.

Zaraz po podwieczorku dzwoni Patrie, żeby porozmawiać z Alfiem o pierwszym dniu w szkole. To naprawdę miło z jego strony. Zauważyłam, że ostatnio mnie aż tak bardzo nie denerwuje i przynajmniej spotyka się z Alfiem w miarę regularnie, a tylko to się liczy. W weekend zrobił wielkie halo z powodu nowej szkolnej bluzy Alfiego, napstrykał zdjęć i tak dalej.

Nawet jeśli robi coś irytującego, nie jestem na niego już tak wściekła jak kiedyś. Zdaje się, że wreszcie dawne uczucia zaczynają blaknąć. Nie wydaje mi się, by kiedykolwiek miał się znaleźć na szczycie mojej listy ludzi, z którymi chciałabym utknąć na bezludnej wyspie, bo pomijając

już wszystko inne, jęczałby tak bardzo, że zapewne musiałabym go utopić, ale jeśli tylko będzie interesował się Alfiem, myślę, że wszystko powinno być w porządku.

Zaczynam nawet trochę współczuć Cindy. Powiedziała mi w weekend, że wakacje to była katastrofa. Najwyraźniej przez większość pierwszego tygodnia upierał się, że będzie pracował i albo siedział z laptopem, albo wisiał na komórce, a potem dostał tego uczulenia na słońce i kiedy sytuacja zrobiła się podbramkowa, musiała zadzwonić po lekarza, który zaaplikował mu ogromny zastrzyk. Najprawdopodobniej zrobił to dla żartu, bo Patrie strasznie panikował. Spał potem prawie dwie doby i Cindy martwiła się, że zapadł w śpiączkę.

Właśnie kończę przygotowywać lunch dla Alfiego na następny dzień, kiedy dzwoni Jim. Chce wiedzieć, jak minął mu pierwszy dzień szkoły, i pyta mnie o Molly. Na koniec przyznaje się, że wiedział, że coś się może kroić, bo kiedy poszedł do pubu z Danem, ten zrobił jakąś drobną aluzję na temat Loli.

- I nie pomyślałeś o tym, żeby mi powiedzieć? Jesteś ostatnim głupkiem.

- No cóż, honor skauta i tak dalej, a tak poza tym, Dan właściwie niczego nie powiedział. To było bardzo ogólne. W każdym razie powiedziałem mu, żeby trzymał się od niej z daleka.

- Widać bardzo wziął to sobie do serca, co? Co dokładnie powiedział?

- Nic takiego, mówił tylko, że zawsze z nim flirtowała, kiedy zajmował się ogrodem i tak dalej, naprawdę nic konkretnego, i że niezbyt im się układa z Molly.

- Nadal uważam, że mogłeś mi o tym powiedzieć. Wtedy miałabym ich na oku i mogłabym ostrzec Molly.

- Nie mogłabyś. Nie możesz oskarżać ludzi o romans, dopóki nie jesteś pewna, że naprawdę tak jest. A potem i tak jest za późno.

- Chyba tak.

- Tak czy inaczej, Dan to idiota. Molly jest świetna, a ta cała Lola to jakiś koszmar, takie jest moje zdanie. Każdy to widzi. Co za kutas.

- Jeśli do ciebie zadzwoni, to na twoim miejscu pominęłabym tę ostatnią uwagę. Spróbuj z nim porozmawiać.

- Och, sam nigdy bym na to nie wpadł. Wielkie dzięki. Ale nie wydaje mi się, żeby do mnie zadzwonił; wie, że tym razem będę po stronie dziewczyn. Opowiadałem mu o jednym gościu z biura, który odszedł od żony, kiedy była w ciąży, i zgodziliśmy się, że to była zagrywka poniżej pasa.

- Ale on od niej nie odszedł; mieszka u swojej matki, dopóki sobie wszystkiego nie wyjaśnią. Molly chce poczekać do narodzin dziecka, bo na razie nie jest w stanie znieść więcej atrakcji, ale niczego nie postanowili.

- Wrócił do mamusi! Biedny gnojek. Założę się, że już ona da mu odpowiedni wycisk.

Zwiało jedno z kurcząt Molly. Właściwie zostało chyba zjedzone przez lisa, ale Molly jest przekonana, że uciekło i ma na tym punkcie coraz

większą obsesję. Uważam, że to jakaś dziwna odmiana fiksacji, jaką tuż przed porodem zalicza każda kobieta.

- Mieszkanie ze mną pod jednym dachem musi być straszne, nawet kurczaki uciekają.

- Molly, Frank przecież mówił, że to na pewno sprawka lisa, prawda?

- Tak.

- No widzisz. Przestań już. Jak było u lekarza?

- Ciągle mam trochę podwyższone ciśnienie, ale to nic poważnego.

- Kazał ci wskoczyć na leżankę?

- Tak. I pewnie dlatego ciśnienie też mi skoczyło. I to całe próżnowanie doprowadza mnie do szału, a poza tym naprawdę martwię się o kurczaki, wiesz? Pomyślałam, że mogłabym dokupić jeszcze ze dwa, wtedy będzie ich sześć, a to jest dobra liczba. Czytałam, że trzeba zachować dużą ostrożność przy wprowadzaniu nowych kurcząt do kurnika, żeby nie zostały zdominowane.

- Co w takim razie trzeba zrobić? Zebrać je wszystkie na naradę czy co?

- Nie, ale należy się upewnić, że nowe kury są dość duże, czyli mają co najmniej dwadzieścia tygodni, i trzeba im pozwolić się do siebie nawzajem przyzwyczaić. Można kupić specjalne gumowe nakładki, coś jak kagańce, które zakłada się na dzioby tyranów, żeby nie dziobały nowych dziewczyn. Szkoda, że nie mamy czegoś takiego w szkole.

- A niech mnie. To już wcale nie przypomina Domku na prerii. Gumowe kagańce dla kurczaków.

- Wiem, ale pojedziesz ze mną? Chcę je kupić jutro, żeby już zaczęły się zadomawiać.

- No dobrze.

Super. Mam całą masę roboty, a teraz jeszcze muszę pojechać z Molly, żeby pomóc jej wybierać kury.

Udajemy się do polecanej nam przez Elsie świrniętej hodowczynie drobiu, która specjalizuje się w kurach i kaczkach. Wybieramy dwie kurki, których złapanie zajmuje nam całe wieki. Po powrocie do domu zamykamy je w zagródce, podczas gdy reszta kurczaków krąży po ogrodzie, ale wszystkie przypatrują się sobie nawzajem. Boże, nawet ja czuję się lekko spięta, bo nie kupiłyśmy tych gumowych nakładek, ale nawet gdyby były, to pojęcia nie mam, jak byśmy je pozakładały. Molly uważa, że szczególnie Poppy byłaby temu przeciwna. Ale na szczęście wygląda na to, że wszystkie kurczaki są dość przyjaźnie nastawione, więc wypuszczamy nowe dziewczyny na próbny spacer i choć jest trochę poszturchiwania i przepychanek, nie dzieje się nic naprawdę groźnego.

- Co za ulga. Ale chyba i tak zamknę je na noc oddzielnie. Mogą spać w zagródce, a reszta w kurniku. Będę oswajała je ze sobą stopniowo.

- Dobra.

- Myślisz, że mi odbija, prawda?

- Nie. No, może troszkę. Rozumiem, że byłoby nieprzyjemnie, gdybyś do tego wszystkiego jeszcze skończyła z zadziobanym kurczakiem na rękach. Niemniej jednak cieszę się, że nie postanowiłaś sprawić sobie owcy. Kto wie, do czego takie owce są zdolne.

- Wiedziałaś, że kury potrafią liczyć tylko do dwóch, więc jeśli chcą zabrać się do wysiadywania jaj, wystarczy zostawić im tylko dwa i wszystko będzie w porządku. Myślę, że chyba pozwolę Poppy na kurczęta. Ciągłe znosi jajka w żywopłocie i zdaje się, że ma ochotę zostać mamą, bo strasznie dziobie, kiedy je zabieram.

- Jasne.

- Nie patrz tak na mnie. Zdaję sobie sprawę, że mówię jak kompletna wariatka.

- To dobrze, bo już się martwiłam.

- Kawy? Ale obawiam się, że musi być bezkofeinowa, bo tylko taką mamy.

- W porządku.

Siedzimy w kuchni, przyglądając się, jak kury się ze sobą bratają, kiedy Molly mówi, że wczoraj wieczorem przyjechał Dan i przywiózł od Doreen sweterek dla dziecka.

- Ale wydaje mi się, że tak naprawdę to miał nadzieję na rozmowę.

- I jak było?

- Poszłam wziąć kąpiel, nie byłam w stanie. Na razie nie chcę go widzieć. Naprawdę nie chcę. Kiedy go nie widzę, to jest prawie tak, jakby na przykład wyjechał w interesach. Za to Lily pokazała mu swoją nową książeczkę i jej na pewno sprawiło przyjemność, że przyszedł. Ale ja sobie z tym nie radzę, nie kiedy się tak czuję. To po prostu za wiele. W tym momencie nawet zwleczenie się z łóżka jest dla mnie wyzwaniem. Myślisz, że to może być kwestia dziecka i ciąży? Że po prostu odsuwam od siebie wszystko, żeby urodzić w spokoju?

- Jestem pewna, że tak.

- Dobrze, bo jakoś nie mogę z siebie wykrzesać energii na cokolwiek. Chciałam dzisiaj pójść do Charlesa i zobaczyć ogród, ale byłam za bardzo zmęczona. A naprawdę chcę zobaczyć, jak wygląda. Jutro wielki dzień. Charles mówił, że o której zjawią się sędziowie?

- Na pewno nie przed dziesiątą, ale dokładnie chyba nie wiadomo.

Charles dzwonił wczoraj prawie w amoku. Sędziowie byli w zeszłym tygodniu i właśnie dostał telefon, że przeszliśmy do finału. Podobno pani Pomeroy tak się ucieszyła, że aż pocałowała pana Channinga, więc teraz oboje są w szoku.

- Wzięłam sobie wolne przedpołudnie, ale po południu powinnam się pokazać w pracy. Mam nadzieję, że nie zejdzie im zbyt długo.

- Przyjdę do ciebie, kiedy odwiozę Alfiego, i możemy podejść do Charlesa, jeśli obiecasz, że będziesz szła powoli.

- Dobra, ale nie wiem, w co się ubrać. Wiem, że mamy wyglądać jak amatorzy, ale chcę zrobić odpowiednie wrażenie.

- Wyglądasz ślicznie w tej nowej spódnicy. W tej aksamitnej. I nie wygląda zbyt biznesowo.

- Dobra, założę ją. Boże, mam nadzieję, że nie będą mi zadawali żadnych podchwytliwych pytań na temat ogrodnictwa. Nie chcę nas skompromitować.

- Poradzisz sobie świetnie.

Strasznie się denerwuję przyjazdem jury. Bardzo chcę, żeby spodobał im się ogród, i jestem przerażona, że o coś mnie spytają, a ja wszystko



pokręcę. Jak się nazywa ta roślina albo jaki jest najlepszy sposób na zapylenie drzew owocowych, na przykład.

Siedzimy z Molly w altanie, czekając na przyjazd sędziów; staram się głęboko oddychać w nadziei, że przestanie mi być niedobrze.

- Już są, tylko nie panikujcie. Właśnie przyjechali. Pani Pomeroy sama wydaje się bliska paniki.

- Zostańcie tutaj. Przedstawimy was w trakcie oglądania. Przez chwilę widzimy Charlesa i grupę sędziów, za którymi drepczą Frank, Bill, pani Pomeroy i Graham Poltney. Całe wieki oglądają rośliny i słyszymy, jak rozmawiają. Wszystko brzmi strasznie fachowo i pada mnóstwo łacińskich nazw, choć od czasu do czasu Charles wtrąca coś bardziej znajomego, jak marchewka czy lawenda.

- A to są Alice i Molly. Pomogły nam rozpocząć całe to przedsięwzięcie. Alice jest naszą projektantką, i to jej pierwszy ogród, ale na pewno nie ostatni. Ma do tego talent, prawda?

Do licha, pani Pomeroy nie jest zbyt subtelna. Ale sędziowie kiwają głowami i zaczynają mnie pytać, skąd wzięłam pomysły i dlaczego zdecydowałam się na tego rodzaju linearny element wodny, więc zaczynam paplać, że chciałam wprowadzić płynącą wodę, ze względu na dźwięk i refleksy świetlne na roślinach i ceglach, ale niezbyt głęboką, bo z ogrodu często korzystają dzieci, a oni kiwają głowami i mówią, że to bardzo rozsądnie i że niektóre głębokie sadzawki bywają bardzo niebezpieczne.

Para starszych sędziów jest bardzo przyjaźnie nastawiona, szczególnie kobieta, która ma uroczy uśmiech i bardzo ładne, srebrne kolczyki w

kształcie stokrotek, ale młodszy mężczyzna jest bardziej podstępny i mówi, że według niego mój projekt to zlepek różnych wpływów i pyta, czy w ogóle miałam jakąś ogólną koncepcję. O rany. Zakładam, że nie zabrzmi najlepiej, jeśli powiem, że po prostu przejrzałam całe sterty książek i zerznęłam wszystko, co mi się podobało, a potem skleciłam to do kupy.

- No więc, starałam się zasugerować coś w rodzaju tajemniczego ogrodu, ale trochę bardziej sformalizowanego. I chciałam, żeby spacerując kolejnymi ścieżkami, zwiedzający miał wrażenie, że wyrusza w podróż. Wiedziałam, że Towarzystwo Ogrodnicze będzie miało wspaniałe pomysły, jeśli chodzi o dobór roślin, lecz pragnęłam nadać temu zdecydowaną oprawę. A że nie chciałam, by to wypadło zbyt tradycyjnie, postarałam się stworzyć tutaj przestrzeń, która może być interpretowana indywidualnie przez każdego, a szczególnie dzieci. Widzę, że wszyscy są pod wrażeniem. Prawdę mówiąc, sama jestem pod wrażeniem. Wiedziałam, że czytanie tych wszystkich ogrodniczych książek kiedyś na coś się przyda.

- Jeśli państwo zechcecie pójść ze mną, pokażę domek zabaw dzieci i ich warzywa. Są szczególnie dumne z pomidorów.

Jak na zamówienie zjawia się pani Bishop z Mabel w odświętnej sukience. Mabel prowadzi dalej całe towarzystwo, biorąc za rękę młodszego sędziego i opowiadając mu o hodowli fasoli, i o tym, jak Jaś wdrapał się po łodydze fasoli, ale my tego nie robimy, bo mogłaby się złamać. Bóg jeden wie, jak Charles to urządził. Pani Bishop pewnie sterczała na czatach tuż za bramą, ale sędziowie są oczarowani.

Okrażają ogród jeszcze raz i zadają kilka technicznych pytań w pewnym momencie robi się dość ryzykownie, kiedy pan Poltney i pani juror zaczynają się sprzeczać, jaki gatunek jabłoni daje najpewniejsze plony, ale w końcu wszyscy wchodzimy do domu, gdzie czeka już lunch przygotowany przez panią Bishop.

Sędziowie mówią, że naprawdę nie ma potrzeby ich karmić i że kawa w zupełności by wystarczyła, ale pani Bishop stwierdza, że nie ma mowy, żeby przejechali taki kawał drogi i napili się tylko kawy, a poza tym to żaden kłopot, bo lunch przygotowały panie ze Stowarzyszenia Kobiet, a one uwielbiają przecież urządzać przyjęcia pod każdym pretekstem.

W tym momencie przedstawia się Elsie i stwierdza, że panie ze Stowarzyszenia to strasznie wścibska banda i po prostu nie chciały, by taka impreza obeszła się bez ich udziału. Pani Pome-roy rzuca jej piorunujące spojrzenie, a sędziowie się uśmiechają

- Widzę, że to rzeczywiście przedsięwzięcie całej społeczności.
- O tak. Wszyscy podchodzą do tego bardzo poważnie i należy im się pierwsze miejsce. Wszyscy pracowali naprawdę ciężko, praktycznie cała wieś. Ci, którzy nie dali roślin, podarowali nam całe taczki kompostu. Razem z Frankiem jeździliśmy samochodem w tę i z powrotem, żeby to wszystko pozbierać, i mówię państwu, zajęło nam to wiele godzin. Ale, jak to mawiał mój staruszek, wydaj pensa na sadzonkę, a szylinga na dołek, a na pewno ci się opłaci. No i opłaciło się. W życiu nie widziałem takich ładnych warzyw.

- Nawet mój Ted, niech spoczywa w spokoju, musiałyby się nieźle postarać, żeby wyhodować ładniejsze, a był najlepszy, mówię państwu. Trzy lata z rzędu zdobywał złoty medal za kalafiory. A wiecie państwo dobrze, że kalafiory bywają zdradliwe. Bo pewnie wiecie, skoro jesteście sędziami.

- O tak, to prawda.

- Proszę za mną, poznacie jeszcze kilka osób z naszej drużyny.

Pani Pomeroy stanowczo odciąga sędziów od Elsie, która jednak zupełnie się tym nie przejmuje, zajęta dolewaniem wina do swojego kieliszka.

Molly mówi, że trochę jej gorąco, wychodzimy więc z Charlesem do ogrodu.

- Zdaje się, że poszło nieźle.

- Tak. A ten pomysł, żeby Mabel pokazała im domek zabaw, był naprawdę genialny.

- Och, to pani Bishop na to wpadła. A tak przy okazji, chcesz kawy? Mam nawet bezkofeinową, specjalnie dla ciebie, Molly.

- Wspaniale.

- No to wracam za minutkę.

Charles wraca do domu, a ja widzę, że Molly zrobiła się jakaś blada.

- Dobrze się czujesz, Moll? Jakoś dziwnie ucichłaś.

- Tak, wszystko w porządku. Ale obiecaj, że nie wpadniesz w panikę.

- O co ci chodzi? Niczego takiego nie obiecuję, do cholery. Co?

- No więc, zdaje mi się, że właśnie odeszły mi wody. Chyba że ta ławka nagle zrobiła się mokra.

- O mój Boże.

Zrywam się i widzę, że rzeczywiście siedzi w niewielkiej kałuży.

- Jezu Chryste. Dobra, nie panikuj.

- Ja nie panikuję, czuję się świetnie. To ty panikujesz. Uspokój się, weź kilka głębokich wdechów.

W głowie się nie mieści. To ona za chwilę urodzi, a mnie każe głęboko oddychać.

- O Boże, no dobra, ty tu poczekaj, a ja idę po samochód.

- Możesz mieć problem ze zmieszczeniem się w bramę ogrodu, nie sądzisz?

- Racja. No tak. Dobra, możesz chodzić? Możemy powolutku pójść do mojego samochodu. O cholera, przecież przy-szłyśmy pieszo. Mój samochód jest na drugim końcu drogi.

Molly uśmiecha się i mówi, że nic jej nie będzie, jak się przejdzie, i wtedy wraca Charles.

- Niestety, nie mogę znaleźć bezkofeinowej, pani Bishop musiała ją gdzieś wetknąć, ale mogę zrobić herbatę. Co się dzieje?

- Molly zaczęła rodzić, mój samochód jest pod jej domem, a nie powinna raczej chodzić. Myślę, że to za daleko.

- Nic mi nie jest, naprawdę.

- Co? A. No tak. No to skorzystajcie z mojego samochodu. Tak. Weźcie mój. Pójdę po kluczyki. -i biegnie do domu.

Mówi, że później pojedzie do szkoły moim samochodem po Alfiego i Lily. Daję mu swoje kluczyki, które szczęśliwie udaje mi się znaleźć na

samym dnie torebki, po kolejnym miniataku paniki. Jezu, będę wrakiem, zanim w ogóle dojedziemy do szpitala.

Kiedy wreszcie odjeżdżamy, wszyscy już chyba wiedzą, że Molly zaczęła rodzić, i machają nam na pożegnanie, a Elsie doradza Molly serdecznie, żeby kazała sobie podać środek znieczulający, jak jej June, która podobno powiedziała, że mogliby jej uciąć nogi, a ona nawet by się nie zorientowała. Bardzo nam to dodaje otuchy. Przychodzi mi do głowy, że ja sama mogę czegoś takiego potrzebować, jeśli się zaraz nie uspokoję.

Sędziowie są pod ogromnym wrażeniem, że Molly się zjawiała, mimo że właśnie rodzi, i kiedy wsadzam ją do samochodu, słyszę, jak jeden z nich mówi, że rzeczywiście wszyscy są niesamowicie przejęci ogrodem.

Namawiam ją, żeby usiadła z tyłu na wypadek, gdyby musiała się położyć.

- Dobrze się czujesz?

- Tak.

Słyszę, że strasznie dyszy.

- Przestań tak dyszeć. Chyba nie jesteś jeszcze na etapie dyszenia, co?

Jezu Chryste, powiedz mi, że to jeszcze nie ten moment.

- Nie. Tylko trenuję.

- No to przestań, do cholery. Po prostu oddychaj. Masz już skurcze?

- O tak. Już od jakiegoś czasu.

- W jakich odstępach?

- Prawdę mówiąc, nie mierzyłam, zgubiłam zegarek.

- Co? Dlaczego nic nie powiedziałaś, na litość boską?
- Och, to potrwa jeszcze kilka godzin. Przestań się nade mną trząść.
- Molly, jeśli masz skurcze co minutę i zaczniesz mi przeć na tylnym siedzeniu, nigdy ci tego nie wybaczę. Czy to jasne? Wiem, mam świetny pomysł. Zadzwonię z komórki po karetkę i umówię się, żeby spotkali się z nami gdzieś po drodze. Mam tak zrobić?
- Nie, naprawdę, to jeszcze nie teraz. Jestem pewna, że zejdzie kilka godzin.

To dość niesamowite, jechać przez miasto z dyszącą i sapiącą Molly na tylnym siedzeniu. Ludzie idą do supermarketów i snują się jak muchy w smole, a ja mam ochotę opuścić szybę i wrzeszczeć na nich, żeby zleźli mi z drogi.

Chociaż szczerze mówiąc, ten super samochód jest wyposażony w elektrycznie opuszczane szyby i w ogóle tyle różnych przycisków, których przeznaczenia nie znam, że nie mam odwagi czegokolwiek dotknąć. Przez dobrych kilka minut musimy słuchać jakiejś durnej, dziecięcej piosenki, bo nie wiem, jak wyłączyć odtwarzacz CD. Nie mam odwagi przy nim majstrować, żeby nie trafić przypadkiem na guzik awaryjnego testowania poduszki powietrznej albo coś równie interesującego.

Odnoszę dziwne wrażenie, że niechcący nacisnęłam guzik podgrzewania siedzenia, bo robi się naprawdę gorąco, ale może to tylko resztki paniki podgrzewają skórzane obicie. Przynajmniej ten super pojazd ma automatyczną skrzynię biegów i Charles powiedział, że właściwie nie można niczego zrobić źle, chyba że włączy się

niechcący napęd na cztery koła, a wtedy może zacząć dziwnie hałasować. Wydaje się bardzo wysoki i już rozumiem, dlaczego kierowcy rangę roverów zawsze są takimi dupkami. Po prostu czują się lepsi. Cóż, jeśli nie ma się akurat na tylnym siedzeniu rodzącej kobiety, może to i niegłupie.

Jadę dość szybko i mam cichą nadzieję, że zatrzyma nas jakiś radiowóz, a potem odeskortuje nas do szpitala z włączonym kogutem. Ale oczywiście kiedy potrzeba policjanta, żeby zatrzymał kogoś za niebezpieczną jazdę, wszyscy akurat siedzą na komisariacie i polerują kaski.

Kiedy przyjeżdżamy do szpitala, chcę podjechać prosto pod główne wejście, ale Molly upiera się, żebyśmy zaparkowały, jak należy, bo inaczej Charlesowi założą blokadę na koła. Całe wieki zajmuje mi znalezienie wolnego miejsca, a potem nie mogę zaparkować tego cholernego, ogromnego samochodu. W końcu mi się udaje, ale drzwi otwierają się ledwie na parę centymetrów musiałabym chyba być hinduską tancerką, żeby wysiąść. Molly w ogóle nie ma szans się wydostać, więc muszę wycofać, wypuścić ją, po czym wjechać z powrotem na miejsce. Jak tak dalej pójdzie, dziecko urodzi się na cholernym parkingu.

- Chodź, idziemy. Wszystko w porządku?

- Chyba tak.

- Świetnie sobie radzisz. Tylko się nie spiesz. Mam pójść po wózek?

- Ani mi się waż. Och, następny.



Stoimy na środku parkingu, a ona odwraca się do mnie przodem i kładzie mi ręce na ramionach. A potem naciska, tak mocno, że o mało się nie przewracam.

- Uff, to było niezłe, naprawdę mi pomogło.

- Świetnie.

Do diabła. Jeśli zamierza tak robić przez całe popołudnie, to wieczorem będę miała jakiś metr wzrostu.

Personel na oddziale położniczym działa całkiem sprawnie, z wyjątkiem opóźnionej w rozwoju recepcjonistki, która przez dziesięć minut wklepuje do komputera nazwisko Molly, po czym naciska nie ten guzik i musi zaczynać od nowa. Ale wkrótce docieramy na salę, a Molly jest podłączona do monitora. Wychodzi na to, że ma cztery centymetry rozwarcia. Może to oznaczać, że jest jeszcze mnóstwo czasu albo że całe piekło rozpęta się w ciągu półtorej godziny.

Jest bardzo spokojna i zastanawia się, czy nie poprosić o gaz rozweselający, ale jak na razie wystarcza jej głębokie oddychanie i ściskanie mnie od czasu do czasu za ręką. Staram się, jak mogę, unikać tych akcji z naciskaniem na moje ramiona.

- Nie wzięłam torby. Mam rzeczy dla dziecka, ale wszystko jest w torbie, w domu. Kasety też tam są. Chciałam mieć muzykę.

Jak chcesz, mogę zadzwonić do Janice albo do mamy i poprosić, żeby któraś ją przywiozła.

- Tak, to dobry pomysł. Zadzwoń do Janice, ona ma klucze. I mogłabyś zadzwonić do Doreen, a właściwie może Janice mogłaby odebrać Lily od Charlesa i przechować ją u siebie, dopóki nie dotrze tu moja mama.

Dzwoniłam do niej dziś rano, bo miałam przeczucie, że to się może zdarzyć, więc już tu jedzie. A skoro idziesz dzwonić, kup sobie kawę czy coś. Zdaje się, że dobrze by ci zrobiła.

- No dobrze, jeśli jesteś pewna, że przez chwilę poradzisz sobie sama. Chcesz coś?

Suszone morele.

- Co?

- Suszone morele. Jadłam je ostatnim razem i teraz też chcę. Tylko że teraz mają chyba jakąś nową, głupią nazwę.

- Jakoś znajdę. Coś jeszcze?

- Tak, czekolady. Marsa albo topica. I może jakiś sok?

Dzwonię do mamy, która jest ogromnie podniecona całą sytuacją. Obiecuje, że zadzwoni do Janice i że któraś z nich przywiezie torbę Molly. Odnajduję szpitalny sklepik, kupuję zapas batonów, soku i moreli i robię szybki rekonesans, czy nie mają jeszcze czegoś, co mogłoby się spodobać Molly.

Mają absolutnie koszmarną kolekcję dziecięcych ubranek, wszystkie w ohydnych, pastelowych kolorach, z białymi, satynowymi misiami na przodzie. Dlaczego nie mogą sprowadzić zwykłych, frotowych ciuszków? No bo kto tak naprawdę kupuje brzoskwińowe śpiochy z satynową owieczką? Ale na samym spodzie leży biały, bawełniany pajacyk w rozmiarze noworodka, tak maleńki, że na sam widok człowiek ma ochotę wybuchnąć płaczem. Kupuję go na wypadek, gdyby torba Molly nie dotarła na czas. A potem widzę chusteczki do twarzy i glicerynową szminkę. Przypominam sobie, że prosiłam o to,

kiedy rodziłam Alfiego, więc kupuję jedno i drugie, plus kilka butelek wody mineralnej. Kawiarnia jest tuż obok, więc łykam szybko filiżankę najbrzydszej kawy, jaką w życiu piłam, po czym wracam do Molly. Jest zachwycona ubrankiem i wypija sok. Różni doktorzy i położne wchodzi i wychodzą, każde mówi co innego, ale w sumie wynika z tego, że Molly czuje się świetnie i tętno dziecka jest w porządku, a potem trochę chodzimy i masuję jej plecy. Molly znów uciska mi ramiona, naprawdę mocno, aż tracę czucie w palcach, a potem okazuje się, że jednak trochę trudno jej to znosić, że jest o wiele gorzej niż przy Lily i że chce środek znieczulający. I to natychmiast.

Wychodzę na korytarz i znajduję jakąś położną. Siedzi sobie i popija kawę, i naprawdę nie mam ochoty jej przeszkadzać. Ale z drugiej strony nie chcę, żeby Molly cierpiała tylko dlatego, że ona ma przerwę na kawę. Położna rzuca mi wredne spojrzenie.

- Słucham.

- Hm, ona mówi, że kiepsko to znosi. Chciałaby znieczulenie.

- Dobrze. Zaraz przyjdę.

- To może ja tutaj poczekam? A pani zadzwoni po anestezjologa? Bo ktoś nam powiedział, że to może zrobić tylko anestezjolog, a ich czasem trudno ściągnąć, wie pani, więc jeśli to nie jest problem, może zadzwoniłaby pani teraz, a potem dokończyła kawę. No bo nie ma chyba powodu, żeby czekała dłużej, niż to konieczne, skoro tak cierpi. Prawda?

Mam nadzieję, że wyczyta w moich oczach zdecydowanie, ale zdaje się, że dostrzega w nich raczej groźbę. Sięga po słuchawkę.

Dają jej takie sprytne znieczulenie, że ciągle może chodzić, ale naprawdę nic nie czuje; robi się o wiele bardziej dziarska i kiedy nikt nie patrzy, zjada marsa.

Zmieniają się pielęgniarki na dyżurze i przychodzi nowa położna o imieniu Billy, najwyraźniej gej. Przypomina mi Grahama Nortona, tyle że bez błyszczącego garnituru i bez sławnych gości.

- Cześć, kochane, jak się dzisiaj mamy? Już go lubię.

- Świetnie, od kiedy zadziałało znieczulenie. A to co takiego?

Ma ze sobą gigantyczną, różową, gumową piłkę, tak jak piłka do skakania dla dzieci, tylko bez uszu do trzymania.

- To piłka położnicza. Siada się na niej i podskakuje, żeby otworzyła się miednica.

- Nie jestem pewna, czy mam w tej chwili ochotę podskakiwać.

- Nie, to nie dla ciebie, nie po znieczuleniu. To mogłoby być niebezpieczne, mogłabyś się na przykład zaplątać w kable. Nie, pomyślałem tylko, że ja spróbuję, żeby cię rozweselić. Na tym etapie dobrze jest się pośmiać, nie sądzisz? A niektóre kobiety lubią sobie w nią porządnie przykopać. W zeszłym tygodniu jedna z moich pacjentek rzuciła tym w męża, chociaż tego bym nie polecał. O mało go nie przewróciła, ale to był straszny kutafon, więc wcale jej się nie dziwię. A teraz, jeśli pozwolisz, skarbie, chciałbym zerknąć, jak ci idzie. Nie masz nic przeciwko?

Nie będzie skakania. Genialnie.

- No dobrze.

- O, sześć centymetrów. Świetna robota. Mały sienie obija, co? To było IVF<sup>5</sup> ?

- Co?

- IVF. Moje przyjaciółki, Amy i Donna, też załatwiły sobie IVF. Długo musiałyście czekać? Bo u nich trwało całe wieki, zanim wpisali je na listę.

Zajmuje nam dobrą minutę, żeby skojarzyć, o co chodzi. W końcu Molly wybucha śmiechem i mówi:

- Hm, właściwie nie jesteśmy parą. To moja koleżanka, Alice. Mojego partnera chwilowo nie ma, pracuje.

- Och, w takim razie zrobiłem z siebie głupka, co? Ale proszę, nie mówcie nikomu, oni wszyscy robią tu straszne zamieszanie na temat politycznej poprawności. Nieczęsto mamy tutaj lesbijskie pary i wszystkie siostry strasznie się starają nie okazać, jaki to dla nich szok. Błagam.

- No dobrze. Nic nie powiemy.

- Już widzą, że świetnie się dogadamy. Pacjentki w moim guście. Potrzebujecie czegoś? Wody, lodu? Mamy tu teraz kruszony lód, jak w telewizji.

- Kruszony lód? O tak, bardzo chętnie.

- Już się robi. Wracam za momencik.

- Cholera jasna. Czy jedna z nas nie powinna mieć, bo ja wiem, krótszych włosów? No bo gdybyśmy były lesbijkami, któraś przecież miałaby krótkie włosy, nie?

---

<sup>5</sup> IVF - In Vitro Fertilization (ang.) - zapłodnienie in vitro.

- Alice, nie bądź idiotką.

- Przepraszam. Prawdę mówiąc, to mi nawet pochlebia, ale mam nadzieję, że nie powiedzą niczego mamie, kiedy przywiezie torbę. Chybaby padła.

Billy, który twierdzi, że wszyscy przyjaciele nazywają go Świrus, i my też możemy, byle nie przy lekarzach, mówi, że Molly ma się świetnie. Ale w ciągu kolejnej godziny stopniowo przestaje sypać żartami i zaczyna uważnie jej się przyglądać. Molly robi się dziwnie spokojna i twierdzi, że jej niedobrze, ale Billy uspokaja ją, że to normalne; Molly mówi, że wie, że to normalne, ale czy nie mogłaby się trochę zdrzemnąć?

Leży teraz, a Billy znów podłączają do monitora, który nagle zaczyna piszczeć. Majstruje coś przy przełącznikach i mówi, że wszystko w porządku, ale zdaje mi się, że coś go niepokoi, więc i ja zaczynam się niepokoić.

I nagle w ciągu dziesięciu minut robi się naprawdę strasznie. Billy mierzy Molly ciśnienie i mówi, że podskoczyło. Bardzo. Jest teraz strasznie blada, potem zaczyna trochę majaczyć i mamrocze coś o kurczakach i że jest zmęczona, i nagle mówi, że strasznie boli ją głowa, i zaczyna płakać.

Głaszczę ją po plecach, a Billy wychodzi i wraca z lekarzem. A w następnej chwili Molly już prawie śpi, a oni pędzą z jej łóżkiem korytarzem na salę operacyjną na natychmiastową cesarkę. To wszystko jest naprawdę przerażające i ogarnia mnie okropne uczucie, że chyba zaraz się porzygam.

Pielęgniarka zabiera mnie do pokoiku przy sali operacyjnej i każe mi założyć kitel, maskę i czepek, byle szybko, bo nie będą na mnie czekali. Wszystko jest z zielonego sztywnego materiału na gumkach i dłuższą chwilę męczę się z założeniem czepka, aż pielęgniarka mówi mi, że to akurat zakłada się na buty, a czepki są na tamtej półce.

Kiedy wreszcie wprowadza mnie do sali, Molly leży już na stole operacyjnym. Nad klatką piersiową ustawili jej coś w rodzaju parawanu z zielonej szmaty, żeby nie widziała, co robią. Wciąż jest bardzo blada, ale teraz na dodatek wygląda na przerażoną. Chwytam ją za rękę, a ona zaczyna truć, że jeśli coś pójdzie nie tak, to zajmę się dzieckiem, prawda? Udaję, że nie słyszę.

- Zajmiesz się, dobrze? Przyrzeknij mi, Alice.

- Tak, przyrzekam, ale wszystko będzie dobrze.

- I Lily też?

- Tak. Przestań już.

Jeśli dalej będzie tak gadała, wpadnę w histerię, a jak ktoś zaczyna szlochać, na pewno wyrzucą ją z sali operacyjnej.

Przy Molly jest dwoje lekarzy i anestezjolog, który przypina jej klamrami do palców różne przewody. Wkłuł jej też kolejną kroplówkę w rękę. Oprócz Billy'ego są jeszcze trzy pielęgniarki jedna z nich przysuwa wózek pełen narzędzi, które wyglądają dość przerażająco. Wchodzi jeszcze jedna lekarka i mówi, że jest pediatrą i że będzie badała dziecko, jak tylko się urodzi, więc mamy się nie martwić, jeśli nam go od razu nie podadzą. Billy mówi, że to tylko zwykła procedura

i że do cesarek zawsze ściągają pediatrę. Jezu, byłam wystarczająco zaniepokojona i bez tego.

Molly znowu płacze, ale po cichu. Łzy płyną po jej policzkach na zielone prześcieradło, tworząc ciemną plamę, która zaczyna się rozszerzać; patrzę, jak się powiększa, i głaszczę Molly po ręku. Nagle dostaje dreszczy, ale Billy mówi, że to normalne, kiedy wzmacniają znieczulenie przed cesarskim cięciem.

Boże, mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z tym marsem, którego zjadła. Zastanawiam się przez chwilę, czy im nie powiedzieć, bo jestem pewna, że nie powinno się jeść przed operacjami, żeby nie wymiotować, kiedy jest się w narkozie.

Ale skoro ona nie jest w narkozie, chyba wszystko w porządku. Chociaż kiedy zamyka oczy, wygląda jakby była nieprzytomna.

Ciągle głaszczę ją po ręku i staram się nie zaglądać za parawan, ale jakoś nie mogę się powstrzymać, i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, za które, prawdę mówiąc, byłabym wdzięczna, młoda lekarka bierze skalpel i nacina brzuch Molly, a ja o mało nie mdleję. To prawdziwy cud, że jeszcze jestem w pionie. Nie mogę uwierzyć, że Molly nie zeskoczyła ze stołu przy takim bólu, ale wygląda, jakby niczego nie poczuła. Boże, to niepojęte. To tak straszne, że ma się ochotę krzyknąć na nich, żeby przestali, ale jednocześnie niesamowite i fascynujące.

Lekarka pyta Molly, czy wybrała już jakieś imiona.

- Jack, jeśli to chłopiec, chyba. A jak dziewczynka, to Alice.

O Boże, teraz naprawdę się rozpłaczę. Czuję, jak łza spływa mi po policzku pod maskę. Zastanawiam się, ile osób stało tu przede mną,



płacząc w maski. Wciąż powtarzam sobie w myślach: Błagam, niech wszystko będzie w porządku, niech oboje będą zdrowi. Ściskam rękę Molly, a ona uśmiecha się blado.

Pielęgniarki gadają między sobą i sprawdzają instrumenty, a lekarka opisuje, co robi, używając medycznej terminologii, domyślam się więc, że drugi lekarz to chyba jakiś stażysta, a ona go uczy. Nagle wszyscy milkną.

Patrzą na brzuch Molly, w którym grzebie lekarka. W sali jest zupełnie cicho, tylko maszyny popiskują. Wstrzymuję oddech. I nagle pojawia się maleńka nóżka, a w następnej sekundzie lekarka unosi dziecko w powietrze i mówi:

- Proszę państwa, oto Jack.

Jest śliski i fioletowy, ale nagle zaczyna różowieć i rozkłada rączki, jakby chciał coś objąć, a jego dłonie przypominają maleńkie rozgwiazdy. Zaczyna cicho płakać, jakby nagle obudzono go z długiego snu. Pediatra bierze go na krótkie badanie i w końcu podaje go Molly, owiniętego w zieloną chustę.

A kiedy Molly go widzi... wyraz jej twarzy... to czysta magia. Uśmiecha się z oczami pełnymi łez i mówi „cześć”, a potem oddycha z ulgą. Naprawdę długi, głęboki oddech, jakby czekała przez te wszystkie miesiące, a teraz nareszcie może się odprężyć.

A on ma te ciemnoniebieskie oczy, jakie mają wszystkie noworodki, i zlepione, czarne włoski, i patrzy na Molly, i jest idealny. Przypomina mi się Alfie i przez chwilę wydaje mi się, że nie zdołam się powstrzymać, tylko wybiegnę i pognam do domu, do mojego synka.

Ale wtedy Billy podaje dziecko mnie i mówi Molly, że zabierzemy go teraz na oddział, żeby go umyć i ubrać.

- Więc kiedy przyjedziesz na górę, będzie już na ciebie czekał.

- Dobrze, ale zostawcie mi go jeszcze na kilka minut. Więc stoimy przy niej, a ona na niego patrzy. A on patrzy na

nią. A ona unosi do jego buzi dłoń z wbitym wenflonem, całą zaklejoną białym plastrem. Głaszcząc jednym palcem jego włoski i uśmiecha się.

Billy klepie ją po ramieniu.

- Jest śliczny. Dobra robota.

- Dziękuję.

- Zabieramy go na górę.

- Alice.

- Tak.

- Zostaniesz z nim, prawda? Dopóki mnie nie przywiozą?

- Oczywiście, skarbie.

Mając maskę na twarzy, nie mogę jej pocałować, więc tylko kładę jej dłoń na policzku i mówię, że jestem z niej bardzo dumna i że mały jest prześliczny, i zauważam, że jedna z pielęgniarek lekko sztywnieje. Do diabła, widocznie wieść się już rozeszła.

- Popilnuję go. Nie spuszczę go z oka, obiecuję.

Wychodzimy z sali operacyjnej, wkładamy małego do plastikowego pojemnika i wieziemy korytarzami, a potem windą na górę, a każdy uśmiecha się na jego widok. Billy bardzo delikatnie myje go watą, a on tylko mruga i przeciąga się, i w ogóle nie marudzi, a w pewnej chwili

spogląda mi prosto w oczy, więc stoję tak, odwzajemniając jego spojrzenie, i nie mogę uwierzyć, że właśnie się urodził.

- W takich chwilach to najlepsza praca na świecie.

- O tak, widzę.

- Ciągle mnie to rusza. Za każdym razem. No, popatrz na tego szkraba. A jaki duży, ponad cztery kilo.

Ubieram go w pajacyk, który okazuje się trochę za mały; zapomniałam już, jak maleńkie są niemowlaki, że mają pępowinę, i w ogóle, i czuję się strasznie niezdarna.

Billy przysuwa łóżeczko do łóżka Molly i mówi, że zostawi nas na minutkę, bo musi pójść po kartę Molly. Wtedy jedna z pielęgniarek wpuszcza mamę, która mówi, że całe wieki kazali jej czekać na dole, z torbą.

- Mamo, to jest Jack.

- Ojej, jaki śliczny! A gdzie Molly?

- Jeszcze na dole. Miała cesarkę, ale wszystko jest w porządku.

- A jak ty się czujesz?

- Co? Ja? Świetnie. Och, mamo, to było takie niesamowite.

Ku własnemu przerażeniu rzucam się jej na szyję i zaczynam szlochać. Co jest naprawdę żałosne, bo przecież wszystko poszło śpiewająco, mały jest idealny, a z Molly wszystko dobrze. Więc Bóg jeden wie, dlaczego właściwie płaczę. Mama klepie mnie po plecach, jak to robiła, kiedy byłam mała.

- Jest prześliczny. Jestem z ciebie taka dumna.

- Ależ mam, to nie ma nic wspólnego ze mną. To wszystko zasługa Molly, była po prostu niesamowita.

- Tak. Ale i tak jestem z ciebie dumna.

Nic dziwnego, że Patrie uznał obecność przy porodzie Alfiego za swoje najbardziej przerażające przeżycie. Oczywiście, kiedy się jest tą osobą na leżance, jest już dość nieciekawie, ale kiedy człowiek stoi bezradnie z boku i stara się być silny i dzielny, i robić dobrą minę, kiedy tak naprawdę jest śmiertelnie przerażony - to chyba jeszcze gorsze. A Molly panikowała o wiele mniej ode mnie. Była po prostu niesamowita. Mam ochotę zadzwonić do Patrica i powiedzieć, że teraz go trochę rozumiem. Ale pewnie pomyślałby, że próbuję mu coś udowodnić i zaraz by się najeżył.

Siedzę, trzymając się łóżeczka, a mama wychodzi poszukać jakiejś herbaty. W końcu pielęgniarka i salowy przywożą Molly, przenoszą ją na łóżko i układają wygodnie. Wygląda na zmęczoną, ale bardzo szczęśliwą.

- Daj mi go potrzymać.

Podnoszą go i podają jej, a ona bierze go w ramiona i głaszcze po główce.

- Chcesz poduszkę pod łokieć?

- Tak, poproszę.

Podpieram jej rękę dwiema poduszkami z łóżka obok.

- Dzięki, Alice. Dziękuję. Byłaś wspaniała.

- Ty też.

- Jest fantastyczny, nie?

- Niesamowity.
- Wygląda zupełnie jak Lily, kiedy się urodziła.
- Naprawdę?
- Tak. Tyle że ma więcej włosów.
- Mama przywiozła twoją torbę. Chcesz, żebym ci ją rozpakowała?
- O tak, proszę.
- Wyszła kupić herbatą. Ty też chcesz? A może coś zimnego? Już ci wolno?
- Nie wiem. Powiedzieli, że dopiero rano wyjmą mi cewnik, i tę kroplówkę pewnie też. Ale nie mówili nic o picciu.
- Pójdę się dowiedzieć, dobrze?
- Tak. Za chwilę. Jeszcze tu ze mną posiedź. Ciągle czuję się trochę dziwnie.

Siedzimy więc i Molly prosi mnie, żebym pottrzymała małego, ale tak żeby go widziała, a potem wchodzi pielęgniarka i mówi, że mają już wyniki badań i Molly potrzebuje transfuzji, po czym stawia przy łóżku jeszcze jeden wieszak do kroplówek i zaczepia na nim wielką torbę krwi. Krew wydaje się prawie czarna, wygląda dość groźnie, ale po kilku minutach kroplówka zaczyna działać i Molly robi się trochę bardziej różowa.

Pielęgniarka stoi nad nią i co chwilę sprawdza jej ciśnienie. Wraca mama z herbatą i składa gratulacje. Mówi, że to najśliczniejsze dziecko, jakie w życiu widziała.

A potem oznajmia, że lepiej pojedzie po Alfiego, więc odprowadzam ją do windy, a ona mówi, że ma nadzieję, że się nie obraziłam, kiedy

powiedziała, że Jack jest śliczny, bo oczywiście Alfie był o wiele śliczniejszy, i to jest takie miłe, że znowu zbiera mi się na płacz.

Zakradam się z powrotem na oddział, siadam przy Molly i szepczemy sobie, jaka z niej szczęściara, że urodziła takiego ślicznego synka, aż oboje zaczynają zasypiać. Wchodzi nowa pielęgniarka, uśmiecha się do mnie i podaje mi dziecko, a sama bardzo delikatnie mierzy Molly ciśnienie, tak że nawet jej nie budzi. Więc siedzę przy łóżku, niańcząc małego, ale w końcu wkładam go do łóżeczka, zwijam kocyk i układam go z boku, żeby miał się w co wtulić.

- Wrócę jutro z samego rana. Proszę jej powiedzieć, jak się obudzi. Przyjdę rano.

- Dobrze. I gratulacje. Jest śliczny.

Nie mogę znaleźć samochodu. Po jakichś dziesięciu minutach przypominam sobie, że przyjechałyśmy rangę roverem, i mam już wsiadać, kiedy podchodzi do mnie Dan i jakoś dziwnie nieśmiało mówi „cześć”.

- Dobrze się czuje?

- Tak, wszystko w porządku. Musieli jej zrobić cesarkę, bo ciśnienie trochę jej skoczyło, ale była niesamowita.

Dan wydaje z siebie dziwny, szczekliwy dźwięk, jakby się dusił, i nagle zaczyna płakać, zupełnie bezgłośnie, jakby nawet nie wiedział, że z oczu płyną mu łzy.

- Przepraszam, nie zwracaj na mnie uwagi. Przepraszam. Wszystko spieprzyłem, co? Mama zadzwoniła do mnie i powiedziała, że to już, a ja nie wiedziałem, co robić. Tak się bałem.

- To normalne, że się bałeś. Och, Dan, no, już. Nic jej nie jest. A dziecko jest śliczne.

Jakoś nie wydaje mi się w porządku mówić mu, że ma syna, na środku parkingu, jakby był tylko jakimś ciekawskim przechodniem, więc obejmuję go i szepczę mu do ucha: jest śliczny. Śliczny, duży chłopiec. Molly mówi, że wygląda jak Lily, kiedy się urodziła, i kazała mi kupić suszone morele, tak jak tobie poprzednim razem.

Dan rozkleja się do reszty i zaczyna szlochać. Płacze jak dziecko. Stoimy tak całe wieki; mówi, że nie chce wchodzić, bo może ona śpi albo się zdenerwuje, ale zadzwoni do niej później i przyjdzie jutro. A potem znowu pyta o dziecko, jakiego koloru ma włosy i czy jestem pewna, że Molly nic nie jest.

Wydaje się taki zagubiony, kiedy idzie do swojego samochodu, że muszę posiedzieć chwilę i zebrać się do kupy, zanim ruszę do domu.

Kiedy zajeżdżam pod dom, nie widzę świateł w oknach; widocznie mama i Alfie są jeszcze u Charlesa.

Jadę dalej, parkuję i zastaję Charlesa w kuchni, otoczonego dzbankami do herbaty.

- Zaparzyłem herbatę, ale wystygła, więc zrobiłem nową.

- No tak. To miło.

- Dzieciaki w porządku. Mama Molly zabrała Lily, a Alfie jest na górze, ogląda film z twoją mamą. Jest niesamowita. Kiedy wróciła ze szpitala, była taka podekscytowana i w kółko mówiła, jak wspaniale się spisałaś.

- No, tego nie jestem taka pewna. O mało nie zemdlałam i przepłakałam pół popołudnia. Raczej nie można by mnie nazwać opoką.

- A Molly w porządku?

- Chyba tak. Zrobili jej transfuzję i wyglądała o wiele lepiej, kiedy wychodziłam. Oczywiście jest bardzo zmęczona, ale była już w prawie normalnym kolorze.

- Och, to dobrze. Proszę, zrobiłem ci kanapki, pomyślałem, że możesz być głodna. Prawdę mówiąc, pani Bishop zrobiła o wiele lepsze, ale dzieci je zjadły. Więc dorobiłem więcej. Nie są zbyt finezyjne.

Podaje mi talerz straszliwie grubych kanapek z serem.

- Świetnie. Umieram z głodu. Ale najpierw chcę zobaczyć Alfiego.

Idę na górę, żeby go przytulić, ale on wcale nie ma na to ochoty, bo wciągnął go film. Mama każe mi wracać na dół i coś zjeść, bo na pewno od wielu godzin nie miałam nic w ustach; mówi, że pojedziemy do domu, kiedy skończy się film.

Kanapki są świetne. Rozmawiamy o dzieciach i porodach,

I Charles mówi, że kiedy po raz pierwszy zobaczył Ezrę, postanowił zrobić wszystko, żeby zawsze był szczęśliwy i bezpieczny.

- Ale okazało się, że nie bardzo mi to wyszło. No bo pomyśl, mojemu ojcu udało się przynajmniej zostać z matką. My chyba nie powinniśmy mieć dzieci. W sumie nie wiem, dlaczego się zdecydowaliśmy. Lola po prostu tak postanowiła, i koniec dyskusji. To było trochę tak, no wiesz... mieliśmy już dom i samochód, więc trzeba było mieć dzieci,



jakby były jakimś... jak brzmi to wyrażenie, którego używa Lola? ...coś tam luksusowe, a tak, dobra luksusowe, właśnie, jakby dzieci były jakimś droгим meblem.

- No cóż, drogie sana pewno.

- Kiedyś czytałem w jakiejś gazecie coś o kobietach alfa, i wiesz co? Wydaje mi się, że problem polega właśnie na tym. Lola jest kobietą alfa, a ja jestem deltą. Albo efa, jeśli oni tam mają efy, nie pamiętam. Tak czy inaczej, Lola potrzebuje samca alfa.

- Hm, czymkolwiek jest samiec alfa, z pewnością nie będzie miał łatwego zadania.

- Niby racja. Ale i tak czuję się winny. Chodzi mi o dzieci. Mówiłem ci, że Ezra znów zaczął siusiać do łóżka?

- Charles, musisz z tym skończyć. Nie możesz w kółko obwiniać za wszystko siebie. Lola może i jest kobietą alfa, ale jest też suką alfa, a tobie jest lepiej bez niej. Po prostu musisz wreszcie być szczęśliwy i wziąć się w garść, właśnie dla dobra dzieci. Przepraszam, jestem naprawdę zmęczona, nie chciałam być niegrzeczna.

- Nie, nic nie szkodzi. W sumie pewnie masz rację.

- Myślę, że jesteś świetnym tatą, naprawdę. Starasz się, jak możesz, i tylko to się liczy, a nie, jaką jesteś literą alfabetu. Wszyscy to wiedzą i jestem pewna, że Ezra także.

- Mam nadzieję. Czasem tak na mnie patrzy, że to niemal przerażające. Jakbym był kompletnym idiotą.

- O, oni tak robią. Alfie robi to bez przerwy. Myślę, że to normalny etap rozwoju, patrzenie na rodziców jak na kretynów.

- Myślisz? No tak. Hm, ulżyło mi.

Mama jedzie z nami do domu, po czym mówi, że chyba powinna się zbierać i przygotować coś do jedzenia dla taty, który przesyła pozdrowienia i też się cieszy, że już po wszystkim.

Alfie jest bardzo podekscytowany faktem, że urodził się chłopiec, i zdążył już wybrać miecz, który mu pożyczy, kiedy Jack przyjdzie się pobawić. Całe wieki zajmuje mi położenie go do łóżka, a potem dzwoni Molly; mówi, że poprosiła pielęgniarkę o przyniesienie telefonu do pokoju.

- Jutro rano mama przywozi Lily, ale mogłabyś przyjść pierwsza? Chcę ładnie wyglądać dla Lily i muszę założyć czystą koszulę, i czy mogłabyś przywieźć trochę kosmetyków do makijażu, żeby nie wyglądała na taką wyplutą? Ja nie mam nic, a na pewno wyglądam koszmarnie. Nie chcę, żeby się martwiła.

- Wyglądasz świetnie, ale oczywiście przyjdę.

- Myślisz, że Jack jej się spodoba?

- Och, kochanie, chcesz, żeby teraz przyjechała? Masz jakiś taki płaczący głos.

- Nic mi nie jest. To tylko hormony, tak myślę, albo ta morfina, którą mi podają.

- Potrzebujesz jeszcze czegoś?

- Nie, chyba nie. Mały śpi i ja też się chyba prześpię, ale to za chwilę. Ciągle na niego patrzę. Jest taki śliczny.

- Jest idealny. Prześpij się i do zobaczenia rano.

Mama mówi, że zaprowadzi Alfiego do szkoły, więc z samego rana jadę do szpitala. Oboje trochę się przespali i Molly wygląda o wiele lepiej. Zaczyna się bardzo denerwować przed przyjściem Lily, ale mała jest szczęśliwa, że mama jest cała i zdrowa, choć wciąż trochę jej nie pasuje, że nowe dziecko to chłopiec. Ale przynajmniej braciszek ma dla niej prezent, nową Barbie z samochodem - Lily jest pod wrażeniem. Molly musiała mieć to od dawna w swojej torbie.

Potem przychodzi Dan. Staje w nogach łóżka z trochę niepewną miną.

- Możesz go potrzymać, jeśli chcesz.

Molly się uśmiecha. Dan podchodzi do niej i wyjmuję dziecko z łóżeczka. Robi taką minę, jakby miał się rozpłakać, po czym bardzo szybko wymaszerowuje na korytarz. Gdzie tatuś idzie?

- O, myślę, że po prostu chciał się trochę przespacerować. Wróci za chwileczkę.

I rzeczywiście, Dan wraca prawie natychmiast; najwyraźniej wziął się w garść.

- Jest wyjątkowy, prawda?

- Tak.

- Ale oczywiście nie tak wyjątkowy jak Lily.

- Och nie, nikt nie może być tak miłutki jak nasza Lily. Lily kiwa głową, a ja czuję nagle, że przeszkadzam, więc mówię, że idę się rozejrzeć za herbatą i niedługo wrócę. Kiedy wracam, Dana i Lily już nie ma.

- Chyba Dana nieźle rąbnęło na widok małego.

- Tak. Jak wszystkich. To naprawdę wyjątkowe dziecko.

- One wszystkie są wyjątkowe, Alice.
- Wiem. Ale on jest ekstra wyjątkowy.
- Rzeczywiście jest. Wiesz, że przespał prawie całą noc?
- O kurczę.
- A skoro już o tym mowa...
- Tak, wiem. Nakarmię je, obiecuję. Wczoraj wieczorem zapomniałam, ale później do nich zajrzę.
- Poproszę mamę, żeby to zrobiła. Zapomniałam jej powiedzieć, ale zadzwonię do niej.
- Nie trzeba.
- Nie, zrobiłaś już dla mnie aż za dużo. To, że byłaś przy mnie... dla mnie tak wiele, że aż brak mi słów. Byłaś niesamowita.
- Nie odpuściłabym sobie tego za żadne skarby. Naprawdę. To było wspaniałe.
- Nawet moje śmiercionośne chwytaki za ramiona?
- No, może to nie. Zdaje mi się, że teraz mam jedno ramię niższe. Może powinnam sobie kupić papugę.
- Po Lily Dana przez parę tygodni bolały plecy.
- Teraz mi mówisz?
- I co ja mam zrobić, Alice?
- Nie wiem, skarbie. Nie ma pośpiechu. Poczekaj, aż wrócisz do domu i przekonasz się, co czujesz...
- Tak, ale jeśli ja nie wiem, co czuję? Dzisiaj z jednej strony bardzo chciałam, żeby tu został i żebyśmy udawali, że nic się nie stało, ale z drugiej strony po prostu nie mogę o tym zapomnieć.

Zaczyna płakać. O Boże.

- Wiem. Na to potrzeba czasu, Moll. Daj sobie trochę czasu.
- Chcesz się poprzytulać?
- Chcesz do reszty przerazić pielęgniarke?
- Do dziecka, głupia.
- Och tak. Już myślałam, że nigdy nie poprosisz.

### DZIENNIK OGRODOWY

Pozbieraj opadłe liście. Zbierz szpinak i warzywa przed pierwszym mrozem. Przesadź delikatne rośliny do doniczek i przenieś do pomieszczeń. Przygotuj zimowe kadzie i kosze.

*Rynny wypełniają się liśćmi i przelewają się za każdym razem, kiedy pada, idę więc po drabinę i grzebię w nich patykiem. Na szczęście Alfie jest w szkole, bo inaczej na pewno stałby pod drabiną i nią potrząsał. Pod koniec operacji mam pełne wiadro obrzydliwej, liściastej papki, co, o dziwo, budzi moje zadowolenie i postanawiam założyć kompostownik. Wywalam zawartość wiadra w kącie za garażem, razem z kupą liści, które zgrałam z trawnika, ale nie bardzo wiem, co należy zrobić dalej. Zamierzam o tym poczytać, ale kiedy przywożę Alfiego ze szkoły, mój syn stwierdza, że błotnista maź jest idealna do wykonania kamuflażu komandosa - rozsmarowuje ją po całej twarzy i rękach, po czym wchodzi do kuchni na czworakach, grożąc, że wysadzi dom w powietrze, jeśli nie dam mu ciastek. Cudownie.*

Molly i Jack wychodzą dzisiaj ze szpitala i pół wsi stanęło na głowie, żeby ich powitać. Dostałam tyle maleńkich, niebieskich sweterków, że

straciłam rachubę. Wygląda na to, że każda niezamężna kobieta we wsi jest mistrzynią dziergania na drutach. Nawet Elsie zrobiła mi czapkę, co było bardzo miłe

z jej strony; i przynajmniej nie jest błękitna, choć nie jestem pewna, czy żarówiasta zieleń będzie akurat jego ulubionym kolorem.

Kiedy po nich przyjeżdżam, Molly jest gotowa i strasznie chce już jechać do domu. Jack śpi przez całą drogę i w sumie chyba dobrze, bo jadę bardzo powoli, żeby nie wytrząść za bardzo Molly. Prawdę mówiąc, jadę tak powoli, że inni kierowcy zaczynają na mnie mrugać światłami, muszę więc co chwilę wystawiać rękę przez okno i robić nią idiotyczne kółka, pokazując im, żeby mnie wyprzedzili. Tylko jakiemuś facetowi w jaguarze pokazuję zupełnie inny sygnał, wymagający użycia tylko jednego palca, kiedy palant przez chwilę jedzie obok nas, trąbiąc i robiąc groźne miny.

Gdyby obudził Jacka, spisałabym jego numer dla mamy, żeby dołączyła go do raportu pod tytułem „Piraci drogowi, których ostatnio widziałam”, i przekazała Straży Sąsiedzkiej. Mama bardzo się stara, żeby funkcjonariusz od kontaktów ze społecznością lokalną, który prowadzi jej grupę, miał z czym wracać na posterunek. Nieszczęsny facet, najwidoczniej wyciągnął najkrótszą zapałkę.

Kiedy wchodzimy, czeka już na nas Mary, mama Molly. Cały dom aż błyszczy. Mary wyprała chyba nawet kurczaki. Moja mama, a także Doreen przychodziły jej pomagać i okazało się, że wszystkie trzy podzielają poglądy na temat prawidłowego sprzątnięcia kuchni, którą według nich należy szorować na kolanach, a nie tylko psiknąć tu i tam

dettoksem i machnąć ścierką. Mary upiekła nawet na lunch placek pasterski, który najwyraźniej był ulubionym daniem Molly, kiedy była mała.

- Użyłam tego wegetariańskiego pseudomięsa. Nie bardzo wiem, jak to będzie smakować, ale wygląda w porządku. Więc jak tylko zgłodniejesz, daj mi znać, słonko. Podgrzeje się w dziesięć minut.

Molly zauważa stertę prezentów na fotelu w salonie.

- Dzięki, mamó. Od kogo to wszystko?

- Od cioci Pam, ode mnie i taty, parę drobiazgów na dobry początek. Alice, zostaniesz na lunch, prawda? Jest mnóstwo jedzenia.

- Powinnam już raczej iść. Muszę się zabrać do pracy.

- No to może chociaż filiżankę herbaty przed wyjściem?

- Tak, bardzo chętnie. Aha, Molly, właśnie miałam ci powiedzieć, że w domu mam o wiele więcej prezentów. Przywiozę je później. Twojemu synkowi na pewno nie zbraknie swetrów, że tak powiem.

- Wspaniale być w domu, naprawdę.

Molly zaczyna otwierać niektóre prezenty i zdaje się, że trochę sobie popłakuje. Ale to tylko jedno z tych hormonalnych wahań pod hasłem „przecież wszystko jest świetnie, więc dlaczego w kółko płaczę”, raczej nic poważnego, więc udaję, że niczego nie zauważyłam, i czekam, aż Mary zrobi herbatę.

Jack budzi się i zaczynamy nad nim ćwierkać, co mu się chyba podoba, a potem w końcu zostawiam całą trójkę, żeby zjedli lunch. Obiecuję, że zobaczymy się jutro. Mary przejęła karmienie kurczaków, więc już się cieszę na spokojny wieczór.



Właśnie kończę zmywanie po podwieczorku, kiedy spod lodówki wybiega mysz i znika pod kuchenką. Alfie jest zachwycony, ale mnie robi się niedobrze. Słyszę, jak w coś skrobie, a przynajmniej wydaje mi się, że słyszę. Prawdopodobnie jest już trzy pola dalej. Ale może nie. Może mnie obserwować spod kuchenki. O Boże, chyba naprawdę się porzygam.

Przychodzi mi do głowy, czy nie zadzwonić pod 997, ale policja będzie miała raczej średnią ochotę przyjeżdżać do mnie, żeby załatwić mysz. Ale może Straż Sąsiedzka mamy mogłaby przyjść. Zastanawiam się, czy mają jakiś alarmowy telefon. Do diabła, do diabła.

Alfie leży na podłodze i wrzeszczy pod kuchenkę:

- Wyłaź, myszko, wyłaź. Lepiej, żeby nie wyłaziła.
- Jest śliczna, prawda, mamusiu? Może być moim zwierzątkiem. Mogę ją nazwać Eddie, jak mojego kurczaka.

Chryste. Jeśli ten najnowszy epizod mojego cholernego, idealnego życia będzie wymagał użycia trucizny, pułapki czy czegoś w tym stylu, będę musiała zachować to w tajemnicy przed Alfiem albo urządzi mi pikietę pod frontowymi drzwiami. Już widzę, jak maszeruje po ogródku z transparentem, skandując: „oszczędź naszą myszkę”.

Ostatecznie decyduję się zadzwonić do Charlesa, który opowiada mi o specjalnych pułapkach, do których mysz wchodzi i zatrzasują się za nią plastikowe drzwiczki.

- Świetnie. A co z nią potem robisz?
- Wynoszę na pole i wypuszczam.

- Och, no tak. To brzmi nieźle. Ale nie trzeba jej dotykać, co? Bo tego bym nie była w stanie zrobić.

- Nie, trzymasz tylko skrzynkę. Mam jedną taką, jeśli chcesz pożyczyć. Mieliśmy myszy, kiedy się wprowadziliśmy. No, w każdym razie co najmniej jedną. Nie powiedziałem Loli, bo na pewno uparłaby się, żeby wykadzić cały dom. To pewnie tylko zwykła, polna mysz.

- No to powinna siedzieć na cholernym polu, a nie pod moją kuchenką.

- Idź kup mus czekoladowy, a ja przyniosę skrzynkę.

- Co?

- Mus czekoladowy. Uwielbiają to. Łapią się na to za każdym razem.

Cholera jasna. Idziemy do wiejskiego sklepu i kupujemy czekoladowy biszkopt, czyli najlepszą imitację musu, jaką mają, a Alfie mówi pani przy kasie, że to dla naszej myszki, ale na szczęście ona tylko uśmiecha się do niego, najwyraźniej przekonana, że mały wygaduje głupoty.

Charles przychodzi z Ezrą i Mabel, którzy nie mogą się doczekać, kiedy zobaczą myszkę. Napełniamy plastikowe pudełko biszkoptem, choć dzieci uważają, że to marnowanie dobrego deseru, a potem siadamy w salonie, pijemy herbatę, jemy ciastka i staramy się, jak możemy, odwrócić uwagę dzieci od gryzoni. Ale kiedy Charles wraca do kuchni, żeby dorobić herbaty, cholerny szkodnik jest już w skrzynce i miota się po niej, umazany czekoladą.

Alfie kładzie się na podłodze obok skrzynki i ucina sobie pogawędkę z myszą.

- Możemy ją zatrzymać? Proszę.

Na szczęście Charles ma już gotowe odpowiedzi.

- To polna mysz, Alfie. Potrzebuje wolności. Trzymanie jej w domu byłoby bardzo okrutne.

A co ważniejsze, doprowadziłaby mnie do hysterii.

- Ona musi być ze swoimi przyjaciółmi, żeby móc się z nimi bawić.

Genialnie. One mają przyjaciół. Skończę jak szczurołap z bajki i będę musiała kupować hurtowe ilości czekoladowych biszkoptów.

- A jeśli to sierotka?

- Co?

- Sierotka, bez mamusi i przyjaciół.

- Na pewno nie. Zapewniam cię.

W końcu udaje nam się przekonać całą trójkę, że mysz należy zabrać na pole i wypuścić. Ja miałabym ochotę wywieźć ją przynajmniej paręnaście kilometrów dalej, ale nie chcę ryzykować, że ucieknie w samochodzie, więc idziemy drogą jak banda wariatów, bo dzieciaki śpiewają na cały głos Uciekaj myszko do dziury. Jest już prawie ciemno, kiedy przełazimy górą przez bramę i kucamy na skraju pola.

- No dobra, myszko, idź sobie.

Unosimy drzwiczki, ale cholerna mysz nie chce iść i tylko nerwowo wygląda ze skrzynki. Jest jakby lepka i, szczerze mówiąc wygląda na lekko wkurzoną. Jest maleńka i ciemnobrązowa - choć to może być wina biszkopta - ze słodkim, małym ogonkiem, nie jednym z tych długich, koszmarnych, przyprawiających o mdłości ogoniszczy. Może to nornica?

- Charles, myślisz, że to może być nornica?

- Nornice są chyba większe. A co?

- Jeśli powiem mamie, że mieliśmy nornicę pod kuchenką, to może nie wpadnie w taką histerię.

- Też racja. W takim razie to nornica. Która lubi czekoladę. Zwierzę w końcu zbiera się na odwagę i śmiga przez pole prościutko w kierunku lasu. Ale kiedy idziemy do domu, jestem pewna, że widzę ją, jak biegnie skrajem pola. Pewnie chce być w domu pierwsza, żeby zobaczyć, czy nie zostało jeszcze trochę biszkopta.

Kiedy wchodzimy, Charles mówi, że chyba już zabierze dzieci do domu. Ezra wciąż się dąsa, bo chciał trzymać mysz w swoim pokoju.

- Dzięki, Charles, naprawdę. Za pożyczenie skrzynki i w ogóle.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Tylko nie dzwoń do mnie, jak znajdziesz pająka. Nie cierpię pajaków.

- Pająki mi nie przeszkadzają. Im przynajmniej nie trzeba kupować biszkopta.

Nie słychać już żadnego skrobania, ale kiedy kładę się do łóżka, jestem pewna, że coś słyszę. To cholerstwo pewnie wróciło. Po jakichś dziesięciu minutach gorączkowego nakręcania się naciągam w końcu kołdrę na głowę, żeby nie słyszeć tego dźwięku, i postanawiam, że tym razem trzeba się będzie do tego zabrać na poważnie. Koniec z biszkoptem. Zadzwonię jutro do gminy i każę sobie przysłać truciciela. Wiem, że to okrutne. Ale mam to w nosie. Nawet jeśli to nornice, to cholernie hałaśliwe. I nie będą mieszkały na moim strychu. Ani pod kuchenką.

Molly nie jest łatwo wytrzymać z mamą i Doreen. Wypracowały swego rodzaju naprzemienny system niańczenia jej, obejmujący podsuwanie

mnóstwa filiżanek herbaty i sugestii, że może Molly miałyby ochotę na małą drzemkę.

Mary właśnie podrzuciła ją do mnie razem z Jackiem, bo wybiera się do supermarketu.

- One obie są takie miłe i jestem im szczerze wdzięczna, ale bez przerwy wszystko myją i co dziesięć minut podtykają mi coś do jedzenia.

- To jeszcze nic. Moja mama dostała kompletnego świra, odkąd powiedziałam jej o myszy. Zużyła już chyba jakieś wiadro środków dezynfekcyjnych.

- Deratyzator się zjawił?

- Aha. Poustawiał na strychu całe mnóstwo tacek i ma przyjść w przyszłym tygodniu. A twoja mama chyba niedługo wraca do domu, co?

- W przyszłym tygodniu, jak już zaliczę wizytę kontrolną w szpitalu. Pod warunkiem że powiedzą, że wszystko w porządku. Tata przyjeżdża po nią w weekend. Na pewno jest już nieźle zmęczona. Wstaje za każdym razem, kiedy mały płacze, nawet w środku nocy. Prawdę mówiąc, będzie mi tego brakowało.

- Mogę się założyć. A jak Dan?

Dan nabrał zwyczaju wpadania w porze podwieczorku, a wczoraj odebrał Lily ze szkoły.

- On chyba jest w porządku, za to Lily się naburmuszyła, kiedy wyszedł wczoraj wieczorem. Powiedział, że musi iść do pracy, ale jej się to nie spodobało. To pierwszy raz, kiedy naprawdę miała coś przeciwko

temu. Bardzo się tym przejął. Ale wczoraj długo rozmawialiśmy i w końcu powiedział mi, jaki był nieszczęśliwy. Nigdy przedtem się do tego nie przyznał.

- No, to dobry znak, że zaczynacie tak naprawdę rozmawiać.

- Wiem, ale to cholernie trudne. Byłoby o wiele łatwiej po prostu zwalić wszystko na niego, ale to nie byłoby w porządku. W pewnym sensie już od dłuższego czasu nie zwracałam na niego uwagi, brałam jego obecność za pewnik. Byłam tak zajęta wszystkim innym, że nie zauważyłam, jaki był nieszczęśliwy.

Jest bliska łez.

- Nie zrozum mnie źle. Nie zamienię się w jedną z tych kobiet, które twierdzą, że to ich wina, kiedy jakiś bydlak je bije. Nie, popełnił błąd. Wielki błąd. I zajmie nam sporo czasu, zanim to przezwyciężymy. Sama myśl o tym, że z nią był, doprowadza mnie do szału, naprawdę. Ale w pewien sposób mi to pomaga. Dzięki temu zdałam sobie sprawę, jak bardzo go kocham. Bo inaczej pewnie miałabym to gdzieś, nie?

- No, pewnie tak.

- I tak naprawdę wcale nie chcę, żebyśmy się rozstali. Gdybym mogła przewinąć taśmę i wykasować cały ten kawałek, zrobiłabym to. Ale nie mogę.

Zdaje mi się, że nawet samo imię Lola nie przechodzi jej przez gardło.

- No i jest przecież Lily, i Jack, i chcę zrobić to, co dla nich najlepsze. Ale jeśli między nami nie będzie dobrze, to lepiej nie ciągnąć tego na siłę. Zawsze uważałam, że bycie na siłę razem wyłącznie dla dobra dzieci to bzdura; to nikomu nie pomaga. Biedna stara Doreen już tego

próbowała i popatrz, jaka jest szczęśliwa. Ale Dan jest naprawdę świetnym tatą. A to chyba coś znaczy, nie?

- O tak. To znaczy cholernie dużo.

- Więc pomyślałam sobie, że może dojrzałe podejście do sprawy to wybaczyć i zapomnieć.

- Może.

- Ale ja nie czuję się szczególnie dojrzała - mówi bezradnie.

- Wiem, skarbie, ale może moglibyście spróbować przez kilka dni, na przykład.

- Nie. Przychodziło mi to do głowy, ale oboje przez cały czas doszukiwalibyśmy się czegoś w każdym drobiazgu i byłibyśmy za bardzo zdenerwowani. Myślę, że potrzebujemy zacząć od nowa i pójść na całość przez miesiąc czy dwa, a nie tak skubać po trochu. Chyba go poproszę, żeby wrócił do domu na parę miesięcy, i wtedy zobaczymy, czy uda nam się przez to przejść. A jeśli nie, przynajmniej będę miała pewność.

- Jesteś niesamowitą kobietą, Molly, wiesz? Uśmiecha się.

- To mam mu o tym powiedzieć?

- Tak. Zadzwoń do niego. Nawet teraz, jeśli chcesz. Dzwoni, a ja idę grabić liście.

Kiedy wychodzi do ogrodu, mówi mi, że Danowi chyba bardzo ulżyło.

- A potem nagle zamilkł.

Znowu ma taką minę, jakby miała się rozpłakać.

- Ty go naprawdę kochasz, Moll, co?

- Tak. Chyba nareszcie zdałam sobie z tego sprawę. Mimo tego wszystkiego. Kocham go.

Mama Molly pojechała w końcu do domu, Dan wprowadził się z powrotem i, choć to wszystko jest jeszcze bardzo kruche, wygląda na to, że jakoś sobie radzą. Molly mówi, że przypomina to chodzenie po linie, ale Lily trochę się uspokoiła. Nie zazdrozczę jej - to musi być ciężka robota, przez cały czas na paluszkach omijać drażliwe kwestie.

Ja wciąż nie śpię po nocach przez myszy, ale przynajmniej Alfie uznał, że to nudne zwierzęta, i znowu chce króliczka. W zeszłym tygodniu jakaś przemądra pani z Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt przyniosła jednego do szkoły, więc Alfie uważa się teraz za eksperta. Może kupię mu królika na gwiazdkę, o ile mi obieca, że nie będzie znowu kopał w trawniku króliczych nor.

Nie mogę uwierzyć, że już myślę o świętach, ale mama ciągle zawraca mi głowę robieniem jakichś list, przez co zaczynam wpadać w panikę. Wczoraj zadzwoniła o wpół do ósmej rano, żeby mnie zapytać, czy uważam, że powinna w tym roku kupić prezent dla Stelli, a jeśli tak, to co myślę o podróżnym żelazku, bo widziała takie, bardzo ładne, u Debenhama. Czasami zastanawiam się, jak tata z nią wytrzymuje.

Jestem akurat u Molly - odwiedzam ją codziennie, żeby pobawić się z Jackiem - kiedy nagle wpada Charles, czerwony i zadyszany.

- Och, świetnie, jesteście tu obie. Byłem u ciebie, Alice, ale cię nie zastałem. Mam fantastyczną nowinę. Zdobyliśmy srebrny medal w konkursie. Srebrny medal! Czy to nie wspaniałe?



Dowiadujemy się, że pani Pomeroy jest w euforii i mówi, że organizatorzy konkursu chcą przyjechać i zrobić zdjęcia do gazety. Uważa, że mogą nas pokazać nawet w telewizji. To naprawdę ekscytujące, i nawet jeśli uważam, że to wszystko zasługa roślin, no i tego, że Molly zaczęła rodzić akurat w trakcie wizyty sędziów, nic na to nie poradzę, że czuję się odrobinę zadowolona, że mój projekt nie wywołał u jurorów ataku śmiechu.

- Muszę iść i powiedzieć o tym Elsie, jeśli jeszcze nie wie. Ale to fantastyczne, co? Jestem taki dumny ze wszystkich. A szczególnie z ciebie, Alice. Brawo.

Całuje Molly i mnie i robi się jeszcze bardziej czerwony, a potem pędzi do Elsie.

- To takie miłe z jego strony, że poszedł jej powiedzieć. Myślałam o urządzeniu jakiegoś małego przyjęcia, żeby podziękować wszystkim za te rzeczy, które zrobili dla Jacka, no i żeby go pokazać. Ale teraz jest podwójna okazja. Co o tym myślisz?

- Świetny pomysł, jeśli tylko jesteś pewna, że nie będzie z tym za dużo roboty.

- Szczerze mówiąc, mam też pewien ukryty powód. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że Dan i ja znów jesteśmy razem. Niby nikt nic nie mówił, ale wszyscy wiedzieli, że nie było go przy mnie i na pewno dodali dwa do dwóch.

- I pewnie wyszło im sześć.

- Tak, więc pomyślałam, że jak znów zobaczą nas razem, to trochę oczyści atmosferę. Jedynym problemem jest Charles.

- Niby dlaczego?

- Oczywiście zamierzam go zaprosić, ale nie chcę, żeby czuł się niezręcznie. Wiesz, jaki on jest. Nie będzie chciał odmówić, ale myślę, że wolałby uniknąć przebywania w tym samym pomieszczeniu, co Dan. Jak sądzisz? Zastanawiałam się, czy do niego nie zadzwonić i nie zapytać, co on na to, ale potem uznałam, że to by nie było zbyt taktowne.

- Więc chcesz, żebym ja spróbowała?

- No, właściwie tak, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Naprawdę chciałabym, żeby przyszedł, ale nie chcę, żeby czuł się zobligowany.

- W porządku, spróbuję go wy badać przy najbliższej okazji.

Postanawiam pójść do ogrodu przed lunchem w nadziei, że zastanę tam Charlesa. Ogród wciąż wygląda ślicznie. Pan Chan-ning posadził nowe warzywa w miejscach, gdzie były truskawki i pomidory, między innymi czerwoną kapustę, która wygląda świetnie. Drzewko laurowe w środku grządki z ziołami jest już większe, a nadejście jesieni zewsząd wydobyło nowe kształty i barwy.

Charles porządkuje ścieżki, a ja oczyszczam strumyki z liści, po czym robimy sobie przerwę na kawę.

- Jak się miewa Molly? Dziś rano wyglądała o wiele lepiej.

- I ma się lepiej. I Dan wrócił do domu, wiedziałaś o tym?

- Naprawdę? To dobrze, cieszę się.

- Naprawdę?

- Tak. W sumie nie obwiniam go. Lola potrafi być uparta. Oczywiście nie liczylibym na to, że zostaniemy przyjaciółmi, ale cieszę się ze względu na Molly.

- To bardzo dojrzałe z twojej strony.

- No, nie wiem. Pewnie inaczej by to wyglądało, gdybyśmy przed tym wszystkim byli idealną parą. Gdybym był zakochany do szaleństwa, pewnie miałbym ochotę go zabić.

- Cóż, jeśli jesteś pewien, że tak to widzisz, to Molly urządza małe przyjęcie, żeby przedstawić małego i podziękować wszystkim, i chce, żebyś przyszedł. Ale tylko pod warunkiem że nie będzie ci przeszkadzała obecność Dana i w ogóle.

Charles się uśmiecha.

- Nie. Myślę, że sobie z tym poradzę, a przy okazji ludzie przestaną gadać. Pani Bishop w kółko pyta mnie o Lolę.

- No, ja myślę. Pewnie wywiedzenie się wszystkiego uznała za swoją misję.

- Mówię jej po prostu, że zanosilo się na to już od jakiegoś czasu i że to była wspólna decyzja, i takie tam. Nie chcę, żeby ludzi mi współczuli.

- Jasne.

- Prawdę mówiąc, przyjdzie na imprezkę do Molly będzie mi bardzo na rękę. Skończą się te wszystkie plotki.

- Świetnie. No więc to będzie w przyszłym tygodniu, ale powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła.

- Dobrze. Wiesz, rozmawiałem z nią dzisiaj. Z Lolą. Zadzwoniła głównie po to, żeby mi powiedzieć, że spotyka się z kimś innym, z jakimś

facetem z pracy, i że wynajęła mieszkanie. Przyjeżdża w ten weekend zobaczyć się z dziećmi. W zeszły weekend odwołała wizytę w ostatniej chwili. Za dużo pracy czy coś w tym stylu.

- Boże, skąd się biorą takie kobiety?

- I teraz naprawdę chce rozwodu, wynajęła adwokata. Jakiegoś naprawdę drogiego. Jestem pewien, że widziałem jego nazwisko w jakiejś gazecie.

- A ruszyło cię to?

- Nie. Myślałem, że ruszy, ale naprawdę mam to w nosie. W sumie nawet poczułem ulgę. Chyba będę musiał wynająć kogoś, kto będzie mnie reprezentował. Może kogoś stąd.

- Genialny pomysł. Wtedy ten świetny, londyński prawnik Loli będzie cię mógł wydoić. Ani mi się waź, Charles. Weź kogoś naprawdę drogiego, kto będzie potrafił im odpłacić pięknym za nadobne.

- Pewnie masz rację.

- Przepraszam. Nie chciałam się wtrącać. Ale nie pozwól jej, żeby cię zdeptała, dobrze?

Rzuca mi dziwny uśmiezek.

- Obiecuję.

Przez chwilę milczymy niezręcznie.

- Tak właściwie to chciałem cię zapytać o miejscową szkołę. Co o niej sądzisz? Przyszło mi do głowy, żeby przenieść Ezrę.

- Myślę, że to świetny pomysł. Szkoła jest miła i przyjazna, a nauczyciele naprawdę fajni. Jestem pewna, że będą mieli na niego oko.

Raczej będą musieli, bo ostatnio zrobił się jeszcze gorszy niż zwykle, czemu chyba nie należy się dziwić. Cieszę się, że nie będzie w klasie Alfiego.

- Wiesz, on czasem potrafi być taki słodki. Choć przyznaję, że ostatnio jest po prostu okropny. Ale tak naprawdę jest nieśmiały i bardzo chce, żeby wszyscy go lubili.

Teraz czuję się jak ostatnia świnia.

- Wszystkie dzieci czasem bywają okropne.

- Tak, ale największy problem w tym, że zrobił się strasznie zazdrosny o Mabel. Chyba nie najlepiej poradziłem sobie z tym problemem. Niby przeczytaliśmy wszystkie poradniki na ten temat i rozmawialiśmy o tym, ale tak naprawdę nigdy nie byliśmy konsekwentni w stosowaniu się do tych porad.

- To może ustal, że na przykład raz w tygodniu wychodzicie gdzieś tylko we dwóch. Tylko ty i on. Mabel możesz podrzucić mnie, jeśli chcesz. I możesz mu powiedzieć, jaki jesteś z niego dumny.

Cholera jasna. Zrobił się czerwony jak burak. Mam nadzieję, że nie powiedziałam czegoś głupiego.

- Och, Alice, to wspaniały pomysł. Myślę, że to by mu się spodobało. Szczególnie gdyby Mabel była z tego wykluczona. Jesteś pewna, że nie miałabyś nic przeciwko temu? Bo mogę zadzwonić do pani Bishop. Zresztą moja matka też proponowała pomoc. Może mogłaby przechować Mabel raz w tygodniu. Bo z Ezrą nie bardzo sobie radzi. Zadzwonię do niej dziś wieczorem.

- Dobra. Daj znać, gdyby była zajęta.

Mam nadzieję, że nie będzie zajęta, bo chwilowo mam urwanie głowy z pracą, a Alfie ostatnio nie sypia zbyt dobrze, więc jestem wykończona. Myślę, że to ma coś wspólnego z pójściem do szkoły i że niedługo się uspokoi. Mama twierdzi, że my oboje też źle sypialiśmy, kiedy zaczęliśmy szkołę. Mam nadzieję, że mu przejdzie, bo nie jest łatwo zachować spokój i robić dobrą minę o trzeciej nad ranem.

I mam nadzieję, że Charles dojdzie jakoś do porozumienia z Ezrą. To naprawdę urocze, jak bardzo się stara. Nie sądzę, żeby facet, który sam został wysłany do szkoły z internatem, był dobrze przygotowany do roli ojca, ale przynajmniej robi, co może. Wiem, że to nie powinno się wydawać aż tak imponujące, kiedy facet troszczy się o dzieci, Molly ma rację, że to kompletna bzdura. Ale to jednak robi wrażenie, choć w życiu nie przyznałabym się do tego na głos.

Przyjęcie Molly udaje się wyjątkowo. Pani Pomeroy jest w swoim żywiole i przez większą część popołudnia pokazuje ludziom swoje zdjęcia. Wszyscy jakby się umówili, żeby nie wspominać o Loli. Oczywiście z wyjątkiem Elsie.

- No to gdzie się podziała ta twoja Lola?

- Elsie, daj spokój.

Ale widać, że pani Pomeroy też nie może się doczekać odpowiedzi.

- Nikt jej nie widział od kilku tygodni. Wyjechała do Londynu, zgadza się? I krzyżyk na drogę. Ta kobieta zawsze wydawała mi się za bardzo wpatrzona w siebie. Nie była ciebie warta, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Charles wybuchł śmiechem.

- To bardzo miło, że tak mówisz, Elsie, ale ona na pewno by się z tobą nie zgodziła.

- Założę się, że się pojawi, kiedy przyjadą ci z gazety.

- Nie wydaje mi się. Jest w tej chwili bardzo zapracowana.

- O, na pewno znajdzie czas, skoro jest okazja zabłysnąć. Jak niektórzy, o których nie wspomnę. Jakoś ich nie było widać, kiedy trzeba było kopać w ulewnym deszczu, co? Ale kiedy zdobyliśmy nagrodę, wszyscy są tutaj.

Pani Pomeroy odprowadza Elsie na bok i robi do nas minę za jej plecami. Charles znów się śmieje.

- Nie wiem, dlaczego się śmiejesz, przecież ona ma rację. Założę się, że ona się zjawi i zacznie się rządzić.

- Nie, nie zrobi tego. Już o tym rozmawialiśmy. Prosiła mnie, bym nie zapomniał powiedzieć ojej zasługach, skoro to wszystko był jej pomysł. Kazałem jej się wypchać.

- Niemożliwe.

- Naprawdę. To było wspaniałe. Powiedziałem, że Towarzystwo Ogrodnicze zatrzyma wszystkie nagrody rzeczowe, bo to oni odwalili prawie całą robotę, a wszelka chwała należy się tobie za projekt. Mówię ci, nie była tym zachwycona.

- Brawo, stary.

Żałuję, że nie widziałam jej miny.

Podchodzi do nas pan Channing i zaczyna rozmawiać z Charlesem o pomysłach na zimowe rośliny, a Molly podaje mi Jacka.

- Będzie płakał, jak go położę, a muszę pozbierać trochę filiżanek.

- Nie ma sprawy. Alfie ciągle jest w ogrodzie z Danem?
- Tak, oglądają nowe kurczaki.
- Jack strasznie szybko rośnie, co? Jest o wiele cięższy.
- To pewnie dlatego że ciągle je. Jedyna rzecz, na jaką nie ma wielkiej ochoty, to spanie.
- Alfie zrobił się trochę znośniejszy, kiedy zaczął jeść zupki dla niemowlaków. To im dobrze robi.
- Mam przeczucie, że trzeba będzie czegoś więcej niż zupki, żeby zatkać mu buzię.

Idziemy do kuchni. Siadam na krześle, ale Jack zaczyna płakać, więc muszę wstać i trochę go pohuścić. Już zapomniałam, jak to jest.

- Doreen mówi, że Dan też w ogóle nie chciał spać, jak był mały.
- Jak on się czuje?
- Dobrze. Mniej więcej. Jest cały czas pod ręką i ciągle zabiera Jacka na spacer. To świetna sprawa. Lily ciągle rozstawia wszystkich po kątach, ale teraz wyżywa się głównie na Danie.
- Rany.
- A ja ciągle się na niego złościę bez powodu, a potem widzę, jak się przede mną zamyka, i znów się wściekam. Ale nie widzę żadnego wyjścia z tego błędnego koła, myślę, że musimy to po prostu przetrwać. Są też dobre chwile, kiedy jesteśmy wszyscy razem, a on się bawi z Lily albo Jackiem i uśmiecha się do mnie. No, wiesz. Ale jest o wiele trudniej, niż się spodziewałam.
- Na to potrzeba czasu, Moll.
- Wiem. Tylko wydaje mi się, że to może być cholernie dużo czasu.



- Teraz przynajmniej nie musisz się przejmować plotkami. Wszyscy chyba przyjęli do wiadomości, że znów jesteście razem.
- Tak. Och, ale nie powiedziałam ci jeszcze jednego. To było naprawdę słodkie. Któregoś dnia Frank przyniósł nam cebulę, a przy okazji uciął sobie pogawędkę z Danem. Dan był przerażony. Frank powiedział mu, że ma nadzieję, że teraz zdaje sobie sprawę, jakim był głupcem i jakie miał szczęście, że pozwoliłam mu wrócić, i że cieszy się, że Dan wreszcie się opamiętał.
- Coś podobnego.
- Tak. A Bill nadal z nim nie rozmawia. Niby jest uprzejmy i w ogóle, ale go unika.
- Przejdzie mu.
- Wiem, ale jestem wzruszona. Dan właściwie też, na swój sposób. Zabieram Jacka do ogrodu, żeby sprawdzić, czy zmiana otoczenia go uspokoi, i znajduję Franka i pana Channinga, którzy chowają się przed panią Pomeroy.
- I tak zaraz was znajdzie.
- Tak, ale przynajmniej odetchnęliśmy przez chwilę. Pisze artykuł do lokalnej gazety. Nic jej nie powstrzyma.
- Przecież to całkiem niezły pomysł, nie?
- Tak, ale ona chce wszystko zrobić sama. A może my też mielibyśmy parę pomysłów. Przecież Billy również jest w Komitecie. A ona zabiera się do tego, nie pytając nikogo o zgodę, i robi wszystko po swojemu.
- A macie jakieś pomysły?

- No, właściwie nie, ale będziemy mieli, daj nam trochę czasu. Musimy zebrać pieniądze na naprawę dachu, to nie ulega wątpliwości. Inaczej równie dobrze możemy się spotykać na dworze. Któregoś dnia deszcz zaczął przeciekać do środka.

Rozmawiamy o giełdach staroci i loteriach fantowych i nagle Frank mówi, że moglibyśmy wydać kalendarz.

- Jak ten, który wypuściło Stowarzyszenie Kobiet. Zarobiło na nim kupę szmalu.

Jest bardzo dumny z siebie, że wpadł na taki genialny pomysł. Ale Bill nie wydaje się przekonany.

- Co, z naszymi gołymi zdjęciami? To jej się nie spodoba. Frank podkreca się coraz bardziej.

- I co z tego? Elsie na pewno chętnie się zgodzi, a panią P. możemy schować za taczkami, jeśli znajdziemy wystarczająco duże.

Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy chcę oglądać Franka i Billa odzianych wyłącznie w kapelusze, ale oni naprawdę zapalają się do tego pomysłu.

- Z czego się tak śmiejecie? To musi być niezłe, słyhać was nawet w domu.

- Charles, Frank wpadł na genialny pomysł. Wydamy kalendarz ogrodniczy, żeby zebrać pieniądze na nowy dach. Goli Ogrodnicy. Co ty na to?

- Jezu, wy chyba nie mówicie poważnie?

- Oczywiście, że tak. I właśnie zostałeś wybrany jako ten, który wytłumaczy to wszystko pani Pomeroy.

- Dobry Boże.

W drodze do domu Alfie oznajmia mi, że jego zdaniem niemowlaki są strasznie nudne.

- Lily mówi, że Jack przez cały czas tylko śpi i płacze. To nie jest zbyt fajne, prawda, mamusiu?

- Każde dziecko czasem płacze.

- Tak, ale kurczaki nie płaczą. I pieski też nie. Myślę, że powinniśmy kupić szczeniaka. Szczeniaki są fajne. O wiele fajniejsze niż głupi niemowlak.

- Ty też kiedyś byłeś głupim niemowlakiem, Alfie.

- Tak, ale teraz już urosłem. I chcę psa. Wszyscy w mojej szkole mają psa, tylko ja nie. To okropne.

- Alfie, to nieprawda. Na przykład Lily nie ma psa.

- Ale ma kurczaki. A poza tym jest dziewczyną. Dziewczyny nie mają psów, tylko króliki.

- A więc nie chcesz już króliczka?

- Nie. Króliczki są głupie. Chcę psa.

- Alfie, powiedziałam ci już, że kiedy będziesz większy. Może.

- Nie mogę czekać tak długo. Nie mogę. Nienawidzę cię, mamusiu. Nienawidzę cię jak... jak nie wiem co.

Siedzę w domu, usiłując rozrysować plany kolejnej przeróbki stodoły, którą zważył na mnie Malcolm, ale bez przerwy ktoś mi przerywa. To wspaniale brać udział w życiu wsi, a współpraca przy ogrodzie sprawiła, że czuję, iż o wiele bardziej przynależą do społeczności, ale

zaczyna to wyglądać tak, że ludzie bez przerwy dzwonią albo do mnie wpadają.

Nie ma jeszcze południa, a dzwoni już pani Pomeroy, by powiedzieć mi, że ci z gazety przyjeżdżają w przyszłym tygodniu i pyta, czy uważam, że powinna pozwolić Elsie pójść na spotkanie, bo przecież wiem, jaka jest Elsie. Potem dzwoni Charles i mówi, że musimy dopilnować, by Elsie nie została pominięta, a jeszcze później wpada Frank i wyznaje mi, że nie jest pewien, czy chce być w gazecie i czy uważam, że musi założyć garnitur, bo pani Pomeroy mówi, że musi, ale przecież mamy być ogrodnikami, a nikt nie zakłada garnituru do pracy w ogrodzie, z wyjątkiem biednego pana Pomeroya.

Sugeruję mu, żeby poradził się pana Channinga, który zna się na etykietach; wychodząc, Frank mówi mi, że trzeba poprzycinać róże i że zrobi to za mnie, jeśli chcę, po czym zauważa całe mnóstwo innych pilnych prac ogrodowych i stwierdza, że przyprowadzi pana Channinga do pomocy. A to oznacza, że obaj będą mi tu paplali przez parę godzin. Oczywiście to bardzo miło z ich strony, ale jak ja mam, na litość boską, pracować w takich warunkach?

Ledwie pozbyłam się Franka i usiadłam, znów słyszę pukanie do drzwi. To przestaje być zabawne. Otwieram drzwi, gotowa powiedzieć temu, kto za nimi stoi - ktokolwiek to jest - żeby się odwalił i dał mi popracować. To Harry.

- Och. Cześć.

- Akurat tędy przejeżdżałem i pomyślałem, że wpadnę. Nie przeszkadzam ci?

- No coś ty. Wejdz.

Do diabła. Mam na sobie tragiczny, stary sweter i dżinsy, a rano nawet się nie uczesałam. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Ale mimo wszystko.

- Na pewno nie jesteś zajęta?

- Ależ skąd. Właśnie miałam robić kawę. Chcesz?

- Poproszę. Ogródek od frontu wygląda całkiem nieźle. A jak tam tył?

- Idź i zobacz. Przyniosę kawę na dwór, jeśli chcesz. Chyba nie jest za zimno, co?

- Nie, w słońcu jest całkiem ciepło.

- A tak w ogóle, nasz nowy ogród zdobył srebrny medal.

- Wspaniale, gratulacje.

- Na pewno pomogły twoje zioła.

- Cieszę się.

Oczywiście skończyła mi się mielona kawa, więc zaparzam dwa kubki rozpuszczalnej i zabieram je do ogrodu.

- Co u ciebie?

- W porządku. Ale było tu ostatnio trochę zamieszania. Lola i Charles się rozstali, a Molly i Danowi niewiele brakowało. Prawdę mówiąc, ciągle niewiele brakuje.

- Kurczę, co to się nagle porobiło?

- Lola i Dan mieli romans.

- Jezu, Dan chyba kompletnie zidiociał. Kto chciałby się zadawać z kimś takim jak Lola, mając w domu taką kobietę jak Molly?

Przypomniałam sobie, dlaczego mi się tak podobał. Do diabła.

- Teraz już jest w porządku. To znaczy Molly i Dan są znowu razem i starają się jakoś posklejać związek. A dziecko jest naprawdę śliczne.

- Świetnie. A jak tam Alfie?

- Dobrze. Zaczął chodzić do szkoły.

- No tak, faktycznie. Podoba mu się?

- Jak na razie. Chociaż nie jest zachwycony lekcjami tańca. Woli galopować po sali, zamiast stać i udawać drzewko.

- Ja nie cierpiałem tańca. Musieliśmy się uczyć tańczyć walca z innymi chłopcami. To było okropne. A pod koniec półrocza przyprowadzili dziewczyny, i to było jeszcze gorsze.

- Alfie też w tej chwili nie przepada za dziewczynami. W zerówce wszyscy chłopcy przechodzą taką fazę macho.

- Jestem pewien, że w końcu się opamięta. Jak większość z nas.

O Boże, zdaje się, że zaraz Coś Powie.

- Tak sobie myślałem, czy nie miałabyś ochoty na drinka... któregoś wieczoru. Co ty na to?

- Och, Harry, nie wiem. Przez ostatnich kilka tygodni wszystko się jeszcze bardziej skomplikowało. Wystarczająco trudno jest unikać ranienia się nawzajem, a co dopiero naprawianie czegośkolwiek. Przez to jestem jeszcze bardziej zdeterminowana, żeby nie spieprzyć wszystkiego do reszty, głównie ze względu na Alfiego, ale i na siebie. Myślę, że jeśli dwojgu ludziom ma się udać, to czujesz, że to coś wielkiego. Czujesz, że nie masz wyboru.

- No tak. Do diabła. Pewnie masz rację. Tak się tylko zastanawiałem. Ale wiesz, że powinnaś przyciąć ten pasternak? Zrobi się długi i cienki, jeśli go tak zostawisz. Tę lawendę też by się przydało przyciąć.

Przez chwilę rozmawiamy o ogrodzie; moja lista niezbędnych prac się wydłuża.

- No, chyba będę leciał. Dzięki za kawę. Może się zobaczymy, oczywiście po jakiejś przyzwoitej przerwie, żebym miał czas wyleczyć złamane serce.

- Bardzo chętnie. Ale tak naprawdę nie masz złamanego serca, co, Harry?

- Nie. Zawiedzione, ale nie złamane. To chyba nie w moim stylu.

Dzięki Bogu. Naprawdę nie wiem, co bym zrobiła, gdyby powiedział, że faktycznie jest zdruzgotany. Widząc go znów, przypomniałam sobie, jak bardzo go lubię, ale teraz jestem pewna, że postąpiłam słusznie. Szkoda, że nie da się sypiać z kimś tak sobie, bez zobowiązań. Wszyscy wiedzą, że takie niezobowiązujące sypianie ma paskudny zwyczaj ewoluowania w zobowiązujący układ, kiedy się tego najmniej spodziewamy.

Kiedy Harry idzie do samochodu, strasznie mnie kusi, by mu powiedzieć, że zmieniłam zdanie, bo zawsze bardzo mi się podobało, jak chodzi, no i te jego świetne ramiona. Ale jakoś opieram się pokusie. I całe szczęście, bo pomijając już wszystko inne, muszę skończyć ten przekłęty projekt, a już prawie pora jechać po Alfiego.

Alfie uczy się grać na flecie - kiepska sprawa, ale naprawdę zła wiadomość jest taka, że ma przynieść to cholerstwo do domu, żeby

ćwiczyć. Co wieczór. Lily też się uczy. Kiedy podjeżdżam pod szkołę, oboje stoją na boisku, zawzięcie popiskując. Molly przyszła pieszo; Jack słodko śpi w wózku. Długo sobie nie pośpi.

- Lily, ślicznie grasz, ale schowaj to teraz do wózka i idziemy do domu.

Oboje biegają w kółko, nie przestając grać.

Pytam Molly, czyjej zdaniem mogę w drodze do domu wyrzucić flet Alfiego przez okno i zwalić wszystko na silny podmuch wiatru.

- Świetny plan. Daj mi znać, jeśli się uda, to jutro zrobię to samo. Nie przypominam sobie, żebym podpisywała jakieś zobowiązanie dotyczące fletu. Właściwie jestem pewna, że nie podpisywałam.

- Owszem, podpisywałam, na początku półrocza. Nie pamiętasz? Myślałam, że będą to robili tylko w szkole. Naprawdę, mogli nas uprzedzić. Gdybym wiedziała, że to świństwo wyląduje u mnie w domu, powiedziałabym nie.

Alfie znalazł nowe zastosowanie dla fletu i tłucze nim po głowie jakiegoś mniejszego chłopczyka.

- Alfie, przestań.

- To on zaczął.

- Przestań natychmiast. Wsiadaj do samochodu.

- Nie. Chcę iść na piechotę z Lily i Jackiem. Będziemy grali na fletach przez całą drogę.

276

- Jeśli ma ochotę, niech idzie. Nie mam nic przeciwko temu. A poza tym pamiętaj, że każda sytuacja ma dobre strony, trzeba je tylko znaleźć.

- A jaką dobrą stronę ma ta sytuacja, Pollyanno?



- U mnie w szkole uczą grać na trąbce. Pomyśl tylko, oboje mogliby mieć trąbki.

- Jezu. Naprawdę?

- O tak. I bębny. Albo skrzypce. Skrzypce są chyba najgorsze, przeszywają cię na wylot. Musieliśmy ustalić grafik, kto prowadzi muzyczne apele. Bez tego wszyscy po prostu chowają się w pokoju nauczycielskim.

- Żałuję, że ja nie mogę się gdzieś schować. Popatrz na niego. Teraz się nim fechtuje. Alfie, przestań. Nie możesz mieć fletu, jeśli zamierzasz tak z nim wariować.

- Właśnie że mogę. Pani Trent powiedziała, że mogę jeden wziąć, a to ona rządzi.

- Do samochodu. Już. Albo nie będzie kreskówek.

- Tak, chodź już Lily. Idziemy. Nie rób tak, kochanie, wystraszysz Jacka.

- Alfie, ja mówię poważnie. Nagle wpadam na genialny pomysł.

- Wiem. Kiedy przyjedziemy do domu, zadzwonisz do taty i zagrasz mu przez telefon śliczną melodyjkę.

Jak to mówią, kłopot podzielony na dwoje to tylko pół kłopotu. A poza tym Patrie w zeszły weekend powiedział mi, że powinnam bardziej się starać rozwijać kreatywność Alfiego.

**DZIENNIK OGRODOWY**

Posiej warzywa ozime. Poprzycinaj krzewy. Na wypadek przymrozków zabezpiecz wszystkie późne warzywa.

*Razem z Frankiem i panem Channingiem wpadamy w szat przycinania; wszystkie moje krzewy zamieniają się w matę kikuty. Nie chce mi się wierzyć, że jeszcze kiedykolwiek wrócą do normalnych rozmiarów, ale Frank i pan Channing obiecują, że nic im nie będzie. Ścinamy ostatnie zioła - zapach jest wspaniały - a potem rozpalamy kolejne ognisko, żeby pozbyć się ściętych gałęzi. Przezornie ubieram Alfiego w kalosze, których nie jest w stanie ściągnąć bez pomocy, więc nie tracimy więcej kapci. Alfie chce udawać, że jesteśmy na kempingu i piec kiełbaski na patykach nad ogniem. Jestem jednak pewna, że to się skończy łzami albo zatruciem pokarmowym (a najprawdopodobniej jednym i drugim), więc przekonuję go, że usmażenie kiełbasek w domu i zjedzenie ich na dworze będzie równie fajne. Wszystko idzie dobrze, ale nagle zaczyna padać, a Alfie upuszcza swoją kiełbaskę w błoto. Próbuję mu wytłumaczyć, że przez to cała impreza jeszcze bardziej przypomina prawdziwy kemping, ale i tak jest wściekły i wrzuca widelec do ogniska.*

*Alfie doprowadza mnie do szafy swoim fletem. Mamie to jakoś nie przeszkadza, ale ja chyba pęknę, jeśli będę musiała jeszcze raz wysłuchać Małego osiołka. Molly mówi, że wszystkie kurczaki uciekają do kurnika, kiedy tylko Lily zaczyna grać, i wcale im się nie dziwią.*

*Szkoła planuje mały koncert na koniec półrocza - zapowiada się niezły ubaw. Zdecydowali się na bardzo nowoczesny temat, coś w rodzaju luźnej impresji pod tytułem „Muzyka z całego świata”. Chyba raczej „Muzyka z wariatkowa”. Najstarsza klasa ma przydzielone bongosy, o które Alfie jest strasznie zazdrosny. Już się nie mogę doczekać. Bongosy piątej klasy i Mały cholerny osiołek w wykonaniu zerówki.*

*Mam dziś po południu dyżur jako rodzicielska pomoc na lekcjach u Alfiego i będę pomagała na zajęciach praktycznych. Szczerze mówiąc, nie bardzo mi się to uśmiecha. Molly udziela mi cennych wskazówek.*

- Załóż ubrania, które będziesz mogła po wszystkim spalić, i zaraz po wejściu postaraj się namierzyć największego rozrabiakę.

- Niby jak mam to zrobić?

- To nie będzie trudne, uwierz mi. To prawdopodobnie będzie chłopiec, chociaż dziewczynki też potrafią dać w kość. Będzie łąził po klasie, kiedy wszyscy inni siedzą, i nie nawiąże kontaktu wzrokowego, a jeśli już, to będzie się po prostu na ciebie gapił.

- Jezu.

- Po prostu weź go na bok i obiecaj piątaką, jeśli zrobi ci jakąś wycinankę i będzie się dobrze zachowywał. To zwykle skutkuje.

- Wielkie dzięki. Ogromnie podniosłaś mnie na duchu.

- A jeśli ktoś cię na tym przyłapie, powiedz po prostu, że to nowa metoda motywacji do pozytywnych zachowań. To im zamknie buzie.

Kiedy przychodzę, Alfiego nigdzie nie widać. Pani Trent mówi, że klei z panną Pilchester modele na korytarzu.

- Może pani pójść popatrzeć, jeśli ma pani ochotę, zanim zacznie pani zajęcia ze swoją grupą. Pomyślałam, że dziś będzie papier mache, oni wszyscy tak to lubią. Robimy maski na nasz koncert.

Po prostu bajecznie, papier mache. Moje ulubione tworzywo. Wychodzę na korytarz i ledwie dostrzegam Alfiego za ogromnym pudłem, które maluje na czerwono. Na całe szczęście ma na sobie fartuch malarski, choć i tak sporo farby trafiło na buty i spodnie.

- Cześć, mamusiu! Popatrz na moją raketę.

- Jest śliczna.

Panna Pilchester, która ma chyba z osiemdziesiąt lat i od kilku dekad pomaga przy szkolnych zajęciach, najwyraźniej cudownie się bawi. Otoczona słoiczkami z klejem, całą masą kartonowych tub i kawałków błyszczącego papieru wycina coś z ogromnego arkusza czarnej tektury.

- Pomagam Emily robić silniki rakietowe.

- Wspaniale.

Jezu. Ja chyba tak nie potrafię.

Kiedy wracam do klasy, moja grupa wciąż jeszcze siedzi beczynn timer w fartuchach, z wyczekującymi minami. Pani Trent już wprowadziła ich w temat i aż się palą, żeby wreszcie zacząć.

- A teraz, Bobry, przywitajcie się z mamą Alfiego. Pomoże wam robić maski.

Cholera jasna. Po pięciu minutach wszystko jest umazane klejem. Zdaje mi się, że jeden chłopiec na amen przylepił się do krzesła. Drzemy stare gazety, jakby zależało od tego nasze życie, a z balonów, które służą za formę, szybko uchodzi powietrze. Strasznie trudno je utrzymać, ciągle wyślizgują nam się z rąk i przylepiają do podłogi, co prowokuje moich podopiecznych do ciągłego wstawania z miejsc i biegania z piskiem po klasie. Pani Trent musiała przychodzić już dwa razy, żeby przywrócić porządek, a Andrew przedziurawił swój balon i musiał zaczynać wszystko od początku.

- Kiedy będziemy mogli je pomalować?

- Najpierw muszą chyba wyschnąć. Pewnie za dzień czy dwa.

- Ja zrobię tygrysa.

- Na pewno będzie świetny. A ty, Andrew?

- Lewa.

- Ślicznie.

- Tak. Wielkiego lewa, co zjada ludzi na jeden kąs. Dwie dziewczynki robią zaniepokojone miny.

- A nie mógłby to być miły lew? Jak na przykład lwica Elza? Widziałeś ten film, prawda?

- Tak. Ale mój tata mówi, że to gówno.

- Hm, mnie się nawet podobał. Andrew spogląda na mnie z politowaniem.

- Mój ulubiony film to Milczenie owiec. Hannibal zjada ludzi.

Dość przekonująco wciela się w rolę Hannibala Lectera dziewczynki niepokoją się jeszcze bardziej. Prawdę mówiąc, sama jestem trochę niespokojna. Zastanawiam się, czy już teraz zaproponować mu piątaką, czy poczekać na lepszy moment.

- Ja myślę, że to wymyślili... no wiesz... żeby film bardziej trzymał w napięciu. To nie jest prawda.

- Właśnie, że jest. Mój tata tak powiedział. Mówi, że powinni znowu zacząć wieszać ludzi. No wiesz, to takie zabijanie na kawałku liny.

W końcu oblepiliśmy nasze balony, ubrania, krzesła i większą część stołu kawałeczkami gazety umaczanymi w kleju, więc wydaje mi się, że zbliżamy się ku końcowi, kiedy pani Trent klaszcze w ręce i mówi:

- Paluszki na buzie, bardzo proszę.

Niektórzy pewnie przykleją sobie paluszki do buź na stałe.

Każdy, kto skończył sprzątać, ma usiąść na macie i wybrać sobie książkę do czytania, i wszyscy mamy być cicho jak myszki, chodzić na paluszkach i najwyżej cichutko popiskiwać. Więc chodzimy na paluszkach, aż tego popiskiwania robi się trochę za dużo, a Andrew oznajmia, że będzie szczurem i gryzie Louisa, więc pani Trent znajduje dla niego zajęcie - ma jej pomagać przy malowaniu doniczek.

Alfie wraca do klasy z resztą grupy; wygląda na to, że panna Pilchester zdołała ich wszystkich oczyścić i wyłuskać z fartuchów bez najmniejszego problemu, czego nie mogę powiedzieć o mojej grupie, która wciąż paraduje z kawałkami gazet tu i ówdzie. Panna Pilchetser pomaga mi dokończyć sprzątanie, a pani Trent siada i zaczyna czytać wszystkim opowiadanie.

Tuż przed wyjściem do domu daje każdemu ulotki straży pożarnej.

- A teraz słuchajcie... Andrew, przestań, to nie jest zbyt miłe... pamiętacie tego miłego strażaka, który przyszedł do nas na apel?

Tak, pamiętają.

- No więc, dał nam te ulotki do domu, żeby nam przypominały... Sydney, jak nie przestaniesz, będziesz musiała siedzieć w kącie. Żeby nam przypominały, jak bezpiecznie obchodzić się z fajerwerkami. Czy ktoś pamięta chociaż kilka jego ostrzeżeń? Czego nie możemy robić piątego listopada? Andrew, mam nadzieję, że nie zacząłeś się znowu wygłupiać?

W powietrze uniósł się las rączek.

- George?

- Nie wtykać sobie zimnych ogni do oka.

- No tak, ale on powiedział, zdaje się, żeby nie wymachiwać nimi za bardzo, prawda? A szczególnie nie w pobliżu twarzy, swojej czy cudzej.

- Tak, i trzeba założyć rękawiczki.

- Świetnie George, masz doskonałą pamięć. Wszyscy musimy zakładać rękawiczki, żeby nic nam się nie stało w palce. Jeszcze coś, Louis?

- Trzeba trzymać fajerwerki z ciastkami?

- Świetnie. Fajerwerki trzeba przechowywać w puszcze po ciastkach, a nie w kartonowym pudełku. Czy ktoś wie, dlaczego? Sydney, proszę, przestań się wiercić i usiądź porządnie. Tom-my?

- Co?

- Wiesz, dlaczego trzeba trzymać fajerwerki w puszcze po ciastkach?

- Jakby nam się zachciało zjeść ciastko?

Jedna czy dwie dziewczynki chichoczą, ale Tommy nie bardzo się tym przejmuje.

- Ja lubię ciastka.

- To świetnie, Tommy, ale chyba jest jeszcze jakiś inny powód, żeby trzymać fajerwerki w puszcze. Alfie, wiesz, dlaczego?

O rany.

- Tak. Żeby pudełko się nie podpaliło i nie wybuchło, bo puszkę po ciastkach strasznie trudno podpalić, chyba że się ma bombę, to wtedy można ją wysadzić w powietrze.

- Dziękuję, Alfie. Świetnie.

Byłam z niego naprawdę dumna - musiał naprawdę słuchać tego strażaka Sama na apelu. To dopiero paskudna robota, jeździć po szkołach, wygłaszać pogadanki dla dzieciaków w różnym wieku i starać się to robić tak, żeby nie miały potem koszmarów. No, chyba że się przyjeżdża wozem strażackim. Wtedy na pewno ma się ogromne powodzenie.

- A teraz ustawimy się grzecznie w rzędzie z naszymi kurtkami. Natasho, ty chyba nie byłaś pierwsza, prawda? Usiądź z powrotem na macie. Myślę, że wybiorę tych, którzy dzisiaj grzecznie siedzieli. Jako pierwsza pójdzie po kurtkę i stanie przy drzwiach Hannah.

W drodze do domu rozmawiamy z Alfiem o strażackiej ulotce; gratuluję mu, że zapamiętał, o co chodzi z puszkami po ciastkach.

- Możemy użyć naszej puszeki, mamusiu? Ja bym zjadł wszystkie ciastka.



- My nie będziemy puszczać fajerwerków, pamiętasz? Charles będzie puszczał fajerwerki na przyjęciu urodzinowym Mabel.

- A ma puszkę po ciastkach?

- Na pewno ma.

- I rękawiczki?

- Tak.

- To dobrze.

Dzwoni Charles, żeby zapytać, czy według mnie Mabel będzie wolała na urodziny tort Barbie, czy któreś z arcydzieł pani Bishop.

- Oczywiście, że tort Barbie.

- No tak. Tylko że pani Bishop chyba zaczęła już coś robić. No i dobrze, niech zrobi. Jej ciasta są bajeczne, a przecież

będzie mnóstwo ludzi. Powiedz jej, że nie chcesz marnować jej specjalnego tortu dla dzieciaków, ale gdyby mogła zrobić coś dla dorosłych, będziesz bardzo wdzięczny.

- Świetny pomysł. To jej się spodoba.

- Lola już zdecydowała, czy przyjdzie?

- Nie przyjdzie, dzięki Bogu. Ma jakąś imprezę w pracy, a poza tym znowu jest na mnie wściekła.

- Dlaczego?

- Głównie dlatego, jak mi się wydaje, że artykuł o ogrodzie wyszedł tak fajnie, a do niej nikt nie zadzwonił i nie poprosił

o wypowiedź na ten temat.

- I bardzo dobrze, że tego nie zrobili. Najpierw zmusza wszystkich, żeby odwalili za nią robotę, a potem chce przypisać całą zasługę sobie. To chyba nie jest zbyt eleganckie.

- To jej jeszcze nigdy nie powstrzymało. Uwielbia wyrażać swoją opinię na różne tematy, wydaje się jej, że jest przez to ważniejsza. Za każdym razem, kiedy z nią rozmawiam, coraz bardziej jestem świadomy, o ile jestem szczęśliwszy. Naprawdę myślę, że twój sposób jest najlepszy.

- Sposób na co?

- Sposób na życie. Bycie samotnym rodzicem. To o wiele prostsze.

- To nie zawsze jest takie proste. Zacznijmy od tego, że nie każdy samotny rodzic ma duży dom na wsi. A poza tym, czy jesteś jeszcze zasypywany paczkami z prowiantem?

- Owszem. Wczoraj były rybne burgery od pani Norris

1 pyszna zupa warzywna od Elsie. No i oczywiście jest jeszcze pani Bishop ze swoimi zapiekankami.

- No widzisz. Mnie nikt nie zrobił nawet kanapki, a co dopiero zapiekanki. Oczywiście oprócz mamy, ale wiesz, co mam na myśli. Wokół samotnych matek nikt nie skacze, zwykle są uważane za bezwstydne ladacznice albo idiotki.

A więc jesteś bezwstydną ladacnicą? Uroczo. Masz może jakieś specjalne ubranie? Bo zwykle nie wyglądasz zbyt bezwstydnie.

Szlag mnie trafi. Teraz się ze mnie nabija.

- To nie jest zabawne, Charles. Facetowi wystarczy, że przejdzie się ulicą, popychając wózek, a już uważają go za bohatera.

- Przepraszam. Możesz wziąć trochę mojej zupy, jeśli chcesz. Jest naprawdę dobra.

- Alfie nie cierpi zup, ale dzięki. I cieszę się, że tak dobrze ci się układa. Naprawdę się cieszę.

- Dzieci są z całą pewnością o wiele szczęśliwsze, a to przecież najważniejsze, nie? Kiedyś o tym nawet myślałem i wydaje mi się, że nie byłem zbyt dobrym ojcem, kiedy ja i Lola byliśmy razem. Jakoś tak nam się w tym wszystkim zagubiły.

Charles milknie. Myślę, że wspominający wszyscy byli nieszczęśliwi.

- A zajmowanie się nimi to naprawdę wielka frajda. No, oczywiście z wyjątkiem kłótni i tego wiecznego szukania rzeczy. Oni bez przerwy wszystko gubią. Czasem myślę, że mamy w domu coś w rodzaju czarnej dziury, która wchłania skarpetki i stroje gimnastyczne. Ale i tak mam frajdę.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś dobrym tatą.

- Och, Alice, to miłe, co mówisz.

- Ale to prawda.

Prawdę mówiąc, uwielbiam zupę jarzynową. Zastanawiam się, czy nie dałoby się jakoś sprytnie wycofać mojego oświadczenia w tej kwestii.

Janet wciąż ma mi za złe, że zdobyliśmy srebrny medal, a ja nawet nie wspomniałam w firmie o tym artykule w gazecie. Marudzi na temat wyglądu mojego biurka i już mam ochotę jej powiedzieć, żeby się wypchała, kiedy wchodzi Brenda i mówi, że dzwoni do mnie nowy klient, który widział mój projekt u Franklinów. Kiedy przełącza

rozmowę z recepcji, okazuje się, że to wciąż ona - mówi mi, że Janet to głupia torba i żebym nie zwracała na nią uwagi.

A potem dzwoni mama i oznajmia, że Alfie przyniósł do domu swoją raketę, bo pani Trent powiedziała, że w klasie nie ma na nią miejsca.

- Musiałam poprosić twojego ojca, żeby założył bagażnik na dach, a potem przez całą drogę martwiłam się, że zacznie padać i cały samochód będzie w czerwonej farbie. Czy ty widziałaś, jakie to jest duże?

- No tak, widziałam, jak to malował. To tylko duże pudło, nie?

- Nie. To trzy duże pudła sklezione razem. To jest ogromne. Musiało mu zająć parę godzin.

- O, już się nie mogę doczekać.

- Tego nie da się nie zauważyć. Jest za wielkie, żeby wnieść po schodach. Postawiłam to na środku salonu i musi tu zostać, dopóki go nie przekonasz, żeby rozłożył to na części i przeniósł do swojego pokoju. Próbowałam mu tłumaczyć, ale nie słucha. Mam nadzieję, że nie zapraszałaś żadnych gości.

Jestem pewna, że przesadza, ale kiedy przyjeżdżam do domu, okazuje się, że jednak nie. Houston, mamy problem. Rakietka jest przeogromna.

- Alfie, jest śliczna. Ale mam problem z wchodzeniem do kuchni. Myślisz, że moglibyśmy ją troszeczkę przesunąć?

- No dobrze. Ale nie będziemy jej rozklejać. Babcia mówi, że możemy, ale ona jest głupia.

- Alfie, nie bądź niegrzeczny. Powiedz przepraszam.

- Przepraszam, babciu. Popatrz, mamusiu, tu jest napis. Na boku rakiety, brokatową farbą jest wypisane: Dla Królowej Galaktyk.

- Pani Trent pomogła mi zrobić napis. To dla ciebie. To prezent. Możesz ją zabrać do pracy, jeśli chcesz. Albo możesz w niej siedzieć, albo co chcesz. To twój własny statek kosmiczny. Popatrz, narysowałem wszystkie dźwignie, guziki i wszystko. I ma nawet pociski.

Siadamy w rakiecie i wybieramy się na krótką wycieczkę po systemie słonecznym, a w tym czasie mama nakrywa do podwieczorku. Do tej pory nie miałam pojęcia, że chcę mieć raketę, ale teraz dociera do mnie, co mnie ominęło. A jeśli zabiorę ją do pracy, Janet wreszcie będzie zadowolona. Od lat usiłuje mnie zmusić, żebym siedziała w czterech ścianach. Teraz będę siedziała w rakiecie.

- Jest śliczna, skarbie. Strasznie ci dziękuję.

Będę musiała działać bardzo powoli, żeby wyekspediować toto na górę. Może mi się uda, kiedy będzie spał.

Następnego ranka podrzucam Alfiego do szkoły i jadę właśnie do domu, kiedy zauważam duży napis Na sprzedaż, który pojawił się przy skrócie w naszą drogę. Chryste. Tu nie ma żadnych innych domów. Widocznie Charles zamierza sprzedać swój. Cholera jasna. Mógł coś powiedzieć. Podjeżdżam pod jego dom i zastaję go w ogrodzie - okopuje klomb z kwiatami.

- Widziałam wywieszkę Na sprzedaż.

- A, przepraszam. Miałem ci powiedzieć.

- Miałaś mi powiedzieć? No, więc dziękuję bardzo. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. Kiedy zamierzałaś o tym wspomnieć? Jak już przyjedzie wóz meblowy?

- Nie, ale...

- No więc, myślę, że ci odbiło. Dlaczego go teraz sprzedajesz, na litość boską? To idiotyzm. Dzieci właśnie się zaaklimatyzowały. I co z ogrodem? Niby co ma teraz zrobić Towarzystwo Ogrodnicze? Mieć nadzieję, że nowi właściciele wpuszczą ich od czasu do czasu?

- Posłuchaj, to strasznie słodko, że się martwisz, ale...

- Nie jestem słodka. Nie traktuj mnie protekcyjnie. I nie martwię się. Jezu! Po prostu myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi, i tyle.

- Alice, jeśli zamkniesz się na minutę, to ci wyjaśnię. Do diabła. On się uśmiecha.

- Nie sprzedaję domu. Poprosiłem ich tylko, żeby go wycenili, ale wiesz, jacy są agenci od nieruchomości. Zawsze próbują szczęścia. Już z nimi rozmawiałem i ta wywieszka zniknie jeszcze dziś po południu. Tak więc twój wykład był niepotrzebny. I jesteśmy przyjaciółmi. Mam nadzieję.

- Och...

- No właśnie.

Teraz śmieje się już na cały głos.

- Przepraszam. Tylko że...

- Do diabła, co on tu robi?

- Kto?

- Mój ojciec. Idzie w tę stronę. Kurczę. Widocznie matka wysłała go z misją, żeby mi urządził kolejną pogadankę. Ciekawe, co tym razem przeskrobałem.

- W takim razie idę i przepraszam za tę aferę. Po prostu pomyślałam...

- O nie, nie ma mowy. Zostaniesz tutaj i udzielisz mi moralnego wsparcia. To będzie zadośćuczynienie za twoją szokującą napastliwość. Cześć, tato, co ty tu robisz? Właśnie mieliśmy się napić kawy. Alice, zdaje się, że poznałaś mojego ojca na przyjęciu Ezry, prawda?

- Tak. Dzień dobry, Geraldzie. Miło znów cię widzieć.

- Dzień dobry, moja droga.

Charles rzuca mi złośliwy uśmiezek i kieruje się w stronę domu. Do diabła. Gerald jest czymś wyraźnie poruszony.

- Zwiąłem twojej mamie. Pomyślałem, że wpadnę na krótką pogawędkę. Tak sobie, zupełnie prywatnie i incognito. Więc byłbym wdzięczny, gdybyś o tym nie wspominała. Wiesz, jaka ona czasem jest.

- Zgadza się. Czasami po prostu nie daje dojść do słowa. Charles rzuca mi bardzo znaczące spojrzenie.

- No więc, chciałem z tobą pomówić o rozstaniu z tą przerażającą kobietą. Moim zdaniem pozbyłeś się jej w samą porę. Ale o co chodzi z tą wywieszką przy bramie? Mam nadzieję, że nie sprzedajesz domu? To najgorszy moment na taki krok. Chyba nie potknąłeś się na pierwszej przeszkodzie, co? Musisz walczyć o swoje.

- Tato...

- Przecież twierdziłeś, że ci się tu podoba. A może to twoja matka mówiła? Dzwoniłeś do tego gościa, o którym ci opowiadałem? To świetny adwokat, mówię ci, elita. Oczywiście nie będzie tani, śpiewa sobie stówę za napisanie głupiego listu. Gnojki. Ale właśnie tego ci potrzeba, bo uwierz mi, ona wynajmie właśnie kogoś takiego. Dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Mam kilka zaskórniaczków, o których nie wie twoja matka. I wolałbym, żeby tak pozostało. Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak, tato, ale...

- Więc nie chcę, żebyś zrobił coś głupiego. Nie pozwól, żeby cię zniszczyła. Jest tego aż nadto, żeby ją odprawić, i jeszcze trochę zostanie. A ty jesteś tutaj taki szczęśliwy, no i ten ogród, to wspaniałe, te medale i w ogóle. Twoja matka jest z ciebie bardzo dumna i ja też. Mężczyzna powinien mieć hobby. No więc, to właściwie tyle. Pieniądze są, jeśli ich potrzebujesz. Chciałem po prostu, żebyś wiedział. A jeśli chodzi o sprzedaż, zapomnij o tym. Nigdy nie słyszałem o głupszym pomysle.

Gerald bardzo poczerwieniał, a Charles wygląda na wzruszonego.

- Właśnie wyjaśniałem to Alice, tato. Nie wystawiłem domu na sprzedaż. Chcę tylko uzyskać wycenę, żeby wiedzieć, na czym stoję.

- No tak. Właśnie to samo mówiłem. Dobrze. No, to sprawa wyjaśniona. A pieniądze są twoje, jeśli ich potrzebujesz. Nie ma sensu, żebym je trzymał do śmierci. Równie dobrze możesz je dostać teraz. Tylko nie mów matce, na miłość boską. No dobra, co trzeba zrobić, żeby dostać coś do picia?



Kiedy wychodzę, Charles pokazuje ojcu obrazy, które właśnie kupił; staruszek jest wyraźnie pod wrażeniem.

- Bardzo mi było miło znów cię zobaczyć, moja droga.

- Tak, dzięki, że wpadłaś, Alice. Zawsze cieszę się na twój widok.

Do diabła. Znów ten złośliwy uśmieszek.

Jim i Stella jedzą z nami kolację - wstąpili po drodze do Brighton, dokąd wybierają się na weekend. Schowałam flet Alfiego, bo już trzy razy wysłuchaliśmy Małego osiołka i Jim mówi, że ogłuchł na jedno ucho. Stella poszła na górę i czyta Alfiemu, a my zmywamy.

- Jak tam Molly i Dan?

- W porządku. Myślę, że to wszystko jest jeszcze dość niestabilne, ale wydaje się, że będzie w porządku.

- To dobrze. A co u ciebie? Harry już cię nie odwiedza? Wciąż jesteś pewna, że dobrze zrobiłaś?

- Tak.

- To świetnie, bo chyba nie potrzebujemy już więcej świrów w tej rodzinie.

- On nie był świrem.

- I to jeszcze jakim. Kto hoduje zioła? Daj spokój. Jak dla mnie to strata czasu. Kawalek trawnika i klombik z kwiatami. Czemu nie?

- Na to bym nigdy nie wpadła. Boże, z czymś takim pewnie zdobylibyśmy złoty medal w Chelsea.

- A, właśnie miałem ci powiedzieć. Widziałem któregoś dnia tę całą Lolę, w drogiej restauracji. Strasznie się o coś wściekała.

Ale nie zauważyła mnie, dzięki Bogu. Jak sobie bez niej radzi nasz mały Charlie? Pewnie nieźle mu ulżyło, co?

- Owszem.

- Zaczerwieniłaś się.

- Nic podobnego.

- Właśnie, że tak.

- No, parę dni temu zrobiłam z siebie straszną idiotkę. Myślałam, że chce sprzedać dom, więc wpadłam do niego jak burza, opieprzyłam go, i okazało się, że chciał go tylko wycenić.

- A co, gdyby sprzedał, to byłby jakiś problem? Och, rozumiem, trochę go polubiłaś, co? O to chodzi?

- Nie, po prostu wiem, że on się nie chce wyprowadzać, i tyle.

- No tak. Więc w ogóle by cię to nie obeszło?

- Nie. A zresztą nie o to chodzi.

- Właśnie, że o to. Słuchaj, jeśli on ci się podoba, to w czym problem?

- Tego nie powiedziałam. Nigdy o nim nie myślałam w ten sposób, a poza tym on jeszcze nie doszedł do siebie po Loli.

- No, wyobrażam sobie, że po niej można długo dochodzić do siebie.

- No właśnie. No i są jeszcze dzieci. I nie chcę, żeby Lola myślała, że miałam na niego ochotę. Bo nie miałam. I nie mam. Właściwie go nawet nie lubiłam, kiedy byli razem.

- Pieprzyć, co myśli Lola. Co cię to obchodzi?

- Właściwie nic. Ale nie chcę, żeby ludzie myśleli, że miałam coś wspólnego z ich rozstaniem. Nie chcę, żeby sytuacja zrobiła się dwuznaczna.

- Dwuznaczność może być całkiem miła. Oczywiście zachowaj dyskrecję, jak najbardziej, jeśli to takie ważne. Nie spiesz się. Wyczaaj, kiedy dzieciaków nie ma w pobliżu, i do dzieła.
- One zawsze są w pobliżu.
- No to zaproś go na drinka.
- O tak, świetny pomysł. Wtedy pani Bishop będzie mogła rozgadać całej wsi, a mama weźmie mnie w krzyżowy ogień pytań. To będzie bardzo dyskretne.
- Przestań wymyślać wymówki. Zabieraj się do rzeczy i niech moc będzie z tobą.
- Posłuchaj, już ci mówiłam, że nie ma się do czego zabierać.
- Genialnie potrafisz odwracać kota ogonem.
- Tak samo jak i ty. Kiedy zamierzasz powiedzieć rodzicom, że chcecie ze Stellą zamieszkać razem?
- Skąd o tym wiesz?
- Stella mi powiedziała.
- Boże, na tajnego agenta to ona się nie nadaje.
- Jest naprawdę szczęśliwa.
- Ja też jestem i zamierzałem o tym powiedzieć, ale nie chcę, żeby mama się dowiedziała tak od razu, bo zacznie marudzić, żebyśmy się pobrali. Przecież wiesz, że tak będzie. Ma nadzieję, że chociaż my spełnimy jej marzenia o wielkim, hucznym weselisku. To wszystko twoja wina.
- No tak, to jest argument.

Charles dwa razy musiał odwoływać imprezę z fajerwerkami z powodu ulewy. Przez cały tydzień było tak burzliwie, że trudno było ustać prosto, a co dopiero zapalić zimne ognie. Ale pogoda w końcu się poprawiła i impreza jest zaplanowana na dzisiejszy wieczór. Urodzinowe przyjęcie Mabel dla kolegów z grupy odbyło się trochę wcześniej. Przy gościach pomagały pani Bishop i Molly. Wszystko wypadło dość chaotycznie, ale goście świetnie się bawili, a Jack był zachwycony, obserwując biegające dzieciaki.

Przyjęcie z fajerwerkami okazało się huczną imprezą, bo Charles ostatecznie zaprosił prawie całą wieś. Frank jest odpowiedzialny za ognisko; zbierał drewno i kawałki starych mebli już od wielu dni i składał je na wielką kupę, przykrytą plastikiem i brezentem, na środku trawnika, gdzie Charles planuje założyć nowy klomb. Teraz wprowadza jeszcze ostatnie poprawki i mówi mi, że porządne ognisko bardzo dobrze robi ogrodowi.

- Ogień oczyszcza ziemię. A popiół drzewny to świetny nawóz. Wszystko po nim rośnie jak oszalałe.

- Nie wiedziałam o tym. Czy to znaczy, że powinnam pod-sypać klomby popiołem z ogniska?

- Tak, ale porządnie przysyp go ziemią. Przypominają mi się wielkie ogniska na wiejskim skwerze, kiedy byłem mały. Zbieraliśmy drewno tygodniami i jeździliśmy na rowerach do sąsiednich wsi, żeby podkraść drewno od nich. To wymagało sporych umiejętności, żeby tak pedałowac do domu z wielkimi kłodami na kierownicy. Nie to, co teraz, każdy urządza ognisko w swoim ogrodzie. To już nie to samo.

Może i tak, ale nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby Alfie jeździł po wsiach z kłodą na kierownicy.

Stoimy wszyscy w ogrodzie od tyłu, popijając grzane wino, które przygotowała pani Bishop według swojej specjalnej, sekretnej receptury. Nie mam pojęcia, co w nim jest, ale choć na dworze jest strasznie zimno, nikt nie marznie. Wszystkie dzieciaki dostały zimne ognie; Charles poważnie potraktował przepisy przeciwpożarowe i wszędzie porozstawiał wiadra z piaskiem. Prawdę mówiąc, potknęłam się o jedno i o mało nie wywróciłam, ale to może być wina drugiej szklanki wina. Pan Pomeroy i Bill pilnują grilla i zapach pieczonych kiełbasek sprawia, że robię się porządnie głodna.

Molly właśnie sprawdziła postępy pieczenia.

- Wygląda na to, że są już prawie gotowe.

- Dzięki Bogu. Gdzie się podziała Lily?

- Poszła z Danem na mały spacer. Chce jej wytłumaczyć, że nie wolno kłuć brata zimnym ogniem.

- O rany. A tak świetnie go znosiła, kiedy zjawił się w domu.

- Wiem. To przychodzi falami. Myślę, że naprawdę go lubi, ale nie przez cały czas, a szczególnie nie wtedy, kiedy ktoś okazuje mu zainteresowanie.

Frank i Bill próbują rozpalić ognisko, ale drewno widocznie zamokło mimo osłony z plastiku, bo jakoś nie bardzo im idzie. W końcu podlewają je benzyną. Zapala się z głośnym puff, a kukła Guya Fawkesa wystrzela jakieś pięć metrów w górę i ląduje na małym krzaku, który staje w płomieniach. Dzieci biją brawo. Frank przez

chwilę jest lekko oszołomiony; pan Channing łapie wiadro z wodą i gasi krzak, po czym obaj depczą kawałki żaru, które rozsypały się na boki i nie zgasły same. Mam nadzieję, że to nie oni będą puszczać fajerwerki, bo jeśli tak, przez cały wieczór będziemy musieli leżeć płasko na ziemi, z twarzami w trawie.

Ognisko pali się już na dobre i grzeje jak diabli. Dzieci są zafascynowane i podchodzą coraz bliżej, ale Frank i Bill mają na nie oko, zresztą właściwie nie da się podejść za blisko, bo zaczynają przysmażać się policzki.

Wszyscy czekamy niecierpliwie, spoglądając w niebo, i nagle pierwsza rakietka wylatuje w powietrze z głośnym hukiem, i rozsypuje się deszczem różowych gwiazd. Charles musiał wydać majątek na te fajerwerki. Jedna z rakiet leci w bok zamiast w górę i pani Pomeroy przeżywa mrozącą krew w żyłach chwilę, ale poza tym wszystkie są śliczne.

Na wielki finał Charles zostawił jedną z tych petard, które wybuchają ulewą srebrnych iskier, a te z kolei rozpryskują się na wszystkie możliwe kolory. Klaszczemy, a potem zapalamy kolejne zimne ognie i usiłujemy powstrzymać dzieci, żeby nie wpychały się do ogniska i nie wrzucały do niego czapek. Alfie zdjął rękawiczkę, więc zmusiłam go, by założył ją z powrotem, i oznajmiłam, że jeśli zdejmie ją jeszcze raz, pójdziemy do domu. W końcu Dan rozdaje wszystkim dzieciakom kiełbaski w bułkach.

Molly zawzięcie huśta Jacka, by zapomniał, że jest głodny. Alfiemu i Lily chce się pić, więc idę do kuchni poszukać jakiegoś soku.

- Fajerwerki dobrze wypadły? Kiedy się je odpala, to właściwie nie wiadomo.

Charles wygląda, jakby właśnie wrócił z tajnej misji służb specjalnych. Twarz ma umazaną sadzą, a na głowie strasznie niewyściową wełnianą czapkę.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że będzie tyle dymu. Ognisko dymiło w moją stronę prawie bez przerwy. W pewnej chwili myślałem, że się uduszę.

Wygląda tak zabawnie, że nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

- Wiem, to nie bardzo w stylu Mission: Impossible. Zemdleć w czasie odpalania kilku fajerwerków. Nie wiem, jak oni sobie radzą na tych akcjach, kiedy wrzucają świece dymne do pomieszczeń.

- Zdaje się, że zakładają maski. Uśmiecha się.

- No tak. Logiczne. Muszę to sobie zapamiętać.

- Na wypadek, gdybyś znów wybrał się z brygadą antyterrorystyczną wyzwalać ambasadę?

- Tak. Ale nie powinienem o tym rozmawiać. Mogę mieć poważne kłopoty.

- W każdym razie fajerwerki były świetne. Dzieciaki są zachwycone.

- To dobrze. A masz może ochotę na kieliszek wina? W tamtej butelce jest coś naprawdę przyzwoitego. Schowałem ją przed panią Bishop, bo inaczej wlałaby to do swojego grzańca. Domieszała wszystko, co jej wpadło w ręce.

- Wiem. Piję to już od pół godziny i, prawdę mówiąc, jest całkiem niezłe.

- To może i ja spróbuję, skoro twierdzisz, że da się wypić. Wolałem nie ryzykować przed fajerwerkami.

- Bardzo mądrze. Łyknij sobie ode mnie, jeśli chcesz. Podaję mu szklanę, Charles pociąga porządny łyk.

- Boże drogi. To zabójczy towar. Zdaje się, że nogi mi miękną.

- Wiem. Dobrze, nie? Charles pociąga jeszcze raz.

- Tak, całkiem, całkiem, jak się człowiek przyzwyczai.

- No, to weź sobie własną szklanę.

- Alice, właśnie chciałem ci powiedzieć... mam nadzieję, że nie zrozumiesz mnie źle, ale kilka tygodni temu widziałem przed twoim domem dzipa Harry'ego, wiesz, no więc, chciałem powiedzieć, że jeśli masz zamiar znów się z nim spotykać czy coś, to chyba stać cię na coś lepszego.

Pod czarnymi smugami zrobił się jaskrawoczerwony. Ale to może przez to grzane wino. Wygląda teraz jak bardzo zawstydzony kominiarz.

- Nie mam zamiaru.

- On jest przyzwoitym facetem, i w ogóle, i zna się na ziołach, i to jest oczywiście bardzo interesujące, nawet fascynujące, ale nie wydaje mi się, żeby cię doceniał tak, jak na to zasługujesz.

- Charles, nie będę się z nim spotykała. To koniec. Na sto procent.

- Dzięki Bogu. Przepraszam, nie chciałem tego powiedzieć. Och, do cholery jasnej...

I nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, bez żadnego ostrzeżenia, całuje mnie. A ja całuję jego.



- Jezu. Ja nie... nie planowałem tego.
- No, ja też nie.
- Masz teraz czarne smugi na twarzy. Przepraszam.
- Nic nie szkodzi.
- Zrobimy to jeszcze raz?
- Tak.

I kiedy zaczynamy rozkręcać się na dobre, wchodzi pani Bishop.

- Och, dzięki Bogu, najwyższy czas. Właśnie rozmawialiśmy z Elsie, że mamy nadzieję, że wreszcie się dogadacie. Naprawdę, powinnaś widzieć, jak on czasem na ciebie patrzy. A ty nie jesteś lepsza. To było jasne jak słońce. Nie wiem, dlaczego zeszło wam tak długo. Jak słowo daję. To wspaniały człowiek, Alice, mogłabyś trafić o wiele gorzej. Chociaż straszny bałaganiarz, wszędzie zostawia papiery. Będziesz go musiała trochę wytresować. A to urocza dziewczyna, panie B., o wiele lepsza, niż wiesz kto. Przepraszam, że tak gadam, choć nikt mnie nie pyta, ale po prostu strasznie się cieszę.

- Hm. Cóż, to dobrze.

Charles jest teraz jeszcze bardziej zawstydzony.

- W każdym razie nie zwracajcie na mnie uwagi. Wezmę tylko sok dla dzieci i postaram się, żeby przez chwilę dały wam spokój.

I zanim mamy czas cokolwiek powiedzieć, wypada do ogrodu z szerokim uśmiechem na twarzy, ściskając karton soku.

- Do diabła. Za pięć minut będzie o tym wiedziało pół wsi. Charles nagle robi się strasznie poważny.

- Owszem. W takim razie niech naprawdę mają o czym plotkować, nie sądzisz? Zobaczą, czy uda mi się cię jeszcze bardziej usmolić.

Obejmuje mnie i, choć to wszystko może strasznie skomplikować, choć jego twarz jest naprawdę brudna, i choć naprawdę wygląda jak czubek w tej głupiej czapce, czuję się świetnie. Czuję, jakbym wreszcie znalazła swoje miejsce.

## ROK PÓŹNIEJ

### Dzwonki sań

Śluby w Boże Narodzenie zawsze są takie romantyczne, a ja wciąż nie mogę uwierzyć, że udało nam się namówić Alflego, żeby założył kilt. Nie sądziłam, że w ogóle mamy na to szansę, dopóki Molly nie wpadła na genialny pomysł, żeby wypożyczyć Waleczne Serce na wideo. Podczas najbardziej krwawych momentów musiałam odwracać jego uwagę łaskotaniem, ale kilt przestał być problemem, choć z kolei mieliśmy kłopoty z przekonaniem go, że nie może sobie pomalować twarzy na niebiesko. Mama od wielu tygodni jest w amoku. Tak długo wybierała kreację na ślub, że myślałam już, że będę musiała dać jej coś na uspokojenie. Odwiedziłyśmy niemal każdy sklep w zachodniej Europie, a i tak nie mogła dobrać kapelusza.

W kościele jest zimno jak w psiarni, ale pachnie wspaniale, a kwiaty są po prostu bajeczne. Stella poustawiała setki małych, pachnących świeczek, które rozświetlają całe wnętrze. Sama ceremonia jak na razie trochę umyka mojej uwadze, bo staram się mieć oko na Alfiego; do tej pory zachowywał się idealnie, ale nigdy nie wiadomo, kiedy zachce mu się zaintonować O mężna Szkocjo.

- Czy bierzesz sobie tę kobietę za swoją prawowitą małżonkę?

Boże. Nie sądziłam, że będę płakała. Ale płaczę. On wydaje się taki szczęśliwy i taki zdenerwowany, jakby to wszystko trochę go przerastało i jakby za chwilę miał się rozpaść na kawałki.

- Tak.

No właśnie. Ryczę jak bóbr.

Boże, takie śluby w kościołach zawsze strasznie mnie wzruszają. Ciekawe, czy uda mi się wyjąć chusteczkę z maciupkiej kieszeni w spódnicy tak, żeby nikt nie zauważył.

Pastor mówi, że co Bóg złączył, niech człowiek nie waży się rozłączać i tak dalej, a potem idziemy do drzwi. Wszyscy patrzą i się uśmiechają. Mama ociera oczy chusteczką, tata głośno wydmuchuje nos, a ja koncentruję się na utrzymaniu kwiatów w ręku, bo są związane jedwabną wstążką i trudno je porządnie złapać bez zgniatania całej wiązki.

Buty strasznie mnie piją, ale staram się iść elegancko, bez kuśtykania. Alfie przyspiesza trochę za bardzo - najwyraźniej bardzo spieszy mu się na dwór - i jeśli nie przyhamuję go trochę w ciągu najbliższych dwudziestu sekund, wyprzedzi wszystkich.

Teraz trzeba jeszcze podpisać dokumenty; w pobliżu czai się fotograf. Charles niesie na rękach Mabel, która już prawie śpi.

- Wyglądasz ślicznie. I miałaś rację z tymi butami. Tamte też były ładne, ale te są o wiele lepsze.

- Prawdę mówiąc, cisną mnie nieprawdopodobnie, chyba przyniosę sobie te drugie z samochodu. Gdzie jest Ezra?

- Na zewnątrz, czeka na Alfiego.

- Świetnie. Jeszcze tylko zdjęcia i będziemy mogli wszyscy pójść coś zjeść. Umieram z głodu. Byłam za bardzo zdenerwowana, żeby jeść wcześniej.

Przyjęcie jest wspaniałe, jedzenie pyszne. Jedzenie na weselach bywa czasem do niczego, ale hotel przygotował ogromny bufet, bardzo trendy, bardziej w stylu wiejskiego śniadania niż udziwnionych popisów kulinarnych. Jest bekon, kiełbaski, a nawet owsianka. Alfie i Ezra urządzili sobie nawet zawody, który zje więcej owsianki; nie jestem pewna, czy to najlepszy pomysł, ale sama tak się opycham, że muszę rozpiąć jeden guzik spódnicy.

- Wyglądasz świetnie w tym kostiumie. Naprawdę ci w nim do twarzy.

- Dzięki, Moll.

- Nabożeństwo było urocze, a Alfie spisał się naprawdę świetnie.

- To wszystko dzięki tobie i Melowi Gibsonowi.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. Boże, Jack znowu gdzieś idzie. Najchętniej chodziłby przez cały czas. Nie można go utrzymać w jednym miejscu dłużej niż pięć minut, a Lily ciągle uczy go nowych słów. Któregoś dnia próbowała go namówić, żeby powiedział „cholera”.

- Doreen będzie zachwycona. Przestał już mówić „rzygi”?

- Nie, ale tak naprawdę tylko ja i Dan zwracamy na to uwagę. No i Janice. Przy posiłkach to strasznie denerwujące, kiedy w kółko to powtarza.

- Wypożycz go mnie. Za chwilą może mi się bardzo przydać. Zdaje się, że trochę za dużo zjadłam.

Podchodzą do nas Jim i Stella. Oboje wyglądają na bardzo z siebie zadowolonych.

- No więc zrobiliście to.

- Aha. Na to wygląda.

- Szczęśliwi?

- W siódmym niebie, prawdę mówiąc. I dziękujemy.

- Za co?

- Za to, moja mądra siostrzyczko, że nie pozwoliłaś mamie doprowadzić nas do kompletnego obłądu. I za namówienie Al-fiego, żeby włożył kilt. Wygrałaś nagrodę dla najlepszej druhny świata. Prawda, Stello?

- Tak. Definitywnie. Dziękuję, wszystko wypadło idealnie. Dokładnie tak, jak chcieliśmy.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jezu, będzie mi was brakowało.

- Och, chociaż ty nie zaczynaj, bo mama znowu się nakręci. Przeżyliśmy istny koszmar, kiedy powiedzieliśmy mamie, że Jim będzie pracował w Bostonie. Jego firma płaci mu, żeby przeprowadził się za ocean i poprowadził amerykańską filię. Obiecali mu dom i w ogóle wszystko, ale za Stellą zgodzili się zapłacić, tylko pod warunkiem że będą małżeństwem. Najpierw powiedzieliśmy mamie o ślubie, żeby odwrócić jej uwagę, ale niewiele to pomogło. Potrzebowaliśmy prawie godziny, żeby ją uspokoić.

- To wcale nie jest tak daleko. Możesz do nas przyjechać, a poza tym ciągle będę miał sprawy w Londynie. I kiedyś przecież wrócimy.

- Wiem, ale i tak wydaje mi się, że to na końcu świata.

- Przestań natychmiast.

- Przyjadę na lotnisko. Nie obchodzi mnie, co wy na to. Przyjadę, i tyle. Jim spogląda na mnie z czułością.

- Tylko obiecaj, że nie weźmiesz ze sobą mamy.
  - A wyglądam na głupią? Miałabym zabrać mamę, żeby wpadła w histerię i przewróciła wszystko do góry nogami? Charles zajmie się Alfem i przyjadę sama. Tylko ja i mokra chusteczka.
  - Alice.
  - Tak?
  - Jeśli natychmiast nie przestaniesz, zrobię ci pokrzywkę, i nie myśl, że ci się upiecze, tylko dlatego że jestem w tym gajerku. Wiem, co kombinujesz. Próbujesz odwrócić uwagę od faktu, że sama wciąż nie chcesz postąpić jak należy i zafundować mamie wesela, o jakim naprawdę marzy. Będziesz następną. Wylądujesz przed ołtarzem, kiedy tylko ty i stary Charlie przestaniecie się bawić w dziedzica i wieśniaczkę.
  - Nie ma mowy. Mama już zaliczyła ślub w rodzinie i to jej musi wystarczyć.
  - A więc nie przestaniesz się bawić w niegrzeczną siostrzyczkę?
  - Żebyś wiedział. I nie bawimy się w dziedzica i wieśniaczkę.
  - On mieszka we dworze, a ty w małym domku, przy tej samej drodze. Dziedzic i wieśniaczka. Samo się narzuca. W takim razie jak wy to nazywacie?
  - Ja na to mówię „związek sąsiedzki”. 1 to nam odpowiada.
  - Związek sąsiedzki? To brzmi raczej jak nazwa jakiegoś stowarzyszenia dzielnicowego.
  - W każdym razie nam to odpowiada.
- Podchodzi do nas Charles.

- Cześć, jaśnie panie. Jak leci? Stella i ja wybuchamy śmiechem.
  - Co?
  - Jimowi się zdaje, że jest strasznie zabawny. Uważa, że jesteś zadufanym dziedzicem, który mieszka we dworze, a ja biedną wieśniaczką z małej chatki. Nie zwracaj na niego uwagi.
  - Prosiłem ją, żeby się przeprowadziła. Chcę, żeby to było absolutnie jasne. Ale ona nie chce o tym słyszeć. Ludzie we wsi pewnie uważają mnie za straszego łajdaka. Może po prostu zamieszczę notatkę w biuletynie parafialnym. „Do wszystkich zainteresowanych: prosiłem ją, ale ona powtarza, że woli tak, jak jest”.
  - No bo wolę.
  - Wiem. Ja też.
  - Wiesz, ona zawsze była uparta. To nie to, co w dawnych, dobrych czasach. Kiedy kobiety znały swoje miejsce.
  - Jim, zamknij się wreszcie. Proszę nie zwracać uwagi na mojego męża. Och, miło powiedzieć coś takiego.
  - Rozumiem. Już zaczynasz, tak? Publicznie każesz mi się zamknąć.
  - Tak. I uczyłam się robić pokrzywkę. Więc lepiej uważaj.
- Wychodzimy całą gromadą na schody przed hotelem, żeby pomachać im, kiedy odjeżdżają w podróż poślubną. Stella stara się rzucić we mnie bukietem, więc muszę się schować za filarem. Widzę, że mama mnie obserwuje i kręci głową. Bukiet łapie w końcu Gemma, przyjaciółka Stelli, i dobrze, bo bardzo jej się pali do małżeństwa, choć jej chłopak ma dość przerażoną minę, kiedy idzie do niego, dumnie ściskając kwiaty.



Pijemy na szybko jeszcze jednego drinka. Mama chwali Alfiego, że tak świetnie się spisał, i mówi, że wszystko wypadło wspaniale, choć uważa, że mama Stelli popełniła chyba błąd, decydując się na amarantową kreację. W końcu zbieramy dzieciaki i jedziemy do domu. Mabel zasypia prawie natychmiast, a Alfie i Ezra słuchają walkmanów.

- Tak naprawdę chyba ci to nie przeszkadza, prawda?

- Co?

- Że nie mieszkamy razem. Wiem, że o tym rozmawialiśmy, ale byłoby mi bardzo przykro, gdyby w głębi duszy ci to przeszkadzało.

- Nie. Myślę, że masz rację.

Charles ma zwyczaj niemówienia o rzeczach, które go naprawdę gryzą. Skłonienie go, żeby zaczął mówić o uczuciach, przypomina wyrywanie zęba. Zawsze twierdzi, że wszystko jest w porządku, choćby i nie było. Nawet jeśli chodzi o drobiazgi, jak na przykład to, jaką lubi kawę. Nigdy się nie skarży. Prawie trzy miesiące zajęło mi domyślenie się, że woli czarną. Po prostu mi tego nie powiedział. To jedna z cech, które u niego uwielbiam. Ale z drugiej strony doprowadza mnie to do szału.

- Jesteś pewien?

- Tak. A poza tym dzieci przeżyły ostatnio wystarczająco dużo zakrętów. Oczywiście, chciałbym, żebyśmy kiedyś zamieszkali razem, ale na razie jest chyba w porządku.

- W porządku?

- Przepraszam. Zapomniałem, że jesteś uczulona na „w porządku”. Fantastycznie. Genialnie.

- To dobrze. W każdym razie teraz, kiedy mamy już z głowy ślub, możemy zacząć panikować przed świętami.
- No to wytłumacz mi jeszcze raz, jak do tego doszło, że wszyscy przychodzą do nas.
- Słuchaj, już ci powiedziałam, że przepraszam. Po prostu zwykle jechaliśmy do mojej mamy, a teraz, kiedy Jim wyjechał, jest tym ważniejsze, żeby była z nami, ale potem okazało się, że twoja mama też bardzo chce, więc nie miałam serca odmówić i zaprosiłam ją do nas. Naprawdę nie miałam zamiaru zapraszać ich obu w ten sam dzień. Ale Lola zjawi się dopiero po południu, a twojej mamy już wtedy nie będzie, więc nie powinno dojść do żadnych niezręcznych sytuacji czy scen. A moi rodzice obiecali, że będą ją ignorowali, cokolwiek by mówiła.
- Znasz ją, zawsze chce mieć ostatnie słowo.
- Wiem.
- A jeśli tak jak ostatnio znowu zaczniesz wygłaszać tyrady, jak fatalnie zachowują się dzieci albo coś w tym rodzaju?
- Raczej o tym, że nie skacze się wokół niej przez cały czas.
- No tak. Ale wiesz, o co mi chodzi. Więc co wtedy? Jeśli powie cokolwiek o Alfiem, twoja mama ją zabije. Choć to może nie byłoby takie złe.
- Mam to gdzieś. Święta to święta, dzieciaki będą zachwycone i będą miały w nosie wszystko inne. A ja zamierzam kupić dodatkowe prezenty dla każdego, dla kogo będzie okropna.
- No to lepiej kup ich dużo.

- Wiem. A jak sądzisz, co powinniśmy kupić dla niej?
- Może opaski ze swastyką? Mogłaby je zakładać, kiedy bawi się w dyktatora. Chyba widziałem takie w tym twoim katalogu z kostiumami na bal maskowy. Mieli tam różne uniformy, pielęgniarki, policjanta, wszystko.
- Owszem, ale na pewno nie nazisty, Charles. Nikt nie kupuje dziecku munduru Hitlera.
- W każdym razie to mój najlepszy pomysł. Ale myślałem też o tych wielkich ocieplaczach, w które wsuwa się obie nogi. To też widziałem w katalogu, w różnych kolorach. Jasnożółty byłby całkiem ładny. Wyglądałyby jak wieki banan.
- Jesteś genialny, wiesz o tym? Gigantyczny, żółty ocieplacz. Idealnie. Mój tata dał kiedyś mamie rękawice do piekarnika. Była nawet zadowolona, aleja zawsze uważałam, że to wyjątkowo paskudny prezent, więc może dzieci mogłyby jej dać rękawice do piekarnika. W sumie gdybyś mi powiedział, co będzie twoim prezentem-niespodzianką, bardzo by mi to pomogło. Mogłabym to wkalkulować, że tak powiem.
- Chyba nie sądzisz, że się na to nabiorę, co?
- Mógłbyś.
- Nie powiem ci. To niespodzianka.  
Do diabła. Naprawdę chciałabym wiedzieć.
- Wcześniej czy później będziesz mi musiał powiedzieć.
- Nie powiem.

- Właśnie, że powiesz, bo to może być jeden z twoich słynnych pomysłów, jak genialny plan, żeby zabrać nas wszystkich na ryby.
- Chyba się umówiliśmy, że nie będziesz już o tym wspominała. Kiedy wypłynęliśmy, pogoda była idealna. Sama tak stwierdziłaś.
- Nie miałam pojęcia, że dzieci mogą aż tak wymiotować.
- Byłyby zachwycone, gdyby pogoda się utrzymała. Dobrze wiesz.
- No cóż, przynajmniej żadnego z nich nie będzie kusiło, żeby uciec na morze.

Charles wybucha śmiechem.

- Wracacie dzisiaj z nami?
- Nie, zaplanowałam sobie spokojną noc w domu, tylko z Alfiem, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Namówię go, żeby zdjął kilt, i położę się wcześniej. Jestem wykończona.
- W porządku, ale na śniadanie przyjdziecie?
- Jasne.

Kiedy już siedzę sobie spokojnie z filiżanką herbaty i sympatycznym stosikiem razowych herbatników, dzwoni Molly.

- Chciałam ci powiedzieć, że ślub był przepiękny.
- Prawda, że tak? Dotarliście spokojnie do domu?
- Jasne. Oboje zasnęli na tylnym siedzeniu. A potem Dan i ja znów pokłóciliśmy się o to, jak spędzamy święta. Doreen ciągle nas męczy, żebyśmy przyszli do niej, ale wtedy musielibyśmy jechać do mamy na Nowy Rok, a Dan chce siedzieć w domu i spędzić święta tylko we czwórkę. Nie mogę się zdecydować. Rodzina to strasznie skomplikowana sprawa.

- No to przyjdźcie na Nowy Rok do nas i weźcie ze sobą mamę. Rozmawialiśmy już o tym i planujemy taką małą imprezkę w sylwestra, nic wielkiego, i zapraszamy wszystkich z Towarzystwa Ogrodniczego. Pani Bishop może zrobić swojego słynnego grzańca. Co ty na to?

- Świetna sprawa. No więc postanowione, zostajemy tutaj. A, mówiłam ci już? Twoja mama znowu mnie męczyła, żebym cię namówiła na małżeństwo.

- Boże, naprawdę? Przepraszam.

- Powiedziałam, że moim zdaniem urządziłaś się całkiem nieźle. Co tam własny pokój, ja też bym chciała mieć własny dom.

- Wiem, to najlepsze rozwiązanie.

- Nie jestem wcale pewna, czy dwoje ludzi powinno mieszkać razem. Nie przez cały czas.

- Ale u ciebie i Dana chyba wszystko w porządku, co?

- O tak, z całą pewnością wróciliśmy na właściwe tory. Teraz już prawie nie myślę o tym wszystkim, co się działo, zanim urodził się Jack. Wydaje mi się, jakby to było wiele lat temu. Ale to nie zamienia faktu, że czasem jest cholernie ciężko. Zdaje mi się, że było o wiele łatwiej, kiedy wszyscy mieszkali w jaskiniach i zbierali jagody. Kobiety wspólnie zajmowały się dziećmi, a kiedy mężczyźni wracali do domu, wszyscy razem urządzali sobie ucztę, a jeśli zjadł ich bizon, też było dobrze. Problem w tym, że nasi myśliwi wracają do domu co wieczór.

- Nie wydaje mi się, żeby bizony zjadały ludzi. Co najwyżej mogły cię trochę przygnieść; to pewnie dlatego mozzarella z mleka bizona jest tak

cholernie droga. Dojenie bizona musi być dość niebezpieczne. Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy Charles byłby dobrym myśliwym, jest na to trochę zbyt wrażliwy. W zeszłym tygodniu próbował zrobić wołowinę i cynadereki zapiekane w cieście, ale skończyło się na samym cieście, bo brzydził się dotknąć cynaderek.

- Wcale mu się nie dziwię. Dan też pewnie by się do tego nie nadawał. Umawiamy się na jutro na kawę i wracam do moich ciastek. Molly jest teraz wyraźnie szczęśliwsza, ale wiem, że czasami jest jej trudno. Któregoś dnia wspomniałam, jak to było, kiedy była w ciąży z Jackiem, a ona stwierdziła, że w sumie niewiele pamięta - tylko tyle, że godzinami płakała w łazience.

A jeśli zdarzy mi się wspomnieć o Loli, na przykład, gdy mówię coś o dzieciach, albo o jej ostatniej wizycie, za każdym razem się wzdryga. Zwykle staram się nie wymieniać tego imienia, nie dlatego żeby Molly coś mi powiedziała, ale dlatego że wiem, jakie to ciągle dla niej bolesne. Ciągle jej się tym odbija. Ale jakoś sobie radzą z Danem, i to jest najważniejsze.

Patrie nie był zachwycony, kiedy dowiedział się o Charlesie. Odbyliśmy dziwną rozmowę, w której stwierdził, że może powinniśmy spróbować jeszcze raz dla dobra Alfiego, więc powiedziałam mu, że dla dobra Alfiego byłoby lepiej, gdybyśmy jednak nie próbowali. Myślę, że to był tylko objaw spóźnionej zazdrości.

Wciąż nas odwiedza, mniej więcej co dwa tygodnie, i jest niemal grzeczny dla Charlesa. Trochę się tylko martwię o Cindy, która dostaje na jego punkcie coraz większej obsesji. Chyba myśli, że jeśli będzie

naprawdę idealna, jego to uszczęśliwi. A im bardziej się stara, tym bardziej on traktuje ją jak wycieraczkę. Jeśli szybko się nie wyrwie z tego błędnego koła, chyba wyślemy ją z Molly na jakiś przyspieszony kurs asertywności.

Charles jest absolutnie rewelacyjny i z dnia na dzień układa nam się coraz lepiej. Czasem nie mogę uwierzyć we własne szczęście. Jest spokojny i cierpliwy, i świetnie dogaduje się z Alfiem, ale jest też naprawdę namiętny i potrafi mnie rozśmieszyć. Śmieję się przy nim bardzo często. Chociaż czasem nie robi tego celowo, jak na przykład w chwilach, kiedy próbuje być władczy i macho, i wszystko wychodzi mu nie tak. Latem usiłował ściąć jedno ze starych drzew za murem ogrodu i o mało nie rozciął sobie głowy, kiedy spadła na niego gałąź. Tak naprawdę nie jest aż tak sprawny manualnie. Ale też nie boczy się tygodniami, kiedy okazuje się, że ktoś jest w czymś lepszy od niego.

Oczywiście ustalenie mojej roli wobec Ezry i Mabel jest dość skomplikowane, no i z trudem radzimy sobie z Lolą, która była wściekła, kiedy się dowiedziała, i w dalszym ciągu zachowuje się koszmarnie. To wszystko strasznie trudne, ale warto. Z całą pewnością warto. Ezra jest chyba szczęśliwszy i o wiele spokojniejszy, a Mabel przez większość czasu jest strasznie kochana, choć odziedziczyła po mamie upór, który czasem bywa przerażający.

Nigdzie nam się nie spieszy i mamy mnóstwo czasu, żeby wymyślić, co zrobimy dalej. Uwielbiam siedzieć w domu tylko z Alfiem; nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek chciała z tego tak całkiem zrezygnować i skazać się na bycie we dwoje w każdej minucie, każdego dnia. Ale nie

dlatego że nie jestem z Charlesem szczęśliwa ani po to, żeby zostawić sobie jakąś furtkę. Nie szukam nikogo innego i nie wyobrażam sobie, by to się miało zmienić. Ale taki układ zostawia mi miejsce dla samej siebie, i to mi odpowiada. Miejsce dla mnie i dla Alfiego. A Charles spędza swój „wolny” czas z Ezrą i Mabel, czego chyba wszyscy potrzebują. Ideał. Jeśli w ogóle istnieje coś takiego, jeśli chodzi o związki, to chyba jesteśmy bardzo blisko. Naprawdę tak myślę.

Świąteczny obiad wypada doskonale, w dużej mierze dzięki zespołowemu wysiłkowi - Charles z tatą przygotowali warzywa, a mama zrobiła sos. Indyk zajmuje się sobą sam, gdy już trafił do piekarnika, więc mnie pozostaje tylko nakryć stół. Dzieci zrobiły wszystkie dekoracje, z mnóstwem papierowych łańcuchów i anielskich włosów - nie są może zbyt eleganckie, ale jesteśmy z nich bardzo dumni. Ezra zrobił drozda na patyczku i posmarował go całego glitterem, co niezbyt zamaskowało jego wygląd garbatego sępa, a Alfie i Mabel wyprodukowali całą masę aniołków z wyciorów do fajki i białej bibuły - wiszą dosłownie wszędzie.

Wszystko razem jest raczej w stylu Ulicy Sezamkowej niż Marthy Stewart, ale razem z choinką i lampkami tworzy bardzo świąteczny nastrój. Zresztą bardzo możliwe, że z tymi lampkami trochę przesadziłam. Kupiłam nawet takie migające w rytmie disco, z regulowaną częstotliwością migania; co najmniej dwa z ustawień powodują lekkie mdłości, kiedy patrzy się na nie zbyt długo.

Em dzwoni z życzeniami i mówi, jak bardzo żałuje, że nie może przyjechać i zobaczyć się z nami wszystkimi. Jest w ósmym miesiącu



cięży i zaczyna się trochę denerwować. Ale przynajmniej nie będzie bliźniaków. Luka jest wspaniały, jego mama zachwycona, a ja mam do nich przyjechać, kiedy dziecko się urodzi. Ustaliłam to z Luką, żeby jej zrobić niespodziankę. Charles leci ze mną. Mama mówi, że zostanie z dziećmi, żebyśmy mogli trochę odpocząć. Strasznie się cieszę na ten wyjazd i nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę dziecko.

Gwoździem programu okazuje się prezent-niespodzianka Charlesa, który jego ojciec przynosi z samochodu w dużym, wiklinowym koszyku. Dzieci odgadują co to jest, jeszcze zanim dziadek wchodzi z koszykiem do domu. Okazuje się, że to mały, ale bardzo hałaśliwy szczeniak labrador, daleki kuzyn psa, którego Charles miał w dzieciństwie. Dzieci szaleją z radości.

- Wiem, ale zanim cokolwiek powiesz, wyjaśniam, że on może mieszkać tu, z nami, i ja będę po nim sprzątał. Byliśmy z nim na kontroli u weterynarza, dostał już wszystkie szczepienia, i wiemy, że będzie łagodny i pojętny.

Alfie jest jak w transie.

- Dziękuję. Dziękuję, jak nie wiem co.

Wszyscy tłoczą się wokół pieska i go głaszczą. Szczeniak merda ogonem tak zawzięcie, że omal się nie przewraca, i cały czas cicho skomli z podniecenia.

Cholera. Jest naprawdę słodki.

- Nie sądzisz, że mamy dość na głowie i bez szczeniaka?

- Wiem. Ale Ezra i Alfie tak strasznie chcieli pieska. Bylibyśmy podli, gdybyśmy im nie pozwolili. A ja naprawdę będę przy nim wszystko robił, ty nawet nie zauważysz, że tu jest.
- Trzymam cię za słowo.
- Jest kochany, nie?
- Owszem.
- A popatrz na minę Alfiego.
- Wiem. Charles, znasz te nalepki, które ludzie przylepiają sobie na samochodach? Pies jest na całe życie, nie tylko na święta.
- Tak.
- Ja umyvam ręce.
- W porządku.
- I to ty będziesz biegał z łopatką, żeby sprzątać trawnik, tak?
- Tak. Już sobie nawet kupiłem łopatkę i takie specjalne wiaderko. Zakopujesz je w ziemi, wlewasz specjalny preparat i wszystko się rozkłada.
- Och, jak uroczo. To będzie ładny element wystroju ogrodu, co? Możemy to wkomponować w nowy trawnik. A jak zapomnimy założyć pokrywę, któreś dziecko będzie mogło sobie do niego wpaść.
- To małe wiaderko. Nie sposób do niego wpaść.
- Chcesz się założyć?
- No tak. W każdym razie będę pilnował, żeby pokrywka zawsze była na miejscu. Obiecuję.
- Charles.

- Tak.

- Jesteś wariatem, wiesz o tym, prawda? Sympatycznym wariatem, ale mimo wszystko wariatem.

- Jest jedna rzecz, o której powinienem wspomnieć.

- Co?

- Lola nie cierpi psów. Boi się ich. Za szczeniakami też nie przepada.

- No tak. To mnie trochę przekonuje.

Lola oczywiście spóźnia się na podwieczorek. Zjawia się z Julianem, który robi coś, dzięki czemu zarabia ogromne pieniądze w City, i nosi nienagane garnitury, nawet w weekendy. Nie mogę sobie go wyobrazić w pomiętym ubraniu, czy utyłanego po pracy w ogrodzie. Jego kalosze są pewnie nieskazitelnie czyste. Jeśli w ogóle ma kalosze.

Lola przywiozła tyle prezentów dla Ezry i Mabel, że muszą po nie cztery razy kursować do samochodu. Przywiozła też układankę i książkę dla Alfiego, a mnie kupiła jeden z tych drogich poradników pełnych pięknych zdjęć, na temat układania bukietów. Nie wiem, dlaczego to takie wkurzające, a jednak.

Jestem w kuchni i robię z Charlesem kolejny dzbanek herbaty. Charles nadal usiłuje dojść do siebie; przeżył szok, kiedy rozpakowawszy swój prezent, stanął oko w oko z ogromną, białą, puchatą piżamą w baranki. Mabel uważa, że jest śliczna. Ale jej podobał się też gigantyczny ocieplacz Loli. Nie dostaliśmy żółtego, więc zdecydowaliśmy się na wściekle różowy.

- Och, świetnie, właśnie chciałam chwilę pogadać z wami na spokojnie. A tak w ogóle, wspaniałe dekoracje, wyglądają jak robione w domu,

choć z lampkami chyba trochę nie trafiliście. I nie mam pewności, co do tych anielskich włosów.

Czy jej się wydaje, że bierzemy udział w jakimś konkursie na najlepsze świąteczne dekoracje? Jak można nie mieć pewności co do anielskich włosów? Strasznie chciałabym wymyślić coś denerwującego w odpowiedzi. Ha, chyba coś wymyśliłam.

- Dzieciom bardzo się podobają. Ale oczywiście najbardziej są zachwycone szczeniakiem. Jest taki słodki, prawda?

- Mam tylko nadzieję, że zdają sobie sprawę, że nie mogą go ze sobą zabierać, kiedy będą do nas przyjeżdżały w weekendy. Właśnie kupiliśmy bardzo drogie perskie dywany. A poza tym ja nie cierpię psów, wiesz przecież, Charles.

Charles się uśmiecha. Zdaje się, że całkiem nieźle się bawi.

- Właśnie dlatego nie kupiłem go tobie, Lolu. Zostanie tutaj, z nami i z Alfim. W końcu to też pies Alfiego.

- Tak, wiem, Charles, dziękuję. Chciałam tylko, żeby to było jasne, nic poza tym. Ale w sumie nie o tym chciałam mówić. Mam dobre wieści, właściwie rewelacyjne. Właśnie zaproponowano mi nowe, wspaniałe stanowisko, dyrektora naczelnego i prezesa londyńskiej filii. To ogromne wyzwanie, ale jestem zachwycona. A oprócz tego, i mam nadzieję, że ucieszycie się z tego tak bardzo jak ja, pobieramy się. Prawdopodobnie w czerwcu albo w lipcu. Jeszcze nie zdecydowałam. Milknie z dość wrednym wyrazem twarzy, czekając, aż ta wstrząsająca wiadomość w pełni do nas dotrze.

- To cudowne, prawda? Oczywiście będziemy kupowali większy dom. Myśleliśmy o Islington, ewentualnie gdzieś bliżej centrum, to się jeszcze okaże. I będziemy musieli porozmawiać, jak powiemy o tym dzieciom, bo planuję dla nich dużą rolę na ślubie. Pomyślałam sobie, że Mabel mogłaby sypać kwiatki, wyglądałaby ślicznie. Tylko nie jestem pewna co do Ezry. Może mógłby nas odprowadzić do ołtarza albo coś w tym stylu. A potem myślę o jeszcze jednym dziecku, może na przyszłą wiosnę. Byłoby wspaniale. Julian uwielbia dzieci.

W życiu bym na to nie wpadła.

- Ale oczywiście teraz jeszcze nie powiem o tym dzieciom. Z początku będą okropnie zazdrosne o nowego braciszka czy siostrzyczkę, ale jestem pewna, że będą zachwycone, kiedy już się przyzwyczają do tej myśli.

Charles uśmiecha się do mnie. A ja już wiem, co chce powiedzieć.

- Tak właściwie to będzie przyrodni braciszek lub siostrzyczka. Ostatnio sporo o tym rozmawialiśmy. Bo widzisz, my też mamy dobrą wiadomość. Więcej niż dobrą. Fantastyczną.

- Niby jaką? Naprawdę, Charles, wolałabym, żebyś czasem starał się mówić bardziej do rzeczy.

- Nasze dziecko, Alice i moje. Urodzi się na początku czerwca, tak, kochanie?

- Owszem.

Lola mało nie pęknie z wściekłości.

- Ale gdzie będziecie mieszkali? Myślałam, że Alice ciągle siedzi w tej swojej chatce.

- A siedzi, siedzi. Pomyśleliśmy, że zatrzymamy oba domy. Uważamy, że tak jest chyba lepiej dla dzieci, i oboje lubimy być niezależni. Ale jestem pewien, że kiedyś wprowadzi się tutaj, a wtedy mały domek zostanie nam dla gości albo będziemy go mogli wynająć. Alice ma kilka wspaniałych pomysłów, co można zrobić z tym domem, no wiesz, pozamieniać sypialnie, przenieść pokój zabaw na dół i tak dalej. Myśleliśmy też, żeby powiększyć kuchnię. Owszem, myśleliśmy o kupnie czegoś większego i przeprowadzce, ale dzieci uwielbiają ten dom, no i jest jeszcze ogród. Zbyt wiele dla nas znaczy, żeby się stąd wyprowadzić. Zastanawialiśmy się też, czy nie pokusić się o basen. Latem to byłaby wspaniała sprawa.

Zdaje się, że troszeczkę przesadził z tym basenem. Lola wygląda, jakby za chwilę miała eksplodować.

- Mówiliście już dzieciom?

- O dziecku? Tak, kilka dni temu, chociaż staramy się tego nie rozgłaszać. Dzieciaki chyba się nawet ucieszyły.

- Naprawdę uważam, że powinienesz być to omówić ze mną, Charles.

- Tak, być może. Ale prawdę mówiąc, nie pomyślałem, że tak cię to zainteresuje.

Lola piorunuje go spojrzeniem.

- Myślałam jeszcze o czymś. Chcę częściej widywać dzieci, zabierać je na weekendy i tak dalej, kiedy już nowy dom będzie gotowy. Wiem, że ostatnio musiałam kilka razy odwołać wizyty, ale w nowym roku chciałabym, żeby to wszystko było bardziej regularne.

- Świetnie.

- Więc nie może być dłużej tak jak teraz, że ja przyjeżdżam tutaj, żeby się z nimi zobaczyć. To piekielnie uciążliwe.

- Jestem pewny, że będą zachwycone. Zawsze możesz podjechać i zabrać je na cały weekend, kiedy tylko chcesz. Bo my raczej nie będziemy mogli przywozić ich do ciebie. Będziemy zajęci nowym dzieckiem, więc dla nas też byłoby to piekielnie uciążliwe.

Lola sprawia wrażenie, jakby chciała go uderzyć. Ale Charles ma rację, bo przez ostatnich kilka miesięcy spędziła z dziećmi zaledwie parę godzin.

- Tak mi się właśnie zdawało, że trochę przytyłaś, Alice, ale nie chciałam nic mówić. Myślałam, że to może przez ten sweter.

- Nie. To nie przez sweter. Naprawdę nie mogę się już doczekać brzucha.

Oczywiście to nieprawda, ale tego jej nie powiem. Nie przeszkadza mi, że tyję, choć poprzednim razem na tym etapie nie byłam jeszcze taka wielka, co mnie trochę niepokoi. Jasne, że miałam powyżej uszu tego, że nie mogę się schylić, wysiąść z samochodu czy porządnie się wyspać. Ale to uroki ciąży, a w głębi duszy jestem taka szczęśliwa, że tak naprawdę mam wszystko w nosie. Martwię się tylko reakcją Alfiego, choć na razie wygląda na to, że on też się cieszy. Jestem pewna, że nie zawsze będzie taki zadowolony, ale jest już chyba dość duży, żeby jakoś sobie z tym poradzić, a ja zrobię wszystko, żeby nie czuł się odsunięty na drugi plan.

Na razie jedyną osobą, która ma z tym problem, jest Patrie. Podejrzewałam, że teraz będę chciała się przeprowadzić do dużego

domu, i zaczął coś marudzić, że nie zamierza mi płacić alimentów, jeśli będę mieszkała z kimś innym, ale przypomniał sobie, że przecież nie płaci mi żadnych alimentów, więc tylko się nabzdyczył.

Myślę, że tak naprawdę się wkurzył, bo Cindy bardzo chce mieć dziecko i ostatnio dużo o tym mówi. Kiedy byli tu ostatnim razem, pytała mnie nawet o radę, co jest dość paradoksalne, jak się tak nad tym zastanowić. Powiedziałam jej, że moim zdaniem powinna się zdecydować, jeśli jest przygotowana na to, że Patrie może zwinąć żagle tak jak ostatnim razem. Powiedziałam też, że urodzenie Alfiego to z całą pewnością najlepsze, co mnie w życiu spotkało, i że na pewno będzie wspaniałą mamą. Kiedy odjeżdżali, była w o wiele lepszym humorze.

Lola zbiera się zaraz po podwieczorku, mówiąc, że wyjeżdżają z Julianem na tydzień na Barbados, bo oboje są wykończeni i potrzebują wakacji, i że zadzwoni do nas, kiedy wrócą. Już to widzę. Rodzice drzemią na kanapie z Mabel, która przytuliła się do mojej mamy i śpi jak suseł. Było jej trochę smutno, kiedy Lola odjechała, ale natychmiast poprawił jej się humor, kiedy mama zaproponowała, że poczyta jej bajkę.

Charles i ja zabieramy chłopców i szczeniaka na mały spacer przed kolacją.

- Mamusiu, kiedy dziecko się urodzi, będziesz przeklinała?

- Co?

- Ezra mówi, że kiedy rodzi się dziecko, mamusie strasznie przeklinają, i mówią słowo na „k” i różne inne. Widział to na filmie.



- Nie wydaje mi się, Alfie. Myślę, że będę się cieszyła. A ty, Ezro? Myślisz, że też się trochę ucieszysz?

- Może. Jak to nie będzie dziewczyna. Nie cierpię dziewczyn.

- Nieprawda. Przecież lubisz Mabel.

- Czasami. Chyba.

- Aleja zawsze będę najlepszy, prawda, mamusiu?

- Tak, Alfie, zawsze będziesz najlepszy.

Ezra robi się nagle dziwnie nerwowy. Jest taki słodki pod tą swoją maską rozrabiaki.

- A ja czym będę?

- Ty zawsze będziesz wyjątkowy, Ezro, i będziesz najstarszym braciszkiem.

Ezra uśmiecha się i spogląda na Charlesa, szukając potwierdzenia.

- Dla mnie też zawsze będziesz najlepszy, Ez. Wiesz o tym, prawda?

- Tak, tato, wiem. Tak właściwie to pytałem Alice.

- Prawdę mówiąc, bardzo na ciebie liczę, Ezro, bo niemowlaki czasem bywają strasznie nudne. Najchętniej cały czas bawiłbym się z tobą i z Alfiem, ale czasem będę musiał chodzić na spacer z wózkiem. Myślisz, że będziesz mógł mi w tym pomóc?

Pewnie tak.

- Byłoby świetnie.

Ezra bierze mnie za rękę. Boże, to strasznie skomplikowane. Alfiemu chyba to nie przeszkadza, ale nigdy nic nie wiadomo.

Alfie był bardzo fajnym niemowlakiem. Mam nadzieję, że nowe dziecko będzie choć w połowie takie fajne, jak on.

- Pewnie nie będzie. Babcia mówi, że byłem prawdziwym skarbem. Kochana mama. Prawdę mówiąc, w środku nocy wcale nie był takim skarbem, ale staram się o tym nie myśleć.

- A tak przy okazji, zdecydowaliście się już na jakieś imię dla pieska? Tylko nie jestem pewna, czy Merlin to najlepszy pomysł. To strasznie poważne imię dla takiego małego szczeniaka.

Jak na razie Merlin jest na czele listy, ale jest też mnóstwo innych propozycji, w tym również Bilbo, bo Ezrę fascynuje ostatnio Władca Pierścieni. Po cichu próbuję przeforsować tę opcję, bo Charles będzie miał niezłą nauczkę, jeśli będzie musiał publicznie wrzeszczeć na psa Bilbo.

- Ścigamy się do bramy i z powrotem?

- Masz, tato, potrzyмай na chwilę smycz. No dobra. Trzy. Cztery. Start. Chłopcy puszczają się biegiem.

- Boże, jestem wykończona.

- Ja też.

- I głodna.

- Znowu?

- Aha.

- No dobrze. Zagońmy ich do domu i zrobię ci jakąś kolację. Myślisz, że jest jakaś szansa, że to bliźniaki? Moja mama przypomniała mi dziś po południu, że w naszej rodzinie zdarzają się bliźniaki.

- To nie jest śmieszne, Charles.

- Ja nie żartuję. Naprawdę się zdarzają. Tylko jakoś o tym zapomniałem.

- Jakoś zapomniałeś?

- Przepraszam. Ale przecież niedługo się dowiemy, nie? Kiedy masz to USG? W przyszłym tygodniu?

- Za dwa tygodnie.

- Hm. No to wtedy je zobaczymy.

- Je? Daruj sobie tą liczbą mnogą, jeśli mogę prosić. Jezu. Wiesz, jak odebrać kobiecie apetyt. Chyba już nie mam ochoty na kolację.

- Nawet na tosty z serem?

- No, może na tosty z serem mam. Z mnóstwem keczupu. To by było całkiem niezłe.

Wracamy do domu. Chłopcy pobiegli przodem, niosąc szczeniaka, bo znudziło mu się chodzenie. Po prostu zacznę go nazywać Bilbo i zobaczę, czy chwyci. Charles idzie, pogwizdując pod nosem. Naprawdę mam ochotę na tosty z serem; wołałabym, żeby szedł trochę szybciej. Lampki migoczą przez okna holu. Jest naprawdę zimno, trochę mglisto i szybko zapada zmierzch.

Staram się nie panikować, ale nie bardzo mi to wychodzi. Jezu. Bliźniaki. O, mój Boże.

**KONIEC**